This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

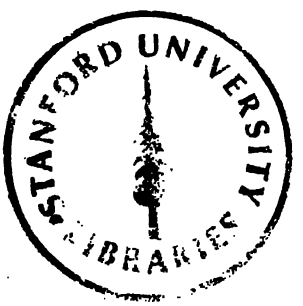
STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

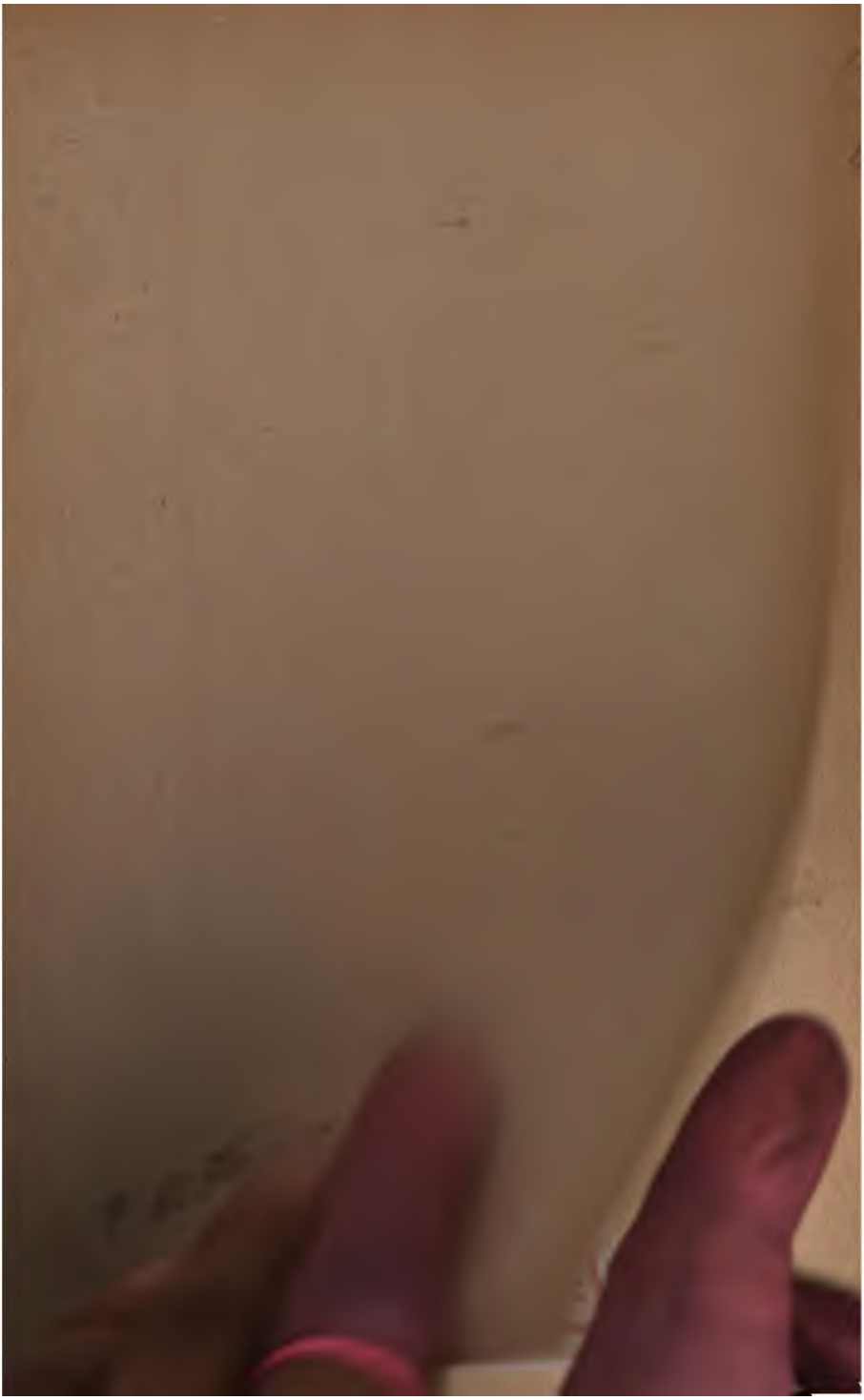

WSPOMNIENIA

JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.

WSPOMNIENIA

JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.

Jenerał KLEMENS KOŁACZKOWSKI.
według fotogramu.

WSPOMNIENIA

JENERAŁA

KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIĘGA I.

od roku 1793 do 1813.

(Z SIEDMIU RYCINAMI W TEKSCIE).

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

I.

Rodzina. — Wychowanie. — Pierwsze lata służby (1793—1812).

Urodziłem się w Poznaniu w październiku roku 1793. Trudno byłoby dla mnie oznaczyć, którego dnia na świat się pokazałem, gdyż matka nawet chwili tej oznaczyć już nie jest w stanie, to tylko pewno, że 9 października tegoż roku w kościele parafialnym i kollegiackim św. Magdaleny w Poznaniu, przez księdza wikaryusza Sleciochowicza zostałem ochrzczony. Rodzicami chrzestnymi byli: pan Stanisław Kostka Bniński i pani Katarzyna Miaskowska. Orrzymałem na chrzcie imiona: Klemens, Józef, Eugeniusz. Ostatnie imię to używali rodzice przez niejaki czas; później, nie wiem, z jakiego powodu, zaczęto mnie nazywać *Klemensem* i to imię pozostało mi.

Trudno by było zasięgnąć pamięcią pierwszych wrażeń mojej młodości. Dwa jednakże zdarzenia zostawiły po sobie wyraźne ślady w młodym umyśle. Matka [1]) wracała od ojca swego z Berlina ze mną i ze służącą, w powozie zamkniętym. Niedaleko Poznania, koło młyna wodnego, pocztylion nie trzymając się środka mostu, minął brzeg kołem i obalił powóz,

[1]) Matką generała była Józefa Grudzińska, córka Zygmunta, szambelana dworu pruskiego i Teresy z Krasickich.

wpadliśmy do stawu i bylibyśmy życiem przypłacili jego nieostrożność, gdyby nie młynarz i jego ludzie, którzy nas wyratowali; powóz wydobyli i nas zmoczonych i przemarzniętych rozgrzali we własnych łóżkach.

Drugi przedmiot, który mnie mocno poruszył, była to kara rózg, wymierzona przeciwko dwom dezerterom pruskim na rynku poznańskim. Widok ich pleców zakrwawionych długo mi tkwił w pamięci.

Przybycie nasze do Wojnowa, majętności, nabytej przez mego ojca roku 1797; pożar miasta Poznania, którego łuna odbijała się o nasze okna; pożar naszego folwarku, zagrażający innym budynkom gospodarskim; zamieszanie stąd powstałe w domu naszym i wyniesienie nas dwojga starszych dzieci do karczmy; kara wymierzona nazajutrz przez ojca na opieszałych przy ratunku ognia, te wszystkie wypadki żywo mi tkwią w pamięci.

Miałem brata jednego Adama i trzy siotry: Albertynę, Anielę i Klotyldę.

Albercia razem ze mną była przedmiotem pierwszych starań rodziców o nasze wychowanie, według rozumienia owych czasów. Powierzono nas piastunce francuskiej, pani *Le Noir*, która nas wyuczyła języka francuskiego i tym mówiliśmy płynnie i bez akcentu, wprzód nim język ojczysty zaczął się odbijać o nasze uszy. Wprowadzenie do naszego domu księdza, emigranta francuskiego, zwanego *Tisserand*, był zuakiem dla nas rozpoczęcia naszych nauk. Był to najgodniejszy ze wszechmiar człowiek, który w nas pierwsze zasady religii i moralności zaszczepił. Nie przestał na tem, ale według możności uczył nas mitologii, geografii powszechnej a nadewszystko francuskiej; następnie historyi francuskiej od czasów Faramonda do Ludwika XVI. W tym czasie emigranci francuscy przytułek i gościnność nieograniczoną u nas znajdowali. Dość było nosić imię francuskie, aby zostać przyjętym do naszych domów, gdzie od tego zaczynali, aby nami gardząc, nazywając barbarzyńcami, a korzystając z na-

Ks. Tisserand.

szego zaślepienia, stać się arbitrami gustu i obyczajów. Przybywali oni do nas z przesądami narodowymi, które w nas wpajali, a ponieważ im wyższość w każdym względzie przyznawaliśmy, zaczęli nadużywać tej gościnności i wielu z nich stało się niewdzięcznymi. Rodzice moi niejedno smutne doświadczenie w tej mierze zrobili. Co do nas dzieci, ja i siostra wkrótce znaczne postępy uczyniliśmy w mitologii i w historyi Faramonda z wielkim zadowoleniem rodziców i księdza Tisseranda.

Wczem jednak niewygasłą wdzięczność zachowaliśmy dla czcigodnego księdza, że podstawę założył w naszych umysłach w ważniejszych przedmiotach, a tymi są prawidła religii i moralności, któremi się dotąd powodujemy z jego natchnienia, a które są naszą pociechą w starości i pomocą zbawienną w wielu przeciwnościach naszego życia. Ksiądz Tisserand pozostał trzy lata w domu rodziców i to był czas dla nas wszystkich bardzo szczęśliwy. Nie pamiętam, abym od niego odebrał innego napomnienia, jak słowem łagodnem. Kary cielesnej nie zadał mi nigdy. Uczyłem się dobrze i chętnie. Pochwała z jego strony była najlepszym bodźcem, najlepszą nagrodą. Rodzice z największą ufnością zawierzali jego kierunkowi i nigdy zawiedzionymi nie zostali. Przypominam sobie dziś jeszcze, iż za najpiękniejszą uważałem sobie nagrodę, kledy księdzu Tisserandowi mogłem do mszy służyć w parafii naszej w Długiej Goślinie. Ksiądz Tisserand w czasie pobytu swego u nas, wiele się przyczynił do utrzymania pokoju domowego i zgody między rodzicami. Nieraz był pośrednikiem między niemi, i przez swoje łagodne napomnienia niejedną burzę odwrócił od naszej matki.

20 października 1800 roku, pierwszy konsul Rzeczypospolitej francuskiej, Napoleon Bonaparte, wydał dekret przywołujący emigrantów, a mianowicie księży, napowrót do ojczyzny. Ksiądz Tisserand, korzystając z tego pozwolenia, postanowił powrócić do Francyi. Odjazd jego napełnił dom nasz żałobą. Rodzice i my jego uczniowie, z niewypowiedzianym

żalem pożegnaliśmy czcigodnego księdza. Wkrótce odebraliśmy od niego samego pierwszą wiadomość o szczęśliwym powrocie na ziemię ojczystą. Przyjęty został jak najuprzejmiej przez ludność dawnej swojej parafii; objął probostwo w Arcis sur Aube w departamencie Aube, i w kilka lat potem dziekanią w mieście Soigny, departamentu de l'Yonne. Utrzymywał z nami korespondencyę do roku 1810. Pamiętając na jego dla naszego domu przysługi, udałem się do niego listownie z Sedanu w roku 1814, w czasie mego pobytu we Francyi, i obszerną odpowiedź odebrałem. Był to ostatni list od tego zacnego księdza.

Majątek ojca.

Majątek ojca składał się w tym czasie z dóbr Wojnowa, o trzy mile od Poznania, pół mili od Murowanej Gośliny i Żydowa [1]); Krzyszkowa i Roztworowa, w powiecie hornickim na lewym brzegu Warty; prócz tego posiadał Gogolewo i Niepart w krobskim, które później sprzedał (dziś są w ręku familii Czarneckich). Wojnowo w tym stanie, w jakim jest dzisiaj, wszystko winno pracy mojego ojca. Wszystkie jego starania do tego dążyły, aby posiadłość zaniedbaną ze wszech miar podnieść, tak pod względem dochodu, jak i przyjemności. W chwili, kiedy Wojnowo dostało się w jego ręce, podobne było do wielu innych polskich wiosek. Dom mieszkalny zawierał tylko dwa pokoiki, budynki gospodarskie w opłakanym znajdowały się stanie; chłopi mieszkali w obdartych lepiankach; ani sadu, ani ogrodu nie było, pola zaperzone i niedoprawione. Praca ojca zmieniła całą postać wioski. Budynki wiejskie odbudował porządnie w dwóch liniach, według starego planu. Dom nasz przybudowaniem powiększył i zrobił go wygodnym. Budynki gospodarskie ponaprawiał, urządził wewnętrznie, potrzebniejsze przydał, jak to: dwie stodoły, wielką murowaną gorzelnię i browar ze stajniami dla 60 opaśnych wołów i 200 wieprzy; spichrz piękny,

[1]) Te obydwie majętności kupił 1796 roku od pana Korytowskiego za 128.333 1/3 talarów pruskich.

NAPOLEON BONAPARTE JAKO I. KONSUL
przechadzający się w Malmaison
(wedle obrazu Isabey'a).

murowaną oficynę; założył nową kolonię z Holendrów, zwaną Klimuntowo, wieś zarobną. Brody powiększył lub naprawił; ogrody, sady i plantacye po drogach, szczególniej go zajęły. Dwa wielkie ogrody owocowe, do których najwyborniejsze szczepy sprowadzał z Poczdamu, dwa sady; drogi wysadzane topolami we wszystkich kierunkach; oranżerya piękna, zawierająca trzysta drzewek pomarańczowych i cytrynowych rodzących i wiele krzewów i roślin egzotycznych; szpalery murowane, okryte winogronami i brzoskwiniami przedziwnemi, po kilku latach pracy i znacznych kosztach najprzyjemniejszy przedstawiały widok i znaczne korzyści przynosiły właścicielowi prócz własnej przyjemności.

Lecz gospodarstwo rolne nie cierpiało na tem bynajmniej. Inwentarze były dobre, krów holenderskich 50 stało na oborze. Grunt wzbogacał się co raz bardziej, tak, że i na lżejszych rolach koniczyny piękne widzieć było można. Do podniesienia się roli wiele przyczyniały się gorzelnie i browar, chociaż finansowo biorąc, zyski nakładom nie odpowiadały.

Zdawałoby się, z tego wnosząc opisu, iż stan majątkowy ojca powinien był być jak najpomyślniejszy! tak jednak nie było. Budynki nowe i zakłady kosztowały bardzo wiele; dochody nie wystarczały na nie, a tem mniej na zapłacenie procentów od sum, na dobrach zahypotekowanych. Urządzenie Wojnowa, w sposobie dopiero opisanym, kosztowało przeszło 150.000 złp.; a tymczasem pretium, za które pan Powelski w roku 1827 nabył Wojnowo na publicznej licytacyi, nie przechodziło 300.000 złp. Tymczasem ojciec nasz lepszą część majątku; Żydowo i Krzyżkowo, w nierównie lepszej ziemi i rozleglejsze od Wojnowa, zupełnie zaniedbał. Te dwie wsie puszczone były w dzierżawę; ojciec nie wkładał w nie, nie budował; stąd znaczne urosły pretencye dzierżawców, które później do obciążenia się przyczyniły.

Śmierć kanonika Antoniego Kołaczkowskiego, dalekiego kuzyna naszego ojca, powiększyła majątek ojca przez przyłączenie Roztworowa, wsi o 400 wiertelach wysiewu do dóbr

Żydowa. Od roku 1796 ojciec uważał się za dziedzica tej wsi, którą kanonik dał pod warunkiem płacenia jemu 12.000 złp. dożywotnie, a zapisał ojcu, pod warunkiem spłacenia pewnej niewielkiej sumy bliższym sukcesorom.

Zacna matka nasza trudniła się szczególnie wychowaniem naszem, domem i gospodarstwem kobiecem. Chociaż słabego zdrowia, nie opuszczała żadnej powinności. Rano wstawała, sama każdego szczegółu dojrzała, i kilka razy na dzień wszędzie przytomnością wszystkich ożywiała. Dlatego też gospodarstwo wiele jej przynosiło. Nabiał, drobiazg i ogród były źródłem znacznych dochodów. Przy tych rozgałęzionych zatrudnieniach, znajdowała czas do zajęcia się nami, do czytania nowych dzieł i przyjmowania częstych gości, których gościnność rodziców do naszego domu przyciągała. Sąsiedztwo nasze składało się z familii Forsythów, mieszkających w parafii naszej Długiej Goślinie, dokąd co niedziela zajeżdżaliśmy. Pan Forsyth był niegdyś pułkownikiem wojska koronnego i zachowywał do późnego wieku wojskową owego czasu sztywność. Żona, z domu Korytowska, była najbliższą przyjaciółką matki naszej, i dochowała jej swojej przyjaźni do samej śmierci, która nastąpiła w Poznaniu roku 184... W jej domu przebywały dwie siostrzenice, panny Honorata i Stanisława Mielińskie, które wiele się przyczyniały do uprzyjemnienia tego domu. Starsza niezamężna, już nie żyje; młodsza, w roku 1850 także niezamężna, mieszka we własnym domu w Poznaniu, i przyjaźń dla naszego domu w spadku odebrała po ciotce. W stronie przeciwnej o pół mili od Wojnowa, leży Łopuchowo, zamieszkałe podówczas przez familię podczaszego Chłapowskiego, którego córka Barbara w roku 1810 poszła za jenerała Henryka Dąbrowskiego, sławnego w ojczyźnie naszej legionów włoskich wodza; z tą także familią ścisłe nas wiązały sąsiedztwa i przyjaźni stosunki, które trwały aż do końca naszego pobytu w tych stronach. Wszystko się dziś tam zmieniło. Wojnowo, nasze ulubione siedlisko, kupił po naszych majątkowych

klęskach Powelski, bogaty kupiec winny z Poznania. Długą Goślinę i Łopuchowo kupili Niemcy.

Wychowanie moje.

Po wyjeździe księdza Tisserand, rodzice nasi przyjmowali do swego domu kilku emigrantów z Francyi; nie wspomnę tu o tych, którzy krótko zabawili i żadnej pamiątki dobrej po sobie nie zostawili; przypominam sobie tylko dwie damy: pannę Nelin, kanoniczkę i baronowę Laplane, którym nas szczególnie powierzono: że jednak wiadomości ich okazały się bardzo poślednie, co je nie broniło od wymagań przesadzonych i wielu śmieszności, nie wieleśmy pożytku z nich odnieśli. Zabawiwszy kilka miesięcy u nas, pojechały szukać szczęścia w innych polskich domach.

Około roku 1802 zjawił się u nas niejaki pan Witkowski, dawny legionista, przybyły z armii reńskiej, którego pieczy mnie i brata Adama powierzono. Zdaje się jednak, że zdolności jego nauczycielskie nie były wielkie, albo też nasze usposobienie niedostateczne; albowiem nasze postępy bardzo się małe okazały. Pierwsze początki muzyki na fortepianie odebrałem od pana Moszczeńskiego, którego gwałtowne w nauczaniu sztuk nadobnych postępowanie, na długi czas od muzyki mnie odstręczyło. Ojciec nasz, sam namiętnie lubiący muzykę i grający na flotrowersie, radby był ze mnie wirtuozę zrobić, lecz pod przewodnictwem takiego metra, nie wiele sobie obiecywać było można. Dopiero później żyłka muzyczna pod innymi nauczycielami rozwinęła się, i dziś jeszcze muzyka do ulubionych moich rozrywek należy.

Przeniesienie do Wrocławia.

Roku 1804, ojciec postanowił zawieźć nas do szkół do Wrocławia, i na dyrektora naszego wybrał pana Wysiekierskiego, dawnego ucznia Jezuitów i byłego profesora w Krakowie, człowieka zacnego, moralnego, sumiennie wypełniającego obowiązki swoje względem nas, lecz przywiązanego zbytecznie do dawnych metod jezuickich. Posiadał on języki: polski i łaciński; w historyi, geografii i literaturze był biegły, lecz sam mało nad sobą pracował, nie postępował bynajmniej z czasem i życie prowadził

JAN HENRYK DĄBROWSKI W MŁODOŚCI,
jako porucznik gwardyi saskiej

(Podług portretu z r. 1776 w Winnogórze w X. Poznańskiem, gdzie pochowany).

spokojne, lecz nie bardzo czynne. Jego korepetyce nie wiele nas naprzód posuwały. Mieszkaliśmy we Wrocławiu »Pod trzema górami«, u Morica i tam się stołowali. Mieliśmy nauczyciela języka niemieckiego, do francuskiego księdza Delorme; do muzyki pana Bernera, organistę kościoła św. Elżbiety; do rysunku pana Felderna. Prócz tego dla dopełnienia naszego fizycznego wychowania, przychodził do nas codzień ogromny kapral pruski z pułku Treuenfels, wypudrowany, z wielkim wypomadowanym arcapem, który nam lekcye musztry dawał i nauczał nabijać na dwanaście tępów. Przepędziliśmy tym sposobem dwa lata na prywatnych lekcyach, do roku 1806.

Roku 1805 w jesieni, pierwszych zobaczyłem Rosyan w pochodzie przez Wrocław na Austerlitz. Był to korpus Essena. Zapach dziegciu oznaczał ich przybycie. O barbarzyństwie wojska tego i szaleństwach Wielkiego księcia Konstantego, który także przez Wrocław przejeżdżał, cudne opowiadano anegdoty.

Na początku wojny francuskiej 1806 roku, ojciec znalazł nas dość przygotowanych do rozpoczęcia kursów publicznych w ówczesnym katolickiem kolegium (Aula Leopoldina).

Szkoła publiczna.

Po odbytym egzaminie przed rektorem wszedłem do czwartej klasy od dołu, teraźniejszej tercyi; brat Adam do drugiej. Wówczas liczyłem lat trzynaście. Profesorami mymi byli: Bach do łacińskiego języka, Schneider do greckiego, Hansdorf do historyi, Wiechota do matematyki i Reichel do religii. Tłómaczyliśmy w tej klasie komentarze Cezara, Salustyusza historyę sławnych ludzi, Wojnę Jugurty, Ksenofonta Anabasys i t. d. Postępy moje przy pilności okazały się wielkie, wkrótce odznaczałem się pomiędzy współuczniami i stałem się ulubionym uczniem moich profesorów. W przeciągu sześciu miesięcy byłem drugim uczniem w klasie.

Kolegami mymi szkolnymi byli: Pago, Schuster, Polentz, Wanke, Żeromski, Piętkiewicz, hr. Goetz, hr. Węgierski, hr. Leopold i Karol Schaffgotschowie i t. d.

Nad wszystkich celował Fago, o lat dwa odemnie starszy, z którym ścisłą przyjaźń zawarłem.

Mieszkanie dla nas obrano w sąsiedztwie kolegium (dawne kolegium pojezuickie) i blisko kościoła szkolnego, czem nasze chodzenie do szkół nadzwyczajnie było ułatwione. Dawny poczciwy służący nasz Karol, który brata Adama wypiastował i kucharka ślązaczka składały nasz mały dwór. Stosunki nasze towarzyskie ograniczały się na domu szanownej damy polskiej, pani Garczyńskiej, której dwaj synowie: Tadeusz i Filip pod kierunkiem księdza polskiego Luna, prywatne wychowanie odbierali, i na domu pani Morawskiej, której córka później wydana za Dominika Radziwiłła, jaśniała na horyzoncie warszawskim. Czasem też odwiedzaliśmy młodych hrabiów Schaffgotsch i hrabiego Goetza u ich rodziców. Spacery nasze zwykle kierowaliśmy w wolniejszych chwilach na wały, w kierunku Hundsfeld (Psie pole, sławne pobojowisko z czasów [1109 r.] Bolesława Krzywoustego) na drodze ku Polsce, ku ogrodowi księcia Hohenlohe i pomnikowi, na cześć generała Trauenzien przed Świdnicką bramą wystawionemu, albo też za bramę Olawską (Olauer Thor), lub nareszcie ku pięknemu dębowemu lasku na lewym brzegu Odry.

Wspomniałem już wyżej, iż pierwsze zasady religijne winien byłem czcigodnemu księdzu Tisserand; przybywszy do Wrocławia w dwunastym roku wieku mojego, osądzono mnie za godnego przystąpić do Stołu Pańskiego. Pierwszą spowiedź odebrał odemnie arcypasterz kościoła św. Mikołaja, starzec poważny, którego rady ojcowskie głębokie sprawiły wrażenie na młodym umyśle. Z jego to szanownych rąk odebrałem po raz pierwszy Komunię świętą. Było to roku 1805.

Ojciec niczego nie szczędził na wychowanie nasze. Pomimo tego, że czas nasz w szkole był bardzo zajęty, przeznaczył nam metrów partykularnych: metra do fortepianu pana Kless'a, organistę u Augustyanów; później gdy mało z tym korzystałem, ostatniego roku pana Klingohr, i jemu winienem wszystko co teraz umiem; księdza Delorme do języka francu-

skiego, Felderna do rysunków, metra fechtowania pana Cezarini, metra konnego jeżdżenia; prócz tego pan Wysiekierski, nasz guwerner, powtarzał niektóre kursa z nami i dawał nam kurs języka i literatury polskiej. Stąd widzieć można, żeśmy czasu nie tracili a na uzupełnienie wszystkiego, aby mi rozum lepiej otworzyć, przychodził przez sześć miesięcy, każdej niedzieli stary żyd, który mnie gry szachów nauczał. Zgoła ojciec niczego nie żałował, ażeby nas pod każdym względem wykształcić w duchu tamtego wieku. Koszt, na nas łożony w Wrocławiu, wynosił pewnie do dwóch tysięcy talarów rocznie, co w stanie jego majątkowym musiało być wielką ofiarą.

Prawda, że nam żadnego nie zostawił majątku, lecz ważniejsze dobrodziejstwo starannego wychowania, które podstawą stało się późniejszego mego zawodu. To jemu jedynie jestem winny i za to bardziej jak za majątek, niewygasłą w moim sercu wdzięczność zachowałem!

Zaledwie kursa nasze zostały rozpoczęte, kiedy wojna 1806 roku Prus przeciwko Napoleonowi przerwę w nich sprawiła. Widzieliśmy wychodzących na tę wojnę rycerzy pruskich. O jakże wyrodzili się potomkowie zwycięzców pod Rossbach i Leuthen! Już ani śladu nie było między nimi dawnego militarnego ich ducha. Wymarsz regimentów Hohenlohe i Treuenfels, kirasyerów Dolffsa, raczej pogrzebu obraz przedstawiał, jak radośnego pochodu przeciw nieprzyjacielowi. Żołnierze smutni, źle ubrani, bez płaszczy; młodzi oficerowie tryumfujący naprzód z przyszłych nieochybnych zwycięztw; wyżsi oficerowie w zgrzybiałej starości, żegnający z płaczem swoje familie; kolumny przeciążone bagażami, końmi obładowanymi, wozy napełnione łóżkami oficerskimi, po bokach kojce z indykami i kurami: taki widok mieliśmy, spotykając owe sławne wojsko pruskie, wybierające się do zwycięstw nad Francuzami.

Wkrótce owoce tak wielkiego zaniedbania uczuć się dały, głuche odgłosy klęsk poniesionych poprzedziły pierwsze wiadomości wojenne. Nareszcie jak grom z nieba pogodnego

pierwsza wiadomość o klęskach pod Jeną i pod Auerstaedt, potrwożyła poczciwych mieszkańców Wrocławia. I oni nie mieli być oszczędzeni w pogromie tak niesłychanym ogólnym państwa pruskiego. Wiadomości o wzięciu Erfurtu, Magdeburga, Kistryna, Szczecina, o kapitulacyi pod Prenzlaw i Lubeką, o zwycięzkiem wejściu Napoleona do Berlina 2 grudnia 1806, o rozbiciu się zgoła całej potęgi państwa: jedna drugą goniły. Nareszcie wzięcie Głogowy, o dwadzieścia mil od Wrocławia położonej, oświeciło mieszkańców o własnem ich niebezpieczeństwie.

Korpus, złożony z Francuzów, Wirtemberczyków i Bawarów pod komendą Hieronima Bonapartego, brata młodszego cesarza, podstąpił pod Wrocław dnia 5 grudnia 1806. Załoga składała się z 6.000 pruskiego żołnierza pod komendą jenerała Thiela. Twierdza opasana była potężnymi wałami, bez murowanej jednakże odzieży, rowy napełnione wodą Oławy i Odry; drogi kręte opalisadowane; ani prochu, ani kul, ani żywności nie brakło, lecz duch dawny Fryderyka Wielkiego wystąpił z obrońców; choć sprawiedliwość im oddać należy, że tak haniebnie nie postąpili sobie, jak garnizon Magdeburga, Szczecina i Kistryna.

Oblężenie Wrocławia.

Naprzód lekki oddział wojska, rozpoznawszy przystęp do twierdzy, rzucił na postrach mieszkańców kilkaset granatów do miasta i wezwał lecz napróżno gubernatora do poddania. Gdy demonstracya ta okazała się nieskuteczną, przystąpiono dopiero do istotnego obsaczenia i oblężenia twierdzy. Pierwsze granaty, które do zamożnego miasta wpadły, wielki postrach wznieciły u jego mieszkańców; cóż dopiero, kiedy obszerne, bogate przedmieścia z rozkazu gubernatora zapalone zostały. Każdy przewidział wtedy klęski, na jakie mieszkańcy wystawieni w oblężeniu i zaczęto przysposabiać się w żywność i inne potrzeby domowe na czas dłuższy. Ponieważ dom nasz leżał blizko wałów, a na kurtynie sąsiedniej stała baterya moździerzowa, zaczęły kule i bomby nieprzyjacielskie nawiedzać

okoliczne domy. Gdy i naszemu domowi kilka pocisków dostało się, znagleni byliśmy opuścić zbyt niebezpieczne pomieszkanie i schroniliśmy się do domu pani Garczyńskiej, którego dół był sklepiony i zawierał bezpieczne piwnice i tam czekaliśmy dalszych wypadków.

Po tej pierwszej demonstracyi nastąpił wkrótce atak gwałtowniejszy. Korpus nieprzyjacielski opasał twierdzę na obydwóch brzegach Odry i otworzył zakopy pomimo mrozów w nocy.

Przykopy prowadzone były usilnie pomiędzy bramą św. Mikołaja i bramą Olawską i pomimo żywego ognia z twierdzy, Francuzi w krótkim czasie założyli kilka bateryj wielkiego kalibru, zwróconych szczególnie przeciwko miastu, których niszczący ogień wkrótce dał się uczuć. Wielka liczba domów dotkniętych została granatami i bombami. Niektóre z gruntu zniszczone, inne mniej więcej ucierpiały. Wielu mieszkańców legło. Dom, przez nas zamieszkany, odebrał także kilka pocisków. Granat wpadł do izby naszej sypialnej, po wyprowadzeniu się naszem do piętra dolnego i piec przewrócił. Inne na podwórzu pękły. Musieliśmy się schronić w czasie najmocniejszego bombardowania do piwnic i tam w towarzystwie pani Garczyńskiej najgorsze chwile przepędziliśmy. W godzinach wolnych od bombardowania porzucaliśmy niemiłe nam towarzystwo szczurów, ażeby odetchnąć na podwórzu, a nawet kilka razy pod przewodnictwem kapitana Zabłockiego z regimentu Hohenlohe odważyłem się na wały, ażeby rozpoznać położenie nieprzyjacielskich bateryj, ich zakopów, obrony drogi krytej i bateryj wałowych naszych. Odtąd zacząłem przyswajać się z przyszłym moim inżynierskim zawodem.

Mówiłem już wyżej, iż wały wprawdzie oblane były dokoła wodą, lecz brakowało im odzieży murowanej. Z tej to okoliczności dowodzący oblężeniem jenerał francuski Wandame korzystając, przedsięwziął doświadczyć, czyliby szturmem nie udało się twierdzę pochwycić. Porobione zostały

w tym celu przysposobienia. Lecz Prusacy odkryli ten zamiar i przygotowali się do należytego odparcia. Jasność nocy do reszty zamiar zdradziła — musieli Francuzi odstąpić od przedsięwzięcia. Tymczasem książę Anhalt-Pless, dowodzący w górnym Śląsku, ściągnął z twierdz pruskich, Koźlina, Neissy, Silberberga i Glatzu część garnizonów w jeden korpus, wzmocnił go ochotnikami i powstaniem, i z korpusem 12.000 zbliżył się na odsiecz Wrocławia. Jenerał Wandame pospieszył naprzeciw nim z Bawarczykami i 13 pułkiem liniowym francuskim, zadał klęskę i powrócił pod Wrocław, ażeby poprzeć oblężenie tem silniej. Nareszcie mrozy mocne chwyciły wodę w rowach. Nie było już przeszkód do szturmu; a gdy do tego dzieła przygotowania ukończone zostały, wezwał powtórnie twierdzę do poddania. Komendant, obawiając się skutków, jakieby niezawodnie spadły na to handlowe miasto, przystał nareszcie na kapitulacyę i twierdzę dnia 7 stycznia 1807 roku zdał francuskiemu wojsku.

Kapitulacya Wrocławia.

Nazajutrz garnizon broń złożył, a wojska francuskie, bawarskie i wirtemberskie pod komendą Hieronima Bonapartego miasto zajęły. Powtórna demonstracya a spóźniona, księcia Pless na odsiecz Wrocławia, zakończyła się tak jak pierwsza, zupełną porażką pod Kanth, o trzy mile od Wrocławia; do tego przyczynił się najbardziej pułk ułanów polskich, świeżo nadeszły z Neapolu. Smutny był to widok jeńców pruskich: ich nędza, smutek i rany dały mi poznać stronę boleśniejszą wojny. W parę dni potem widzieliśmy tryumfalny wchód zwycięzców. Pierwszy raz oglądałem wojsko francuskie. Piechota ich złożona była z ludzi małych, krępych i silnych: większa część 10 do 15 lat służby liczyła. Ich lekkość, zgrabność i wesołość wszystkich zadziwiała. Spoglądając na nich i porównywając z następcami Fryderyka Wielkiego, nikt się już nie dziwił skutkom ostatniej kampanii. Bawary odznaczali się także piękną wojenną postawą i wzrostem wielkim, ich jazda *(Chevauxlégers)* zdawała się szczególnie usposobioną do wojny.

Przeciwnie, wirtemberskie wojsko nie podobało się nam wcale: reputacya rabusiów poprzedzała ich wszędzie. Lecz jakież nasze było szczęście, gdyśmy pierwszy raz oglądać mogli pułk ułanów polskich. Ich ubiór narodowy dochował się zupełnie: mundur granatowy, wyłogi i wypustki żółte; chorągiewki u lanc czerwone z białym — tylko kokarda trójkolorowa przypominała, że w służbie francuskiej zostają. Byli to rzeczywiście żołnierze z pod Novi i Hohenlinden!

Zaledwie przystępy do Wrocławia zostały wolne, a już rodzice troskliwi o nas, starali się o wiadomość o naszem powodzeniu przez p. Konstantego Krzyckiego, krewnego matki naszej, który nam się w mundurze polskim pokazał. Od niego dowiedzieliśmy się o wejściu Francuzów do Poznania i do Warszawy, o powstaniu ogólnem zabranych części Polski, a mianowicie Wielkopolski, o nowej formacyi korpusu polskiego pod dowództwem jenerałów: Dąbrowskiego, Zajączka i księcia Poniatowskiego.

Kilka tygodni po poddaniu się Wrocławia, w połowie kwietnia udaliśmy się do rodziców, ponieważ nauka jeszcze była przerwana. Przejeżdżając przez Poznań, spotykaliśmy nowe oddziały żołnierzy polskich, których na placach musztrowano. Ojciec nasz z matką pospieszył do Poznania na przyjęcie cesarza i wyznaczony został ze strony obywateli do służby przy jego osobie. Matka wraz z innemi damami przedstawiona mu została na publicznem posłuchaniu. Nienajpomyślniejsze wrażenie pozostawił po sobie ten ogólny przegląd. Napoleon roztargniony, nic grzecznego powiedzieć żadnej damie nie potrafił, prócz urywkowych, niestósownych czasem ani do wieku, ani do stanu zapytań; które z jego zwłaszcza ust mocno zadziwiać musiały. Przypomnieli sobie wszyscy, iż on był tylko szczęśliwym żołnierzem, nie wychowanym na stopniach tronu, któremu grzeczne słówka monarchów z Bożej łaski obcemi były, który pewnie w czasie przeglądu dam inne miał myśli w potężnej głowie.

Napoleon, który dnia 25 listopada przybył do Poznania, wyruszył stamtąd w nocy z dnia 15 na 16 grudnia i w nocy z dnia 18 na 19 stanął w Warszawie.

Po jego wyjeździe ojciec ofiarował swoje usługi obywatelskie tworzącej się administracyi i gorliwie zaczął w niej pracować jako konsyliarz prefektury. Matka najęła pomieszkanie w Poznaniu, dom swój otworzyła i zaczęła przyjmować wieczorami.

Po kilku tygodniach, w domu rodzicielskim przepędzonych, powróciliśmy do naszych nauk do Wrocławia; miasto napełnione Polakami zastaliśmy: organizował się wtedy legion nadwiślański z żołnierzy pruskich, rodowitych z Polski, z ochotników, i dostawionych przez obywateli rekrutów złożony. Zastaliśmy także Francuzów, zajętych wysadzaniem wałów Wrocławia; wkrótce piękne te dzieła przedstawiały tylko widok gruzów i nieforemnych nasypów ziemnych. Najwyższy punkt twierdzy, tak zwany *Taschenbastion* w bok bramy Oławskiej, zamienił się w obszerny bulwark, który później przemysłem mieszkańców stał się najpiękniejszym spacerem miasta.

Resztę roku 1807 przepędziliśmy na zwięzlejszych naukach. Ku końcowi tegoż roku postąpiłem do piątej klasy i w niej pozostawałem aż do wakacyj roku 1808. O tej to porze ojciec zaczął mnie przeznaczać do stanu wojskowego. Rozpocząłem więc lekcye prywatne jeometryi praktycznej i rysunku planów u profesora Wiechoty, nie zaniedbując przytem publicznych kursów klasy szóstej, do której w końcu roku 1808 przeszedłem. Nie potrzebowałem pomocy profesorów w niektórych przedmiotach jako to: polskim i francuskim. Postępowałem dalej w języku łacińskim, greckim, w historyi i matematyce. Tłómaczyliśmy w tej klasie Eneidę Wirgiliusza, ody Horacyusza, historyę Germanów Tacyta, Illiadę i Odysseę, historyę wojny Peloponeskiej Tukydidesa. Co się tyczy matematyki, ta na bardzo niskim była stopniu i ani nie zasługiwała na porównanie co do obszerności przed-

miotów i metody nauczania z kursami francuskich lyceów, a nawet szkół warszawskich. Cokolwiek algebry i jeometryi według elementarnego dzieła Lorenza; solydometryą również nisko dawano i jeszcze słabiej pojmowano; na tem ograniczały się kursa połączonych klas: piątej i szóstej. Wkrótce prywatne godziny z profesorem Wiechotą pozwoliły mi wyprzedzić moich współuczniów, chociaż wyznać muszę, że pomimo usilnej pracy, dla złej metody profesora, nie czułem się dość utwierdzonym do egzaminu ścisłego. Na początku roku 1809 jeszcze usilniej zacząłem pracować, statykę ciał stałych przydałem do mojego prywatnego kursu i według zdania profesora znalazłem się dość przygotowanym do egzaminu w matematyce elementarnej. Ojciec od początku roku 1809 postanowił mnie zawieźć do Warszawy i przedstawić na ucznia do szkoły aplikacyjnej artyleryi i inżynierów Księstwa Warszawskiego, której program ogłosiły pisma publiczne. Wybadawszy mnie tak co do chęci, jak i usposobienia, rozkazał mi przybyć do domu ostatnich dni marca. Wyruszyliśmy w drogę do Warszawy i przybyliśmy do stolicy w chwili, kiedy się przygotowywano do wojny roku 1809. Ojciec mój udał się natychmiast do jenerała Hebdowskiego, dawnego przyjaciela naszej familii, zastępującego podówczas ministra wojny, do którego mnie nazajutrz zaprowadził. Za jego to staraniem przedstawiony zostałem jenerałowi Pelletier, komendantowi artyleryi i inżynierów, pułkownikowi Mallet, dyrektorowi inżynierów i Bontemps'owi, dyrektorowi arsenału. Wszyscy trzej opuścili służbę francuską z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania służby odpowiednich broni w Księstwie Warszawskiem. Wszyscy mnie uprzejmie przyjęli, pytali o moje poprzednie nauki, obejrzeli rysunki i kazali umieścić na liście kandydatów do szkoły aplikacyjnej. Ponieważ liczba wybranych nie miała przechodzić dwunastu, było przeto bardzo wielu obiegających się o te miejsca. Obrany egzaminatorem p. Łęski, profesor liceum warszawskiego; jego świadectwo miało stanowić

Przybycie do Warszawy 1809 roku.

w egzaminie. Ojciec nic nie opuścił, ażeby pozyskać jego dla mnie względy, miał bowiem niezrozumiałą dla mnie młodego zasadę, iż wpływy bardzo wiele znaczą na tym nędznym padole. Z tej więc wychodząc zasady, poczciwy ojciec umieścił mnie na kilka dni przed egzaminem, w pensyi pana Łęskiego w pałacu Saskim i tam egzaminowany przez niego, w czem niedostawało, starałem się dopełnić za jego radą. Nareszcie dzień, przeznaczony do egzaminu, zajaśniał dla mnie. Był to dzień 4 kwietnia. Sala arsenału na ten cel była przeznaczoną. Zastałem tam publiczność liczną, wielu młodych ludzi, należących do mojej kategoryi, i komisyę egzaminacyjną, na czele której był jenerał Pelletier. Pomiędzy młodzieżą zwracał na siebie uwagę Ignacy Prądzyński, adjutant podoficer 11 pułku piechoty, przybyły z Gdańska dla złożenia egzaminu, którego odpowiedzi jasne i zwięzłe nie zostawiały nic do życzenia. Wojskowy mundur, szpada przy boku, wzrost niski, głowa nadzwyczaj wielka, odróżniały go od innych kandydatów. Wkrótce spostrzegłem, ile jeszcze brakowało usposobieniu memu naukowemu, ażeby się z innymi zrównać kandydatami. W rzeczy samej nie powinienbym był zostać przypuszczonym do konkursu, nietylko dla wieku, ale i dla słabego usposobienia. To prędkie oszacowanie mojej zdolności w chwili stanowczej, odebrało mi resztę odwagi. Przez nadzwyczajny fawor pozwolono mi zdać egzamin po niemiecku, jako przybywającemu ze szkół niemieckich i to, co mnie może uratowało, nie bardzo pochlebne musiało dać o mnie zdanie publiczności. Egzamin odbył się jako tako, dość przytomnie lecz niedostatecznie. Odchodząc od tablicy pewny byłem, że przepadnę. Tymczasem inaczej się stało z wielkiem mojem zdziwieniem. Bądź to owe wpływy, których nie pojmowałem, bądź wzgląd na wielką młodość, bądź znajomość języka francuskiego, niemieckiego i klasycznych języków: zostałem jednak przyjęty i otrzymałem Nr. 9. Trudno, bym wyraził radość moją na tę wiadomość, a skoro mundur oficerski na siebie włożyłem i szpadę przypasałem do boku,

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATO

(Według obr

W BITWIE POD RASZYNEM
28),
Jeleecha Kossaka).

myślałem, że się niebo dla mnie otworzyło. Cóż dopiero, kiedy pierwszy szyldwach przedemną broń zaprezentował! — Przyjęci wraz zemną uczniowie (elewi) nazywali się: Hyacynt Idziński, Józef Koriot, Ignacy Prądzyński, Michał Świda, Fabian Wiszniewski, Benon Tykiel, Jan Romański, Ludwik Łobodzki, Julian Suzin, Feliks Szymanowski, Antoni Roztworowski.

W tej epoce życia mojego byłem wzrostu bardzo małego, szczupły, chudy; niezgrabny w moich poruszeniach, niepewny w całem wzięciu się; i bez żadnej z tych zalet, które wojskowego cechować powinny. Gdy sobie to dziś przypomnę, zdaje mi się, żem chybił zawodu. Jakoż rzeczywiście, byłem dzieckiem bez żadnego doświadczenia, najłatwiej przejmującem wszelkie wrażenia świata, wprawdzie bogobojnem i czystem, jak na 15 lat wieku przystało; lecz wkrótce poznałem, iż młodość za wielką jest przeszkodą w stanie wojskowym, zwłaszcza w stopniu oficerskim.

Patent mój oficerski datowany był dnia 10 kwietnia 1809 roku, a 15 kwietnia jeneralny marsz rozlegał się po ulicach Warszawy. Odebrano bowiem wiadomość, iż wojsko austryackie pod komendą arcyksięcia Ferdynanda d'Este przechodzi Pilicę. Bilet przywieziony przez podpułkownika Mallet'a dnia 9 kwietnia, żadnej wątpliwości w tym względzie nie zostawiał; w tem piśmie donosi arcyksiążę, *iż wskutek deklaracyi cesarza Napoleona, wojsko pod jego rozkazami zostające, dnia 15 kwietnia, o godzinie 7 zrana naprzód się posunie i po nieprzyjacielsku postąpi z wojskiem przeciwnem.* Wprawdzie po ruchach w Galicyi spodziewać się można było, iż wojna jest bliską, gdy jednakże nie odbierano żadnej urzędowej wiadomości, ani od cesarza, ani od króla Saskiego o tak bliskiem rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, żadnego przygotowania nie zrobiono dla odparcia nieprzyjaciela.

Wojsko Księstwa Warszawskiego podówczas składało się z trzech dywizyj: pierwszą dowodził książę Józef Poniatowski,

drugą jenerał Zajączek, trzecią jenerał Henryk Dąbrowski. Do tego sześć batalionów polnych, z tych jeden w Hiszpanii pod kapitanem Kamińskim, jeden w Gdańsku i dwie konne baterye, świeżo uformowane: jedna przez Włodzimierza Potockiego, druga przez Romana Sołtyka, własnym kosztem.

Z tych dwunastu pułków piechoty trzy były użyte w Hiszpanii, dwa w Gdańsku, siedem pułków, czyli czternaście batalionów, było tylko do dyspozycyi: jazdy tylko pięć pułków, ponieważ jeden był w Niemczech, a dział polowych tylko 32, zaprzężonych i gotowych do boju.

Bataliony trzecie były dopiero w formacyi, nie miały wszystkie karabinów i użyte być nie mogły na linii bojowej. Twierdze: Modlin, Praga (szaniec przedmostowy), Sierock i Toruń źle uzbrojone, jeszcze gorzej w żywność zaopatrzone.

Prócz tych czynnych wojsk stały pod Warszawą trzy bataliony saskie, dwa szwadrony huzarów i 12 dział pod komendą jenerała Pollentza, które czynny udział miały w bitwie raszyńskiej, lecz zaraz potem przez Płock, Toruń, wyruszyły do domu.

Naprzeciw tak słabych sił, arcyksiążę Ferdynand miał pod swoją komendą bezpośrednią 25.000 piechoty, 5.000 jazdy, 94 dział i do usługi tychże 2.800 żołnierzy, w ogóle 33.000 ludzi, prócz tego 7.400 rezerwy w Zamościu, Sandomierzu i innych miejscach Galicyi.

Wypadałoby mnie umieścić opis kampanii, dla polskiego oręża tak świetnej, roku 1809, lecz ta kampania, tak pięknie i tak szczegółowo opisana została przez Romana Sołtyka w dziele pod tytułem: *Rélation des Opérations de l'Armee aux ordres du Prince Joseph Poniatowski, pendant la Campagne de 1809 en Pologne contre les Autrichiens*, iż nic do tego dzieła dodaćbym nie potrafił — odsyłam więc do niego czytelników, tylko do rozmaitych wypadków odwoływać zamyślam się o tyle, o ile w nich miałem cokolwiek udziału.

Bitwa pod Raszynem 19 kwietnia.

Gdy już wątpliwości nie było względem zamiarów wojska austryackiego nad Pilicą, ojciec starał się o ekwipaż kampaniczny dla mnie, kupił dwa konie wierzchowe, zgodził masztalerza do nich i opatrzywszy mnie we wszystkie wojenne potrzeby i 30 czerwonych złotych na drogę, powierzył moją osobę podpułkownikowi Mallet, który mnie i Prądzyńskiego wybrał na adjutantów; sam zaś pospieszył do familii, dawszy ojcowskie błogosławieństwo na drogę.

Dnia 19 kwietnia odgłos dział pod Raszynem uwiadomił stolicę, że nasze zastępy potykają się z nieprzyjacielem. Podpułkownik Mallet, któremu powierzone było urządzenie obrony wałów miasta Warszawy, wyjechał ze mną, aby swoje rozporządzenia porobić. Ludność Warszawy bez różnicy wieku, płci i stanu wysypała się, jak roku 1794, za miasto, ażeby naprawiać dawne kościuszkowskie szańce. Zataczano działa, zakładano nowe baterye, zgoła wszystko zaczęło groźniejszą przybierać postać.

Wkrótce ujrzeliśmy pierwszych rannych z pobojowiska, pomiędzy nimi był kapitan Deskur z pułku trzeciego jazdy, dawny przyjaciel mojego ojca, który odebrał w nogę mocną kontuzyę od kuli armatniej.

Ogień trwał nieustannie do godziny 7 wieczorem. O 8 wszystko zamilkło. W nocy, książę Poniatowski, po dzielnym odporze, straciwszy przeszło 1000 ludzi i dwie armaty zdemontowane, uznał za rzecz konieczną cofnąć się za wały warszawskie. Tam rozpoczęły się nazajutrz rokowania z wodzem nieprzyjacielskim na forpocztach, a wskutek tychże nastąpił rodzaj konwencyi dla miasta Warszawy, wyjąwszy Pragę, 21 kwietnia, o godzinie 5 wieczorem.

Na mocy jej konwencyi wojsko polskie miało opuścić stolicę i cofnąć się za Narew w przeciągu dwóch razy 24 godzin, zabrawszy ze sobą władze krajowe, archiwa, broń, artyleryę i t. d.

Zrana dnia 22 kwietnia odebrałem rozkaz udania się do Modlina z depeszą, tyczącą się mostu na Narwi i szańcu przedmostowego, do komendanta jenerała Piotrowskiego. Zmęczony po czteromilowej, pierwszy raz w życiu jeździe, wypełniłem polecenie. Lecz tego samego dnia po obiedzie, trzeba było myśleć o powrocie. Zebrawszy resztę sił wsiadłem na konia, lecz o dwie mile od Warszawy uczułem niemożność jechania dalszego; musiałem nająć podwodę i tym sposobem stanąłem u mostu na Wiśle o 10 wieczorem. Na moście wielki zgiełk; piechota nasza przeciągała w stanie dość egzaltowanym wódką, miotając obelgi i przekleństwa na swoich oficerów, a mianowicie na wodza naczelnego: że ich zdradzili, że książę Poniatowski z austryakami trzyma i t. d., i t. d. U nas bez zdrady nigdy się nie obejdzie; każda niepomyślność, każda ucieczka żołnierzy jest zdradą oficerów. Tak u nas zawsze bywało, skoro tylko węzły karności nie były żelazną ręką dzierżone. Nasz żołnierz jest dobry, a nawet lepszy od innych narodów, kiedy karny; niemasz ale gorszego, kiedy się rozprzęże i sejmikować zacznie. Wysłanie do Modlina.

Zdawszy raport o mojej misyi podpułkownikowi Mallett'owi, zasnąłem na podłodze snem kamiennym, a nazajutrz zrana byłem tak rzeźwy, jak gdybym nie był osiem mil jednego dnia ujechał.

Dnia 23 kwietnia, o 9 zrana, wyruszyliśmy za wojskiem ku Modlinowi z gronem młodych kolegów, pomiędzy nimi byli: Prądzyński, Wiszniewski, i wolnym marszem stanęliśmy przed wieczorem w Modlinie. Wojsko nasze stanęło obozem na prawem skrzydle od strony starego Modlina, równolegle do Narwi, zajmując Nowy Dwór i szaniec przedmostowy na Narwi. Kończono właśnie ostatni i uzbrajano artyleryą.

Modlin, założony przez jenerała inżynierii Chapeloup roku 1807 na rozkaz Napoleona, przy ujściu Narwi do Wisły, był, jak i jest dzisiaj, najważniejszym punktem obronnym kraju. Leży na wysokości urwistej, o 90 stóp nad poziomem wody, której brzeg, parowami przerywany, ciągnie się od Za-

kroczymia ku Wkrze, rzece wpadającej do Narwi o jedną milę od Modlina, pod Pomiechowem.

Szwedzi za króla Gustawa wojen znali już dokładnie korzyści tej pozycyi i w Puffendorfie znajdujemy rysunek szańcu na wyspie, później Szwedzką zwanej, zapomocą którego panami stali się handlu zbożowego powyżej Wisły. Na górze ku Pomiechowu były także ślady obozu oszańcowanego szwedzkiego, które poruszywszy, znajdowaliśmy: kule, zbroje i t. d. starożytne.

Napoleon, uderzony pięknością pozycyi, postanowił założyć w tem miejscu twierdzę tymczasową, którą skombinowawszy z Sierockiem, z szańcem przedmostowym Pragi, zamienionym na obóz oszańcowany, otrzymał strategiczny trójkąt wielkiej wagi dla dalszych działań.

Narys Modlina zupełnie chybiony został: ten grzech pierwotny pozostał na tej twierdzy do roku 1831.

Z budowli wojskowych zastaliśmy tylko koszary murowane dla piechoty, magazyn prochowy sklepiony i o kilku piętrach w pośrodku twierdzy. Wojsko całe umieszczono w barakach. Uzbrojenie składało się z trzydziestu siedmiu dział, po większej części wałowych, spiżowych pruskich, które powiększone zostały działami, po konwencyi spuszczonymi Wisłą z Warszawy, w liczbie trzydzieści dziewięć; załoga z trzecich batalionów piechoty, około 1.200 ludzi, pod komendą jenerała Piotrowskiego. Stanowisko, zajęte przez wojsko nasze, rozciągało się lewem skrzydłem swoim aż do Sierocka, zajętego również jak Modlin zakładowymi oddziałami piechoty, około 1.400 ludzi i trzydzieści siedem armat. Środek stał w Zgierzu nad Narwią.

Dnia 23 kwietnia, wieczorem, wojska nasze zajęły swoje stanowisko. Rada ministrów udała się do Tykocina.

Opis Sierocka.

Po krótkim pobycie w Modlinie udałem się z podpułkownikiem Mallet do Sierocka. Zastaliśmy twierdzę nie w lepszym stanie jak Modlin. Owszem wiele

brakowało, aby Sierock, tak pod względem naturalnego położenia jak i umocnienia mógł się z Modlinem równać. Prócz podobieństwa położenia przy ujściu Narwi z Bugiem, Sierock słabą przedstawiał obronę. Wojsko umieszczono w barakach, gdyż żadnych budowli nie było wojskowych. Na wałach zatoczonych było trzydzieści siedem dział. Garnizon składał się z 1.400 piechoty, oddziału artyleryi. Na tych to dwóch punktach nowa podstawa nasza opierała się. W Broku, na lewem skrzydle naszem, założono most i szaniec przedmostowy na Bugu, wysłano w tym celu oficera inżynierów Żołądkiewicza. Za nami w Płockiem, Augustowskiem i Łomżyńskiem, jenerał Zajączek organizował rezerwy; w Wielkopolsce toż samo czynił jenerał Dąbrowski. Na około Sierocka, zwłaszcza od strony Pragi, leżą wielkie lasy, w tych porobiono zasieki, ażeby przystępy do Sierocka na lewym brzegu Narwi utrudnić. W tej czynności miałem udział pod rozkazami podpułkownika Mallet'a.

Lecz niedługo na stanowisku pomiędzy Modlinem i Sierockiem zatrzymano się. Na radzie wojennej, która się odbyła po wzięciu Warszawy, książę Poniatowski, natchniony przez jenerała Dąbrowskiego i jenerała Pelletier, wniósł, ażeby teatr wojny przenieść do Galicyi i działać zaczepnie na prawym brzegu Wisły. Wskutek tego postanowienia nastąpiły rozmaite ruchy naszych kolumn na granicy galicyjskiej, a następnie potyczki pod Radziminem dnia 26 kwietnia, pod Grochowem tegoż samego dnia. Dnia 29 kwietnia jenerał Sokolnicki zajął Okuniew, przeszedł rzeczkę Zwider i 2 maja stanął w Dziesinowie, wiosce naprzeciw Góry leżącej. Doszła bowiem wiadomość do głównej kwatery, iż arcyksiążę Ferdynand most na łyżwach pod Górą stawia, którego budowę szańcem przedmostowym zabezpieczył, i w gotowości się ma do przeprawy na prawy brzeg Wisły. Przedsięwzięto zapobiec tak niebezpiecznemu dla nas zamiarowi i jenerałów Sokolnickiego i Pelletier'a z czterema batalionami piechoty i dwa pułki jazdy wysłano w tym celu.

W Radziminie złączyłem się z główną kwaterą i tam przedstawiony zostałem księciu Poniatowskiemu przez jenerała Bronikowskiego, krewnego matki mojej, w czasie obiadowym. Książę Poniatowski liczył wtedy dopiero lat 46, należał on do najpiękniejszych ludzi swego czasu. Piękność rysów twarzy, wzrost średni, powaga w poruszeniach, uprzejmość w mowie, jednały mu odrazu serca. Nic nie wyrównało wspaniałości jego postawy na koniu. I na mnie widok tego rycerza z rycerzów, wielkie uczynił wrażenie. Odebrawszy kilka słów łaskawych z ust jego, powróciłem na miejsce moje u stołu jego; wszyscy bowiem oficerowie, do głównej kwatery należący, raz na zawsze proszeni byli. Po obiedzie, jeżeliśmy nie byli w marszu, rozpoczynała się zwyczajnie gra hazardowa, w której większa część oficerów sztabu nietylko udział miała, lecz książę naczelny wódz sam stawiał na karty i do podkomendnych swoich po królewsku zwykł był przegrywać. W ogólności panowała wówczas zasada w wojsku naszem, że kto o pieniądz nie stoi, nie ogląndnie się na przyszłość i majątek swój na kartę stawiać gotów, również skorym będzie do narażenia życia swojego, kiedy potrzeba tego się okaże. Tak jednak zawsze nie było; owszem uważałem, że prawie wszyscy znaczniejsi bankierzy, faraonowie sztabu, np. Szumlański, Nowicki, Karmenecki i t. d., nie należeli do najodważniejszych rycerzy naszych; owszem z każdej nadarzonej okazyi korzystali, aby mieszać i taliować karty po za linią bojową. Przykład głównej kwatery wpływał, samo się rozumie, na inne sztaby i na drobniejsze oddziały wojska; wszędzie grywano: *kiedy August pił, Polska była pijaną.*

W Radziminie miałem kwaterę u wieśniaka, którego córka nadzwyczajnej była urody. Jej piękność zwabiała młodych oficerów sztabowych, lecz ja, który świeżo moich klasyków pamiętałem, nietylko, że w ślady Scypiona poszedłem, co do mojej osoby, lecz od natrętnych nawiedzeń młodych kolegów, a mianowicie Wiktora Ossolińskiego, cnotę mojej nadobnej gosposi obroniłem. W nocy z 2 na 3 maja nastąpił

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.
(Według współczesnego portretu Baciarellego w Warszawie, rytował F. John).

atak przedmieścia pod Górą, czyli od wsi na prawym brzegu Wisły pod Ostrówkiem. Trzeci batalion szóstego pułku piechoty, pod komendą pułkownika Sierawskiego, szefów batalionu Blumera, Bogusławskiego i Suchodolskiego, zdobyto go bagnetem. 1.800 niewolnika z pułku Latour: trzydziestu ośmiu oficerów, jedna chorągiew, trzy działa stały się łupem zwycięzcy. Prócz tego austryacy mieli około pięciu set zabitych i rannych, strata naszych wynosiła trzysta ludzi. Skoro wiadomość ta doszła do głównej kwatery księcia Poniatowskiego w Okuniewie, nasz wódz ruszył zaraz naprzód, ażeby powitać zwycięzkie wojsko i korzystać z położenia nowego rzeczy. Pod Karczewem spotkał jeńców austryackich i pomoc w pieniądzach oficerom hojnie ofiarował.

Szaniec przedmostowy pod Górą.

Szef batalionu Mallet wraz zemną dotarł do szańca przedmostowego i rozporządzenia stosowne porobił, ażeby piechotę naszą, która zajmowała szańce, zasłonić od nieprzyjacielskiego ognia z tamtej strony. Most już był prawie całkiem zebrany; wiele jeszcze nie pochowanych trupów, ba nawet ranni na placu leżeli. Pierwszy widok cierpień żołnierza mocne wrażenie na niedoświadczonych uczynił, cóż dopiero, gdym usłyszał krzyki kilku rannych: *dobijcie mnie.* Zdobycie szańca pod Ostrówkiem zniszczyło zamiary austryaków przeprawienia się przez Wisłę w pobliskości Warszawy. Arcyksiążę pomyśleć musiał o przeprawie poniżej, około Płocka, lecz gdy i to się nie udało, starał się podchwycić szaniec przedmostowy Torunia i miasto z mostem jednym zamachem zyskać: lecz i to przedsięwzięcie spełzło na niczem. Oddawna miał pod Sandomierzem zapewniony sobie most na Wiśle, który przedmościem utwierdził. W tym celu także Sandomierz w korzystnem położeniu umocnił i garnizonem 4.000 ludzi pod jenerałem Eggermanem obsadził.

Tymczasem główny korpus księcia Poniatowskiego swobodnie mógł rozpocząć działania zaczepne przeciw nieprzyjacielskim oddziałom, rozproszonym po Galicyi i wzmacniać się

coraz bardziej posiłkami w ludziach i koniach, cisnącymi się zewsząd pod nasze chorągwie Dnia 5 maja główna kwatera księcia Poniatowskiego była w Wiązowni. Dnia 6 maja ogólne poruszenie naprzód nastąpiło. Główna kwatera dnia 7 była w Parczowie, dnia 10 w Kocku, dnia 11 w Lubartowie; a tymczasem przednie straże posuwały się szybko naprzód ku Zamościowi i ujściu Sanu, a 14 maja nasz wódz wszedł do Lublina. Jenerał Sokolnicki dnia 16 maja z przednią strażą zbliżył się pod Sandomierz. W nocy z 16 na 17 maja sam przeprawił się przez Wisłę pod Zawichostem, kiedy jenerał Rożniecki, na prawym brzegu zostając, przebywszy San, stanął pod szańcem przedmostowym Sandomierza. Atak jednocześnie następował na obydwóch brzegach: na lewym Sokolnicki, na prawym Różniecki, w nocy z dnia 17 na 18 maja. Pierwszy nie powiódł się i straciliśmy w nim księcia Marcelego Lubomirskiego i wielu mężnych ludzi z pułku dwunastego piechoty. Drugi poszedł pomyślniej. Jednym pędem piechota pułku szóstego i ósmego, pod Bogusławskim i Włodzimierzem Potockim, szańce przedmostowe zdobyła bagnetem; sześć dział i około 1.000 ludzi wziętych w tym szybkim ataku zostało. Wskutek tego Sandomierz nazajutrz się poddał. Zamość także wzięty został szturmem przez oddział naszego wojska, pod dowództwem jenerała Pelletier.

Wzięcie Sandomierza.

Wzięcie Zamościa.

W tylu świetnych wypadkach nie miałem niestety żadnego udziału. Przywiązany do osoby pułkownika inżynieryi Malleta, za młody, abym mógł być gdziekolwiek użyty na własną odpowiedzialność, starałem się tylko o wypełnienie ściśle rozkazów danych i powoli rozpatrywałem się w obowiązkach nowego rzemiosła. Po wzięciu Zamościa, udałem się z pułkownikiem Mallet do tej twierdzy, którą zastaliśmy jeszcze w wielkim nieładzie po szturmie i rabunku nocnym.

Zamość, w XVI wieku przez Jana Zamoyskiego zbudowany, przedstawiał raczej widok mia-

Opis Zamościa.

sta włoskiego aniżeli polskiego. Inżynierowie włoscy sprowadzeni przez hetmane i kanclerza Zamoyskiego, miasto i twierdzę założyli w położeniu z natury obronnem, wśród bagien, z których rzeka Wieprz wypływa. Część twierdzy dla bagien zupełnie nieprzystępna, część inna zapomocą sztucznego zalewu również niedostępną stać się może. Od strony drogi lubelskiej i lwowskiej, położenie się wznosi i nawet cokolwiek panującem a zatem przystępniejszym się staje. Twierdza narysowana w siedmiobok bastyonowy nieforemny. Zamek Zamoyskich leży pomiędzy bastyonami trzecim a czwartym, od bramy szczebrzeskiej do lubelskiej. Część środkowa jego niedokończoną była; reszta miasta zbudowana foremnie. Ulice po kątem prostym, rynek obszerny z pięknym ratuszem; naokoło sklepione arkady, pod któremi w czasie deszczu wygodnie się przechadzało; kilka pięknych kościołów z wysokiemi wieżami, ozdobą były miasta. Niedaleko bramy lubelskiej natrafiliśmy na wielki budynek w czworobok zbudowany: *Akademia Zamoyskich*, później do Szczebrzeszyna przeniesiona, z której wielu wyszło uczonych w XII i XIII wieku. Naokoło miasta ciągnęły się rozległe przedmieścia z pięknymi ogrodami.

Taki nam obraz Zamość przedstawiał w kilka dni po szturmie. Dodać do tego należy zamieszanie, nieodstępne od takiego dokonanego przedsięwzięcia. Nie obyło się i bez pożaru od naszych granatów i bez rabunku mieszkańców. Kasy przez żołnierzy złupione zostały, bankocetle workami wynoszono i za bezcen sprzedawano. Oświeceńsi z pomiędzy żołnierzy majątki porobili. Szef batalionu Mallet przepędził parę dni na zarządzeniu robót około umocnienia twierdzy. Dziwnym przypadkiem bowiem, prawe czoło bastyonu czwartego, zapewnie wstrząśnięte ogniem ciężkich dział i na bagnie stojące, nazajutrz po szturmie runęło do rowu i przystępny wyłom przedstawiało; trzeba było jak najspieszniej zająć się zamurowaniem otworu, gdyż nieprzyjaciel nie był daleki. Poruczono tę pracę kapitanowi inżynieryi Jodce, który

służbę inżynierską jak najprędzej urządził i pomoc znalazł w kompanii saperów, pod komendą kapitana Sabiejewskiego.

Po tych rozporządzeniach udaliśmy się do głównej kwatery pod Trześnią, obracając drogę na Ulanów, gdzie most był dla nas i dla nadchodzących Rosyan przygotowany *na Sanie*. Wieś Trześnia na prawym brzegu Wisły, o ćwierć mili od mostu na Wiśle, naprzeciw Sandomierza leżąca, przepełniona wówczas była wojskiem, oficerami sztabowymi i bagażami wszelkiego rodzaju. Wojsko polskie, skoncentrowane wówczas naokoło Sandomierza, rozłożone było w samem mieście i we wsiach okolicznych, częścią też stało w obozie pod Trześnią. Oddziały jazdy naszej pod jenerałami Rożnieckim i Kamińskim podchodziły pod Lwów i pod Jarosław i przecinały główny trakt żwirowy wiedeński. Dnia 25 maja Jarosław ze znacznymi zapasami wszelkiego rodzaju dostał się w nasze ręce. Dnia 28 maja Różniecki wszedł do Lwowa.

Po przybyciu naszem do Trześni podpułkownik Mallet z jenerałem Pelletier, w dniu 23 maja rozpoznali szczegółowo Sandomierz z okolicami i roboty około lepszego umocnienia tego tak ważnego punktu zarządzili. Postanowiono bowiem na radzie wojennej Sandomierz utrzymać *jako środek dalszych obrotów;* skądby równie działać można przeciwko zbliżającemu się arcyksięciu Ferdynandowi z głównemi siłami austryackiemi, jak przeciwko oddziałom odwodowym, zajmującym Starą Galicyą. Aby dopiąć tego podwójnego celu, należało zachować szaniec przedmostowy, lecz ten z niewypowiedzianą lekkomyślnością z rozkazu jenerała Rożnieckiego zaraz po wzięciu rozrzucony został; błąd ten, który czas jeszcze było naprawić, a jednak nie naprawiono, wiele się przyczynił później do upadku Sandomierza.

Opis Sandomierza.

Sandomierz, od wpadającej o milę poniżej do Wisły rzeki Sanu tak nazwany, leży na wysokości urwistej, parowami głębokimi przerywanej i z tych parowów, które nakształt głębokich przekopów, opasują mury, główną obronę odbiera. Przed miastem leży kilka klasztorów

murowanych z mocnymi murami obwodowymi, jako to: Dominikanów, Reformatów, św. Pawła, św. Jakóba, które uważać można było jako dzieła zewnętrzne całej pozycyi i które wreszcie same jak najskuteczniej przystępu do miasta broniły.

Na lewem skrzydle miasta znajdujemy ruiny zamku, za Karola Gustawa króla szwedzkiego wysadzonego w powietrze. Główny obwód składał się z murów i z baszt starożytnych, a przed nimi założono wał z przedpiersiem i rowem. Obronę szyi od strony Wisły stanowił spadek przykry, gdzieniegdzie urwisty, a w miejscach przystępniejszych palisada.

Umocnienie, dopiero co opisane, starano się w jak najkrótszym czasie powiększyć, lub też uzupełnić. Mury obwodowe miasta, mury cmentarzy, na około klasztorów wyniesione, urządzono do obrony, przebijając w nich strzelnice; w miejscach górzystych pozakładano baterye i dzieła zewnętrzne. Szyję od Wisły zupełnie zamknięto palisadami, nareszcie miejsca stosowne po klasztorach na magazyny wybrano.

W użyciu tych środków jenerał Sokolnicki, któremu dowództwo Sandomierza powierzono i pułkownik Bontemps, dyrektor artyleryi, okazali się najczynniejszymi.

Jenerał Sokolnicki

Jenerał Sokolnicki, rodem z Wielkopolski, rozpoczął swój zawód wojskowy w korpusie inżynierów koronnych i czynnym już był w kampanii roku 1792. Później wstąpił do oddziału strzelców pieszych, i w roku 1794 został pułkownikiem. Wzięty z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami do niewoli, zawieziony został do Petersburga i tam w kazamatach cytadeli zamknięty był do końca roku 1796, w którym to czasie śmierć Katarzyny i wstąpienie na tron Pawła I, wszystkich polskich więźniów zwolniły (zob. Pamiętniki Niemcewicza). Sokolnicki niedługo potem pospieszył do legjonów, służył pod Dąbrowskim, później pod Kniaziewiczem i w stopniu adjutanta komendanta odbył kampanię roku 1800. Udał się potem do Paryża i tam [illegible]ukom ścisłym oddany, wszedł w stosunki bliższe z człon-

kami instytutu i kilka dzieł, tyczących się hydrauliki, wydał. W roku 1806 wstąpił napowrót do wojska i jako jenerał brygady od początku kampanii roku 1809 dowodził przednią strażą wojska naszego. Był to oficer również uczony, jak odważny i przedsiębiorczy. Żywa wyobraźnia nie dawała mu żadnego spoczynku, plany, projekta najbujniejszych działań wojennych, następowały szybko po sobie, z tych większa część była niepraktyczna. Ambicya jego nie znała granic; czując się wyższym od drugich, dawał im to nieraz uczuć i wiele miał z tego względu nieprzyjaciół. Talent jego stawiał go niezawodnie w pierwszym rzędzie naszych jenerałów, lecz wyobraźnia zanadto bujna i niespokojność wrodzona, wszelką równowagę w umyśle psuły i rozwinięcie tak wielkich zdolności tamowały.

W Sandomierzu zastałem obraz rzeczywistej wojny; pod czynnym okiem jenerała Sokolnickiego wykonywano z szybkością nakazane roboty obronne; sypano baterye, zataczano działa i t. d. Służba na forpocztach odbywała się ściśle. Waleczny pułkownik Dziewanowski z pułkiem szóstym ułanów dowodził przednią strażą i dzień i noc czuwał nad bezpieczeństwem dzieł zewnętrznych.

Wcale inny obraz przedstawiała główna kwatera w Trześni. Tam młodzież sztabowa u stołów otwartych naszego wodza, zapominała o trudach wojennych. Hazardowa gra, w której przewodniczyli jenerałowie nasi i nawet, jakem już wyżej nadmienił, sam wódz naczelny, zajmowała mocniej wszystkich, aniżeli obowiązek lub potrzeba wykształcenia się w wojennem rzemiośle. Przybycie bogatej młodzieży galicyjskiej, odważnej lecz próżnej, jeszcze bardziej namiętność szaloną gry podniecało. Jakże trudno było oprzeć się takiemu widokowi, kiedy samego naszego wodza widzieliśmy wspaniale prezydującego przy zielonym stoliku. Zdawało się wielu z nas i mnie także, że pogarda złota jest jednym z przymiotów dobrego żołnierza, a kto nie gra, nazwać się godzien *skąpcem, egoistą*, który życia swego nigdy na kartę nie stawi.

Pomnik grobowy WŁODZIMIERZA POTOCKIEGO w katedrze na wawelu.

(Rzeźba dłuta Thorwaldsena)

(zobacz str. 44).

A więc i mnie grać się podobało. Wnet moje trzydzieści czerwonych złotych przeszły nader prędko w białe, pierścieniami ozdobione ręce, panów Nowickiego i Szumlańskiego i znalazłem się bez złotego w worku moim. Lecz za to w oczach własnych i młodych kolegów zacząłem uchodzić za bardzo walecznego, ponieważ tak wspaniale trzydzieści czerwonych złotych przegrałem.

Wkrótce jednak rozwaga lepsza rozpędziła w umyśle moim to mroczne mniemanie. Znalazłem się bez sposobu dopomożenia sobie w czemkolwiek. Jenerała Bronikowskiego w głównej kwaterze już nie było, żołdu nie płacono, cóż więc robić było? Dowiedziawszy się o przybyciu pułkownika Turny, kuzyna matki, udałem się do niego i on to po dobrem napomnieniu i ojcowskich radach, chociaż i sam, ile później widziałem, dość namiętnie grywał, wspomógł mnie kilkunastu dukatami, pod warunkiem, ażebym więcej nie grał nigdy. Warunek ten wiernie dotrzymałem w ciągu życia wojskowego; widziałem gry wielkie przed sobą i nigdy mnie chęć nie brała stawić na kartę. W Paryżu nawet gra *rouge noir* nie potrafiła obudzić namiętności we mnie. Wyleczony byłem odrazu na całe życie.

Na forpocztach pod Sandomierzem odwiedziłem pułkownika szóstego pułku jazdy Dziewanowskiego, dawnego przyjaciela domu naszego, który mnie przyjął jako syna, dobremi radami wzmocnił i dopomógł do nabycia trzeciego konia od kapitana Leszczyńskiego. Temu to zacnemu pułkownikowi winien pułk szósty ułanów organizacyą swoją, karność i reputacyą, którą sobie przez tyle chwalebnych czynów zjednał w kampaniach 1809, 1812 i 1813 roku. Ten pułk, w roku 1816 zreorganizowany, stał się pułkiem drugim ułanów i pod tą firmą również odznaczył się we wszystkich bitwach roku 1831. Tak to zaszczepienie silne ducha i honoru wojskowego w korpusie oficerów i żołnierzy, wpływa na prowadzenie i chwałę pułku przez długie lata.

W Trześni poznałem kilku znakomitych oficerów naszego wojska; najbardziej zwracali na siebie uwagę: jenerał Pelletier, komenderujący artyleryą i szef szwadronu, Włodzimierz Potocki.

Jenerał Pelletier. Jenerał Pelletier ze służby francuskiej, gdzie był pułkownikiem artyleryi, przeszedł do służby Księstwa Warszawskiego na rozkaz cesarza Napoleona, w stopniu jenerała brygady, ażeby uorganizować służbę artyleryi. Pelletier miał dopiero lat trzydzieści dwa w czasie wojny 1809, a przecież co do lat służby i wojen odbytych, należał do najstarszych oficerów naszego wojska. W siedmnastym roku wieku swego zaciągnął się do artyleryi; odbył pod Rzeczpospolitą wojny 1805, 1806 i 1807. Pelletier, nietylko jako oficer artyleryi, znakomite posiadał wiadomości, lecz łączył w sobie zdanie, roztropność i wzrok bystry jenerała komenderującego. Jego odwaga, spokojność, powaga w ogniu były zadziwiające, jego przytomność umysłu wszystkich zdumiewała; miał przytem dar jednania sobie zaufania u wszystkich i nieraz się przyczynił do pogodzenia lub zbliżenia zdań zupełnie przeciwnych, zazdrości i nienawiści zakorzenionych między naszymi wodzami. Pelletier w przedmiotach służby był wymagający; znał je bowiem jak najlepiej; umiał karać i strofować, dlatego też karność w korpusie artyleryi była wielka; wszakże w tak krótkim czasie nie mógł wlać nauki, której jeszcze nie wiele było pomiędzy oficerami, lecz i w tym względzie liczył on na czas i na szkołę aplikacyjną, która ludzi takich, jak Bem i Chrzanowski wydała. W czasie wolnym od służby jenerał Pelletier był najweselszym i najprzyjemniejszym towarzyszem, jego wesołość czasem się nawet do rozpusty posuwała. W wojnie roku 1812 wzięty został do niewoli przez Rosyan, a w roku 1814 powrócił do Francyi, gdzie wstąpił powtórnie do artyleryi. W roku 1830 Pelletier był komendantem szkoły aplikacyjnej w Metz i zawsze nas z przychylnością wspominał. Kolega

mój Prądzyński oraz ja, mieliśmy u niego, pomimo naszej młodości, szczególniejsze względy.

Włodzimierz Potocki.

Włodzimierz Potocki, syn Szczęsnego Potockiego (i matki Mniszchówny), jednego z tryumwirów Targowicy, odrodził się zupełnie od niegodnego ojca. Wychowanie jego było najstaranniejsze w domu, na dokończenie nauk wyjechał do Niemiec i na uniwersytet lipski, zdaje mi się, uczęszczał. Powierzchowność jego była tyle nadobna i ujmująca, przytem grzeczność tak wielka, obok wykształcenia na swój wiek nadzwyczajnego, iż wszystkich, tak profesorów jak i uczniów, skłaniał do siebie serca. Nic nie dorównywało pięknej jego postawie, posąg Apolina Belwederskiego nie był piękniejszy. Pomimo trudności, jakich doświadczył będąc poddanym rosyjskim, wkrótce po naszem odrodzeniu się wstąpił do naszych szeregów i w końcu 1808 roku bateryę artyleryi konnej kosztem swoim uformował. Świetna jego odwaga pod Raszynem i Sandomierzem w obliczu całego wojska, miejsce mu naznaczyła pomiędzy najwaleczniejszymi. Roztropność jego i spokojność w rozprawie każdej coś więcej jeszcze obiecywały i przyszłego wodza znamionowały.

Lecz wojsko i ojczyzna, której tyle dowodów dał poświęcenia, nie długo się cieszyły tą nadzieją. 8 kwietnia roku 1812, po krótkiej chorobie, zakończył młody swój zawód w Krakowie, nie dożywszy dwudziestu dwu lat, z powszechnym żalem współtowarzyszów broni i żony, która go uwielbiała. Piękny pomnik, w katedralnym kościele krakowskim wystawiony, pamiątkę tego młodego bohatera uwiecznił.

W czasie, gdy książę Poniatowski okolice Sandomierza zajmował i zagony rozpuszczał aż ku Podolowi i Karpatom, jenerałowie: Dąbrowski i Zajączek z wielką gorliwością wypełniali dane im polecenia. Pierwszy na czele na prędce sformowanej dywizyi ośmiu trzecich batalionów piechoty i dwóch nowych pułków jazdy, wogóle 7,500 ludzi i ośmiu dział, skoncentrował się pod Kutnem ze wszystkiemi siłami. Z dru-

giej strony jenerał Zajączek, zebrawszy w garnizonach twierdz nadwiślańskich i w zakładach na prawym brzegu Wisły 4.900 ludzi i dwanaście dział; zaczął przeprawiać swoje oddziały przy Wiśle pod Oborami i zagroził Warszawie.

Powodowany tymi ruchami arcyksiążę Ferdynand, uznał potrzebę opuszczenia Warszawy i przeniesienia głównych sił swoich ku górnej Wiśle pod Sandomierz, zostawiwszy jenerała Monelet'a z korpusem 13.000 w Księstwie, dla wstrzymania następujących ze wszech stron oddziałów Dąbrowskiego i Zajączka. W nocy z dnia 1 na 2 czerwca, Monelet opuścił także Warszawę, którą jenerał Zajączek dnia 2 czerwca natychmiast zajął z niewypowiedzianą radością mieszkańców, żyjących w ucisku i trwodze od pięciu tygodni. Wskutku uwolnienia Warszawy teatr wojny zaczął się zbliżać ku Pilicy i wkrótce skoncentrował się w okolicach Sandomierza.

Arcyksiążę Ferdynand, połączywszy się z jenerałami Schauroth'em i Geringer'em pod Opatowem, dnia 4 czerwca odbył przegląd sił swoich, które wynosiły 13.000 ludzi. Dnia 5 czerwca jenerał Sokolnicki wyszedł naprzeciw niemu w 5.000 ludzi dla rozpoznania sił i położenia. Przyszło do żwawej utarczki, która na korzyść naszą się obróciła. Wszakże przed siłą przemagającą nieprzyjaciela ustępując, jenerał Sokolnicki cofnął się nad wieczorem do Sandomierza. Austryacy żywo następując, natarli wieczorem na niektóre oddzielne posterunki i szańce przed miastem, lecz wszędzie ze stratą odparci zostali. Tu zginął szef batalionu Eisenbach z trzeciego pułku piechoty.

Arcyksiążę przekonany o niepodobieństwie atakowania Sandomierza, tak długo, dopóki książę Poniatowski zajmować będzie pozycyę w Trześni, postanowił przeprawić się z głównemi siłami na prawy brzeg Wisły. Jenerał Schauroth w 9.000 ludzi uskutecznił te poruszenia dnia 8 czerwca pod Połańcem i zajął stanowisko nad Wisłoką — zostawiwszy na lewym brzegu jenerała Geringera z 3.000 ludzi, dla zasłony poruszenia swego. Wskutek tego manewru książę Poniatowski,

który obsadziwszy Sandomierz i Zamość i przywoławszy Rożnieckiego, liczył tylko sześć batalionów i cztery kompanie piechoty, jedenaście szwadronów i czternaście dział, ogółem 7.300 ludzi, nie czuł się dość mocnym, żeby się mierzyć z arcyksięciem.

Nierozmyślne rozrzucenie szańca przedmostowego sandomirskiego okazało się teraz, gdy tyle zależeć musiało na wolnem działaniu obydwóch brzegów Wisły, nader szkodliwem. Nie naprawiono odrazu tak wielkiego błędu. Dziś już było zapóźno. Nie wypadało więc księciu Poniatowskiemu, jak tylko ze wszystkiemi siłami przerzucić się na brzeg lewy Wisły, starając się o podanie ręki Dąbrowskiemu i Zajączkowi, którzy z tamtej strony Pilicy następowali za korpusem jenerała Menellet'a. Lecz przez takie poruszenie Stara Galicya narażona była na powtórne zajęcie ze strony Austryaków; związek z nią zupełnie się zrywał, a nawet Lublin zagrożonyby został. Poruszenie takie nazwać było można największą klęską. Uznano więc za rzecz stosowniejszą obsadzić mocno Sandomierz i cofnąć się za linię Sanu i w tem położeniu zaczekać na posiłki, prowadzone przez Dąbrowskiego i Zajączka. Tym sposobem nie tracąc z oka Sandomierza, trzymaliśmy arcyksięcia na wodzy; podawaliśmy rękę formacyom galicyjskim, które pomimo oporu ze strony Austryaków, a nawet ze strony sprzymierzonych nam Rosyan, z wielką szybkością powstawały; nareszcie zyskiwaliśmy na czasie.

Mowaby tu być powinna o tem nienaturalnem sprzymierzeniu Rosyi z Francyą, które za sobą pociągnęło tak dziwny stosunek pomiędzy wojskiem naszem a wojskiem rosyjskiem, pod komendą jenerała księcia Galicyna; lecz wolę odesłać czytelnika w tym względzie do dzieła Romana Sołtyka. Nadmienię tu tylko, że pozycya nad Sanem pewniejszaby się stawała, gdyby lewe skrzydło nasze rzeczywiście opierało się o dywizyę rosyjską Suwarowa, stojącą pod Radomyślem i Dąbrową; i gdyby działanie ze strony tej dywizyi było tak szczere, jak się po sprzymierzeńcach spodziewać należało.

W tak mocnem stanowisku możnaby było spokojnie czekać ataku arcyksięcia. Lecz przekonano się wkrótce z listów jenerałów rosyjskich, pisanych do naczelników austryackich a przejętych przez nasze forpoczty, i z całego postępowania tychże jenerałów, iż niebezpieczniejszymi dla nas byli, jak sam nieprzyjaciel. I to jest pewne, że skoroby się Napoleonowi nad Dunajem nie było powiodło, zrzuciwszy maskę, nasby najprzód przygnietli, a potem podawszy rękę Austryakom, pospieszyliby na główny teatr wojny. Dość powiedzieć na poparcie tego, iż powstanie galicyjskie rozbrajali, władze austryackie napowrót przywracali, nasze poruszenia tamowali, i spotkawszy się z wojskiem austryackiem żadnej mu szkody nie wyrządzali, ani jednego strzału nie uczyniwszy. Takimi byli dziwni ci sprzymierzeńcy.

Stanowisko nad Sanem, jakkolwiek z innych względów dobrze wybrane, stało się niebezpiecznem w tak niepewnym stosunku do wojska rosyjskiego. Dla wyjaśnienia tego stosunku wysłany został podpułkownik Mallet do głównej kwatery rosyjskiej i do Ulanowa. Mallet miał posłuchanie u księcia Gallicyna; lecz nic, prócz pięknych słówek nie przywiózł stamtąd. Rosyanie nieporuszeni stali. Wprawdzie jenerał Suwarow najlepsze zdawał się okazywać chęci i gdyby nie był miał rąk związanych najściślejszymi rozkazami, zapewnie czynną byłby nam przyniósł pomoc. Lecz tak, jak rzeczy stały, nie mógł przestąpić instrukcyi i tylko małe demonstracye uczynił na prawym brzegu Sanu, na naszą korzyść. Wojsko polskie z 7.000 ludzi i czternastu armat tylko złożone, zajmowało stanowisko na lewym brzegu po za wsią Gorzyce, zasłonięte groblami i staremi odnogami Sanu przed wsiami Fantazyą i Wrzawami; prawe skrzydło oparte o Wisłę, lewe o groblę i stare łożysko Sanu. Stanowisko obronne z natury przedstawiało obraz wielkiego przedmościa; most na Sanie, założony pod Dąbrową — zupełnie nim był zasłonięty. Na lewem skrzydle naszem był bród na Sanie pod Skowierzynem, którego bronił oddział nasz, złożony z sie-

dmiu kompanii piechoty, jednego szwadronu i dwóch dział. Rachowano wprawdzie, pomimo tylu zawodów, na pomoc rosyjską, przynajmniej w obronie tego miejsca; lecz i ta rachuba omyloną została. Wprawdzie punkt ten był najsłabszym, i gdyby Austryacy kilka tysięcy ludzi byli przeznaczyli do ataku Skowierzyna, mogli byli z łatwością obejść nasze lewe skrzydło i ubiedz nas u mostu na Sanie.

Dnia 12 czerwca po obiedzie nastąpił ze strony austryackiej atak na naszą pozycyę pod Gorzycami, który z świetną odwagą odparty został przez słaby polski korpus, pod dowództwem bezpośredniem księcia Poniatowskiego. W tej potyczce pierwszy raz znajdowałem się w ogniu armatnim i cokolwiek się z niebezpieczeństwem oswoiłem.

W nocy z dnia 13 na 14 wojsko nasze przeprawiło się przez San i most za sobą zrzuciło. Główna kwatera stanęła w Antonowie. Piechota i artylerya nasza obsadziła brzegi Sanu naprzeciw forpoczt austryackich; arcyksiążę Ferdynand przymusiwszy nas do opuszczenia lewego brzegu Sanu, mógł teraz swobodnie pomyśleć o ataku Sandomierza. Jenerał Monelet po bitwie Jedlińskiej dnia 11 czerwca, w której pobił Zajączka, zbliżył się pod Sandomierz. Tym sposobem arcyksiążę miał wszystkie siły pod tem miastem skoncentrowane.

W nocy z dnia 15 na 16 czerwca Austryacy przypuścili szturm do Sandomierza. Z pozycyi naszej widać było całą potyczkę. Miasto wkrótce płonęło w ogniu. Każdy strzał armatni wyraźnie słychać było. Około godziny w pół do jedenastej rozpoczął się ogień i trwał do białego dnia. Dziewięć batalionów wyborowych austryackich użytych zostało do szturmu, wszystkie z wielką stratą odparte; 689 zabitych i 986 rannych okrywało pobojowisko i prócz tego nieprzyjaciel zostawił w naszem ręku 315 niewolników. Nasza strata wynosiła około 1.000 ludzi. W żadnej potyczce tej kampanii, wojsko nasze tyle wytrzymałości nie okazało. Szturm ten odparty należeć zawsze będzie do najchlubniejszych czynów polskiego oręża.

Dzień 16 czerwca po szturmie, użyty z obydwóch stron dla pogrzebania trupów i zebrania rannych. Po obrachowaniu sił pozostałych jenerał Sokolnicki przekonał się, że ma jeszcze 4.000 ludzi pod bronią; lecz ci prawie już byli bez amunicyi; brakowało także ładunków artyleryi tak dalece, że obawiać się było można, aby ponowiony szturm nie stał się zgubnym dla załogi. Potrzeba traktowania była konieczną. Jakoż po złożeniu rady wojennej przystąpiono do układu, na mocy którego załoga z bronią, artyleryą i bagażami miała wyjść z Sandomierza i udać się etapami za Pilicę, skąd dopiero wolne działanie rozpocząć mogła. Układ ten czyli kapitulacya ratyfikowany został z obydwu stron dnia 18 czerwca. Nazajutrz dnia 19 czerwca Austryacy zajęli Sandomierz.

Kapitulacya Sandomierza źle przyjęta została przez naczelnego wodza; w liście z dnia 20 czerwca wynurzył nawet swoje nieukontentowanie z tego względu jenerałowi Sokolnickiemu; pochwaliwszy jednak waleczność obrońców. W rzeczy samej, później okazało się, iż należało jeszcze parę dni wytrwać.

Austryacy, zniechęceni stratą 2.000 ludzi, nie byliby się odważyli na nowy szturm; lecz spaliwszy miasto granatami byliby odciągnęli w tym samym czasie, w jakim to uczynili. Mieli bowiem wyraźny rozkaz zbliżenia się do głównej armii nad Dunajem.

Po zniszczeniu szańców Sandomierza i zabraniu dział ciężkich swoich, arcyksiążę dnia 22 czerwca wyszedł z tego miasta i udał się na Kielce, Małogoszcz, Przedbórz ku Krakowu. W tym samym czasie książę Poniatowski stanowisko swoje pod Pniowem opuścił i udał się do Puław, ażeby się zbliżyć do jenerałów Zajączka i Sokolnickiego, z którymi wkrótce się złączył.

W czasie pobytu mego w Pniowie przy głównej kwaterze, zapadłem na febrę i musiałem się przenieść do Borowa, gdzie stały nasze ambulanse; tam przy spoczynku lepszym i z pomocą doktora Puchalskiego wkrótce powróciłem do

dawnego zdrowia. W Puławach dogoniłem główną kwaterę, która tam stanęła dnia 24 czerwca.

Puławy.

Miejsce to, równie w Polsce jak i za granicą znane, wierszami Delilla wsławione, już tylko słaby cień dawnej wielkości i zamożności przedstawiało. Mieszkał w nim wprawdzie jeszcze jenerał ziem podolskich i feldmarszałek cesarsko-austryacki, książę Adam Czartoryski z żoną Izabelą z hrabiów Flemingów, z familią i dworem dość licznym; wszystko przypominało jeszcze dawną wielkość i dawało wierny obraz tego, czem był dawniej dwór naszych magnatów. Lecz z opowiadania starszych sług i domowników sądząc, wiele się tam zmienić musiało, zwłaszcza od czasu, gdy w roku 1794 jenerał rosyjski Bibikow pałac tamtejszy złupił. Pomimo tego Puławy jeszcze nader przyjemnem musiały być siedliskiem, przy ogromnych dochodach księcia jenerała, posiadającego liczne dobra na Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie Galicyi i w Polsce. Pałac z bocznym wielkim pawilonem, ze stajniami i przyległościami, wśród najpiękniejszych ogrodów założony, przedstawiał obraz małego miasta. W parku przyległym rozrzucone były pałacyki osób familii, jakoto: księcia Adama, księcia Wirtemberskiego, i t. d., które z osobnym dworem tam mieszkały: a bardziej opodal, leżały pomieszkania dworskich urzędników, doktorów, koniuszych, metrów, przyjaciół domowych, rezydentów i gości luźnych; każde z nich do angielskiego *cottage* lub małej *villi* włoskiej podobne, otoczone było szpalerami lub też ładnymi ogródkami. Świątynia Sybilli i dom gotycki szczególniej zwracały na siebie uwagę; w nich to księżna jenerałowa z wielkiem staraniem i kosztem zgromadziła wiele polskich pamiątek, z których część większa wraz z piękną biblioteką w roku 1831 stały się łupem wojska rosyjskiego. Najwięcej do tego rabunku przyczynił się książę Adam Wirtemberski, wnuk księcia Czartoryskiego, wówczas jenerał rosyjski. Sama wieś Puławy i przyległa wieś Włostowice złożone były z ładnych, schludnych chatek, cieszyły oko porządkiem i zamożnością mie-

szkańców. Ruch tak licznego dworu, powiększył napływ obywateli z okolicy i przybycie księcia Poniatowskiego z główną kwaterą w dniu 24 czerwca.

Przyjęcie naczelnego wodza i wojska polskiego przez księcia jenerała było równie serdeczne jak świetne. Sama księżna przy pomocy pani ordynatowej Zamoyskiej, Zofii z Czartoryskich, księżny Maryi Wirtemberskiej i dam innych przebywających wówczas na dworze księżnej, a należących tak co do urody jak i wychowania do najznakomitszych tego wieku, starało się naszemu wodzowi i oficerom wojska naszego uprzyjemniać krótki ich pobyt w Puławach. Wszyscy podejmowani byli kosztem księcia jenerała; nawet wojsko przez rozmaite dodatki w żywieniu starano się rozweselić.

Połączenie z jenerałem Zajączkiem.

Jenerał Zajączek po przegranej jedlińskiej zwrócił się był ku Wiśle i dnia 15 czerwca przeprawił się pod Puławami, a dnia 19 czerwca już był połączony z księciem Poniatowskim pod Pniowem. Pod Puławami miał przeto naczelny wódz 12.000 ludzi zebranych. Prócz tych wojsk, stali jenerał Dąbrowski z 7.000 ludzi i Sokolnicki z 4.000 ludzi garnizonu sandomierskiego nad Pilicą.

Naczelny wódz postanowił teraz wszystkie swoje siły skoncentrować na prawym brzegu Wisły. W tym celu zbudowano most na łyżwach na Wiśle, o pół mili poniżej Puław naprzeciwko wsi Jaroszyna i szaniec przedmostowy dla zasłony jego założono. Roboty około mostu i szańców powierzono porucznikowi od saperów Potier, prawdziwemu *troupier* wojska francuskiego, przeniesionego do wojska naszego. Mnie i Prądzyńskiego dodano mu do pomocy.

Po ośmiodniowym pobycie w Puławach, w czasie którego książę Poniatowski podzielił swój czas pomiędzy organizacyę nowo przybyłych batalionów, przeglądy wojska, liczne szczegóły służby, korespondencyę i zabawy towarzyskie w gronie pięknych dam puławskich, wojsko polskie dnia 2 lipca wyruszyło ku Radomiowi i tam połączenie gło-

wnych sił nastąpiło, które do 23,000 ludzi wynosiły *w dniu 4 lipca.*

W czasie pobytu naszego w Puławach, otrzymałem krótki urlop na dni kilka do rodziców. Udałem się więc podwodami do Warszawy, skąd dzień i noc jadąc w domu niespodziewanie stanąłem. Przez rodziców pielęgnowany i opatrzony w pieniądze i bieliznę, po rzewnem pożegnaniu z matką i radach zbawiennych ze strony ojca, równie szybko wracałem na Warszawę do Puław; lecz tam już głównej kwatery nie zastałem. Według wiadomości od wojska, korpus nasz główny wyruszył ku Kielcom; obróciłem więc moją drogę na Iłżę do Kielc, gdzie ostatnie ciągnące nasze kolumny, parki i obłogi zastałem.

Marsz wojska naszego od Radomia do Krakowa podobniejszy był do wygodnego etapowego pochodu, aniżeli do wojennego. Wszędzie mieszkańcy z ochotą nas podejmowali i wszystkiego dostarczali obficie.

Główna kwatera dnia 8 lipca stanęła w Kielcach, po mimo dość trudnego dla rozmaitej broni przechodu przez Święto-Krzyskie i Bodzentyńskie góry.

Odtąd wojsko polskie w trzech kolumnach posuwało się ku Krakowowi. Prawa pod jenerałem Rosińskim szła na Koniecpol; środkowa pod księciem Poniatowskim na Chęciny, lewa pod Rożnieckim na Pińczów. Wojsko austryackie bez potyczki wszędzie ustępowało.

W dniu 11 lipca przyszło pod Żarnowcem do żwawej rozprawy pomiędzy kolumną prawą a korpusem jenerała Mohra, który się cofnął do Książa. Dnia 12 lipca główna kwatera była w Wodzisławiu, dnia 13 lipca w Miechowie, a 14 lipca jenerał Rożniecki stanął naprzeciwko Krakowa.

Arcyksiążę Ferdynand, zdawszy komendę jenerałowi Monelletowi pośpieszył sam do Czech dla objęcia dowództwa tej prowincyi. Jenerał Monellet zajmował Kraków wszystkiemi siłami, które pomimo strat poniesionych w rozmaitych bitwach, wzmocnione odwodowymi oddziałami, jeszcze 24,000

wojska wynosiły. Na trakcie od Lwowa do Krakowa rozciągnięte były kolumny rosyjskie, których czoło zajmowało Tarnów. W tych okolicznościach, zwłaszcza, jeżeli pomoc rosyjska uważaną być miała jako szczera, dłuższy pobyt w Krakowie dla korpusu austryackiego stał się niepodobnym. Dnia 14 lipca po południu, po kilku szczęśliwych natarciach jazdy naszej na Austryaka w dolinie Prądnika, jenerał Mohr, dowodzący tylną strażą austryacką, wysłał parlamentarza z żądaniem zawieszenia broni. Jenerał Rożniecki przystał na rozejm dnia 12 lipca; w czasie tym Austryacy mieli wyjść z Krakowa, zostawiwszy magazyny i lazarety wojsku polskiemu. Dzień 15 lipca przeznaczony był do zajęcia stolicy, lecz dzień ten przez zdradę Austryaków i Rosyan, o mało co się nie zamienił w krwawe spotkanie z ostatnimi. W nocy bowiem z dnia 14 na 15 lipca, Austryacy w zmowie z księciem Golicynem wpuścili do miasta kilka oddziałów piechoty i jazdy rosyjskiej, które bramy i place publiczne obsadzili. Pierwsza kolumna nasza spotkała ich *u bramy Floryańskiej*, broniących nam wchodu. Takiego samego oporu doznał książę Poniatowski; trzeba było piechocie naszej nastawić bagnety, ażeby utorować sobie drogę do miasta i do mostu na Wiśle. Przyszło do ostrych wymówek ze strony naszej i za przybyciem dopiero jenerała Suworowa, komenderującego dywizyą rosyjską spokojność przywróconą została; stąd jednak wynikły później pojedynki pomiędzy oficerami naszymi a rosyjskimi, którzy między sobą zwyczajni tylko pięścią zakończać kłótnie swoje, radzi nie radzi musieli orężem się zastawiać, a najczęściej ofiarą swojej niezręczności padali. Pomiędzy naszymi oficerami Dulski od piechoty, sławny rębacz szukał ciągle z nimi okazyi i niejednego z nich obciął, albo zastrzelił. Wodzowie jednak między sobą w przyjaźni żyli i wiele grzeczności sobie wyświadczali. Wojsko rosyjskie wówczas jeszcze bardzo niezgrabne było: piechota sztywna, opięta, *nastojaszcza:* oficerowie źle wychowani; tylko między

sztabowymi i jenerałami natrafić można było na oświeceńszych. Jazda, a zwłaszcza kozacy, lepszy obraz przedstawiali.

W Krakowie znalazłem jenerała Dąbrowskiego, a w jego korpusie wuja mego, Antoniego Grudzińskiego, na czele oddziału kujawskich strzelców, majora Umińskiego, jenerała Kosińskiego, pułkownika Kęczyckiego na czele uformowanego przez niego pułku i wielu innych z prowincyi Wielkopolskiej obywateli, zaprzyjaźnionych z domem naszym. Wszyscy mnie uprzejmie powitali.

Korpus nasz, tak słaby na początku kampanii, w podwojonej sile gotowy stał się do popierania dalszej wojny około Krakowa; forpoczty nasze na trakcie wiedeńskim postępowały za armią austryacką. Oddziały jazdy naszej, powstańcami z Galicyi, Podola i Wołynia wzmocnione, rozpuszczały swoje zagony aż do Karpat, nad Dniestr i do Bukowiny. W tem położeniu rzeczy odebraliśmy wiadomość o zawieszeniu broni, zawartem pod Znajmem; wszystkie więc kroki nieprzyjacielskie ustać musiały. Wkrótce też rozpoczęło się traktowanie o pokój, który ostatecznie zawarty został w Schönbrunn dnia 14 października 1809 roku. Wiadome są jego warunki.

Pomimo wszelkich starań ze strony galicyjskich obywateli, tylko zachodnia Galicya, a starej Galicyi cyrkuł Zamojski i obwód mały koło Krakowa, z połową dochodów Wieliczki, Księstwu Warszawskiemu się dostały. Nie chciał bowiem cesarz Napoleon przyłączeniem starej Galicyi obrażać sprzymierzeńca, którego dwuznaczne postępowanie pozbawiło nas tym sposobem krwią naszą opłaconej zdobyczy.

Dalsze nadzieje do czasu późniejszego odłożyć musieliśmy. Nastąpiła organizacya nowa całego wojska, które się powiększyło o pięć pułków piechoty i 10 pułków jazdy i kilka kompanii artyleryi, w następującym składzie:

I. Wojsko Księstwa Warszawskiego: piechota 36 batalicnów, 28,367 ludzi; jazda 18 szwadronów, 5,908 koni; artylerya 2,620 ludzi. Ogółem 36,995 ludzi.

II. Wojsko nowej formacyi francusko-galicyjskie: piechota 18 batalionów, 16,583 ludzi; jazda 29 szwadronów, 8,618 koni. Ogółem 25,618 ludzi.

Całe więc wojsko polskie po nowej formacyi wynosiło: 54 batalionów i 47 szwadronów: ogółem 62,089 ludzi z artyleryą i saperami, z tych było 6,265 w Hiszpanii, 3,024 w Gdańsku, 686 w Niemczech. Ogółem 9,975.

W Księstwie pozostało zatem 52,114 ludzi.

Kraków.

Stolica starożytna Polski, nasz Kraków kochany, przedstawiał wówczas szczególny obraz. Radość mieszkańców, widokiem orłów naszych ożywiona, nie znała granic. Oswobodzenie z tak długiej niewoli od roku 1795 do 1809 (lat blisko 14 pod jarzmem niemieckim przepędzonych), uczucia narodowe całego ludu i wszystkich stanów zbudziło; zdawało się, iż wszystkie nasze życzenia spełnić się powinny; i pomimo obecności sprzymierzeńców, których przykry widok radość naszą przytłumił: nikt nie wątpił, aby twórcza ręka wielkiego Napoleona wszystkie przeszkody do przyłączenia reszty oderwanych prowincyj zwyciężyć nie potrafiła. Lecz inaczej chciała Opatrzność! Ten wzgardzony sprzymierzeniec wkrótce miał zwycięzką nogą karki nasze deptać!

Pobyt Austryaków zostawił ślady niezatarte w Krakowie. Ludność miasta bardzo zmniejszona, bo zaledwie 30,000 mieszkańców wtedy liczono; zamek spustoszony, wszystkie pamiątki po królach naszych w zamku wapnem zarzucone. Pokoje królewskie w koszary zamienione, tylko że grobów królów naszych nie tknięto. Zresztą, miasto zawsze piękne i w położeniu przyjemnem położone, tyle jeszcze pamiątek z naszych lepszych czasów przedstawiało, iż znającemu historyę naszą, czas prędko uchodził. Uniwersytet Jagielloński istniał jeszcze, chociaż profesorów i uczniów zbyt mało w nim było. Okolice, jakich żadne miasto polskie nie posiada, tak pięknych, tak powabnych, nęciły każdego. Łobzów, Bielany, Mogiła Krakusa, Mogiła Wandy, kościół Bronisławy, kościół

WEJŚCIE WOJSKA POLSKIEGO DO KRAKOWA W ROKU 1809,

(współczesny obraz M. Stachowicza).

ZAJĘCIE ODWACHU W KRAKOWIE PRZEZ WOJSKO POLSKIE W ROKU 1809,

(wedle obrazu M. Stachowicza).

na Skałce, dolina Ojcowa, Krzeszowice, Tyniec, Zamek Tenczyński, Chrzanów, Pieskowa Skała; kto o was zapomni, ten pewnie nieczułym musiałby się nazwać, wobec tak pięknych obrazów przyrodzenia.

Lecz nie długo miało być pobytu mego w Krakowie: wracałem wprawdzie kilka razy w życiu mojem do tego lubego miasta, lecz nigdy go już nie widziałem w tak świetnej, w tak uroczej chwili. Podpułkownik Bontemps miał polecenie objechania frabryk broni i młynów prochowych tak w zachodniej, jak i wschodniej Galicyi. Jeszcze bowiem wtedy, po zawarciu rozejmu znajmskiego, nikt nie przewidywał, aby wschodnia czyli stara Galicya oddaną być miała napowrót Austryi. Jako posiadającego również niemiecki jak i francuski język, przeznaczono mnie na adjutanta podpułkownikowi Bontemps w tej podróży. Podpułkownik Bontemps, dyrektor artyleryi z wojska francuskiego, z jenerałem Pelletier i podpułkownikiem Mallet przeszedł do wojska Księstwa Warszawskiego w stopniu wyższym z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania tej części służby. Była to inna zupełnie natura jak podpułkownik Jan Mallet; tamten choć z Prowancyi rodem, był charakteru łagodnego, starający się wszystkich sobie ująć podkomendnych, każdemu potakujący, nie narażający się nikomu, pochlebny i uniżony dla starszych, grzeczny dla młodszych, obiecujący złote góry, lecz nikomu nie dotrzymujący słowa, zgoła egoista w całem znaczeniu słowa tego; to tylko miał na celu, aby szczęście swoje zrobić w Polsce i księżniczkę jaką z dobrym posagiem za żonę pojąć; zresztą dość łatwy i przyjemny w pożyciu. Wiadomości swoje inżynierskie bardziej praktyce, jak dobrej teoryi był winien. Kampanie włoskie odbył, użyty był do robót w Brescie, w Peschierze, Mantui, w Juliery i Moguncyi. W roku 1807 dostał się w niewolę rosyjską, skąd uwolniony do nas się przeniósł. Tę miał jednak nad wielu francuskimi przybyszami cnotę, że fundu-

Podpułkownik Mallet.

szami powierzonymi sumiennie zarządał. Później w ciągu tych pamiętników, więcej będzie o nim mowy.

Podpułkownik Bontemps.

Piotr Bontemps przeciwnie, rodem z Paryża, dawny uczeń szkoły politechnicznej w pierwszym jej zawiązku, gdy Monge nią kierował, był nierównie bardziej wykształcony od Malleta, lecz charakteru tak żywego, że popędliwość jego w wojsku w przysłowie weszła. Odwaga jego nie znała granic; ile żywy w pożyciu i w służbie, tyle przytomny i spokojny przy swoich armatach. Nieraz podkomędnych swoich zbytnią porywczością obraził, lecz wkrótce serce jego dobre przemagało i starał się błąd swój poprawić. Na jego słowie i uczynności święcie było można polegać, dlatego też pomimo tej niesłychanej żywości. zachował przyjaciół w wojsku do końca służby swojej. Nieraz i ja przy nim cierpiałem, przecież sobie przyjaźni dochowaliśmy do roku 1831 i chętnie wyznaję, że wiele mu zostałem winien; szczególniej dał mi dowody przychylności swojej w roku 1812, gdy o przyjaciół dość trudno było, w powszechnej katastrofie, która nas wszystkich pochłonęła. Bontemps, jako oficer artyleryi, był pełen zalet i wszystkie gałęzie tej broni znał jak najdokładniej. Jemu winniśmy organizacyę naszych arsenałów, uzbrojenie fortu, prochownie, warsztaty rzemieślnicze, fabryki pocisków i broni, urządzenie szkół artyleryi, race kongrowskie, i t. d., i t. d. I o nim następnie nieraz okolicznie wspomnę.

Podróż naszą obróciliśmy najprzód do Suchedniowa i Samsonowa w okolice Kielc, gdzie istniały już dawniej wielkie fryszerki, stamtąd do Zamościa i w cyrkuł przyległy złoczowski, nareszcie do *Brodów*, miasta na pograniczu Wołynia i w okolice, gdzie były młyny prochowe. Po tej objazdce wróciliśmy do Krakowa na początku sierpnia, gdzie napowrót służbę przy podpułkowniku Mallecie objąłem.

Po krótkim wypoczynku udałem się z Malletem w nową podróż do Warszawy, Modlina, Sierocka, Broku, ku Włodawie, skąd obróciliśmy się do Puław, gdzie Malletowi chciało się

koniecznie przypodobać pięknym puławskim damom. W Broku po odbytym przeglądzie szańcu przedmostowego z kapitanem Żołądkiewiczem, udaliśmy się na kwaterę do miejscowego proboszcza, lecz tam zastaliśmy zaduch tak wielki, że biedny Mallet w czasie obiadu nagle zemdlał i padł bez zmysłów; długo go cuciłem z pomocą proboszcza, który oniemal że mu uszów, ratując, nie oberwał; nareszcie przyszedł do siebie, lecz długo potem narzekał na zbyt gorliwe ratowanie z naszej strony, które potem stało się przedmiotem wielu żartów ze strony księżnej jenerałowej Czartoryskiej i jej towarzystwa. W Puławach przedstawiony byłem księciu Adamowi w jego gabinecie, w czasie ubierania się. Był to już starzec siedmdziesięcioletni, wzrostu średniego, rysów twarzy jeszcze wydatnych i pięknych, lecz już oko bez żywości, zmarszczek wiele na twarzy, chód osłabiony, pamięć przytępiona, jednakże wrodzona grzeczność z uprzejmością nadzwyczajną połączona, miłe na każdym czyniły wrażenie. Któż, widząc tego szanownego starca, mógł zapomnąć o jego dla kraju przysługach i poświęceniu. Jemu to winna Polska urządzenie korpusu kadetów, z których tylu znakomitych obywateli i wojskowych wyszło; udział, który miał w pracach czteroletniego sejmu, protekcya hojna uczonym i artystom; wychowanie wielu młodzieży na jego dworze, obeznanie nas z cywilizacyą zachodnią; wszystkie te ofiary i prace zapewniają księciu Adamowi znamienite miejsce między mężami, którzy się dobrze ojczyźnie zasłużyli. Tego samego dnia, zaproszony do stołu księcia i posadzony naprzeciw niego, odpowiadać musiałem na pytania, które mi on sam i księżna czyniły. Młodość moja zapewne ich interesowała, a nieznajomość tak wielkiego świata i jego zwyczajów bawić musiała. Powróciwszy do Warszawy, odebrałem nominacyę na porucznika drugiej klasy w kompanii rzemieślniczej artyleryi, przy boku podpułkownika Bontempsa dnia 4 listopada 1809 roku i odtąd zajęty byłem służbą w arsenale budowniczym, jak i w biurze dyrektora artyleryi.

Mieszkanie Bontempsa było w pałacu białym na Rymarskiej ulicy, niedaleko arsenału i Tłomackiego. Tam poznałem młodego Kosińskiego, syna malarza, który niedawno wstąpił do korpusu i jako podoficer służbę przy pułkowniku Bontemps pełnił. Był to młodzieniec z gruntu zepsuty, którego przykład mógł być jak najszkodliwszy i mieć wpływ na moją przyszłość, gdyby nie zasady moralności i religii, zaszczepione przez księdza Tisserand i przez rodziców. Im to winienem obronę od złego przykładu i niegodziwych postępków tego bezczelnego człowieka, który w dalszej karyerze nie stał się lepszym, owszem, co się tyczy charakteru i obyczajów do najzepsutszych należał zawsze oficerów wojska naszego — chociaż zdatności niepospolitej nikt nie mógł mu odmówić. W czasie rewolucyi 1830 roku tak nisko upadł w opinii kolegów swoich, że dymisyą wziąść był zmuszony i nieczynny był w czasie kampanii. Ta kara ze strony korpusu oficerów i kolegów, policzona mu została za zasługę przy cesarzu Mikołaju, bo po wojnie 1831 roku wstąpił do służby rosyjskiej w stopniu podpułkownika, a dzisiaj zasiada w komitecie artyleryi państwa w stopniu jenerał-majora.

W końcu roku 1809 połączyłem się z Ignacym Prądzyńskim, który został adjutantem przy dyrektorze inżynierów Mallecie i razem mieszkając, zaczęliśmy poznawać potrzebę dalszego wykształcenia w naszym zawodzie. Zajęci gorliwie naszą służbą, nie mogliśmy na kursa szkoły aplikacyjnej, od kilku miesięcy otwarte, uczęszczać. Trzeba więc było szukać innych sposobów wykształcenia się.

Lekcye prywatne.

Podał nam do tego sposobność pan Livet były korepetytor szkoły politechnicznej paryskiej, który sprowadzony przez rodziców Romana Sołtyka do Polski, pełnił zarazem obowiązki profesora jeometryi wykreślnej i matematyki wyższej w szkole aplikacyjnej. Ułożywszy się z nim, wieczorami chodziliśmy do niego na lekcye prywatne w tychże przedmiotach. Wykład jego był tak piękny, tak jasny, iż wkrótce znaczne postępy uczuliśmy. Wró-

ciwszy od niego, resztę wieczorów i nawet noce przepędzaliśmy na powtarzaniu kursów i rysowaniu rycin jeometryi wykreślnej i fortyfikacyi. Pamiętam, żeśmy się z Prądzyńskim w tej mierze ubiegali i wiele nocy, trzeźwiąc się kawą czarną, przepędzali na pracy. Tak dzieląc nasz czas pomiędzy obowiązek i prywatną pracę wkrótce wyprzedziliśmy kolegów naszych i zaczęliśmy zwracać na siebie uwagę naszych dowódzców.

Służba w arsenale budowniczym nie bardzo mi do myśli przypadła. Starałem się więc o translokacyę do korpusu inżynierów, do którego zawsze czułem w sobie pociąg. Dnia 1 kwietnia 1810 roku odebrałem nominacyę na porucznika 1 klasy. Adjutanta w korpusie inżynierów i podpułkownika Bontempsa pożegnałem. Pod okiem podpułkownika Malleta, który też ze swojej strony postąpił na pułkownika, zacząłem służbę przyjemniejszą pełnić w dyrekcyi inżynierów, wyrabiając rozmaite projekta dyrektora, nie opuszczając jednakże prywatnych lekcyj u Liveta, wspólnie z Prądzyńskim.

Talent pana Liveta w wykładaniu najtrudniejszych przedmiotów był nadzwyczajny. Nic nie wyrówna jasności i jędrności jego wymowy. Najzawilszy przedmiot po jego wykładzie zdawał się jasny jak słońce, dopiero trudności się spostrzegało przy powtarzaniu. Jakaż szkoda, że tak wielki talent dla nas stracony zbyt rychło został. Na nieszczęście Livet, mający dopiero około trzydziestu lat, połączony z ładną i nader przyjemną paryżanką, był namiętnym pijakiem i co dzień był prawie pijany. Musieliśmy chwytać okazyą lekcye, kiedy był trzeźwy i niejedną odebraliśmy po pijanemu. Lecz i wtenczas jeszcze był jasny, chociaż nieraz na krzesełku zasnął. Czekaliśmy spokojnie natenczas przebudzenia i skoro to nastąpiło wracał do przedmiotu i kończył z równą łatwością. *Où en sommes nous restés?* Takie bywało pierwsze jego słowo.

Dnia 14 kwietnia 1812 roku z prawdziwym żalem dowiedziałem się o śmierci biednego Liveta, która nastąpiła

skutkiem nieszczęsnego nałogu. Czy go z Francyi przywiózł, czy u nas się nauczył, nie wiadomo mi dotąd. Ostatnie podobniejsze.

W czasie wolniejszym od pracy, zwłaszcza w dniach świątecznych, rozrywałem się wizytami w Zamku Królewskim u marszałka dworu Brońca, którego pasierbice, panny Grudzińskie: Joanna, Józefa i Antonina, moje ciotecznie rodzone siostry już wtedy zaczynały jaśnieć na horyzoncie warszawskiego towarzystwa.

Podróż króla Saskiego.

Wkrótce po mojej nominacyi na porucznika pułkownik Mallet wysłany został przez księcia Poniatowskiego do Częstochowy, dla powitania króla Saskiego, księcia warszawskiego, odbywającego z królową, królewną Augustą i licznym dworem, podróż w przyłączonych napowrót prowincyach. Dnia 5 maja, o godzinie piątej po południu najjaśniejszy pan przybył pod mury twierdzy i przyjęty został przez władze miejscowe, gwardyę narodową i batalion trzeci pułku piątego piechoty. Działa ustawione na wałach stokrotnem wystrzałem powitały monarchę. Po danej audyencyi władzom, do której pułkownik Mallet wraz zemną należał, najjaśniejszy pan udał się do kościoła, gdzie pomodliwszy się, w asystencyi pułkownika Malleta i jenerała Piotrowskiego wyszedł dla obejrzenia wałów dotąd dziewiczej twierdzy i arsenału, w którym prezentowane były dwie chorągwie, jedna zdobyta na Turkach pod Wiedniem, druga zachowana na pamiątkę po Puławskim. Nazajutrz najjaśniejsi królestwo o godzinie siódmej zrana zwiedzili skarbiec i niektóre osobliwości starożytne; potem udali się do kaplicy Matki Boskiej i tam słuchali wotywy, klęcząc przez cały czas, nareszcie po obejrzeniu biblioteki udali się w dalszą drogę do Krakowa. Najjaśniejszy pan, podobnież królowa bardzo łaskawi byli na pułkownika Malleta, który pobożną swoją jezuicką powierzchownością, dobre na nich uczynił wrażenie i zaufanie wzbudzić potrafił. Król około sześćdziesiąt lat wtedy liczący, był średniego wzrostu, poważny, łagodnej twa-

rzy; nie wiele, lecz przyjemnie mówił, a wysłowienie jego w języku polskim było wolne, lecz wyraźne i bezbłędne. Na tej zacnej twarzy istniała ta cnota, ten rozum wysoki i ta wytrwałość, której później tyle dał dowodów w nieszczęściu. Był to wówczas nestor królów europejskich; sam Napoleon z uszanowaniem tylko zbliżał się do niego. Ile w krótkim czasie dla nas uczynił, każdy z współczesnych przyznać powinien; ile dla Saksonii, jako elektor po śmierci Agusta III. dźwigając finanse i przemysł zrujnowany po długiem panowaniu Bryla, niech wdzięczni powiedzą Sasi. Więcej może uczynił, gdy po rozszarpaniu Saksonii w roku 1815, potrafił kraj ciągłymi pochodami i długimi pobytami wojsk obcych, wojną i kontrybucyami zniszczony i o trzecią część zmniejszony, przez oszczędność swoją przywrócić wkrótce do dawniej kwitnącego stanu.

Król Saski był bardzo nabożny i pod kierunkiem nieodstępnego spowiednika swego sumiennie wypełniał wszystkie obrządki kościoła naszego, a jednak nigdy nie okazał się nietolerantnym względem innych wyznań. Tę sprawiedliwość wobec innych wyznań obywatele Saksonii, jak wiadomo protestanci, odwdzięczali przez uszanowanie bez granic i miłość dla jego osoby.

Osoba królowej nie tyle godnością jak dobrocią podobała się; była to sobie bardzo poczciwa Niemka, lubiąca towarzystwo i bajeczki domowe i nie mająca żadnego wpływu na publiczne sprawy.

Przeciwnie królewna Augusta, infantka polska, jak ją nazywano, wprawdzie powabami nie bardzo jaśniała, była bowiem już nie młoda, dość czerwona i otyła; lecz pełna nauki i rozumu.

Dwór, otaczający najjaśniejsze królestwo, był staroświecki, od spowiednika do szambelana i laufra, wszystko wypudrowane, a kolor jasno-żółty liberyi dworskiej nie wiele przydawał blasku do jego świetności.

Twierdza Częstochowa składała się wówczas z czterech bastyonowych frontów w kwadrat o stu sążniach i z małego półksiężyca przed bramą; wały odziane były murem na dwadzieścia pięć stóp wysokości; rów był głęboki i dość szeroki, lecz naprzeciw skarpa nie murowana. Sklepy klasztorne i niektóre mniejsze kazamaty pod wałami służyły do przechowania żywności i amunicyi. Twierdza, obejmująca klasztor Jasno-Górski, leży na wzgórzu, panującem nad całą okolicą. Wieża klasztorna o cztery mile widzieć się daje. W stronie wschodniej leży stare miasto Częstochowa nad Wartą, o pół mili od fortecy, a w stronie południowej, klasztor Świętej Barbary; naokoło twierdzy są ślady oszańcowanego obozu Puławskiego. Częstochowa.

Częstochowa odbyła trzy oblężenia: za Jana Kazimierza przez Szwedów w roku 1656, za Puławskiego i Konfederacyi Barskiej przez Drewicza i Suworowa w roku 1809, nareszcie przez Austryaków. Roku 1813 po krótkiem oblężeniu poddała się Rosyanom prawie bez wystrzału.

W czasie podróży króla do Krakowa, pułkownik Malle towarzyszący mu, często miał jeszcze sposobność zbliżyć się do jego osoby. Droga szła przez Żarki, majętność Męcińskich, gdzie ciężkie kolasy dworskie o mało co w piaskach nie utonęły; na Pilicę w pięknem położeniu nad rzeką tego nazwiska i Bronowice, zapomocą przeprzęgów, rozstawionych przez obywateli na wszystkich stacyach. Wrażenie, jakie osoba królewska czyniła na wszystkich, było wszędzie jednakowe. Obywatele, i ludność wiejska, żydzi, wszystko się cisnęło dla widzenia i powitania kochanego monarchy; wszędzie pamiątkę synowskiej swojej dobroci zostawiał w sercach poddanych swoich. Dnia 7 maja wieczorem najjaśniejszy pan stanął w Krakowie i tam u bramy Floryańskiej powitany został przez księcia Poniatowskiego, władze Krakowa, znakomitszych obywateli i ludność całą krakowską. Nie mógł król stanąć w zamku przodków swoich, gdyż ten nosił jeszcze zbyt wy-

raźne ślady spustoszenia od rąk nieprzyjaciół naszych, lecz zajął mieszkanie w Rynku, w pałacu pod Baranami.

Król bawił w Krakowie od 7 do 12 maja. W tych pięciu dniach zajęty był ciągle przyjmowaniem władz i osób różnego stanu, zwiedzaniem kościołów, zamku, grobów królów polskich, Uniwersytetu Jagiellońskiego, obserwatoryum i innych pomników starożytnej stolicy. Dnia 9 maja król odwiedził Wieliczkę. Dnia 10 był na balu w Sukiennicach gmachu, z którego pyszni się ze słusznością Kraków, a 12 maja w dalszą drogę wyruszył na Rachów, Puławy, Mniszew, gdzie przez dzień 16 maja zabawił, a dnia 17 maja nastąpił wjazd króla do Warszawy.

W czasie pobytu króla w Krakowie znajdowałem się na balu w Sukiennicach, na rozmaitych obchodach uroczystych i towarzyszyłem dworowi w czasie podróży do Wieliczki. Po jego wyjeździe ruszyliśmy z pułkownikiem Malletem w drogę do Warszawy, którą obróciliśmy na Sandomierz, Puławy i Mniszew.

Pobytu króla saskiego w Warszawie opisywać nie będę, szczegóły o tem znaleźć można w korespondencyi warszawskiej.

Wysłanie do Zamościa.

W miesiącu lipcu 1810 roku wysłany zostałem do twierdzy Zamościa, ażeby w praktycznych robotach fortyfikacyjnych odebrać naukę. Zastałem tam komendanta inżynierów, kapitana Jodkę, któremu dodany był z wojska austryackiego do naszej służby przeniesiony kapitan inżynierów Męciszewski. Kompanią saperów dowodził kapitan Buławecki; kapitan Jodko był dawniej oficerem w korpusie inżynierów litewskich. Pod względem naukowym nie bardzo wykształcony, lecz zacny i poczciwy człowiek pełniący sumiennie swoją służbę. Nierównie więcej nauki i wykształcenia miał kapitan Męciszewski, który skończywszy akademię inżynierską w Wiedniu, później fortyfikacye w Sandomierzu zakładał i w szturmie do tego miasta kolumny austryackie prowadził. Poznawszy jego naukowe usposobienie,

starałem się zbliżyć do niego i jemu najbardziej winienem pierwsze praktyczne wykształcenie moje. Dowódcą twierdzy był jenerał brygady Hauke, człowiek światły i dobry żołnierz, któremu inżynierska nauka wcale nie była obcą; wsławił się później obroną Zamościa w roku 1813; za rządów Konstantego został w roku 1820 komendantem korpusu inżynierów, artyleryi i kwatermistrzowstwa, później ministrem wojny, a w roku 1830 pierwszy zginął z rąk podchorążych, czyniąc powinność swoją; żona jego, córka lekarza Lafontaine'a, była osobą bardzo przyjemną i dobrze wychowaną, posiadała dobrze muzykę. Na kobietę dość dziwny lecz piękny talent miała gry na skrzypcach. Znajomość moja muzyki i zażyłość dawna jenerała Hauke z rodzicami memi, dały mi wstęp do jej domu i niejedną przyjemną chwilę temu stosunkowi winienem. Garnizonem trzynastego pułku piechoty dowodził pułkownik Schneyder, stary oficer, legionista; pod nim był major Zakrzewski, również z legionów pochodzący, oficer pełen charakteru i odwagi; innych sztabs-oficerów nie pamiętam. Z kapitanów odznaczali się Łukasiewicz, później tak nieszczęśliwa ofiara polityczna wielkiego księcia i Machnicki, dawny adwokat lwowski, również skompromitowany w towarzystwach tajnych, męczennik wielkiego księcia. Pułk trzynasty piechoty z rozmaitych pierwiastków złożony, a szczególniej z jeńców i dezerterów austryackich, różnił się ubiorem od całej piechoty, miał bowiem mundury białe z granatowymi wyłogami z austryackich przerobione.

Roboty około umocnienia twierdzy Zamościa już zastałem rozpoczęte; używano do nich żołnierzy i chłopów okolicznych.

Roboty te wszystkie razem wzięte do 100,000 złp. kosztować musiały.

Mnie dostało się dzieło przed lwowską bramą, które w ciągu ruku 1810 do stanu obronnego doprowadziłem. Na początku zimy roku 1810 na 1811 powróciłem do Warszawy i prace moje w biurze inżynierskim dyrekcyi na nowo rozpo-

czałem. Połączywszy się z Prądzyńskim, mieszkaliśmy na Danielewiczowskiej ulicy na kwaterze u pana Hattowa, starozakonnego; biuro inżynierskie było na Lesznie. Czas nasz prawie tym samym trybem został rozdzielony, co i przeszłej zimy; tylko żeśmy prywatnych lekcyj u Liveta nie brali; ale w domu, szczególnie wieczorami, prywatnie pracowali.

Szkoła artyleryjska.

Nauki, dawane w szkole artyleryjskiej księstwa Warszawskiego, nie były tak obszerne, jak później za mego dyrektorstwa nauk; ograniczały się na kursie jeometryi wykreślnej z odpowiedniemi rycinami, rachunku różniczkowym i całkowitym bardzo krótko, do tego cokolwiek mechaniki; rysunkach architektury i na kursie fortyfikacyi polowej i stałej z odpowiednimi rysunkami, lecz to wszystko bez najmniejszego zastosowania nie odpowiadało celowi, lecz też czas był zanadto krótki; rok bowiem tylko dozwolony na całkowity kurs. Profesorami byli pp. Livet, któremu Koriot dodany za adjutanta, kapitan inżynieryi Ronget i Vogel do architektury.

Szkoła kadetów.

Księstwo Warszawskie miało prócz tego dwie szkoły kadetów, jedną w Chełmie, a drugą w Warszawie; w obydwóch kształcili się młodzi ludzie, których wybierano zdatniejszych na oficerów do wojska. Warszawską szkołą dowodził kapitan i dyrektor Gutkowski,

Gutkowski dyrektor.

człowiek z niewielką zdatnością i dla wielu śmieszności tak w powierzchowności, jak i w obejściu się, zupełnie niezdolny dowodzić trzystu młodymi, swawolnymi ludźmi. Do rzędu ostatnich należał także mój brat młodszy Adam, który, gdy po moim odjeździe nic nie korzystał w Wrocławiu, umieszczony został w roku 1810 w korpusie kadetów. Nie wiele i tu się nauczył, pomimo zdatności swojej, a że był bardzo psotnym i niesfornym, więcej w kozie jak w szkole przesiedział. Ale też jakich mizernych posiadała ta szkoła profesorów! Najzdatniejszym był Konkowski, profesor matematyki, lecz i ten na podrzędny stopień zasługiwał.

W zimie roku 1810 na 1811 matka z siostrą starszą Albercią dla kupienie wyprawy przybyła do Warszawy; bawiła parę tygodni i w towarzystwa uczęszczała, szczególniej w Zamku u pani Brońcowej, co dało mi powód częstego bawienia na wieczorkach.

W czasie tym jeszcze nieśmiały byłem w towarzystwie; czułem moją niezręczność w porównaniu z inną młodzieżą; nic jeszcze we mnie dowcipu nie budziło, grzeczność świata nudziła mnie i jeszcze obojętniejszym czyniła na każdą zabawę, — zgoła byłem dzikim i odludkiem wśród wesołości świata, ponieważ żadnego udziału w niej brać nie mogłem, bo nawet nie tańczyłem. Piękne moje kuzynki, panny Grudzińskie, pomimo pracy, jaką sobie ze mną zadawały, pomimo prześladowań i dowcipnych przemawiań, nie potrafiły mnie ożywić; byłem i zostałem długo jeszcze ponurym odludkiem.

Pierwszy pojedynek.

Tej samej zimy miałem pierwsze honorowe spotkanie z porucznikiem od inżynieryi Tegerem, sążnistym Niemcem, z którym pozwoliłem sobie w biurze nieprzyjemnych żartów. Biliśmy się na pałasze w ogrodzie naszym. Po złożeniu się kilkakrotnem zraniłem go lekko w rękę, sam odebrawszy płaskie uderzenie w udo. Lecz co też za nierówne siły? Dość dla mnie słabego Dawida, że się potężnego Goliata nie zląkłem i obronnie z walki wyszedłem.

W tym czasie książę Stanisław Jabłonowski, rozwiedziony z żoną, Walewską z domu, zaczął się starać o rękę siostry mojej ciotecznej, Józi Grudzińskiej. On był w wieku podeszłym, znany z zazdrości i przykrego pożycia z pierwszą żoną, do tego nie piękny i choć słodziutki w towarzystwie kobiet, nie bardzo od nich lubiany. Przeciwnie, Józia Grudzińska należała do najpiękniejszych osób swego wieku. Łączyła wszystko to w sobie, co urok sprawia, co zachwyca i uszanowanie wzbudza między ludźmi. Wzrostu wysokiego, kibici wysmukłej

Józia Grudzińska.

i pełnej gracyi, twarzy do Madonny Rafaela podobnej, miała rysy greckie najdelikatniejsze, usta Afrodyty, płeć nadzwyczajnie białą i przezroczystą, oczy modre, oprawne w hebanowych więzach; brew wązką, foremnie wyrysowaną jak u wschodnich kobiet, włosy nareszcie ciemne; cały układ lekki, choć ruchy nie bez powagi; jednem słowem Józia Grudzińska przedstawiała wzór najnadobniejszy kobiecej urody. Lecz te wszystkie powierzchowne ozdoby nie ujmowały nic przymiotom duszy; zupełna harmonia panowała między niemi: słodycz uśmiechu, który u aniołów nie mógł być piękniejszy, wiernie malował, co się w sercu działo; a wyraz spojrzenia czystego jak kryształ, czystość duszy oddawał. Była to, jeśli śmiem powiedzieć, lilia od boku archanioła Gabryela! Wychowanie Józi Grudzińskiej było także bardzo staranne. Prócz ojczystego języka, posiadała francuski i angielski doskonale i ładny talent miała do rysunku. Umysł jej wykształcony nad wiek (wtedy liczyła lat ośmnaście) dowcipna i ujmująca rozmowa, obok organu dźwięcznego, naznaczały jej miejsce znamienite w gronie dam ówczesnych.

Nie zasługiwał na taką nagrodę książę Stanisław Jabłonowski. Jakoż pomimo adoracyi, którą otaczał Józię Grudzińską, żadnego wrażenia nie zrobił na jej sercu, a nalegania nierozważnej matki, której się chciało dla córki książęcej mitry, wstręt jej powiększyły. Józia stanowczo odmówiła księciu swej ręki, a w kilka lat później roku 1816, idąc za natchnieniem własnego serca, zaślubioną została panu Wacławowi Gutakowskiemu.

Joanna Grudzińska.

Joanna, starsza z Grudzińskich, później pod nazwiskiem księżnej Łowickiej powszechnie znana, innemi zupełnie zaletami zajaśniała i może bardziej w towarzystwie się podobała. Liczyła w tym czasie dopiero lat dziewiętnaście. Miała wzrost niski, kibić szczupłą i nadobną — oczy jasnego, niebieskiego koloru, zasłonięte pięknemi złotemi rzęsami, pełne wyrazu i dowcipu; przy mrużeniu pewnymi czasami kazała zgadywać myśl,

która się w nich tak żywo zwyczajnie malowała. Twarz okrągła, nos ładnie zarysowany, cokolwiek zadarty; usta może za wielkie, lecz w przyjemny uśmiech łatwo się układały. Włosy ciemno-złotego koloru, gęstością swoją i jedwabną barwą wiele uroku tej twarzy dodawały, zwłaszcza gdy w gęstych puklach spadały na lica. Płeć mniej biała i przezroczysta. Lecz nic nie wyrównało lekkości jej chodu, gracyi w poruszeniach i w całym układzie w towarzyskich kołach. Wtedy była prawdziwie nieporównaną. Do tego uroku wiele się przyczyniał talent, jakim się nad wszystkie damy warszawskie odznaczała, talent do tańca. W gronach towarzyskich prócz tańców narodowych, mianowicie mazurka, tańczyła francuskie, jako to: gawota, kontredansa, szal i inne tańce tak doskonale, że Dupart i inni sławni baletnicy tego wieku z chciwością chwytali każde jej poruszenie, ażeby sobie które z nich przywłaszczyć. Lecz i w tem miarę trzymała i potrzeba było próśb bardzo poważnych, lub też natrętnych, ażeby ją skłonić do tańców, tak zwanych charakterystycznych, w większych kołach warszawskich. Wszakże nietylko w tańcu zajmowała wszystkich; rozmowa jej dowcipna, igrająca z przedmiotami, pełna niespodziewanych zwrotów, czasem mistyczna, czasem żartobliwa i znowu poważna, najozięblejszych poruszała i serca najtwardsze kruszyła.

Taki to urok miała Joanna, czyli Żaneta Grudzińska, później księżna Łowicka.

Któż się po tym wiernym opisie zadziwi, jeżeli wielki książę rosyjski mógł dla niej poświęcić koronę ogromnego państwa!

Antosia Grudzińska.

Trzecia i najmłodsza z trzech sióstr, nazywała się Antonina; w tym czasie miała dopiero lat siedemnaście, była zupełnie jednego ze mną wieku.

Po odmalowaniu dwóch starszych sióstr, zda się, iż żaden rys, żaden wyraz juz nie pozostał dla opisania młodszej, i że wszystko w dwóch pierwszych obrazach wyczerpa-

łem. Tak jednak nie jest. Antosia Grudzińska, od dnia 28 września 1821 roku jenerałowa Chłapowska, matka licznej familii, szczęśliwa żona i przez wszystkich, którzy ją otaczają, dla rzadkich przymiotów serca uwielbiana, nie należała wprawdzie na ten czas do rzędu tych osób, których ukazanie się w świecie towarzyskim podziwienie odrazu wzbudza i epokę stanowi, lecz bardziej stworzona do podobania się w małem dobranem kółku. Skromnością i nadobnością razem, a osobliwie szczerością i czystością wyobrażeń swoich przyciągała i przywiązywała na zawsze. Porównanie, choć bardzo zwyczajne, do niej się stosowało; róży i fiołka przymioty w sobie łączyła. Urodą nie tyle wprawdzie błyszczała, co siostra Józia, wszakże zawsze jeszcze do rzędu ładnych kobiet należeć mogła. Oko ciemno-modre nakształt zwierciadła malowało każde wewnętrzne uczucie; w nim zaraz wyczytałeś, że dusza czysta Antosi nawet złego u nikogo nie przypuszcza, dla niej nie było złego; nie pojmowała go, i dziś go jeszcze po tylu doświadczeniach nie pojmuje. Widok upadku moralnego jeszcze ją bardziej martwi aniżeli nędza fizyczna; ubolewa nad nimi, nie ma spoczynku, dopokąd utajonego nieprzyjaciela duszy nie odkryje i balsamu na ranę nie naleje. Nie będę zalet zewnętrznych dalej opisywał, gdyż wyraz dobroci i czystości, rozpostarty na całą osobę, wszystko u niej stanowi i o piękności każe zapominać.

Los tych trzech osób, które równie z siostrami kochałem, tak ściśle był z moim złączony, iż nieraz przyjdzie mi o nich wspomnieć.

Zima 1810 na 1811 rok swobodnie przeszła na pożytecznej pracy i miłych zabawach; towarzystwo Prądzyńskiego, którego sposób myślenia był wzniosły, który ciągle pracował nad wykształceniem swoim, dobrym był przykładem dla mnie młodszego. Przyjaźń, którąśmy ze sobą w tym roku zawarli, trwała da roku 1831 — często nas okoliczności rozdzielały, lecz zawsze, czy w szczęściu, czy w nieszczęściu, wracaliśmy do siebie z równą uciechą.

Tej zimy pułkownik Mallet wyjechał do Paryża, dla zdania sprawy komitetowi inżynierskiemu o stanie fortec w Polsce. Horyzont polityczny na północy chmurą się zakrywał. Czas było myśleć o lepszem zabezpieczeniu linii Wisły, ażeby nas wojna nie zastała tak źle przygotowanych, jak w roku 1809. Pomimo tego, żeśmy adjutantami jego byli, żadnego z nas jednak nie zabrał ze sobą, lecz pana Józefa Kwileckiego, adjutanta jenerała Fiszera, człowieka dowcipnie złośliwego i wygadanego w języku francuskim, obrał za towarzysza. Pułkownik Mallet z rozmaitymi nowymi projektami powrócił, osobliwie co się tyczy twierdzy Modlina, którą cesarz Napoleon na wielki warowny obóz zamienić zamyślał. Nie przepomniał i siebie przy tej okazyi, i krzyż oficerski legii honorowej dla siebie przywiózł.

Rok 1811.

Z początkiem roku 1811 rozpoczęły się roboty wielkie około wzmocnienia twierdzy Modlina. Przeznaczony do nich zostałem i znaczny wydział powierzony miałem.

Roboty około Modlina.

Zatwierdzony przez cesarza projekt nadawał wielką rozległość dziełom.

Komendantem placu był pułkownik Hilary Krasiński. Roboty rozległe wymagały wielkiego rozwinięcia sił, i ogromnych nakładów — kilka milionów złotych polskich i dywizyę wojska polskiego przeznaczono do ich wykonania. Prócz tego zgromadzono kilkuset murarzy i cieśli do budowy murów, palisad, ścian drzewnych, blockhauzów i t. d., tak, iż z początku wychodziło około 6,000 żołnierzy do sypania wałów, którzy płatni byli na wydział od sążnia sześciennego ziemi, do pewnej wysokości wywiezionego; murarzy 300 i tyleż cieśli. Później drugą dywizyę piechoty sprowadzono, a z całego kraju w roku następnym ściągnięto chłopów.

Na moim wydziale pracowało w tym roku około 1,000 żołnierzy, 100 cieśli i tyleż murarzy. Dozorowanie tylu ludzi, wyznaczanie wydziałów, odbiór wymiaru, budowa wjazdów,

rozmiary i równoważenie, wytykanie i stawianie profilów, ścisły dozór nad murarzami i cieślami; nareszcie wygotowanie raportów dziennych, sprawdzanie rachunków i asygnowanie wypłat do płatnika, zajmowały wszystkie godziny dnia długiego, tak, że ledwie na kilka godzin, do spoczynku wolnych, rachować było można. Tak wielkie wytężenie przechodziło pewnie siły ośmnastoletniego młodzieńca, lecz uczucie honoru, które nie dozwalało nikomu w wykonaniu obowiązku dać się wyprzedzić, współzawodnictwo kolegów przemagało wszelkie inne względy, nawet i zdrowia. Stołowaliśmy się wszyscy razem u pani kapitanowej Cieciszewskiej i tam wesołe chwile w towarzystwie młodych kolegów się przepędzało. W dniu świątecznym wyjeżdżaliśmy za urlopem do Warszawy, gdzie zabawiwszy do późnego wieczora, po teatrze wracaliśmy w pogodnych nocach konno do pracy, która się rozpoczynała o trzeciej godzinie zrana z wystrzałym armatnim.

Zaraz na początku robót, przy stawianiu profilów na froncie 5—6, miałem przypadkiem palec wskazujący u prawej ręki zupełnie zgnieciony obuchem od siekiery, przez nierozwagę sapera Jelonka. Po pierwszem opatrzeniu zdawało się, iż palec postradam, lecz po kilku dniach za staraniem dobrego chirurga sprostowany został i w kilkanaście dni wygoił się zupełnie.

W tym roku gorąco było dokuczające; wojsko w barakach stojące nad Wisłą, zaczęło chorować; epidemia gorączki zaczęła się szerzyć i do obozów i do fortecy się dostała.

Choroba moja.

Po wyjeździe jenerała Haxo, który z Gdańska przybył do nas na inspekcyę w miesiącu sierpniu, zacząłem uczuwać pewne osłabienie w nogach i zawroty w głowie, które przypisywałem zbyt wielkim upałom; lecz wkrótce siły zaczęły mnie opuszczać i znalazłem się tak słaby, iż doktora Wernery przywołać musiano. Zdeklarowała się wkrótce nerwowa febra, najniebezpieczniejszego rodzaju. Pomimo wszelkich starań zacnego lekarza, już o mnie zaczęto powątpiewać. Jednak młoda natura przemogła. Po przesileniu

się choroby nastąpiło osłabienie nadzwyczajne i wielka drażliwość nerwów. Doktór Wernery podał radę, aby mnie zawieźć do Warszawy, gdzie większych starań doznawać mogłem, aniżeli w twierdzy, pozbawionej wszelkich wygód, i sam mnie tam zawiózł; w drodze parę razy z wycieńczenia sił zemdlałem. Nareszcie dojechawszy, złożył mnie u Rosengarta na Tłomackiem i staraniom doktora Czekierskiego powierzył.

Wkrótce po mojem przybyciu odwiedził mnie kapitan inżynieryi Minter, który widząc mój stan i niewygodę mego pomieszkania w oberży, oświadczył życzenie, abym się przeniósł do jego pomieszkania na Długiej ulicy, w domu Pijarów, gdzie wszelkich starań obiecywał dołożyć, aby mnie przyprowadzić do zdrowia. Przyjąłem z wdzięcznością zaproszenie i znalazłem w jego domu tę pieczołowitość, jakiej tylko w domu rodzicielskim spodziewać się można. Umieścił mnie we własnym pokoju i tam pod jego okiem i opieką godnej żony w parę miesięcy przyszedłem do sił dawnych. Przysługa tak wielka dziś jeszcze najżywszem uczuciem wdzięczności przejmuje mnie dla pamięci tego czcigodnego męża, który później w roku 1830 tak niegodziwego doznał prześladowania od oficerów korpusu inżynierów.

Upadek majątkowy ojca w roku 1811.

Do tak niebezpiecznej choroby przyczyniła się także wiadomość, którą odebrałem z domu o upadku majątkowym zupełnym mego ojca. Od dawna już stan interesów jego został zachwiany. Administracya dóbr Chodzieża i Strzelec, którą po ojcu matki mojej Zygmuncie Grudzińskim, wspólnie z bratem matki, pułkownikiem Antonim Grudzińskim prowadził na rzecz wierzycieli, jeszcze go głębiej pogrążyła w odpowiedzialność. Nie był już w stanie zadość uczynić i wierzycielom chodziskim i swoim własnym. Pan Grudziński najpierwszy przekonał się o stanie wątpliwym interesów ojca, a będąc sam wplątany w odpowiedzialność administracyi Chodzieża i obawiając się stąd szkodliwych skutków dla własnego majątku i dla sum posagowych matki, na Wojnowie zapewnionych, zaczął nalegać na

ojca, aby koniec położył takiemu stanowi rzeczy i wierzycielom upadek interesów swoich otwarcie odkrył. Nie chciał ojciec tego uczynić, mając zawsze nadzieję, choć bardzo niepewną wybrnąć z tej toni, sprzedażą części dóbr lub inną jaką spekulacyą. Lecz gdy wszystkie podobne nadzieje omyliły, gdy pan Grudziński zasłaniając siebie samego, zaczął głosić publicznie o bliskim upadku, znaglony został mój ojciec do publicznego oświadczenia, iż obowiązkom, przyjętym względem wierzycieli swoich, nie był więcej w możności zadość uczynić.

Dotąd w prowincyi naszej ojciec mój policzony był do rzędu obywateli najlepiej prowadzących swoje interesa i kredyt jego stał niezachwiany. Dlatego też wrażenie, jakie uczyniła deklaracya ojca mego, było najsmutniejsze. Tyle osób z ufnością powierzyły mu swoje fundusze, a dziś na straty mieliżby być wystawieni?

Rozpacz ojca mego była bez granic. Nieszczęście swoje nie własnej winie lub zaślepieniu, albo też nieprzyjaznemu zbiegowi okoliczności, lecz nieszczęsnemu względem niego postępowaniu mego wuja, pana Grudzińskiego, chciał przypisywać. Stąd nastąpiły gorzkie względem niego wyrzuty i nareszcie zupełne poróżnienie. Pojedynkowi między nimi zapobiegł jenerał Kosiński, przyjaciel wspólny. Lecz odtąd nienawiść trwała w sercu ojca naszego, która się dopiero w kilka lat później w zupełną zamieniła obojętność. Ile biedna matka na tym majątkowym upadku i poróżnieniu z bratem cierpieć musiała, nie trudno sobie wystawić.

Ustało od tego czasu wsparcie miesięczne, jakie odbierałem od rodziców, a które w czasie, kiedy nas żołd, dla ogromnych ciężarów kraju, nieregularnie dochodził, nieodzowne było do mego utrzymania. Starał się ojciec zaradzić temu, przekazując mi mały procent od 2,000 talarów, które mu był winien z dawnych czasów marszałek pałacu Broniec, ojczym panien Grudzińskich. Lecz kasa jego była zawsze dziurawa jak naczynie Danaidów i stąd więc nie wiele było

pomocy; do tego doznawając uprzejmego przyjęcia w ich domu, czy podobna było natrętnie nalegać o pomoc pieniężną?

Odkrycie stanu majątkowego ojca tem było przykrzejsze dla niego, iż w tym właśnie czasie los mojej starszej siostry Alberci miał być stanowczo rozstrzygnięty. Ujęty jej przymiotami i starannem wychowaniem, pan Melchior Szołdrski, jeden z najmajętniejszych obywateli Wielkopolski, dziedzic dóbr Popowa i Gołembina, starał się pozyskać jej serce, i na kilka tygodni przed Świętym Janem roku 1811, otrzymał zezwolenie rodzicielskie. Człowiek innego sposobu myślenia byłby może po tem odkryciu zerwał wszelkie z familią naszą stosunki, lecz Melchior Szołdrski zawiele posiadał honoru i uczciwości, aby słowo ze swojej strony sumiennie wyrzeczone, miał zależnem uczynić od zmiany w stanie majątkowym rodziców. Nietylko że wytrwał w swoim zamiarze, lecz przyśpieszenia ślubu żądał, a nawet pomoc swoją ofiarował dla ułożenia interesów ojca naszego.

Ślub siostry Alberty w 1811 roku.

Postępowanie tak godne i bezinteresowne zjednać musiało jemu szacunek nieograniczony i przywiązanie z naszej strony. Jakoż i później dał częste dowody swojej przychylności dla mego ojca i dla nas wszystkich i dziś jeszcze matka nasza w wieku podeszłym znajduje u swojej córki przytułek i utrzymanie, szanowana zawsze jak pierwej przez czcigodnego zięcia.

W czasie mojej choroby król Saski przybył do Warszawy; dnia 13 października nastąpił z jego strony przegląd twierdzy Modlina, któremu dla trwającej jeszcze słabości nie mogłem być przytomny.

Na początku tej zimy otrzymałem urlop do rodziców których zastałem bardzo zmartwionych. Brat naszej matki starania dokładał, ażeby uratować i zabezpieczyć dla niej sumy posagowe, przeciwnie ojciec od niej żądał, ażeby sumami swemi pisała się na rzecz wierzycieli. Stąd ciągłe w domu niepokoje i nieporozumienia. Korzystałem także

z bliskości Popowa, dla odwiedzenia siostry Alberci, teraz zamężnej Szołdrskiej. Przyjęty zostałem jak najuprzejmiej przez szwagra i jak teraz, tak i później doznawałem jego przyjaźni i ciągłe dowody tejże odbieram.

Roboty około Modlina nie ustawały w zimie; rozkazano mi powrócić do swego wydziału i pomimo tęgich mrozów, zatrudnić musiałem kilkuset robotników na sypanie korony utrackiej. Lecz wkrótce spostrzeżono niestosowność podobnej pracy, daremność kosztów i pozwolono mi wrócić do Warszawy, gdzie jak zwyczajnie dzieliłem mój czas pomiędzy pracę w biurze inżynierskim i prywatne zatrudnienie. Mieszkałem na Miodowej ulicy w domu Pijarów, w samym narożniku; w tym samym domu mieszkał pułkownik Mallet, kapitan Sałacki, szef naszej rachunkowości, kapitan Minter i kilku innych oficerów. Tam także znajdowało się biuro inżynieryi.

Rok 1812.

Dnia 12 stycznia 1812 roku dostałem nominacyę na adjutanta majora w batalionie saperów, a 20 marca na kapitana drugiej klasy w korpusie inżynierskim. Miałem wtedy lat spełna ośmnaście (które skończyłem dopiero dnia 9 października 1811 roku).

Roboty modlińskie rozpoczęły się z ukazaniem wiosny z większem nierównie natężeniem i rozwinięciem większem środków, aniżeli w roku przeszłym. Dostał mi się ten sam wydział, lecz dodano mi do pomocy porucznika saperów Zakrzewskiego i konduktora Hermana do robót murarskich i ciesielskich. Wojna 1812 roku zdawała się pewna; dlatego też z wielkim pośpiechem, skoro tylko mrozy puściły, wzięto się do robót. Dwie dywizye piechoty przeznaczone na ten cel zostały. Pierwsza z czterech pułków pod komendą jenerała Dąbrowskiego rozłożyła swoje obozy na prawem skrzydle twierdzy, od korony modlińskiej ku Pomiechowu i porządne wystawiła szałasy. Druga z trzech pułków pod komendą jenerała Kamienieckiego stanęła obozem około Nowego Dworu. Obydwie dywizye dostarczały dziennie około 6,000 ludzi.

Prócz tej znacznej ilości zebrano z departamentów najbliższych około 10,000 wieśniaków, którzy pod wyznaczonymi z każdego powiatu komisarzami zalegli w obozach, również od utrackiej do modlińskiej korony pod lasem. Zaopatrzenie tak wielkiej ilości ludzi w chleb, krupy, okrasę i wódkę wymagało wielkich starań i zachodów; niemniej środki około ich zdrowia, a nareszcie regularna zapłata dziennych robotników, których do 12,000 wraz z żołnierzami, prócz cieśli i murarzy codzień wychodziło. Strzał działowy równo ze wschodem słońca oznaczał początek roboty, podobnież i koniec tychże z zachodem słońca. Żołnierze, na czele mając swoich oficerów i podoficerów, chłopi zaś prowadzeni przez swoich komisarzy i dozorców, a wszyscy w żywność na południową godzinę opatrzeni, przychodzili na wydział. Nie małą to pracą być musiało 4,000 takich robotników rozdzielić i niemi kierować; tyle ich bowiem na mój wydział przychodziło, lecz już i wprawę miałem większą i dobrą pomoc w poruczniku Zakrzewskim i konduktorze Hermanie.

Wiosna tym sposobem w zatrudnieniu ciągłem mi przeszła, nabrałem też więcej doświadczenia, i siły fizyczne po przebytej tak ciężkiej chorobie lepiej wydołały.

II.

Rok 1812.

Tymczasem oznaki wojny z Rosyą coraz groźniejsze się stawały. Z obydwóch stron ogromne przygotowania do niej robiono. Wojska francuskie pod marszałkiem Davoustem, Neyem, Oudinotem, St. Cyr i t. d., wojsko włoskie pod wice-królem Eugenim Beauharnais; posiłki bawarskie pod jenerałem Wrede; wirtemberskie, badeńskie, saskie, warszawskie i t. d. zaczynały się ściągać ku Wiśle. Już i gwardye cesarskie wyruszyły z Paryża. Pierwsze pułkowe wojska, które się u nas pokazały, były to westfalskie pod komendą króla Hieronima, który sam swoją osobą stanął w Warszawie dnia 2 maja.

Pułki nasze w Hiszpanii służące, a mianowicie: 4, 7, 9 piechoty Księstwa Warszawskiego; 1, 2, 3, 4 piechoty nadwiślańskie i 7 pułk ułanów zaczęły w miesiącu marcu przechodzić Pirenejskie góry.

Wojsko Księstwa Warszawskiego otrzymało w tym czasie organizacyę na stopie wojennej. Z wojska tego uformowano piąty korpus wielkiej armii z trzech dywizyj piechoty i jednej dywizyi jazdy złożony, pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.

Korpus ten składał się z 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000 ludzi; z 20 szwadronów po 200 koni, ra-

zem 4,000 ludzi; artyleryi 54 dział i artyleryi pułkowej 20 dział, razem 800 ludzi; dwie kompanie saperów 300 ludzi; park artyleryi i pół kompanii rzemieslników, 300 ludzi. Ogółem 29,400 ludzi.

Ilość tę wojska prędzej za nisko, jak za wysoko podałem. Bataliony śmiało do 850 ludzi przypuścić można. Dodać do tej liczby należy służących, ciurów, markietanów, posługaczy i t. d., wreszcie całą służbę zdrowia, służbę żywności, żandarmów, które są tu także opuszczone. Śmiało więc możnaby stan ten podwyższyć do 32,000 ludzi.

Pułkownik Chambray, w swojem dziele *Histoire de l'expedition de Russie* podaje liczbę ludzi z korpusu piątego, którzy przeszli dnia 24 czerwca 1812 roku rosyjską granicę, jak następuje: oficerów i żołnierzy piechoty, artyleryi pieszej, inżynierów 32,159; jazdy z artyleryą konną 4,152; koni wszystkich 9,438.

Prócz piątego korpusu cesarz Napoleon rozkazał rozdzielić po rozmaitych korpusach wielkiej armii: 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000; 11 pułków Księstwa Warszawskiego t. j. 44 szwadrony po 250 koni, razem 11,000 jazdy; 2 pułki w służbie francuskiej 1,500 jazdy; gwardyę konną Krasińskiego, 800 jazdy. Ogółem 37.300. Między temi przeszło 10,000 koni, 2 baterye piesze po 6 dział, 3 baterye konne po 6 dział, razem 30 dział.

Zebrawszy te wszystkie pułki i oddziały okazuje się, że Księstwo Warszawskie mające 4,000,000 mieszkańców, wystąpiło na wojnę w 1812 roku z 48,000 piechoty, 17,200 jazdy i 104 dział z 1,500 artylerzystami. Ogółem 66,700 ludzi, prócz pociągów, parków, wojska inżynierskiego i ludzi luźnych. Wysilenie, prawie tak wielkie jak w roku 1831; z tą tylko różnicą, iż połowa tego wojska stała na żołdzie francuskim.

Nie policzyłem do tego ogółu pułku 13. piechoty pod komendą pułkownika Żymirskiego, stanowiącego załogę twier-

dzy Zamościa o trzech mocnych batalionach, t. j. 2,400 ludzi, które sumę powyższą do 69,000 ludzi doprowadzają.

Nie liczymy tu zakładów innych w księstwie, ani garnizonów Modlina, Torunia, Sierocka i Warszawy, które z artyleryą i saperami przynależącymi kilka tysięcy ludzi wynosiły.

W końcu maja wicekról włoski przybył do Modlina dla przeglądu dzieł i drugiej dywizyi piechoty, rozłożonych w obozach pod twierdzą. Piękna powierzchowność Eugeniusza Beauharnais'ego i pamięć tylu dzieł wojennych, dokonanych w tak młodym wieku (bitwy pod Saeiles, pod Raab, pod Wagram) wszystkich nas najżywiej zajęły. Pochwały, jakich nie szczędził wojsku, obietnice lepszej przyszłości i pochlebne słowa dla naszych dowódzców, zniewoliły mu wszystkie serca. Komendę nad inżynierami korpusu piątego powierzył cesarz pułkownikowi inżynieryi Bron'owi, który niedługo odwołany został, a w jego miejsce, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pułkownika Phillipon posłano. Pułkownik Mallet miał pozostać w Modlinie dla prowadzenia dalszego robót; mnie i Prądzyńskiego, pomimo naszej niechęci, przy sobie zatrzymał. Lecz nie długo przy tem zostało. Na żądanie księcia Poniatowskiego pułkownik Phillipon otrzymał inne przeznaczenie. Pułkownika Malleta przeznaczono na komendanta inżynieryi piątego korpusu, zaraz nam też oświadczył życzenie, abyśmy mu towarzyszyli. Z największym więc pośpiechem urządziłem sobie ekwipaż kampaniczny, który się składał z dwóch koni tylko, podemną i pod służącym. Nie dochodząc do Grodna, dokupiłem od kapitana sztabu jeneralnego Gołuchowskiego trzeciego konia pod rzeczy. Lecz ani konie, ani służący do nich, dobrze nie byli wybrani na tak wielki pochód.

Wkrótce też wojsko w marsz wyruszyło na Sierock, Pułtusk, Łomżę do Augustowa. Przeznaczono mnie do wybierania i wytykania obozów dla wojska, które w masie ma-
[illegible] w pozycyach wybranych, jakby przed nieprzyjacie-
[illegible]y spostrzegać się dało złe rozporządzenie
się odbywały jedną tylko drogą, w jednej

nieprzejrzanej kolumnie i w pochodzie swoim z obłogami i parkami blisko dwie mile zajmowało. Znać było, że i wodzowie niedoświadczeni w marszach i młode wojsko niewprawne do pochodów. Gdy czoło kolumny już ognisko zakładało, ogon jeszcze wlókł się po drodze przez trzy godziny, nim doszedł na stanowisko. Zaczęło już wtedy ludzi w szeregach ubywać, a do Niemna dochodząc, bataliony nasze bardzo się przerzedziły. Winę tak złego rozporządzenia kładziono na karb szefa sztabu Fischera; dywizyonerzy, między nimi najbardziej jenerał Dąbrowski, nieprzyuczony do tak bliskiej nad sobą opieki i lubiący na swoją rękę prowadzić wojnę, cierpiał na widok zdyszanego zawsze i źle żywionego żołnierza, którego był ojcem, i mocno na taki stan rzeczy się uskarżał. Czemuż nie było maszerować dywizyami w odstępach dwugodzinnych za sobą, albo też trzema równoległemi drogami, zostawiając największą dla głównego parku artyleryi i dla pociągów. Jeszcze dziś nie pojmuję takiego opacznego, przeciw wszelkim prawidłom, sposobu maszerowania, i wielką część winy na księcia Poniatowskiego składam, który na czele kolumny swobodnie sobie jechał, nie dbając o to, co się w tyle dzieje. Przez całą kampanię maszerowano następującym sposobem. Zrana pobudka, po zakąsce chleba i wódki wojsko pod bronią stawało; dywizya pierwsza wyruszała ze stanowiska swojego i rozciągnęła się na drodze, następnie wszystkie inne. To trwało dwie godziny przynajmniej. Czoło kolumn szło pośpiesznie, ostatnie plutony zadyszane doganiały; wśród marszu miały spoczynek, w czasie którego żołnierze jak niegdyś Gedeona, rzucali się do najbliższej wody dla ugaszenia pragnienia; potem dalej maszerowano aż do noclegu, gdzie rozkładano się w pozycyi jak przed nieprzyjacielem, z placówkami, wedetami i t. d. Dopieroż budowanie szałasów, rozpalanie ognisk, posyłki za wodą, żywnością, drzewem, tak że nawet w miesiącu czerwcu, gdzie dzień tak długi, żołnierz zgłodniały ledwie o godzinie 10 wieczorem doczekał się strawy; a najczęściej zmęczony rzucał się na ziemię i nie

przebudzał się jak zrana, ażeby resztą z kociołków posilić się do następnego pochodu. Stąd choroby w wojsku, włóczęgi, oderwańce (maruderzy), a później ucisk biednych mieszkańców, a końcem końców ogromny ubytek w szeregach. Według Chambray'a piąty korpus księcia Poniatowskiego wynosił dnia 30 czerwca w czasie przechodu granicy, piechoty 32,159, jazdy 4,152, razem 36,311 ludzi; koni, jazdy i pociągu 9,438. Dnia 26 główna kwatera była pod Rajgrodem i tam odczytano nam odezwę Napoleona do wojska z dnia 22 czerwca.

Pod Augustowem jenerał Allix, szef sztabu króla westfalskiego, pod którego komendę cesarz oddał nasz korpus, piąty westfalski, ósmy z dwóch dywizyj piechoty, saski siódmy pod komendą jenerała Regnier i jenerała Latour-Maubourga i czwarty rezerwowy jazdy *(które to wszystkie cztery korpusy według Chambray'a wynosiły 63,047 piechoty i 16,382 jazdy, ogółem około 80,000 ludzi)*, otrzymał polecenie od króla, ażeby na czele przedniej straży naszej starał się ubiedz przeprawę pod Grodnem. Przeznaczeniem tej masy, stanowiącej prawe skrzydło wielkiej armii, było przeszkodzić połączeniu się jenerała Bagrationa (którego główna kwatera była w Wołkowysku) z główną armią rosyjską, pod dow. Barclay'a de Tolly stojącą w okolicach Wilna, i pobicia jej, gdyby się sposobność do tego podała.

Odległość od Augustowa do Grodna wynosi siedm do ośmiu mil. Droga prowadzi lasami i bagnami około Lipska. Oddział, przeznaczony do tej wyprawy, składał się z pułku pierwszego piechoty o 3 batalionach, pod komendą pułkownika Małachowskiego, z dwoma armatami pułkowemi, dwóch kompanii saperów z narzędziami do stawiania mostów; pułku pierwszego strzelców konnych Przebendowskiego i pułku dwunastego ułanów Ryszczewskiego, czyli 2,700 piechoty i 1,500 jazdy. O nieprzyjacielu dokładnej nie było wiadomości, ponieważ brzegi Niemna jak najpilniej strzeżone były. To tylko pamiętam, iż nieświadomi rzeczy główną kwaterę jenerała

Bagrationa w Białymstoku przypuszczali, kiedy ta znajdowała się w Wołkowysku. O kozakach Płatowa wiedziano, że się pod Grodnem znajdują. Oddział ten był oczywiście za mały, ażeby przeprawę pod Grodnem w przytomnośct Płatowa, stanowiącego przednią straż drugiej armii rosyjskiej, uskutecznić.

Wyruszyliśmy dnia 28 czerwca z Augustowa i tegoż dnia około Lipska stanęliśmy obozem. Dnia 29 czerwca około godziny 5 wieczorem odkryliśmy brzegi Niemna i wieże Grodna. Pułk pierwszy strzelców konnych szedł brzegiem Niemna, dwunasty pułk ułanów zwrócił się na trakt od Nowego Dworu, piechota o jedną milę była jeszcze za nami. Piękna to była okazya dla Płatowa zniesienia nas zupełnie: miał bowiem 7,000 koni pod swoją komendą. Lecz rozkazy jego inaczej brzmieć musiały, zachował bowiem tylko kilkaset kozaków przed Grodnem, którzy się z ułanami Ryszczewskiego żwawo ucierali, a uczyniwszy przygotowania do spalenia mostu, nad wieczorem, przed nadciągnięciem naszej piechoty, ogień pod nim podłożyli. Sam Płatow cofnął się ku głównemu korpusowi (dnia 29 czerwca i tego dnia obozował pod Miechowszczyzną o 41 wiorst od Grodna). Nasza piechota w nocy przybyła, sapery most naprawili, a wojsko nasze dnia 30 czerwca weszło zrana do Grodna. Tu pierwsze strzały armatnie ze strony rosyjskiej przeciwko nam się odezwały. Siły nasze główne tegoż samego dnia zaczęły pod Grodno ściągać, mianowicie: korpus Latour-Maubourga, do którego pierwszy pułk strzelców konnych Przebendowskiego w tym czasie przeszedł, nasz korpus piąty i ósmy westfalski (korpus siódmy Regniera szedł na Białystok).

Grodno 30 czerwca.

W tym czasie, gdy prawe skrzydło wielkiej armii przechodziło Niemen, Napoleon już się znajdował dnia 28 czerwca w Wilnie. Wielka armia pod Aleksotą i Poniemieniem, w nocy z dnia 23 na 24 czerwca rzuciwszy trzy mosty na Niemnie, bez żadnego oporu ze strony rosyjskiej już tej samej nocy przeprawiać się zaczęła. Tu zgromadzone były: pierwszy korpus Dawusta, drugi Oudi-

nota, trzeci korpus Neya, jazda pod dowództwem Murata i gwardya cesarska w sile: 182,850 piechoty, 49,227 jazdy i 79,447 koni.

Ta masa ogromna wojska, w dniu 24 czerwca zgromadzona w bliskości Niemna, przechodziła przez mosty pod Aleksotą.

Dalej dwa korpusy pod komendą wicekróla włoskiego w sile: 65,658 piechoty, 4,274 jazdy, 13,756 koni, przeszły Niemen powyżej pod Pielonami dnia 30 czerwca.

Nareszcie marszałek Macdonald z korpusem, złożonym z pruskiego posiłkowego wojska i polskiej dywizyi piechoty, w ilości: 30.023 piechoty, 2,474 jazdy i 6,285 koni dnia 24 czerwca przeszedł Niemen pod Iłżą.

Na ostatniem prawem skrzydle książę Schwarzenberg z posiłkowym korpusem austryackim w ilości 26,830 piechoty, 7,318 jazdy i 13,126 koni przeszedł granicę (rzekę Bug) pod Drohiczynem dnia 1 lipca.

Spóźnienie przeprawy prawego skrzydła pod komendą króla westfalskiego, w dni sześć po przeprawie wielkiej armii pod Aleksotą, która 24 czerwca zaczęła przechodzić; nie miało nic innego na celu, jak tylko ubezpieczenie i oszukanie jenerała Bagrationa, który z korpusem 40,000 stał około Wołkowyska na południe, o 70 wiorst czyli 10 mil od Grodna, gdy tymczasem korpus marszałka Davousta szybkimi pochodami poruszał się ku Mińskowi, dla odcięcia go od pierwszej armii rosyjskiej pod Barclay'em de Tolly.

Manewr ten, który dla Bagrationa fatalne mógł przynieść skutki, ze strony króla westfalskiego tak niedbale i z taką nieznajomością wojny poparty został, iż błędom tu popełnionym, większą część dalszych niepomyślności przypisać można.

Król westfalski, mając 80,000 ludzi pod ręką, nie powinien był zatrzymywać się dłużej jak czas potrzebny do prze-
ıa, to jest jeden dzień 30 czerwca, w Grodnie.
ruszyć dnia 1 lipca, mając o pół marszu

przed sobą korpus piąty księcia Poniatowskiego, jazdę Latour-Maubourga, czyli 32.159 piechoty i 12.146 jazdy w jednej kolumnie i stanąć w Nieświeżu w odległości 188 wiorst, czyli 27 mil, dnia 7 lipca.

Tymczasem, nie wiedzieć dla jakich powodów, korpus Latour-Maubourga dopiero dnia 4 lipca wyruszył z okolic Grodna ku Nowogródkowi, a korpus księcia Poniatowskiego 5 lipca. Czoło kolumny ostatniego korpusu stanęło pod Nieświeżem 13 lipca, potrzebowało zatem dni ośm, ażeby 27 mil przebiedz.

Ta to niesłychana gnuśność w prowadzeniu operacyi tak ważnej uratowała Bagrationa. Dnia 28 czerwca wyruszał z Wołkowyska, i maszerując na Zelwę dnia 1 lipca miał główną kwaterę w Słonimie, 2 lipca w Dworcu, 3 lipca w Nowogródku o 115 wiorst, czyli 16 mil, cztery pospieszne marsze od Grodna; a dnia 4 lipca cały swój korpus miał zebrany w Mikołajewie, z tamtej strony Niemna. Przednia straż jego pod Płatowem szła na Miłkowszczyznę dnia 29 czerwca, Jezolnę dnia 30 czerwca, Lidę, gdzie stanął 1 lipca, w Iwie 3 lipca.

W tem miejscu Płatow dowiedział się o marszu marszałka Davousta, którego przednie straże dnia 3 lipca w Wiszniewie stanęły, a sam z 40.000 korpusem dnia 4 lipca już się tam znajdował. Bagration w skutku tych wiadomości zwrócił się z Mikołajewa do Korelicza, dnia 6 lipca zajął stanowisko pod Mirem.

Tego samego dnia piechota piątego korpusu obozowała pod Skidłem o 5 mil od Grodna, na drodze do Nowogródka i do Miru, lecz jeszcze o 18 mil od nieprzyjaciela.

Tu mi się nastręczają słowa Napoleona: *la guerre c'est un calcul d'heures!* prawidło to wodzowie nasi w tym czasie zupełnie w niepamięć puścili. Każdy, kto tylko zechce kartę Litwy wziąść do ręki i obrachować odległości, przekona się, iż nic łatwiejszego nie było, jak stanąć z czołem naszych kolumn dnia 6 lipca pod Mirem w odległości 23 mil, siedm

średnich marszów od Grodna; tyle też dni było od 30 czerwca do 6 lipca. Jenerał Bagration dnia 6 lipca byłby już przymuszony stawić nam pole; byłoby zapewnie 7 lipca do decydującej bitwy przyszło, do której z naszej strony 5. i 8. korpus i 4. jazdy, czyli 48,000 piechoty i 12.000 jazdy użytych być mogło przeciwko jenerałowi Bagrationowi, którego cała siła składała się wówczas z 59.700 ludzi. Między tymi było 11.500 kozaków, którzy w dzień bitwy tylko do dywersyów użyte być mogą, lecz nigdy w szyku wojennym walczyć nie przyuczeni. Usługa armat nie jest policzona. Albo Bagration przyjmował bitwę przeciwko naszym 60.000, mając na prawem skrzydle swoim w odległości 10 mil, w Wołożynie, marszałka Davousta w 40.000 ludzi, której skutek (pochlebiając sobie) nie zdawał się być dla nas wątpliwym, albo cofał się dalej w głąb ku Nieświeżowi i Słuckowi, oskrzydlany zawsze przez Dawousta. Lecz do prowadzenia tak ważnej operacyi innego wodza Napoleon powinien był przeznaczyć; nie należało się Hieronimowi, niedoświadczonemu i gnuśnemu, powierzać tak wielkiej masy, lecz Davoustowi, który tyle, mianowicie pod Auerstadt dał dowodów swojej energii i samodzielności. Sam książę Poniatowski zamało miał doświadczenia w kierowaniu korpusu kilkodziesiąttysięcznego; wojsko nasze po większej części składało się z pułków młodych, nie umiejących maszerować, które w ogniu nigdy nie postały; pomiędzy pułkownikami jazdy wielu takich było, którzy odrazu do tego stopnia doszli, i tę tylko zasługę mieli, że majątkami swoimi pułki formowali; do tego przydać należy, że nasze dywizye do wielkich manewrów nie były wprawne, i rzadko nawet ściągane bywały w tym celu. I tak pułki jazdy nowej formacyi: 7, 11, 12, 15 i 16, znajdujące się z nami, żadnej próby swojej waleczności jeszcze nie złożyły; podobnież w piechocie: 14, 15, 16 i 17, nigdy nieprzyjaciela nie widzały. Korpus westfalski, chociaż na pozór był piękny, lecz duchem niemieckim zarażony, niechętnie służył i nie dawał wielkiej rękojmi za sobą. Jakoż w pierwszej zaraz bitwie

pod Możajskiem czyli pod Borodyną, w dwóch godzinach ognia stopił się jak śnieg wiosenny.

Inny skład i porządek był w wojsku rosyjskiem. Sam książę Bagration z Gruzyi rodem, wódz naczelny, wychowany w szkole Suwarowa, w kampaniach włoskich składał dowody swojej zdolności i waleczności: należał on do najznakomitszych jenerałów tego czasu i z Lannem, Neyem, Davoustem mógł iść w porównanie. Posiadał do tego miłość i zaufanie swego wojska. Wojsko to, tak często spotwarzane, w karności, w wytrwałości, w znoszeniu znojów wojennych, przewyższało francuskie nawet, a nasze bardzo w tyle zostawiało za sobą. Co się tyczy inteligencyi, zapewne żołnierz rosyjski, prosta machina wykonywująca, o tej nic nie wie. lecz zato fanatyzm religijny i duma narodowa są to dwa bodźce, których wódz nie naprożno używa dla zapalenia umysłów. Żołnierz rosyjski nigdy nie bywał głuchy na te dwa głosy, i w tem wszystkich innych przewyższa, iż w szczęściu i w nieszczęściu zawsze równy i nie da się łatwo zdemoralizować.

Lecz wróćmy do naszego pobytu w Grodnie. Miasto to, nad brzegiem Niemna ładnie położone, do miast drugiego rzędu w Litwie należy. Ludność jego dawniej większa, nie przechodziła teraz 7.000. — Pamiętne jest Grodno śmiercią Stefana Batorego w roku 1586 i sejmami, które się tu odbywać zwykły co trzeci z porządku na alternatę prowincyi litewskiej. August III pałacem sejmowym, Stanisław August wielu budowlami i osadą różnych rzemieślników dla pożytku krain to miasto ozdobił. Staraniom Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego, wiele to miasto winne: on to zabudował część murowaną, zwane Horodnicą, on także fabryki jedwabne pozakładał, których ruiny jeszcze widzieć można. W Grodnie 1793 roku, drugi podział Polski został na królu i sejmie wymuszony. Tu nakoniec dwa lata później 1795 roku ostatni król polski z abdykacyą swoją przerwanie bytu politycznego narodu swego podpisał.

Dziś, w roku 1812, odmienna postać rzeczy! Dziś potęga niesłychana w Europie, około 460.000 wojska, z tych 80,000 jazdy, pod pierwszym wodzem nowszych czasów przechodzi Niemen. Wojska rosyjskie wszędzie ścigane ustępują, w Warszawie sejm konfederacyjny oznajmia światu, że Polska przywrócona; dawni nasi nieprzyjaciele w naszych szeregach pomagają naszej sprawie; zdaje się jakoby żadna potęga oprzeć się nam nie potrafiła. A jednak już wtedy byli ludzie, co dalej przewidując, naszej wyprawie losy Karola XII przepowiadali. Ci, znając położenie kraju naszego i jego zasoby, znając klimat rosyjski i wojenne usposobienie przeciwnika, nie dobrze wróżyli. Lecz zapał, który nas ogarniał, nie miał wtedy granic, hasłem naszem było krzyżackie »Bóg tego chce«; na naszych proporcach miała się odrazu rozbić potęga rosyjska! Lecz Bóg tak nie chciał i wiele jeszcze cierpień narodowi naszemu przeznaczył. Pierwsze spotkanie pod Mirem, następne pod Romanowem, wnet urojeniom naszym koniec położyło. Bawiliśmy w Grodnie do dnia 4 lipca, podejmowani jak najgościnniej przez mieszkańców. Pamiętam, że rozdano nam wina najwytworniejsze, z piwnicy gubernatora rosyjskiego na rozkaz naczelnego wodza zabrane. Były tam wina cypryjskie, greckie i likwory wysp. Znajdowałem się także na wystawnym obiedzie, gdzie miejsce miałem wyznaczone obok siostry podpułkownika Suchodolskiego.

Dnia 5-go lipca wyruszyliśmy z Grodna, a 6-go lipca stanęliśmy obozem w Snidle, pięć mil za Grodnem. Odległość z Grodna do Szczuczyna wynosi 56 wiorst, z Szczuczyna do Nowogródka na Bielicę 59 wiorst. Przybyliśmy do Nowogródka 9 lipca. Przednia straż pod komendą jenerała Rożnieckiego w wilię 8 lipca tamże obozowała, a dnia 9 lipca spotkała się z nieprzyjacielską tylną strażą pod Płatowem za Mirem.

Tu przyszło do dwóch potyczek, których opis przez naświadka, lubo zbyt pochlebnie dla nas wystawiony,

»Dnia 7 lipca wieczorem, dywizya jazdy, pod dowództwem jenerała dywizyi Rożnieckiego, przeszła wpław Niemen pod Bielicą, i stanęła dnia 8 w Nowogródku, skąd udać się miała spiesznie do Nieświeża. Dnia 9 lipca jeden szwadron pułku trzeciego ułanów, spotkawszy mocny posterunek kozaków przed Piaseczną, uderzył na niego i wpędził do miasta Mira; uniesiony zapałem, przeszedłszy miasto nacierał za przedmieściami na tenże sam posterunek, mocno powiększony. Pułkownik Radzimiński wyruszył z resztą pułku dla posiłkowania swego pierwszego szwadronu; gdy wychodził z przedmieścia, pięć pułków kozackich natarło na niego, których liczba powiększała się w miarę odporu, jaki im dawano; naówczas otoczony od przewyższającej siły, przymuszonym był przerzynać się dla złączenia się z dwoma szwadronami pułku 16 i jednym pułku 15 ułanów, które mu w posiłek przybywały; potykano się z zaciętością, nieprzyjaciel doznał daleko większej straty niż 29 brygaga, składająca się z 3., 15. i 16 pułku ułanów, której pomimo wszelkiej usilności nie mógł w nieład wprowadzić.

»Brygada 28. składająca się z 2., 7. i 11. pułku ułanów, przybyła do Jarczy, gdzie się z 29. złączyła, tam przebyliśmy noc całą naprzeciw nieprzyjaciela i chmary kozaków. Dnia 10 lipca cała dywizya ruszyła do Mira, gdzie wypocząwszy, w południe w dalszą udała się drogę do Nieświeża. Straż przednia spotkała nieprzyjaciela w Sienikowie (mila jedna od Miru) i odparła go żywo w lasy, które odłączają Sienikowo od wsi Horodnicy. Pułk 7. ułanów z 28. brygady przeszedł las, reszta dywizyi została z tej strony onego; rozpoznany nieprzyjaciel był nadto w sile, żeby nań odważono się natrzeć. Siła jego składała się z korpusów kozackich Płatowa i Iłowajskiego, połączonych z dywizyami dragonów i huzarów. Nieprzyjaciel, wiedząc dokładnie o sile dywizyi przez wziętych w niewolę dniem wprzódy, rozumiał że ją zniszczy zupełnie wśród lasów i bagnisk; ze wszech stron zaczął posuwać się na nas i sypać ogień karta-

Jenerał jazdy Płatow.
Jenerał-major Iłowajski.

rzowy na najbliższe nasze szwadrony; w mgnieniu oka cała płaszczyzna Sienikowa zajęta była lekką jazdą. Siódmy pułk ułanów, który zajmował tamten brzeg lasu, zmuszony był przebijać się przez nieprzyjaciela, dla złączenia się z dywizyą; wnet przybyły huzary i dragony [1]), a wtedy silna i krwawa rozpoczęła się walka. Pułki 3. i 16. ułanów najmniej po razy czterdzieści natarły na nieprzyjaciela, i okryły się chwałą, Pułki 7. i 15. ułanów czynnie przyczyniły się do boju, szczególnie zaś 15. Pułki 2. i 11. były w odwodzie, zasłaniając lewe nasze skrzydło. Nieprzyjaciel, zaufany w przewyższającej swej sile, nie umiał korzystać z pozycyi naszej; gdyż już była godzina 9 wieczór, kiedy odwód nieprzyjacielski przybył na nasze lewe skrzydło i otoczył aż do ostatniego naszego plutonu w tyle pozostałego, kilka tysięcy kozaków wpadło nawet w odstęp pomiędzy pułki 7. i 11. Lecz cała 29. brygada oraz 7. pułk 28. brygady, nacierając na nieprzyjaciela, cofnęły się w porządku ku Mirowi. Brygada 19. jazdy 5. korpusu, pod dowództwem jenerała brygady Tyszkiewicza, przybyła właśnie na ten czas do Mira i wysłała zaraz naprzód dwa szwadrony. Kilka wystrzałów działowych z bateryi, postępującej za brygadą jenerała Tyszkiewicza, wstrzymały zapał nieprzyjaciela, który zmuszony do odwrotu, ścigany był aż za las, w bliskości tego miasta znajdujący się.«

»Dywizya została na placu boju do świtu, ale nieprzyjaciel zostawił nas spokojnych; sześciogodzinna walka, jedna z najżywszych, jaka być może w nierównie mniejszej liczbie dała poznać nieprzyjacielowi, iż ma do czynienia z żołnierzem, dowodzonym przez wielkiego Napoleona. Pułk dragonów kijowskich i pułk huzarów achtyrskich poniosły wielką stratę. Generał-lejtnant Pahlen, pułkownicy Andreinow i Iłowajski, legli na placu; pobojowisko zasłane było trupami kozaków, kałmuków, baszkirów i tatarów. Nie straciliśmy żadnego ofi-

[1]) Huzarzy achtyrskie, dragony charkowskie, czernichowskie, kijowskie i nowo-rosyjskie.

cera wyższego stopnia, wszystko to, co się potykało, utrzymało honor wojska naszego; było kilku flankierów od ułanów, którzy ścigając nieprzyjaciela, przedarli się aż do korpusu piechoty Płatowa. Wszystkie nasze pułki mają wielką liczbę krzyżów oficerów nieprzyjacielskich, wiele ubiorów śmiesznych i broni, szczególniej zdobytych na pułkach azyatyckich, które są najgorszymi z żołnierzy nieprzyjacielskich, słowem 3.000 naszej jazdy wytrzymało sześciogodzinną walkę przeciw 8.000 kozaków, 3.000 jazdy regularnej, dwom pułkom strzeleckim i trzydziestu działom polowym.«

»Dnia 14 lipca pierwszy pułk jazdy (Przebendowskiego) ścigał uchodzącego nieprzyjaciela; we wsi Czarnoluby spędził posterunek kozacki z znaczną jego stratą, i posunął się z zapałem aż na wysokość Romanowa, na drodze od Nieświeża do Słucka; zastał tam cały obóz nieprzyjacielski, z którego kilka pułków kozackich i liniowych wyruszywszy, otoczyły go zewsząd, lecz przebił się walecznie przez nieprzyjaciela, położywszy wielu trupem na placu, lubo z niemałą stratą swoich i okrył się chwałą. Major Montrezor ranny, pojmany został w niewolę, wraz z kilku innymi oficerami. Strata cała pułku tego wynosić ma do 240 ludzi, tak w zabitych, rannych, obłąkanych, jak w niewolę wziętych.«

Opowiadanie naocznego świadka dość dobre wyobrażenie daje o tych trzech wypadkach. W pierwszej potyczce pułk 3. ułanów najwięcej ucierpiał; sam pułkownik Radzimiński został ranny. Pułk stracił do 200 ludzi, zabitych, rannych i wziętych w niewolę. Nieszczęśliwym tym wypadkiem nauczony komendant dywizyi, jenerał dragonów Rożniecki, powinien był z większą ostrożnością rozporządzenia swoje porobić, znając zwłaszcza nieprzyjacielską siłę. Nietylko, że tego nie uczynił, lecz niektóre swoje pułki w jednej lini uszykował, myśląc przezto omamić nieprzyjaciela, natomiast bardziej się sam osłabił i łatwiej przewrócony został. W tem jednak nie jego wina, iż ani artyleryi konnej, ani piechoty nie miał sobie przydanej. Naczelny wódz, król Hieronim, powinien był

zupełnię inaczej swoją straż przednią urządzić, ażeby nieprzyjacielską straż tylną zawsze mieć na oku, i rugować ją z każdego stanowiska. Należało z kompanij woltyżerskich całego korpusu 5. i z 30 kompanij uformować dywizyą: 4.500 piechoty lekkiej, przydać jeszcze pułk jeden starej wyborowej piechoty, 2.400 ludzi, i jedną kompanię saperów, trzy baterye artyleryi konnej i ośmnaście dział. Taki korpus, pod rozsądnym i przedsiębiorczym dowódzcą, lecz nie takim, jakim był na nieszczęście jenerał Rożniecki, nie byłby wystawiony na podobne straty i pewnie w jego przytomności jenerał Bagration albo spieszniej uchodzić, albo też może i bitwę przyjąćby musiał. W bitwie pod Mirem pułki nasze młode nie wiele obrotności, a komendanci ich jeszcze mniej dowiedli doświadczenia wojennego. Strata całej dywizyi 500 przeszło ludzi wyniosła.

Bitwa pod Mirem jeszcze nie nauczyła jenerała Latour-Maubourga, jak należy jazdę w przytomności nieprzyjaciela prowadzić. Pod Romanowem błędy dwa pierwsze powtórzone zostały. Pułk pierwszy strzelców konnych, o dwie mile przed korpusem wysłany na rozpoznanie bez żadnego wsparcia, ujrzał się nagle napadniętym przez nieprzyjacielską jazdę; musiał się przez nią przebijać, i pędzony był półtora mili drogi bez wypoczynku; kto miał dobrego konia, ten uszedł śmierci. Pułk ten, tak piękny, liczący przeszło 700 koni, stracił połowę ludzi i nie był już czynny w całej kampanii. Formował się na nowo w Smoleńsku, i w czasie odwrotu wielkiej armii, wszedł znowu na linię bojową w liczbie 500 koni.

Dodać tu jednak należy, lecz tą razą na pochwałę jazdy naszej pod Mirem, iż nieprzyjacielska jazda składała się z 14 pułków kozackich Płatowa, 7.000 koni; 1.000 kozaków z Bagrationa korpusu, 3 pułków regularnych, achtyrskiego huzarów o ośmiu szwadronach, kijowskiego i nowo-rosyjskiego dragonów o czterech szwadronach, i 2 batalionów piechoty; do tego 6 dział kozackich i 16 dział artyleryi konnej — w ogóle 10.000 jazdy, 1.400 piechoty i 22 dział.

Rzecz zastanowienia godna, iż nasza 4.000 dywizya, bez armat i piechoty, o dwie mile od korpusu swego, z taką chmarą jazdy potykając się, ciągle oskrzydlona, i mając ciężką przeprawę przez groblę i trzy mosty, nareszcie przez miasto Mir, nie uległa zupełnemu zniszczeniu! Moralnie bardzo ucierpiała.

Korpus piąty zatrzymał się w Nowogródku przez noc z 9. na 10. lipca. Dywizye nasze stanęły obozem przed miastem na traktach, prowadzących do Miru, zakryte strumykiem Radziwiłówką; 16. dywizya na prawem skrzydle oparta o drogę do Miru, mając wieś Klebankę przed frontem, 17. dywizya w środku, 18. dywizya na lewem skrzydle. Przeciwny brzeg Radziwiłówki okrywał las tak, iż widok przed frontem obozu zupełnie był zakryty. Główna kwatera w Nowogródku; 4. pułk strzelców konnych na lewem skrzydle pozycyi; reszta jazdy na trakcie ku Mirowi.

Nowogródek, jak świadczy Święcki, stołeczne miasto województwa, z zamkiem niegdyś na wzgórzu leżącym po lewej stronie drogi do Miru, na początku XIII wieku przy napadzie Tatarów spalone, wkrótce przez Litwę opanowane zostało. Mendog, książę litewski, w roku 1252 tu był koronowanym, mówią dziejopisarze; odprawił się tu też trybunał główny wielkiego księstwa litewskiego: gmach, niegdyś kolegium jezuickiego, kościół farny, wiele innych kościołów, klasztorów i cerkiew zdobiły to miasto. Roku 1314 Kszyżacy to miasto spalili; roku 1390 tegoż samego losu od nich doznało.

Dnia 10 lipca, 5 korpus maszerował dalej ku Mirowi i nocował w Koreluży, 22 wiorst od Nowogródka. Dnia 11 lipca stanęliśmy w Mirze, 23 wiorst, gdzie ślady potyczki, dnia 9. lipca stoczonej, dość były widoczne.

Dywizye nasze obozowały przed Mirem na traktach do Nieświeża i do Mińska prowadzących. Dywizya 16. w jednej linii na prawem skrzydle, 17. i 18. w dwóch liniach ku Mińskowi na lewem, mając zamek w tyle, a wieś Zamir na prawem skrzydle. Jazda ze 16. dywizyą.

Z dziennika mego wypada, że korpus przez dzień 12. lipca nieczynnie stał obozem pod Mirem. Zamek, którego szczątki jeszcze trwały, budowany był przez księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, Sierotką zwanego.

Dnia 13. wyszliśmy z Miru i stanęli tegoż dnia obozem pod Nieświeżem, o 28 wiorst czyli mil 4 od Miru.

Dnia 8. tegoż miesiąca Bagration z całym swoim korpusem obozował pod Nieświeżem i zatrzymał się tam dni trzy; dnia 11. dopiero wyruszył ku Ciemkowicom; miał więc dwa dni marszu przed nami.

Nieśwież jest punktem pod względem operacyj wojennych bardzo ważnym, leży bowiem w zbiegu wielu dróg; tu schodzą się trakty od Grodna, Słonimia, Pińska, Mińska i Słucka. Miasto leży w równinie. Od strony Słucka i od północy przypiera do jeziora, przez które prowadzą dwie długie groble z mostami, jedna do przedmieścia na trakcie Słuckim, druga do zamku obronnego Radziwiłłowskiego. Od strony Klecka i Miru miasto opasane wałem i rowem, w którym widoczne są ślady kurtyn i czterech małych bastyonów. Miasto jest dość obszerne i ma kilka kościołów: Bernardynów, Benedyktynek i Dominikanów i dawny Pojezuicki, przez księcia Radziwiłła Sierotkę wraz z zamkiem obronnym wystawiony.

W Nieświeżu król westfalski odebrał widoczne dowody nieukontentowania od potężnego brata z powodu opieszałego prowadzenia armii. Po gorżkich wyrzutach, które księcia Poniatowskiego także dotknęły, odebrał mu dowództwo, i oddał pod komendę marszałka Davoust'a. Obrażony tak lekceważeniem swojej świętej osoby, król Hieronim dnia 16. opuścił nagle wojsko i na Warszawę powrócił do swojej stolicy; oddawszy księciu Poniatowskiemu komendę nad korpusami 5. 8. i 4. jazdy.

Dnia 15 wyruszyliśmy z Nieświeża do Tymkowic czyli Ciemkowic (27 wiorst): 5 korpus stanął na noc w pozycyi pomiędzy lasem a wsią Skiepiejowo, 16. i 17. dywizya w pierw-

szej linii, 18. dywizya w drugiej. Przed frontem, i na lewem skrzydle rzeczka Maża; z tamtej strony Maży od Słucka leżało miasteczko Ciemkowice; przed niem obozował pułk 4-ty jazdy — reszta na trakcie Romanowskim.

W wilię, t. j. 14. przypadła potyczka pod Romanowem, w której pułk pierwszy strzelców konnych tyle ucierpiał.

Dnia 16. marsz do Romanowa, 17 wiorst; 5-ty korpus obozował na wzgórzach na trakcie od Nieświeża do Romanowa prowadzącym, w tym samym porządku, jak dnia poprzedzającego. Rzeczka Moraza i miasteczko Romanów leżały przed frontem pozycyi; pułk 4. jazdy przed Romanowem na trakcie do Słucka. Na drodze od Ciemkowic pełno śladów porażki naszej jazdy spotykaliśmy.

Dnia 17. zaszliśmy do Słucka, 24 wiorst drogi, i tam przez dzień następny spoczywaliśmy.

Miasto Słuck do najdawniejszych Litwy należące, niegdyś było stołecznem, i dziedzictwem kstążąt udzielnych słuckich; leży nad rzeką Słuczą, wpadającą do Prypeci, w okolicy równej i bagnistej. Rzeka Słucz jednem ramieniem dzieli miasto na dwie części, drugiem okrąża wielkiem półkolem przedmieście od strony Bobrujska. Słuck opasany jest okopami z 13 frontów bastyonowych. Przed bramą Romanowską, Ostrowską, Mińską i Bobrujską, są jeszcze ślady niewielkich półksiężyców. Na lewym brzegu głównego ramienia rzeki Słuczy, od strony północnej miasta, jest cytadela w czworogran bastyonowy, foremny, z małem rogowem dziełem (rogalem), teraz opuszczona. Miasto po większej części drewniane, jest dość obszerne, ma 2 kościoły katolickie, cztery unickie, jeden luterski, jeden kalwiński, tudzież szkołę protestancką. Sławne z rękodzieł, osobliwie jedwabnych; tu się wyrabiały sławne niegdyś u szlachty pasy słuckie.

Wojsko nasze obozowało w następującym szyku: 16-sta i 17-sta dywizya na drodze od Romanowa, prawem skrzydłem o Słucz, lewem o wieś Brodownia, mając przedmieście przed frontem; 18-sta dywizya na trakcie bobrujskim z tamtej

strony miasta, skrzydła o dwa lasy oparte, przed frontem zakryta odnogą Słuczy.

Jazda nasza posunęła się na trakt ku Głuchowi, dokąd także 4-ty korpus rezerwowy jazdy dążył.

Bory bobrujskie zaczynają się od Słucka; gdyby się wojsko nasze było w nie zapuściło, zabrakłoby zapewne żywności. Wreszcie po kierunku marszu jenerała Bagrationa z pewnością wnosić było można, iż pod Bobrujskiem przejdzie Berezynę: był wtedy wolny od każdej napaści naszej. Książę Poniatowski postanowił zwrócić się szybkimi marszami ku Mohilewu, dla połączenia się jak najprędszego z Davoustem, wzmocnienia go i podania sposobności do stoczenia bitwy z Bagrationem wprzód, nimby ostatniemu udała się przeprawa Dniepru. Lecz i te poruszenia i nagłe marsze przez kraj pusty i dziki, które naszą piechotę do reszty zrujnowały, nie potrafiły dawnej opieszałości wynagrodzić.

Dnia 19. wyruszyliśmy ze Słucka; 5-ty korpus opuścił główny trakt głucki i zwrócił się na północ, w stronę Ihumenia, leżącego o 101 wiorst, czyli 15 mil od Słucka. Latour-Maubourg poszedł ku Głuchowi: jenerał Chaveau z korpusem westfalskim dnia 16. lipca przez Ihumeń, Mińsk dążył ku Orszy.

Stanęliśmy na noc w Przewozie przy ujściu Łoszy i Winii, gdzie obozowano w szyku zwyczajnym.

Dnia 20. marsz do Dołhymowa, wioski wśród nieprzerwanych lasów i bagien. Brak żywności i furażu zaczął dolegać, drogi złe; mosty potrzebowały częstej naprawy; marodery mnożyć się zaczęły, ztąd ucisk i narzekania ludu wiejskiego, który raczej nieprzyjaznem, jak radosnem okiem nas witał, widząc straty dobytku szczególniej od oderwańców ponoszone. Wreszcie lud w takiem poniżeniu i obojętności dla sprawy naszej znaleźliśmy w Litwie, iż żadnego wyobrażenia o tem
[illegible] temi odludnemi stronami nie przechodził.
[illegible] najdziksza Litwy. Lecz i gdzieindziej
[illegible]rzy nawet obywatele od nas stro-

nili, porzucali domy swoje; a jeżeli przyjmowali, to z widoczną obawą lub obojętnością. Często nawet krupniku i barszczu nam szczędzili.

Wojsko nasze wlekło się wąską kolumną po drogach piaszczystych między borami i bagnami, w czasie lipcowych upałów; ludzie padali z pragnienia lub umęczenia. Szeregi się mocno przerzedzać zaczynały, a wioski i miasteczka za nami napełniały się chorymi i znużonymi. Lecz trudna była rada, tyle dni strawiwszy napróżno w Grodnie, w Nieświeżu i Słucku, chciano błąd naprawić, a książę Poniatowski, zmartwiony wyrzutami cesarza, wspólnie z szefem sztabu Fiszerem pędził naszą piechotę, ażeby jak najprędzej dostać się do Dniepru.

Dnia 21. stanęliśmy w Duczycy, miasteczku nad Czyczą; dnia 22. w Turcu, także nad Czyczą, wsią między borami; dnia 23. w Ihumeniu, miasteczku położonemu także wśród borów; 16. dywizya na lewo drogi do Mohilewa stanęła obozem; 17. dywizya w szałasach, po piechocie Davousta, na prawo drogi od Słucka; 18. dywizya na samej drodze, z prawem skrzydłem, opartem o wieś Chwojniki.

Pamiętam, że w Ihumeniu powitani zostaliśmy przez obywatela litewskiego w czerwonym maltańskim mundurze, którego wytworna powierzchowność dziwnie odbijała od czarnego stroju żydowstwa, witającego nas nieszczerym okrzykiem.

Marsz ten 15-milowy odbyliśmy w pięciu dniach.

Dnia 24. lipca przybyliśmy po mocnym marszu czterech mil do Jakszyc, nad rzekę Berezynę, której nie mieliśmy oglądać wpierw, jak dopiero w odwrocie pamiętnym, i stanęliśmy obozem wśród borów, na prawym brzegu, obsadziwszy most 5. i 13. pułkiem naszej jazdy.

Dnia 25. stanęliśmy obozem po nieforsownym marszu pod miasteczkiem Pohostem, o 6 mil od Ihumenia, nad rzeczką Klową.

Dnia 26. postępowaliśmy dalej do Białenic, miasteczka nad rzeką Druczą, w gubernii mohilewskiej, o 35 wiorst, czyli 5 mil od Pohostu. Marsz ten mocno dał się nam we znaki,

i ruiny naszej piechoty dokonał. Tu połączyliśmy się z jazdą francuską, 6. i 21. pułkiem strzelców konnych, należących do korpusu Davousta.

Dnia 27. wyruszono z Białenic do Kniażyc, 33 wiorst. Nareszcie dnia 28. lipca czoło naszej kolumny stanęło w Mohylewie, po krótkim 15-wiorstowym marszu, w stanie znużenia, trudnym do opisu. Dywizye 16. i 18. piechoty, o dziewięciu batalionach, wchodząc do miasta, miały po 2.000 ludzi tylko w szeregach, 17. i 12. batalion ledwie 400 ludzi; reszta piechoty wlekła się po drodze, jedni bezsilni lub chorzy, nie mogli żadną miarą wydążyć za kolumną, drudzy zdrowi, lecz jarzmo karności niechętnie dźwigający, korzystali ze sposobności dla opuszczenia szeregów i starania się o żywność po bokach drogi. Były to owe marodery czyli oderwańce, plaga każdego wojska a osobliwie francuskiego, w dalekich wojnach żywionego sposobem rekwizycyjnym.

Lecz taki ubytek w szeregach nietylko niedoświadczeniu lub złej chęci żołnierza przypisać należy; winę tę ponosili w większej części podoficerowie, z których niewielu kampanie odbywało, i młodsi nasi oficerowie, którym się zdawało, że powinnością ich tylko bić się i przywodzić żołnierzowi w boju. Zapominali oni, iż na tem zależy najbardziej, ażeby licznemi i pełnemi rotami stanąć wobec nieprzyjaciela, z niegłodnym żołądkiem, z rynsztunkiem i bronią w porządku. To wszystko, co się tyczyło obozowania, ognisk, żywności, rozdzielenia obowiązków i służby obozowej i t. d., nie wiele ich obchodziło. Każdy znużony, o sobie tylko myślał i byle mógł wypocząć, o resztę nie dbał. Tu dopiero różnica pomiędzy starym a młodym żołnierzem spostrzegać się daje. Że wiele na oficerach polega: mogę tu za przykład podać kompanię 15-go pułku kapitana Macieja Rybińskiego, później w roku 1831 naczelnego wodza wojska polskiego, która bez żadnego ubytku znalazła się po wyjściu z Księstwa. Za tę pieczołowitość około żołnierza naczelny wódz mianował Rybińskiego szefem batalionu. Lecz i wódz naczelny i szef sztabu

słusznym tu zarzutom ulegają, a to przez niestósowne wybieranie godzin marszu, nieporządek w pochodzie, odległość dywizyj zbyt małą, wypoczynki nieodpowiednie i t. d. Jakaż różnica między naszym korpusem a pierwszym Davousta? — Widziałem pułki 57, 61, 111, 85. i 108. piechoty francuskiej, przechodzące nazajutrz po naszem przybyciu, przez Mohylew; wracali z bitwy pod Sałtanówką, o dwie mile od Mohylewa, stoczonej 23. lipca z korpusem jenerała Bagrationa. Postać ich marsowa, mundury i zbroje w najlepszym porządku dźwigali, żywność na kilka dni, podwójna ilość naboi, podwójne obuwie, narzędzia pionierskie; z całym tym ciężarem zdawali się lekko i ochoczo, jakby do tańca postępować. W szeregach nikogo, prócz zabitych i rannych, nie brakło, batalion po 800 ludzi: nielitościwy bowiem marszałek maroderów nie cierpiał i krótką miał z nimi rozprawę. Wstyd nas ogarnął, porównywując jego żołnierzy z naszymi; dlatego też twierdziłem i dziś jeszcze twierdzę, iż nam potrzeba żelaznej ręki, ażeby z nas dobrych zrobić żołnierzy i w karbach nas utrzymać.

Powoli zaczęli się oderwańce nasze ściągać; szeregi się zapełniały, wkrótce bataliony liczyły 500 ludzi, a wychodząc z Mohilewa 600 ludzi; kilka przykładów podanych wojsku przez rozstrzelanie występnych, przyprowadziły rabusiów do porządku; ubytek jednakże około 200 ludzi na batalion wynosił, z których później marszowe bataliony uformowano. Wielu wcale się nie stawiło, wielu nieprzyjaciel rozprószonych zastał i do niewoli zabrał.

W czasie pobytu naszego w Mohylewie wojsko obozowało w szałasach, lub po wsiach okolicznych w kwaterach spoczywało. Oficerowie inżynierów zatrudnili się wystawieniem szańcu przedmostowego i mostów na Dnieprze. Przednie straże stały na drodze mścisławskiej. Po bitwie pod Sałtanówką dnia 23. lipca, jenerał Bagration, nie mogąc przebić się do pierwszej armii przez Mohilew i Orszę, cofnął się do starego Bychowa i tam Dniepr przeszedłszy, dnia 26. lipca stanął w Pro-

polsku nad Sozą; stamtąd szedł na Czerychów. Dnia 27. lipca na Kryczew, 28. do Mścisławia, dokąd nazajutrz przybył.

Dnia 28. korpus 5. stanął w Mohylewie. Gdyby marszałek Davoust miał był go pod ręką dnia 23, w czasie bitwy Sałtanowskiej, albo by zgniótł zapewne Bagrationa i zapędził go ku Rohaczewu, skąd połączenie się z pierwszą armią stawało się niepodobnem; albo też obracając na swoją korzyść linie odśrodkowe, mógł z dwoma korpusami połączonymi iść prosto do Mścisławia (94 wiorst) i tam Bagrationowi drogę do Smoleńska zabiedz.

I tu fatalny błąd bawienia w Grodnie jeszcze dał się uczuć. Z tego powodu ks. Poniatowski od Davoust'a, a szczególniej od Napoleona, srogich doznawał wyrzutów. *Votre prince est un traître*; mówił Napoleon do adjutanta księcia, Kickiego, wysłanego z raportem z drogi do Mihilewa.

Dnia 3. sierpnia Bagration bez żadnej przeszkody stanął w Smoleńsku i tam połączenie jego z pierwszą armią nastąpiło. Wszystkie więc obroty od Wilna, zmierzające ku jego zgubie, na niczem spełzły!

Dnia 6. sierpnia 4. korpus jazdy pod Latour-Maubourgiem, wzmocniony dywizyą Dąbrowskiego, wyruszył z Mohilewa do Rohaczewa, dla obserwacyi Bobrujska i korpusu Hertela, zajmującego Mozyr.

Wymarsz z Mohilewa.

Dnia 11. sierpnia 5-ty korpus wyruszył z Mohilewa do Szkłowa, dnia 12. do Orszy, dnia 13. do Romanowa. Składał się tylko z 16. i 18. dywizyi piechoty i dywizyi jazdy, z pięciu pułków i jednego strzelców konnych; Dąbrowski z 17. dywizyą pod Rohaczewem pozostał.

Według piśmiennego rozkazu dnia 3. sierpnia, gdzie maroderów już połączonych z korpusami przypuszczam, siła 5-go korpusu wynosiła 22.738 ludzi, a ponieważ w dniu 24. czerwca korpus ten 36.311 ludzi pod bronią miał, co jako z autentycznych źródeł czerpane za dokładne poczytać można, stracił więc 5-ty korpus w pochodach tylko, prawie bez [illegible]zału, (wyjąwszy potyczkę pod Romanowem, gdzie pułk

1-szy strzelców konnych stracił 300 ludzi), 13.573 ludzi, to jest przeszło trzecią część od chwili przejścia Niemna. — Po odciągnięciu dywizyi Dąbrowskiego, leżącej z 8.000 piechoty pod Rohaczewem, 5-ty korpus z Mohilewa wychodząc, liczył już tylko około 14.000 ludzi, z tych 11.000 piechoty i 3.200 jazdy.

W Orszy poniósłem dotkliwą stratę; służący odebrawszy z magazynu żyto dla koni moich, zbyt skwapliwie poddawał tymże, a potem nagle napoił; jeden koń padł natychmiast, drugiemu krew puszczono, lecz tak mocno z powodu tego osłabł, iż już podemnie się nie zdał. Zostałem więc przy jednym zdrowym i jednym chorym koniu, przezco służba moja niezmiernie utrudnioną została.

Po przejściu Dniepru pod Orszą postępował 5-ty korpus, który od tej chwili prawe skrzydło wielkiej armii stanowił, na Romanowo ku Krasnemu. Dnia 14. między Ladami i Krasnem wojsko nasze złączyło się na chwilę z wielką armią dążącą pod Smoleńsk.

Spotkanie z Napoleonem d. 14. sierpnia.

Tu zdarzyła się dla mnie pierwszy raz sposobność oglądania Napoleona. Zatrzymał się przez chwilę na głównym trakcie do Krasnego, wysadzonym po obu stronach podwójnym rzędem niebotycznych brzóz, odbierając z rozmaitych stron raporta.

Otoczony był świetnym sztabem, przed nim i za nim postępowały konne gwardye. On sam siedział na bułanym arabskim koniu i odznaczał się kapeluszem trójgraniastym, bez żadnej ozdoby, i sławną kapotą popielatą, pod którą nosił mundur strzelców konnych gwardyi. Napoleon miał wówczas lat 43, wzrostu był małego, miał wysokie ramiona, szyję krótką, głowę wielką, był otyły; chód jego ciężki, twarz szeroka, piękną wydawała się z profilu; nos był grecki, cera blada, włosy czarne, krótkie, gładko zaczesane na czole, oczy szare, piękne, ocienione brwią gęstą, ciemną, których przenikliwość nie każdy mógł znieść. Cały wyraz twarzy był jakby głazu, nadzwyczaj spokojny i nawet ponury; dwie tylko na-

miętności się na niej malowały, gniew i radość. Mówił mało i tylko przerywanemi słowami. Takie wrażenie na mnie osoba Napoleona sprawiła. Widziałem go później kilka razy w ciągu kampanii, lecz zawsze to samo wrażenie po sobie zostawił.

Lady, ostatnie polskie miasto na granicy dawnej Polski przed rokiem 1772, odznaczało się bytnością żydów, którzy w czarnem swojem odzieniu dziwnie odbijali od ludności wiejskiej około Krasnego i Smoleńska mieszkającej, która pochodzenia swego dawnego już nie pamięta.

Dnia 14. zaczęła się potyczka przedniej straży, pod królem neapolitańskim, z dywizyą rosyjską jenerała Newerowskoja, która źle prowadzonej jeździe francuskiej nie dała się rozerwać, i z stratą pięciu dział i 1.500 ludzi cofnęła się do Smoleńska.

Dnia 16-go sierpnia nastąpiło zupełne połączenie nasze z wielką armią pod murami Smoleńska, do którego doszliśmy mścisławskim traktem.

Smoleńsk d. 16. sierpnia.

Miasto Smoleńsk, stolica niegdyś księstwa tego imienia, a potem województwa, na wzgórzu, przy lewym brzegu rzeki Dniepru położone. W połowie XVII wieku, jak świadczą Starowolski i Cellariusz, miało domów około 4.000, oprócz dworów szlacheckich; w mieście tem także znajdowało się kolegium jezuickie, przez Zygmunta III. fundowane, oraz wiele innych greckiego i łacińskiego wyznania kościołów; katedra biskupa łacińskiego przez Władysława IV. fundowana. Miasto to murem, 25 stóp wysokim i 32 wieżami czyli basztami obwiedzione, miało jeszcze twierdzę na najwyższym pagórku, w środku miasta wzniesioną. Posada więc i sztuka mocnem je zawsze czyniły. Około roku 1386, w czasie koronacyi Władysława Jagiełły na króla polskiego w Krakowie, Świętosław, książę smoleński, podniósł oręż i okolicę Orszy, Witebska i Mścisławia niszczyć zaczął. Skirgajło i Witold, bracia Jagiełły, wyprawili się z rozkazu króla na buntowniczego księcia, znieśli go, i Świętosław śmiałość swoją śmiercią na placu przypłacił, a Jerzy, syn jego, dostał się w nie-

wolę; z dobroci jednak Władysława miał sobie władanie księstwem przywrócone. Lecz niewierny ślubom swym Rusin, wkrótce, bo w roku 1403, bunt podniósł; zbity i wygnany z księstwa, schronienia w Węgrzech szukać musiał, a Witold odtąd smoleńską prowincyę już bezpośrednio do Litwy przyłączył; wtenczas to waleczni Smoleńszczanie w bitwie pod Tanenbergiem z Krzyżakami 1411 roku, ustępujące hufce Litwinów i Tatarów wstrzymali i wiele do wygranej Polakom dopomogli, jak świadczy Kromer na karcie 451. edycyi warszawskiej.

Od tego czasu Smoleńsk z okolicą składał jedno z najpiękniejszych województw Litwy. Dopiero w roku 1514, zdrada i przejście Michała Glińskiego na stronę cara moskiewskiego Iwana Bazylewicza, poddały Smoleńsk w ręce Moskwy, tak iż lat 97 w ręku onych, podstępem zdobyty, zostawał. Jak tylko Moskale zdobyli Smoleńsk, tak zaraz kusili się o dalszy postęp w Litwie, i gdyby nie dzielne ramię Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, oraz wielkich wojowników, pod tymi królami żyjących, byliby już zapewne wtenczas księstwo to pochłonęli.

Około roku 1611. osłabiona Moskwa, zaburzeniami przez samozwańców Dymitrych wzniesionemi, nadarzyła Zygmuntowi III. sposobność nietylko odzyskania ważnej tej twierdzy, ale nawet podbicia całego państwa. Wyprawił się więc na wojnę, król ten w towarzystwie wielkiego owych czasów bohatera Żółkiewskiego, hetmana. Obległ Smoleńsk i po dwuletnim blisko oblężeniu, wśród najprzykrzejszego klimatu wziął go szturmem dnia 14. czerwca 1611 roku; przy tem oblężeniu obywatele z Mazowsza, zręcznością i wytrzymałością nad innymi celowali. Tu się szczególniej do zwycięstwa przyczynił kawaler maltański, Nowodworski, wysadzając części murów prochem. Nie mogli strawić Moskale utraty tak wielkiego grodu; jakoż w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III., w sto tysięcy ludzi, pod dowództwem Szehina, mając z sobą 30.000 Szwedów i Anglików, najwyborniejszą ar-

tyleryą opatrzonych, pod Smoleńsk podstąpili; jak świadczy Wassenberg na karcie 56. w dziele *Gestorum Vladislai.*

Oprócz tego mnogie hordy Tatarów i Czeremisów mieli z sobą, tak, iż tenże Wassenberg na karcie 55. mówi, iż podobnie przysposobiona armia na zawojowanie Europy zdawała się być zebraną. Stałość jednak i męstwo Palaków potrafiły piersiami swemi odwrócić tę grożącą burzę.

Dowodził pod ten czas szczupłemu garnizonowi, bo ledwo z kilku tysięcy złożonemu w tem mieście, nieśmiertelnej pamięci godzien Stanisław Wojewódzki, polasianin, a jak mówi Wassenberg, cnotą swą i walecznością Rzymianinowi dorównywujący; ten z rzadką nieustraszonością przez dziewięć miesięcy szturmy tak licznego nieprzyjaciela wytrzymywał i do obrony odwagą swą oblężeńców zachęcał, dopóki Władysław IV., ów wielki wojownik i król, po koronacyi swej z 30.000 wojska na odsiecz miastu nie pokazał się, i po wielu walkach Szehina zbił, a całą jego wielką armię do złożenia broni zmusił. Po otrzymanem zwycięstwie stał król Władysław, otoczony rycerstwem polskiem, na górze przy drodze do Moskwy idącej, a Szehin ów hardy, tak wielkiej dopiero armii dowódzca, z przymierzeńcami, dumnymi Anglikami oraz Szwedami, broń i chorągwie, schylając głowy, pod zwycięzcy nogi składali; opisuje ten tryumf chlubny dla Polaków, Wassenberg na karcie 118. Zwycięstwo to i oswobodzenie Smoleńska zmusiło Moskalów, iż zawarli traktat w Dywilnie roku 1634, zrzekając się na zawsze Smoleńska, Siewierza i Czernichowa.

Spokój Europy potrzebował, aby te granice były Moskwie zakreślone; męstwo i przezorność Władysława IV. tu je naznaczyły, lecz nieszczęśliwe wojny za Jana Kazimierza otworzyły Moskwie pole odnowienia swych dumnych zamysłów; roku więc 1654. związał się Aleksy Michałowicz, car mohilewski z buntowniczymi kozakami, wkroczył w granice Polski i obległ Smoleńsk. Dowodził pod ten czas Obuchowicz wojewoda, jeden z możnych panów tamecznego województwa, [illegible] nie tej cnoty i odwagi, co nieśmiertelny Wojewódzki. —

Korf był dowódzcą zamku, a Piotr Świacki, ziemianin tameczny, dowódzcą szlachty; po niejakich lekkich utarczkach poddał Obuchowicz pomimo sprzeciwiania się szlachty, miasto carowi, nie bez domysłu podłej sprzedajności. Car albowiem przy odchodzeniu garnizonu ze wzgardą go pożegnał, a odwróciwszy się od niego, do swoich wyrzekł, jak świadczy Kochowski, *Climacter* I. na karcie 437. te słowa: »Gdyby który z was tego człowieka odważył się naśladować, na pal wbity zostanie«.

Po zdobyciu Smoleńska rozpuścili Moskale swe zagony wgłąb Litwy aż do Wilna, ten był albowiem skutek zdobycia tego ważnego miejsca, iż kiedy Polacy byli panami onego, nietylko drżała stolica Moskwy, ale ich i w murach swych oglądała. Kiedy zaś moskale posiedli Smoleńsk, byt i całość Litwy, a nawet i całej Poski, chwiać się zaczęły.

Smoleńsk odległy o 386 wiorst, czyli 55 mil od Moskwy, i o 704 wiorst, czyli 97 mil i 5 wiorst od Petersburga nie tyle ważny co do liczby ludności, która w roku 1812. tylko 12.000 dusz wynosiła, zato pod względem wojennym wielki wpływ na nasze działania wywierał. Miasto, jak się wyżej mówiło, leży na spadku góry, na lewym brzegu Dniepru. Głębokie dwa parowy, od przedmieścia Krasnojskiego ku Mścisławskiemu i od Raczeńskiego ku Nikolskiemu ciągnące się, a do Dniepru spuszczające, utrudniają niezmiernie przystęp po obydwóch skrzydłach. Miasto samo, otoczone jest wysokim murem, na 25 do 30 stóp wysokim, a 18 stóp grubym przy podstawie, którego rozwinięcie około 3.000 sążni wynosi. W narożniku lewym od mostu był wyłom bardzo szeroki w murze, który drzewem w stosach był zatarasowany. Dwie bramy tylko prowadzą w środek: pierwsza, przy której łączą się trakty od Krasnoi, Mścisławia i Jelni, leży na środku półkola i zowie się Małachowska; druga prowadzi do mostu na Dnieprze, ze strony przeciwnej. Trzydzieści wież rozmaitego kształtu, do muru przypierających, jedne kwadratowe, drugie okrągłe, wznoszą się równo z murami, a rozłożone są w nie-

równych odstępach na całym obwodzie. Część górna muru jakby w zęby wycięta, przedstawiała szerokie strzelnice dla piechoty. Po za murem znajdował się rów z drogą krytą i stokiem, lecz w stanie nieobronnym. Od strony Dniepru ani rowu ani stoku nie było, lecz mur podobny do reszty obwodu. Dla wycieczek wojska, broniącego drogi krytej, wykuto w murze w kilku miejscach niewielkie otwory.

Niewielki półksiężyc, z ziemi usypany, zakrywał bramę od Krasnoi, i ostrzelany był od starego bastyonu, również z ziemi usypanego, w odległości krótkiego armatniego strzału. W prawo o 400 sążni leży cytadela, zwana u naszych historyków Zygmuntowską twierdzą, przerywającą ciągłość muru. Składała się z foremnego wielokąta o pięciu bastyonach, zbudowanego z ziemi. Wały tego szańcu nie były opatrzone palisadami, od tej więc strony Smoleńsk nie był wolnym od szturmu. Pole otaczające miasto jest nierówne, poprzerywane parowami i zaroślami, w odległości ćwierci mili zakryte. Wieże wydrążone nie dopuszczały użycia artyleryi, wreszcie twierdza innych dział nie posiadała prócz 50, i te były bez łóż. Nieprzyjaciel artyleryą polową uzbroił półksiężyc przed bramą Małachowską, bastyon przyległy i cytadelę. Na prawym brzegu Dniepru znajdowało się przedmieście ludne, obszerne i handlowne, które niższem miastem przezwaćby można. Most drewniany łączył oba brzegi. Przed nim, nie dochodząc do niższego miasta, były zwaliska szańcu przedmostowego w kształcie korony, budowle w przedmieściach wszystkie drewniane; w mieście samem znajduje się kilka pięknych kościołów, ozdobionych na sposób grecki, z pięciu kopułkami, każda z nich malowana jasnym kolorem, najczęściej zielonym, lub pozłacana. Prócz kościołów wiele innych pięknych murowanych gmachów zawierał Smoleńsk, pomiędzy niemi leżące ogrody i drzewa nadawały piękną malowniczą postać całemu miastu. Mieszkańcy prawie wszyscy opuścili swoje domy i z duchowieństwem i obrazami świętych, mia-

nowicie obrazem Matki Boskiej cudownej Smoleńskiej, schronili się do Wiazmy i Moskwy.

Dnia 16 sierpnia doszedłszy na wzgórze, skąd widok na Smoleńsk zupełnie otwarty, spotkaliśmy cesarza, który się przy nas zatrzymał i przepuścił przed sobą. Wojsko defilowało plutonami z okrzykiem »Niech żyje cesarz«, i zajęło stanowisko na prawem skrzydle o pół mili od miasta. Jazda lekka francuska wielkiem półkolem opasywała miasto w odstępach pułkowych: dwie dywizye kirasyerów i karabinierów francuskich z innymi pułkami tworzyły rezerwę. Od lewego skrzydła słychać było pojedyncze strzały piechoty francuskiej, ucierającej się z przednimi posterunkami nieprzyjaciela. Była czwarta godzina po południu. Lecz ten dzień nie był przeznaczony do ataku. Napoleon spodziewał się, iż Barclay po złączeniu z Bagrationem zaniecha cofania dalszego i sprobuje szczęścia przed murami Smoleńska. Dlatego też nie ściskał zbyt miasta, ażeby nieprzyjacielowi pole zostawić do rozwinięcia się przed miastem. Lecz mylną była ta nadzieja. Jakiż bowiem wódz śmiałby bitwę wydać mocniejszemu wojsku, mając miasto i rzekę za sobą, z jedyną tylko przeprawą.

Atak Smoleńska dnia 17. sierpnia.

Nazajutrz z rana, wojsko nasze posiliwszy się stanęło pod bronią w ubiorze paradnym i oczekiwało rozkazu do godziny 9-tej z rana. O tym czasie adjutanci przybyli i oznajmili księciu Poniatowskiemu wolę cesarza.

Korpus piąty ruszył naprzód w ściśniętych kolumnach, jazda na prawem skrzydle zakrywała ten ruch i regulowała nieprzyjacielskie posterunki, rozłożone wzdłuż Dniepru. Spotkaliśmy cesarza, który nas wesoło przywitał i w przytomności swojej nakazał zmianę frontu w ten sposób, aby prawem skrzydłem zbliżyć się ku Dnieprowi. Poruszenie to nie bardzo gładko poszło; Napoleon rozśmiał się na widok pomyłek i rzekł: »To są młode wojska!« Przywoławszy potem księcia Poniatowskiego, wskazał mu punkta do ataku i polecił, aby prawemi kolumnami starał się wyprzeć nieprzyjaciela ze wszyt-

kich stanowisk w przedmieściu naddnieprowskim i mostom nieprzyjacielskim zagroził.

Dywizya 16. Poruszenie to wykonane zostało. Jenerał Zajączek z pułkami: 3., 15. i 16. zbliżył się na wystrzał kartaczowy od parowu prawego i tyralierom swoim rozkazał się spuścić doń. Rozpoczął się nader żywy ogień karabinowy. W tym samym czasie dywizya 18. atak przedmieścia Raczenki od Dniepru rozpoczynała; artylerya korpusu piątego, połączona pod rozkazami jenerała Pelletier w liczbie 42 dział, zajęła stanowisko na wzgórzu na prawem skrzydle dla odkrycia mostów i ostrzeliwania brzegu przeciwnego, na którym w bliskości kościółka zatoczone były baterye rosyjskie pozycyjne. Rozpoczął się w tym miejscu ogień bardzo żywy między przeciwnemi bateryami. Ludzie i konie padali; łoża strzaskane zastępowano, przodki i wozy amunicyjne wylatywały w powietrze. Był to piękny zaiste widok! Na lewem skrzydle naszej bateryi stał król neapolitański z księciem Józefem, rozmawiając między sobą jak najswobodniej, tak jak gdyby ich grad kul nie obsypywał. Ogień ten trwał parę godzin i powoli zaczął z obydwóch stron stygnąć. Tymczasem atak naszej piechoty postępował. Spędzono nieprzyjacielskich strzelców z parowu i z przedmieścia Nikolskoje, a pułki szesnastej dywizyi wyparowały go nawet z drogi krytej. Lecz na tem zakończyć się musiały ich usiłowania; w murach trzydziesto-stopowych nie było wyłomu, a ogień ręcznej broni, nie dozwalał do nich przystępu; artylerya francuska starała się wprawdzie otwory porobić, lecz wszelkie działania przeciwko ośmnasto-stopowym murom były nadaremne. Trzeba było szesnastą dywizyę, która mocno ucierpiała, z ognia wyprowadzić, ukryć się w parowie i w palącem się przedmieściu Nikolskie. W tej akcyi utraciliśmy pułkownika Zakrzewskiego, komendanta trzeciego pułku piechoty i podpułkownika Podhańskiego; ze sztabu głównego jenerał dywizyi Zajączek ranny był w nogę od kuli karabinowej. Mieliśmy tu do czy-

nienia z korpusem Doktorowa, a mianowicie z pułkiem szóstym jegrów korpusu Rajeskiego.

Drugi atak, wymierzony przeciwko przedmieściu raczyńskiemu, szedł z początku pomyślnie. Jenerał Grabowski na czele ośmnastej dywizyi z trzema pułkami: drugim, ósmym i dwunastym wyparł nieprzyjacielską piechotę z doliny naddnieprskiej i opanował przedmieście; lecz nadeszła pomoc, złożona ze strzelców pieszych gwardyi i brygady dywizyi pod dowództwem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego i zatrzymała natarczywość naszej piechoty. Przyszło do żywej walki na przedmieściu samem, które spłonęło w ogniu i strata z obydwu stron stała się wielką, lecz większa po naszej stronie. Zginął jenerał Michał Grabowski, żałowany przez wszystkich. Był to oficer pełen talentu i odwagi; zginął także szef Gavart z drugiego pułku piechoty; pułkownik Krukowiecki z drugiego pułku odebrał postrzał w rękę. Poległo wielu oficerów i żołnierzy, a bolesne to, że wielu rannych spalonych zostało. Po wzajemnem kilkugodzinnem parciu, nie chcąc wystawiać na większe straty piechoty naszej, którąby na żaden przypadek murów kolbami nie była rozbiła, ani mostu, mocno obsadzonego pod ogniem całej linii murów nadbrzeżnych zdobyła, cofnięto się z przedmieścia i ukryto w zagięciach parowu.

Noc zaszła w tem położeniu. Smoleńsk, zapalony granatami naszymi, leżał cały w płomieniach. Bitwa o godzinie 9 wieczorem ucichła. Francuzom nie lepiej jak nam się powiodło. Marszałkowie Davoust i Ney przypuszczali szturmy do przedmieścia Krasnojskiego i Mścisławskiego i starali się opanować bramę Małachowską (środkową) i twierdzę Zygmuntowską, lecz za nadejściem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego odparci zostali i zaniechać musieli dalszych szturmów. Artylerya tych korpusów daremnie się także siliła zrobić wyłom w murach. Twierdza Zygmuntowska była rzeczywiście najsłabszym punktem; przeciwko temu otworowi należało ogień całej artyleryi wymierzyć i potem szturmować dostateczną siłą. Popełniony tu błąd kosztował nas więcej,

aniżeli wielka bitwa. Wielka armia straciła niezawodnie 12,000 ludzi w tej rozprawie, z tych na korpus piąty przypada do 1,000 ludzi.

Część nocy przepędziłem na wzgórzu nad parowem głównym i stamtąd miałem okazały widok palących się wież i kopuł, odbijający się na ciemnem tle nieba. Przez całą noc spokój panował zupełny. Patrole nasze dochodziły do drogi krytej, lecz wszystko w spokoju zastały. Z pierwszym brzaskiem dnia pojedynczy żołnierze nasi, nie widząc wart nieprzyjacielskich przed sobą, postępowali coraz dalej, przeszli drogi kryte i rowy i dostali się do jednej z wycieczek w murze wykutych. Miasto było puste. W nocy Barclay w największej cichości i porządku kazał wyjść swojemu wojsku, i wyruszył na trakt ku Moskwie, po spaleniu mostów. Tym sposobem dnia 18. weszliśmy do Smoleńska bez wystrzału. Miasto płonęło jeszcze w ogniu i dopiero dnia 19. pożar zupełnie ugaszony został. Połowa domów i kościołów w gruzach leżała. Ulice zapełnione poległymi i rannymi okropny widok przedstawiały. Po obejrzeniu miasta udałem się napowrót do głównej kwatery, dla zdania sprawy o stanie miasta.

Korpus piąty wypoczywał pod Smoleńskiem do dnia 22. sierpnia. Dnia 19. rozpoczęła się bitwa pod Wałutyną górą, między tylną strażą Barclay'a a przednią naszą. Ze strony francuskiej zginął jenerał dywizyi Gudin z korpusu Davoust'a.

Dnia 21. około godziny 11. zrana, cesarz odbył przegląd korpusu piątego i rozdał wielką ilość ozdób legii honorowej, w ogóle 88, pomiędzy temi dwa krzyże oficerskie. Przy tej sposobności nie szczędził pochwał i obietnic i rozmawiał z wielu wyższymi oficerami. Dnia 22. sierpnia wyruszyliśmy w dalszy pochód ku Moskwie; przeznaczeniem naszem było zasłaniać prawe skrzydło wielkiej armii.

Zachodzi tu teraz ważne pytanie: dlaczego Napoleon nie zatrzymał się w Smoleńsku, tak jak mu radzono i nie starał się o umocnienie nowej podstawy nad Dnieprem i Dźwiną, skądby na przyszłą wiosnę mógł uderzyć na stolicę. Stodwu-

dziestomilowy pochód od swojej podstawy nad Wisłą nakazany mu był przez okoliczności wojenne. Chcąc bowiem zmusić Barclay'a do stoczenia walnej bitwy przed połączeniem się jego z Bagrationem, i chcąc przeszkodzić połączeniu się temu, musiał szybko postępować, nie oglądając się na swoją podstawę, ani na magazyny, i wojsko swoje żywić z zasobów krajowych. Taki marsz nagły przez wyżej wskazaną opieszałość króla Westfalskiego nietylko nie przyniósł żadnego skutku, lecz połączony był z niesłychanemi dotąd stratami w ludziach i koniach. Dość porównać stan wojska w czasie przejścia granicy i za przybyciem pod Smoleńsk. Stan ten wykazuje w korpusach zebranych pod Smoleńskiem następującą różnicę:

Nad Niemnem dnia 24 czerwca było . 283.650 ludzi.
Przed bitwą Smoleńską dnia 3 sierpnia 179.770 »

Wielka armia poniosła zatem od 24. czerwca do 2. sierpnia stratę przeszło 100.000 ludzi; ubytek ten szczególniej widocznym się staje przy porównywaniu stanu jazdy. Porównanie sytuacyjne innych korpusów nie mniejsze różnice przedstawiało.

Tym to sposobem największe nikną armie, jeżeli nie są według prawideł wojennych, sankcyonowanych doświadczeniem, prowadzone. Gdyby tak wielką stratą cesarz okupił był stanowczy rezultat odrzucenia armii rosyjskiej z linii operacyjnej, od Moskwy idącej, na zgubny dla niej kierunek petersburgskiej drogi, czego się spodziewał dokazać strategicznym, genialnym pochodem z Witebska ku Smoleńskowi; pewnie kampania inny byłaby obrót wzięła. Lecz nic nie dokonawszy, i mając przed sobą na trakcie moskiewskim nienaruszoną armię rosyjską, wypadało się głębiej zastanowić, czy bez żadnej pewności dalszych korzyści, można się o 55 mil dalej zapuszczać od podstawy, nie zapewniwszy jej wprzód i nie ściągnąwszy rozrzuconych po całej Litwie oderwańców i nowych posiłków, gromadzących się nad Wisłą i Niemnem.

Drugi ważny przedmiot nasuwa się pod naszą uwagę. Napoleon zajmował wprawdzie całą Litwę, w ścislejszem znaczeniu od Buga i Niemna do Dźwiny i Dniepru, i od morza Bałtyckiego do linii bagien Prypeci, dzielącej Litwę od Wołynia. Lecz kraj ten, wyjąwszy Żmudzi, nie stanowił najżyźniejszych prowincyj zabranego kraju. Wołyń, Podole i Ukraina, w zboże, ludzi i konie nierównie zamożniejsze, nietknięte leżały i w posiadaniu nieprzyjaciela znajdowały się, który w nich organizował nowe swoje siły, i zbyt przedłużonej działań naszych linii zagrażał. Po wojnie tureckiej, pokojem Bukareskim szczęśliwie dla Rosyi zakończonej, korpus Czyczakowa wolnym się stawał do wszelkich podobnych przedsięwzięć, które im dalej na tyły głównej armii francuskiej wymierzone, tem niebezpieczniejszem dla niej czyniły dalsze zapuszczanie się w kraj nieprzyjacielski.

Ten więc wzgląd, równie jak i pierwszy, powinien był wpływać na postanowienie cesarza.

Na lewem skrzydle równe niebezpieczeństwo zagrażało linii operacyjnej francuskiej. Nad Dźwiną bowiem stał jenerał Wittgenstein z korpusem 40.000-nym przeciw dwom połączonym korpusom francuskim: drugiemu i szóstemu, które na początku kampanii liczyły razem 62.273 ludzi, a dnia 2 sierpnia tylko 35.000 ludzi; marszałek Macdonald stał wprawdzie z korpusem 30.000-nym w Kurlandyi, naprzeciwko Rygi i mógł w potrzebie, złączywszy się z drugim i szóstym, działać wspólnie przeciwko Wittgensteinowi; lecz ten wzmocniony rezerwami, przybywającemi z Petersburga, milicyami i korpusem Steinhela, wylądowanym z Finlandyi, przechodził w sile drugi i szósty korpus, i nietylko zakrywał Petersburg, lecz równie jak i Czyczaków zagrażał linii operacyjnej.

Wszystkie więc powody przemawiały za tem, aby się zatrzymać w okolicach Smoleńska, umocnić ten punkt, zamienić Dynaburg, Witebsk i Połock w czasowe twierdze, i starać się o zdobycie Rygi i Bobrujska. Pod zasłoną tych punktów, wielka armia byłaby się rozłożyła w zimowych kwaterach

i wzmocniona posiłkami świeżymi, na wiosnę przyszłą rozpoczęłaby drugą kampanię. Organizacya armii litewskiej stała się łatwą; wreszcie wysłanie silnego korpusu na Mozyr i Kijów byłoby powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie bez wątpienia rozniecilo. Lecz Napoleon, zaślepiony niesłychanem powodzeniem, głuchy na przedstawienia marszałków swoich, spodziewał się przed Moskwą zmusić Rosyan do stanowczej bitwy i opanowaniem miasta tego jednym ciosem zakończyć wojnę. Lecz Bóg inny koniec jego dumie przeznaczył i Karola XII. losy dla niego gotował.

Dnia 22. serpnia nastąpiło więc ogólne ruszenia wielkiej armii ku Moskwie. Składała się, jak wyżej, z gwardyi, z 1., 3., 4., 5. i 8. korpusu piechoty i 1., 2. i 3. jazdy rezerwowej; korpus 4. rezerwowej jazdy Latour-Maubourga, szedł na Mścisław, Jelnię, zostawiwszy dywizyę Dąbrowskiego przed Mohylewem. Doliczywszy i ten 4-ty korpus jazdy, 5.000 ludzi, znajdziemy ogólną siłę wielkiej armii, operującej na Moskwę po odtrąceniu 19.000 ludzi na straty, poniesione pod Smoleńskiem i Walutyną, sumę 165.000 ludzi.

Piąty korpus, przeszedłszy dwa razy Dniepr w odległości półtorej mili od wielkiej armii, postępował bocznemi drogami po prawej stronie traktu do Moskwy. Poprzedzała go dywizya lekkiej jazdy, pod komendą jenerała Kamińskiego. Wsie, przez które przechodziliśmy, nie zupełnie były opuszczone, a chociaż kozacy mieszkańców zmuszali do porzucania siedzib i ogień podkładali pod sterty i stogi, jednak dostateczną żywność po skończonych żniwach znajdowaliśmy dla ludzi i koni.

Dnia 24. doszła nas wiadomość przez jeńców, że główna armia rosyjska zamierza wydać nam walną bitwę przed Drohobużem. Cesarz ściągnął więc natychmiast gwardye ze Smoleńska. Lecz jenerał Barclay za radą Bagrationa opuścił niekorzystne stanowisko przy ujściu Uży do Dniepru w nocy z dnia 23. na 24. sierpnia i dalej się cofnął ku Wiazmie w trzech kolumnach. Lewa, za którą postępowaliśmy, złożona

z drugiego korpusu piechoty, pierwszego jazdy i trzech pułków kozackich, szła na Konuszkino.

Dnia 25. sierpnia stanęliśmy obozem pod Wołoskiem, w odległości 20 wiorst od Drogobuża. Marsz dalszy prowadził na Łużki, Pokrowskoje, Stukino i Słobódkę, które to ostatnie miejsce leży prawie na wysokości Carewa Zajmiszcza przed miastem Gżatskiem. W Budajewie piąty korpus dnia 1. września zatrzymał się, i tam odebrał rozkaz sposobienia się do bitwy, której się spodziewać należało.

Dnia 29. sierpnia wieczorem książę Kutuzow objął komendę ogólną nad połączonemi: pierwszą i drugą armią rosyjską w głównej kwaterze w Carewie Zajmiszczem, i rozporządzenia uczynił dla przyjęcia nas w stanowisku pod Borodynem na drodze Możajskiej.

Piąty korpus w pozycyi pod Budajewem spoczywał przez 1., 2. i 3. września. Przez te dnie każdy dowódzca pułku lustrował szczegółowo broń, amunicyę i t. d., wiedziano bowiem, iż chwila stanowcza nadeszła. Stan piątego korpusu dnia 2. września wynosił przytomnych pod bronią 8.430 piechoty, 1.638 jazdy, 36 dział artyleryi, 18 dział pułkowych i 6 dział artyleryi konnej; a zatem bataliony piechoty liczyły nie więcej jak około 470 ludzi; pułki zaś jazdy około 400 koni, byliśmy więc zredukowani prawie do połowy.

Sytuacya ogólna wielkiej armii dnia 2. września była: 103.076 piechoty i 30.748 jazdy, licząc w to 6.003 piechoty i 1.318 jazdy nieobecnej, lecz spodziewanej w przeciągu pięciu dni; ogółem 133.819 ludzi i 587 dział.

W dowództwie naszych dywizyj zaszła była zmiana. W miejsce ranionego pod Smoleńskiem jenerała Zajączka, objął komendę szesnastej dywizyi jenerał Izydor Krasiński, odważny i pełen poświęcenia żołnierz; komendę dywizyi jazdy otrzymał jenerał dywizyi francuskiej Sebastiani, korsykanin, nielubiony od Napoleona, który mu pamiętał niektóre
— Hiszpanii popełnione. Komendę naszej dywizyi
i za niełaskę; lecz że Polaków z czasu

wojny hiszpańskiej znał i lubił, i pod komendą swoją miał niejaki czas pułki: 4., 7. i 9. piechoty, przeto starał się tego nie okazywać, i owszem był bardzo łaskaw na swoją dywizyę. Wnet spostrzeżono, iż żadnego nie miał doświadczenia w prowadzeniu jazdy.

Bitwa pod Możajskiem d. 5 września.

Dnia 5. września postępowaliśmy starym traktem Smoleńskim przez Jelnię, w jednej kolumnie, jazda na przodzie. Wtem o godzinie drugiej po południu oficer ordynansowy cesarza oznajmił księciu Poniatowskiemu, iż wojsko nieprzyjacielskie stoi w pozycyi o kilka wiorst od nas, i bez wątpienia dziś jeszcze przyjdzie do walki; książę Poniatowski natychmiast stosowne uczynił rozporządzenie. Kolumna nasza odstąpiła starej drogi Smoleńskiej i posunęła się na lewo, ukośnie do wielkiej armii, przez małą równinę, przeplataną laskami i zaroślami. Spotkaliśmy kilka szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej, które odebrawszy parę wystrzałów armatnich pierzchły i w biegu przeleciały około naszego frontu. Laski i krzaki, rozrzucone na pozycyi, oddzielały nas od tylnej straży rosyjskiej i nie dozwalały dokładnie odkrywać jej stanowiska. Widoczne tylko były dwa wzgórki, bliższy zajęty był okopem i liczną artyleryą uzbrojony, dalszy lecz niższy, o 500 sążni odległy od pierwszego, opierał się o las, i zdawało się, jakby zasłaniał rezerwę. Stanowisko to o kilkaset sążni przed frontem głównej pozycyi rzucone, było na kształt dzieła zewnętrznego tejże pozycyi przeznaczone, i miało pierwsze nasze ataki złamać. Wkrótce błysnął ogień z okopu, grad kul obsypał czoło naszej kolumny i nakazał rozwinięcie batalionów. Książę Poniatowski stosownie do miejscowości rozporządził nasze linie. Bataliony 16-tej dywizyi, poprzedzone tyralierami, posunęły się naprzód; bataliony zaś 18-tej dywizyi w tym samym szyku bojowym zajęły nasze prawe skrzydło, ucierając się z nieprzyjacielskimi jegrami, którzy w gęstych zaroślach dzielnie się trzymali. Naprzeciw reduty na wzgórzu zatoczono 24 dział naszych, między temi 12 pozycyjnych, ażeby ostrzeliwać równinę, przed nami le-

żącą. Jazda pilnowała prawego skrzydła i łączyła nasze lewe z wielką armią.

Najwyższa walka rozpoczęła się w tych wzajemnych pozycyach z widoczną wyższością ze strony artyleryi rosyjskiej, która korzystniej od naszej stojąc, gradem kul wydrążonych obsypywała nasze linie. W przeciągu pół godziny stanowisko naszej bateryi zasłane zostało końmi i ludźmi. Szef brygady Sowiński stracił prawą nogę. Porucznicy Czajkowski i Łobocki zginęli od kul armatnich; porucznik Chrzanowski ranny od kartacza. Sowiński, tak mocno ranny, z największą spokojnością dał się opatrzyć, i leżąc na ziemi, przy swoich działach, nie przestał wydawać rozkazów kanonierom. Któż nie pamięta w naszej armii szanowną postać tego walecznego męża, który zawód, tak pięknym czynem rozpoczęty pod Możajskiem, miał śmiercią chwalebną pod Wolą uwieńczyć! W tym czasie wielkie masy jazdy rezerwowej francuskiej, pomiędzy lewem skrzydłem naszem a dywizyą jenerała Compens'a z pierwszego korpusu, zaczęły się formować pułkowemi kolumnami w odstępach; dywizya zaś Compens'a ruszyła naprzód dla zdobycia reduty; około tego punktu nastąpiła żywa walka. Reduta kilka razy zdobyta i znów stracona, pozostała o 9. godzinie wieczór w ręku Francuzów. Jazda rosyjska, z kirasyerów i dragonów złożona, nader śmiałe ataki przypuszczała do jazdy francuskiej i przednie pułki przełamała; natarła nawet na kompanię piechoty naszej, wysuniętą przed naszemi kolumnami, dla wsparcia tyralierów. Te w kłębki zwinięte, ogniem rotowym odparły nieprzyjacielską jazdę: osobliwie zimną krew okazywał w tej chwili kapitan Jan Skrzynecki z pułku 16-go piechoty, na czele swojej kompanii. Nareszcie przybycie króla neapolitańskiego, na czele innych pułków jazdy, zatrzymało rosyjską jazdę, która przechodząc blisko artyleryi naszej, pożegnanie ostatnie od niej odebrała i z pola ustąpiła. Należały do tego ataku, który do najnatarczywszych policzyć można, pułki kirasyerów: małorosyjski, glonczowski, i jeżeli się nie mylę, ordeński; tudzież dragony charkowskie i czernichow-

skie. Szef brygady Artur Potocki, od kirasyerów napadnięty, kilka cięć odebrał w głowę.

Po spędzeniu jazdy rosyjskiej piechota nasza ruszyła naprzód; 14 kompanij woltyżerskich, zebranych pod komendą szefa brygady Macieja Rybińskiego z pułku 15. piechoty, zasłaniały ten ruch. Atak ten z ostatniem natarciem na redutę dywizyi Compans'a skombinowany, zakończył bitwę tego dnia, która do późnego wieczora, t. j. do godziny 9. trwała.

Dzień 6. września przeszedł na rozpoznaniu szczegółowem nieprzyjacielskiej pozycyi. Cesarz z królem neapolitańskim i całym sztabem przybył do naszego obozu, rozłożonego na zdobytej wczoraj pozycyi, i niejaki czas zatrzymawszy się tam, rozpoznawał nieprzyjacielskie stanowisko; rozłożeni w krzakach w bliskości obozu naszego rosyjskie jegry, ograniczali bardzo nasz horyzont. Ze wzgórza zdobytego wilią, widać było tylko jakby morze jakie zarośli, rozciągających się w głąb i na prawo pozycyi nieprzyjacielskiej. Droga stara, z Smoleńska na Jelnię do Moskwy prowadząca, i wieś Utitca dość wyraźnie się przedstawiały. W lewo pozycya rosyjska wydawała się jaśniejsza, mniej było zarośli, lecz zato pole poprzerywane głębokimi jarami i parowami. Linie obozów ruskich, przy których mnóstwo ludzi było w poruszeniu, jak na dłoni przez perspektywę się wydawały. Rozpatrzywszy się w tym punkcie cesarz insktrukcye swoje dał księciu Poniatowskiemu, które na tem zależały, aby korpusem naszym zwrócić się ukośnie napowrót na trakt smoleński, lewe skrzydło nieprzyjacielskie wyrugować ze stanowiska, które zajmowało za Utitcą, na wzgórzu (t. zw. Mamelonie) i starać się nieprzyjacielskiej armii zajść z boku i z tyłu. Zadanie to widocznie było za wielkie w porównaniu z siłami naszemi, które nie przechodziły 10 000 ludzi pod bronią.

Rzeczywiście korpus Tuczkowa zajmował tę pozycyę dwoma dywizyami piechoty, t. j. pierwszą grenadyerską jenerała Strogonowa z 12 batalionów, i trzecią jenerała Konowniczyna z 11 batalionów piechoty, 24 dział pozycyjnych,

32 dział lekkich; pierwsza dywizya grenadyerów w dwóch liniach uszykowana była pomiędzy Utitcą i Mamelonem; trzecia dywizya podobnież w dwóch liniach, stanowiła za nią drugi zastęp. Na lewem skrzydle było sześć pułków kozackich pod jenerałem Karpowem, z jedną bateryą konną. Po za Mamelonem w rezerwie milicye moskiewskie, 7.000 ludzi pod jenerałem L. Markowem. Przed prawem skrzydłem od Utitcy poczynając, rozłożone były w zaroślach 20. i 21. pułki strzelców z dywizyi trzeciej, z gęstemi tyralierami, które związek utrzymywały z dywizyami Woroncowa i Newerowskiego.

Ta siła, jeżeli bataliony równe naszym przypuścimy, wynosiła około 13.000 piechoty liniowej, 7.000 milicyi, 1.800 kozaków i 62 dział.

Siła ta przewyższała w dwójnasób naszą siłę. Pomimo więc wszelkich natężeń zadanie stało się trudnem do rozwiązania, jeżeliby inne okoliczności nie sprzyjały. Tu 30.000 ludzi nie było nadto, wyparowawszy bowiem korpus Tuczkowa jeszcze bylibyśmy trafili na silne rezerwy, gotowe do odparcia tak stanowczego ruchu.

Bitwa dnia 7. września.

Dnia 7. września, o godzinie 6. z rana, wojsku stojącemu pod bronią odczytano rozkaz dzienny cesarski, następującej osnowy: »Żołnierze! zbliża się teraz bitwa, której tak mocno pragnęliście! Od was zależy zwyciężyć! Zwycięstwo jest nam potrzebne; da nam podostatkiem wszystkiego i dobre leże zimowe; pozwoli oraz na prędki powrót do ojczyzny. Sprawcie się tak, jak pod Austerlitz, Friedlandem, Witebskiem; niech najpóźniejsi potomkowie z chlubą o waszem sprawowaniu się w tym dniu wspominają: byli oni w owej wielkiej bitwie pod murami Moskwy! W obozie cesarskim na wzgórzach Borodyna dnia 7. września o godzinie 2-giej z rana.«

Po odczytaniu tej odezwy piąty korpus wyruszył na stanowisko, które mu było naznaczone na prawem skrzydle linii bojowej, i zajął stary trakt smoleński. O godzinie 7-mej z rana baterye francuskie, naprzeciw Borodyna zatoczone, dały

znak do bitwy. Wnet grzmoty artyleryi na całej linii odpowiedziały temu hasłu. W miarę, jak się nieprzyjacielscy strzelcy, w krzakach rozrzuceni usuwali, kolumny nasze, poprzedzane tyralierami, postępowały naprzód i wieś Utitcę zajmowały. Baterya z dwunastu dział pozycyjnych, pod bezpośrednim kierunkiem pułkownika artyleryi, Górskiego, w lewo Utitcy na wzgórzu ustawiona, popierała ogniem swym ten ruch. Dywizya zaś lekkiej jazdy, pod komendą jenerała Sebastianiego, zakrywała go od prawego skrzydła, broniąc od napadów nieprzyjacielskiej jazdy.

W takim szyku atak postępował coraz gwałtowniej. Wkrótce na całej naszej linii rozpoczął się nader żywy ogień broni ręcznej pomiędzy tyralierami z obydwóch stron, któremu wtórowały baterye pozycyjne nieprzyjacielskie z Mamelonu i nasze pod Utitcą.

Dywizya 16-ta pod jenerałem Krasińskim, wspierając swoich tyralierów, rozdrobniła się na małe oddziały i wprowadziła do boju dwie trzecie części całkowitej siły; a jednak wcale nie postępowała. Nieprzyjacielscy strzelcy, doszedłszy do swoich kolumn, przestali się cofać i wstępnym bojem uporczywie się potykali. Trudno było ściągać do kupy rozpierzchniętą po zaroślach i chrustach piechotę naszą, dla uformowania z niej kolumn do ataku,w przytomności i pod ogniem nieprzyjacielskich jegrów. Ogień wzmagał się coraz bardziej. W przedłużeniu linii naszej bojowej wznosił się w białych kłębach dym bateryj francuskich, oznaczający widocznie postęp naszego środka. A jednak dla słabej siły nic stanowczego nie można było na naszej stronie przedsiębrać. Korpus ósmy westfalski, znajdujący się na lewem skrzydle naszem już mocno ucierpiał od jazdy i artyleryi rosyjskiej i w stanie bliskim rozsypki się znajdował. Żadnej więc pomocy z jego strony nie można się było spodziewać.

W tej ważnej chwili, książę Poniatowski, chcąc się ze swojej strony przyczynić do zwycięstwa, nakazał atak piechoty na Mamelon, stanowiący oparcie nieprzyjacielskiego kor-

pusu jenerała Tuczkowa. Szef brygady Maciej Rybiński, na czele jednego batalionu pietnastego pułku liniowego, zaszedł od prawego skrzydła i szybkiem natarciem opanował go, spędziwszy nieprzyjacielską piechotę, mianowicie pawłowskich grenadyerów i 13 dział zdobywszy, utrzymał się na wzgórzu blisko przez kwandrans. Stąd jak na dłoni wszystkie pozycye nieprzyjaciela jasno się wydawały. Gdy jednak druga linia nasza, pod jenerałem Kniaziewiczem, żadnego kroku nie uczyniła dla wsparcia tego ataku; szef batalionu Rybiński, nie zdołając się z jednym osłabionym batalionem dłużej opierać nacierającym zewsząd rezerwom rosyjskim, mianowicie pułkom grenadyerskim, petersburskiemu, ikaterynosławskiemu Krakczejewa i leibgrenadyerskiemu, i pułkom muszkieterskim, Willmanstrand i Biełozersk, prowadzonym osobiście przez jenerała korpuśnego I. Tuczkowa, wziął sam orła w ręce, i uformowawszy kolumnę, przedarł się przez nieprzyjacielskie bataliony, utraciwszy 300 walczących. W tej to walce jenerał Tuczkow śmiertelnie został raniony. Tym sposobem ruch ten stanowczy, że tylko jednym batalionem wykonany, bez wsparcia rezerwy, nie mógł się udać. Wykonany przez całą dywizyę 16-tą i wsparty 18-stą, byłby za sobą inne pociągnął skutki.

Ile razy zdarzyło mi się widzieć księcia Poniatowskiego, zawsze wprowadzał bataliony pojedyńczo w ogień, gdzie sam rycerską swoją piękną postawą odznaczał się od wszystkich; nigdy nie pamiętam jednak, aby kilka batalionów odrazu wysłał z rezerwą, albo z drugą linią w odwodzie. Był to błędny zwyczaj, z austryackiej szkoły przyjęty, który nie wiele dokazawszy, tępił naszą piechotę.

Nieprzyjaciel spędziwszy Rybińskiego zajął napowrót Mamelon i uwieńczywszy go sześcioma działami pozycyjnemi, wytrwał w tej pozycyi do godziny 3-ciej po południu. Ogień artyleryi i tyralierów z obydwóch stron rozpoczął się na nowo, tak jak przed tym atakiem, bez widocznej korzyści z naszej strony.

Około godziny 3-ciej dopiero książę Poniatowski, naglony rozkazami cesarza, postanowił wszystkiemi siłami ponowić odparty atak. Uformowawszy obydwie dywizye w ściśniętych kolumnach, prowadził je sam na Mamelon, i wsparty z boku jazdą, szybkiem uderzeniem zdobył go po raz drugi i artyleryą uwieńczył. Dowodzący po Tuczkowie, jenerał Baggowuth, naprożno się starał odzyskać utracone stanowisko. Wreszcie ruch wsteczny głównej armii jemu także nakazywał odwrót. Wykonał go porządnie, nie wiele party od naszej piechoty, i zajął nową pozycyę, o dwa wystrzały armatnie od pierwszej. Dywizye nasze przepędziły noc w zdobytej pozycyi, nie zaniedbując wszelkich ostrożności, jakie nakazywała bliskość nieprzyjaciela, spodziewano się bowiem nazajutrz odnowienia bitwy. Lecz wojsko rosyjskie zatrzymawszy się do wieczora w pozycyi odwodowej, cofnęło się w nocy pod sam Możajsk.

Strata nasza w dniu 5. września wynosiła około 2.000 ludzi w zabitych i rannych. Piechota nasza o 6.000 ludzi pod bronią zmniejszoną została. Jazda nie wiele ucierpiała. Z oficerów wyższych pułkownik 8-go pułku piechoty, Stuart, utracił nogę; szef brygady artyleryi, Daret, waleczny żołnierz, ugodzony kulą armatnią w nogę, po odbytej amputacyi, w klasztorze kotolskim życie chwalebne zakończył.

W czasie bitwy, znajdując się w sztabie księcia Poniatowskiego, wysłany byłem z rozkazami po kilka razy do naszej piechoty i do bateryi pozycyjnej, i równo z innymi podzielałem niebezpieczeństwo tego pamiętnego dnia. W czasie, gdy ogień zdawał się wolnieć, z ołówkiem w ręku rysowałem pozycyę naszą, a w miarę postępu naszego i nieprzyjacielską.

Nazajutrz, to jest 8. września, około godziny 10. z rana dokończywszy planu bitwy z naszej strony, ciekawy byłem rozpoznać pole bitwy wielkiej armii; przechodząc od prawego skrzydła ku środkowi, znalazłem w miejscu, zajętem przez ósmy korpus westfalski, ślady niepowodzenia wczorajszego; leżało po krzakach wiele trupów westfalskich z rozmaitych pułków. Wstąpiwszy na pole, tam gdzie wysypane trzy szańce

oznaczały środek rosyjski, przedstawiał się zdziwionym oczom moim widok, którego okropność przeszła oczekiwanie. Na przestrzeni tylko 1500 sążni wzdłuż i tyleż wszerz, leżały trupy ludzi i koni pobitych, strzaskane łoża, wozy amunicyjne i broń ręczna tak gęsto, jak mi się później nigdy nie zdarzyło widzieć, nawet w bitwie lipskiej. Śmierć tu odbyła okropne żniwo swoje. Leżeli tu zmięszani Francuzi z Rosyanami; świeże ich rany szczególnie od kul armatnich, w rozmaitych postaciach, przerażały umysł nie dość zahartowany na takie widoki. Osobliwie w bliskości szańców powyższych i wielkiej bateryi zamkniętej na lewo Borodyna, widoczne były ślady najzaciętszej walki. Rowy literalnie zapełnione były poległymi, a przystęp do nich zasłany również trupami tak, iż po nich sądzić było można o kierunku nacierających kolumn. Przy borodyńskiej bateryi, której przedpiersia od kul i granatów zatarte i od kopyt nacierającej jazdy zdeptane były, widać było olbrzymie postacie kirasyerów francuskich, saskich i polskich, którzy niesłychanem w dziejach jazdy natarciem, szaniec ten zdobyli. Jakiś dziwny wyraz namiętności i odwagi jaśniał jeszcze na tych, ranami zoranych i skurczonych twarzach. Tu zginęli jenerałowie Montbrun i Caulinwurt na czele swoich żelaznych hufców. Odznaczały się także ogromnością ciała pobitej gwardyi i jazdy rosyjskiej, leżącej na linii bojowej.

Na tem to pobojowisku stały zwycięskie bataliony francuskie, kurzem wczorajszym jeszcze okryte, z ustami poczernionymi od prochu, z bagnetami gdzieniegdzie od kul skręconymi, w znacznie przerzedzonych rotach. W niektórych naliczyłem ledwie po 200 ludzi obecnych koło orła, lecz orzeł świetny po takiem zwycięstwie, wśród takiego spustoszenia pięknie odbijał nad temi ogorzałemi twarzami. Jeszcze wiele rannych nie opatrzonych leżało pomiędzy poległymi. Tych wyszukiwano i odnoszono w tył batalionów. — Również i jazda w słabych szwadronach po kilkadziesiąt ludzi tylko, uszyła na polu bitwy. Straty, jakie poniosła, dotkliw-

szemi jeszcze były aniżeli piechoty. I tak naprzykład brygada ciężka jenerała Theilmana, z dwóch pułków kirasyerów saskich i 14-ego polskich kirasyerów złożona, straciła tegoż dnia 41 oficerów i 500 żołnierzy w zabitych i rannych.

Wedle wiadomości powziętych na miejscu, nie zaś podług kłamliwego 18. buletynu, strata z francuskiej strony doszła do 40.000 ludzi zabitych i rannych: pomiędzy ostatnimi było 30 jenerałów. Zginęli jenerałowie: Montbrun, Caulinwurt, Plauzonne, Huart, Compère, Marion, Lanabère i hr. Lepel. Między rannymi znajdował się marszałek Davoust.

Ze strony rosyjskiej przyznano 50.000 ludzi całej straty (ob. Buturlina). Zginęli lub z ran umarli: jenerałowie Bagration i Tuczkow I., Kutaisow i Tuczkow IV.; prócz tych mieli 9 jenerałów rannych. Pod tym więc względem porównywając stratę jazdy, Francuzi więcej ucierpieli; ostatnia bowiem nie łatwo dała się powetować.

W tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni najstarsi wojskowi nie pamiętali tak wielkiego pogromu, a nawet bitwa pod Ellau w żadne z Możajską nie może iść porównanie; ta bitwa za najkrwawszą od czasu wynalezienia prochu uważaną być może.

Piechota rosyjska nazajutrz znajdowała się w zupełnej dezorganizacyi i wedle wszelkich wiarogodnych podań prawie wszystkie bataliony były rozprzężone i pomięszane, i gdyby nie karność nadzwyczajna tego wojska i pomoc kozaków, najokropniejsze stąd skutki dla Rosyi wyniknąć mogły. Francuskie wojsko tak ciężkiej próby nie byłoby wytrzymało; dowodem przegrana Waterloo. Kilka dni po bitwie piechota rosyjska, nie będąc pogonią parta, przyszła do należytego porządku; i wszędzie, gdzie nam stawiła czoło, z równą jak pierwej potykała się stałością, żadnego chorego, ani marudera nie zostawiając za sobą.

W piechocie francuskiej uskarżano się na straty od szrapneli, gatunku kul wydrążonych, które nabite prochem, pękając rozrzucają ołowiane kule na podobieństwo kartaczy.

Ten nowy rodzaj pocisków udzielony był Rosyanom przez Anglików.

Dnia 8. września około południa, furażery nasze, szukając strawy dla koni w pobliskich wioskach, napadnięci zostali od kozaków, którzy ich spłoszyli i do obozu zapędzili. Powstał stąd zgiełk i wołanie do broni, które się powtórzyło na linii francuskiej; lecz wkrótce dowiedziano się o przyczynie tego alarmu i wszystko do spokojności wróciło.

Wrażenie, jakie bitwa możajska po sobie żołnierzowi zostawiła, nie było wcale pocieszające; po tylu stratach w pochodach i w bitwie, jakież to były odniesione korzyści, gdzież chorągwie, gdzie działa zdobyte, gdzie niewolnicy? Podobnych trofeów armia prawie żadnych nie zdobyła, prócz kilkadziesięciu dział zdemontowanych, zostawionych w szańcach. Na tem cała korzyść! Wojsko rosyjskie na pozór nienaruszone, nie straciwszy ani jednego polowego działa, zniknęło z naszych oczów pod zasłoną lekkiej jazdy, zostawiając Napoleona w niepewności, czy nie raczej ku Kałudze aniżeli ku Moskwie obróciło się. Zamiast więc radości pewien rodzaj osłupienia ogarnął umysły wojska. Odtąd przestano o powodzeniach myśleć, i tylko nowe trudy i przyszłe klęski zaczęły się marzyć.

Dnia 8. września przed wieczorem zaczęliśmy posuwać się zwolna za cofającym się nieprzyjacielem i wkrótce wynużywszy się z zarośli na otwarte pole, ujrzeliśmy jego straż tylnią na pochyłości pod miastem Możajskiem, ucierającą się z francuską jazdą. Ze stanowiska naszego widziałem dokładnie uszykowane linie jazdy rosyjskiej, zakryte chmarą kozaków, a w dolinie po za Możajskiem tłumy piechoty, szybko ustępujące z liczną artyleryą i powózkami. O pół mili od Możajska, 5. korpus rozpalił swoje ognie i urządził się na noc. Nam szczęśliwym trafem dostała się pieczeń barania, dość rzadki specyał podówczas, kiedy wojsko na pobojowisku zabite konie już piekło.

Następnych dni książę Poniatowski, zajmując zawsze prawe skrzydło wielkiej armii, posuwał się ku Moskwie, nie

spotykając nigdzie innych większych oddziałów prócz natrętnych zawsze kozaków, na Fomińskoje dnia 9-go września, gdzie dostaliśmy się na trakt, z Kaługi przez Borowsk prowadzący ku Moskwie.

Na tej drodze zwolna postępując nie doznaliśmy żadnego oporu i z większą aniżeli wprzód łatwością, potrzeby nasze z kraju wybieraliśmy. Z Fomińskoje szliśmy na Burtsowo, Charopowo i dnia 13. obozowaliśmy pod Łyhową o 22 wiorst od stolicy. Wielka armia postępowała jak zwykle, w jednej kolumnie głównym traktem smoleńskim. Wicekról włoski ze swoim korpusem szedł na Roużę i Zwenigród.

Zdawało się wszystkim, iż Kutuzow bez stoczenia drugiej bitwy nie wpuści nas do stolicy. Jakoż w rzeczy samej przygotowania do niej porobił w obozie, który mocnymi szańcami obwarował. Lecz to była tylko zręczna demonstracya dla pokrycia ważniejszego planu. Tu bowiem postanowił opuścić stolicę, wyprowadzić z niej mieszkańców, i zwrócić się z całą armią na trakt kałuski, skąd zagrażał komunikacyi ze Smoleńskim.

Rostopczyn, gubernator Moskwy, spaleniem miasta uzupełnił ten plan, tak dla nas zgubny; nietylko nas bowiem pozbawił zasobów tego zamożnego miasta, lecz winę spalenia Moskwy na nas złożywszy, wystawił nas w oczach narodu ruskiego za barbarzyńców, za podpalaczy i gwałcicieli wszelkich praw ludzkich i boskich, i przez to klasy nieoświecone narodu podburzył do wojny świętej za religię i cara.

W tym stanie rzeczy dnia 14. września otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia ze stanowiska pod Łykową i zbliżenia się ku stolicy. Wszelkie zachowano ostrożności w tym marszu, każdy się bowiem tego dnia bitwy spodziewał. O 10 wiorst od miasta natrafiliśmy w bok drogi na pole, najdzwyczajnie piękną marchwią zasadzone, którą wielu nas zasiliło się, nie myśląc o tem, iż za dwie godziny wynosić nam będą ananasy i konfitury kijowskie z pałaców opuszczonych bojarów rosyjskich. Lasek nie wielki zakrywał nam jeszcze widok stolicy.

Wychodząc z niego na wzgórze, zwane Worobiejskie gory, czyli Góra wróbli, przedstawiła nam się nagle panorama tego ogromnego miasta. Każdy z nas uderzony tym nadzwyczajnym widokiem, zatrzymał się i zawołał z radością i zachwyceniem: Moskwa! Moskwa! otóż cel naszych usiłowań.

Nim przystąpimy do opisania dalszych zdarzeń, nie zawadzi kilka słów poświęcić samemu miastu.

Opis Moskwy.

Widok Moskwy zdaje się być nowym i dzikim dla każdego cudzoziemca. Olbrzymie to miasto zabudowane jest nieregularnie i ma kształt prawie okrągły. Wystawione było bez żadnego planu i porządku na wzgórzach pomiędzy rzekami Moskwą i Negliną. Tu widać ogromne budowle, zajmujące tyle miejsca, ile niektóre miasta prowincyonalne; tam kościoły i kaplice wybudowane w najdawniejszym stylu bizantyjskim, obok lichych domów drewnianych, a częstokroć puste place zarosłe trawą i krzewinami; stąd pochodzi wyrażenie się księcia de Ligne o Moskwie, iż zdaje się, jakby paręset bojarów zabrało się z pałacami swymi wiejskimi i okolicznemi siołami i mieszkańcami, i tu za umówionym znakiem osiadło razem. Ulice są długie, szerokie, lecz zawsze kręte i źle brukowane; po przedmieściach znajdują się i takie, które nakształt gościńców i grobel, pokładane są deskami przybitemi do belek. Około każdego prawie domu czy pałacu, a osobliwie na przedmieściach, leżą wielkie ogrody angielskie lub warzywne, które całemu miastu postać ogromnej raczej wsi, jak miasta europejskiego nadają. Wśród tej zieloności błyszczy tysiąc kopuł i wież pozłacanych nakształt małych balonów. Obwód miasta Moskwy jest większy od obwodu każdego innego miasta, wyjąwszy Londynu, ma bowiem 40 wiorst czyli 6 mil w rozwinięciu. Ludność jego nie odpowiada tak wielkiej przestrzeni; licząc ją w lecie do 300.000, a w zimie do 400.000 dusz. Różnica ta stąd pochodzi, iż panowie moskiewscy mieszkają tylko w zimie w mieście i sprowadzają z sobą liczne orszaki, tudzież, iż zwyczajem jest po prowin-

cyach, zjeżdżać się zimą dla dogodnej sannej drogi do miasta i tam kończyć wszystkie interesa.

Niemasz zapewne żadnego miasta, któreby miało tyle kościołów, kaplic i klasztorów co Moskwa. Sorok soroków, czyli 40 razy 40, lub 1.600, jest liczba przyjęta pomiędzy ludem dla oznaczenia ilości kościołów i kaplic w Moskwie. Rzeczywiście liczba kościołów do 400 dochodzi, monasterów 21, kaplic 640. Wszystko jest budowane na jeden sposób; kaplice jak i kościoły mają po pięć kopuł; największa znajduje się w pośrodku czterech innych, które stanowią czworobok. Kopuły te obite są cynkiem, miedzią, blachą i malowane rozmaitymi kolorami, lub też czasem pozłacane, albo gwiazdami złocistemi obsypane, co sprawia osobliwszy widok, skoro słońce rzuca na nie swoje promienie.

Miasto Moskwa budowane było na wzór miast azyatyckich i dzieli się na cztery części:

Pierwsza część zowie się Kremlin, które nazwisko pochodzi ze słowa tatarskiego *krem* albo *krim*, znaczącego forteca. Zajmuje środek miasta tudzież część jego najwyższą; ma kształt doskonałego trójkąta i otoczoną jest z jednej strony rzeką Moskwą, z drugiej rzeką Negliną, a z trzeciej murem, mającym po bokach okrągłe i kwadratowe wieże, a uwieńczonym koronką z strzelnic. Kremlin składa się z samych pałaców, gmachów i kościołów; wznosi się pomiędzy nimi pałac carów. Jest to ogromne zabudowanie, składające się z kilkunastu oddzielnych części, bez żadnego planu wystawionych. Szczyt jego, nad którym wznosi się kilkanaście małych, pozłacanych globów, dziwny przedstawia widok. Wchodzi się do pałacu wielkiemi kamiennemi schodami, zwanemi krasnoje kryłtso, czyli czerwone schody, idącemi ukośnie i źle urządzonemi, lecz bardzo sławnemi zabójstwem Naryszkinów, tudzież wielu innych bojarów moskiewskich, których strelicowie ze świata sprzątnęli. Pokoje są małe co do obszerności, niemasz w nich nic znakomitego prócz sali audyencyonalnej, w której przyjmowano niegdyś wielkich posłów. Za panowa-

nia Pawła I. odnowiono i wyporządzono pokoje, lecz naprożno usiłowano uczynić je godnemi jakiego monarchy. Sam tylko skarbiec zasługuje ną niejaką uwagę. W bliskości starożytnego pałacu carów znajduje się gmach, zwany granowitaja pałata, którego konstrukcya dziwaczna i azyatycka bardziej zadziwia jak pododać się potrafi. Należy do najdawniejszych pomników tego starożytnego grodu i czasy Iwana Grożnego dobrze przypomina. Oprócz tych gmachów potężnych Kremlin zawiera tylko kilka cerkwi i monasterów, mianowicie: katedrę Wniebowzięcia, Uspenskij sobor, monaster tżudowski, monaster woznesenski, kościół Archanioła Michała i sławną wieżę św. Iwana, która jak olbrzym panuje nad całym Kremlinem i blaskiem pozłacanej kopuły do balonu podobnej, z wielkim błyszczącym krzyżem u wierzchu o kilkanaście wiorst postrzegać się daje. W tej sławnej wieży widać także dzwon, mający 40 stóp i 9 cali obwodu, a ważący 3.531 pudów, czyli 142.040 funtów. Dawniej w pobliskiej dzwonicy był taki dzwon, który ważył 12.000 pudów, czyli 432.000 funtów, lecz w roku 1737 w czasie pożaru dzwonicy urwał się i utkwił w ziemi, skąd go dotychczas jeszcze nie wydobyto. Wspomnieć tu jeszcze trzeba o sławnej bramie Spaskiej, czyli Zbawiciela, prowadzącej z Kremlina do pięknego rynku czerwonego (krasnaja płoszczad), przez którą nikt, sam car nawet nie przechodzi, nie odkrywszy głowy.

Druga część nazywa się Kitaj gorod, czyli Chińskie miasto, przezwane w ten sposób od czasów Mongołów, mających jak wiadomo stosunki z Chinami. Ta część dość foremnie i prawie tylko z kamienia zbudowana, rozciąga się pomiędzy rzekami Moskwą i Negliną, i odgraniczona od Kremlinu murem, wyżej opisanym. Wchodzi się do niej z Kremlinu Spaską bramą. Część ta nierównie jest większa od pierwszej, znajduje się w niej: drukarnia, giełda i wszystkie sklepy kupieckie na dole pod arkadami w obszernym budynku, zwanym Gostinnoj

Do najpiękniejszych ozdób tej części miasta bezwątpie-

kościół Wasili błagennoj (błogosławionego Bazyla),

o kilka kroków bramy Spaskiej, w południowej stronie czerwonego placu (krasnaja płoszczad) położony, który po Kremlinie najbardziej zwraca na siebie uwagę i najważniejszym jest zabytkiem z czasów Wasilów i Iwanów; niemniej zasługują na wspomnienie bronzowe pomniki Minina i Pożarskiego, tych dwóch dzielnych obywateli, którzy, gdy cały naród poddawał się władzy Władysława IV., obudzili w nim ducha narodowego i na czele zebranych na prędce hufców walcząc, odparli naszych przodków.

Trzecia część nazywa się Biełgorod czyli białe miasto, które to imię pochodzi od dawnego muru z kamieni białych, którym była otoczona, a którego widać jeszcze niejakie ślady. Stanowi ona granicę Kremlina z jednej strony a Kitajgroda z drugiej. W tej części leży gmach uniwersytetu i mnóstwo kościołów; również znajduje się ogromny gmach, przeznaczony na schronienie i wychowanie sierot i podrzutków.

Nakoniec czwarta część, która otacza wszystkie inne, jest Zemłoj gorod, czyli miasto ziemne, tak nazwane z powodu szańców, które je otaczają. Oprócz tego znajdują się jeszcze słobody, czyli przedmieścia, których jest trzydzieści. Wyjąwszy kilka kościołów i pałaców, reszta wydaje się jakby wioski, do których żadne interesa nie sprowadzają cudzoziemca, chyba czasem tylko do przedmieścia nazwanego Niemiecką Słobodą, gdzie mieszkają rzemieślnicy zagraniczni.

Rzeka Moskwa płynie przez miasto, któremu dała swoje nazwisko. Spławna jest tylko na wiosnę, albowiem natenczas roztopy śniegów i deszcze zimowe wzbierają jej wody; w innym zaś czasie samemi tylko tratwami płynąć po niej można. Neglina i Zura, wpadające do rzeki Moskwy w samem mieście, są małymi strumykami, które w lecie zupełnie wysychają. Na tych trzech rzekach znajdujemy wiele mostów drewnianych i kamiennych, dla ułatwienia związku pomiędzy różnemi częściami miasta. Po za murami i okopami tego olbrzymiego miasta znajdujemy jeszcze wiele monasterów i pałaców. Pomiędzy niemi odznaczają się pałac Petrowski, mo-

naster Nowoj Dewicze, od którego ogromy plac przy nim leżący Dewicze pole przezwany; monastery Matki Boskiej Dońskiej, św. Daniela, św. Simona, Nowospaskoi, Pokrowskoi, Androniew i inne, które prawie wszystkie obwiedzione są murami i przypominają walki z Tatarami i Polakami.

Ulice w Moskwie utrzymywane są bardzo nieczysto, czemu winien niedostatek bruku w wielu miejscach; zewnętrzna postać domów niema żadnego gustu i upstrzona jest rozmaitemi ozdobami, kolumnami, frontonami, posągami, naśladowanymi ze stylu greckiego i t. p. W domach bojarów, możniejszych panów, przepych największy; znajdujemy w nich obszerne biblioteki, muzea obrazów, zbiory kosztownej broni, gabinety medalów, sale koncertowe, teatralne; oranżerye, treibhauzy, ananasarnie; stajnie i wozownie napełnione są wschodnimi i angielskimi końmi i powozami. Ludność służebna takiego domu składa się czasem z kilkuset osób obojej płci, w ubiorze codziennym mużyków, prowadzących życie najgnuśniejsze, których stan niewoli przywiązuje na zawsze do familii bojarskiej, w której zapisani.

Miasto Moskwa, chociaż o sześć stopni bliżej południa leży, aniżeli Petersburg, doznaje jednakowoż tak tęgich mrozów jak i to miasto. Są takie zimy w których ciepłomierz Reamura pokazywał 30 do 32 stopni niżej zera. Największy upał dochodzi do 32 stopni. Lato jest daleko piękniejsze aniżeli w Petersburgu i przez cały ciąg roku mniej deszczu pada.

Mieszkańcy Moskwy zachowali narodowy skład twarzy i ubiór. Lud prosty »czornoj narod« (czarny naród) przezwany, co do sposobu życia i ubioru w niczem się nie różni od zwykłego mużyka (chłopa), czyli krestianina; cała jego familia mieszka w jednej izbie ogrzanej, albo raczej okopconej dymem. Żywność ich jest także jednakowa; składa się z suszonych ryb, suchych grzybów, chleba, ogórków, kapusty, czosnku, a w dnie świąteczne z mięsa, pirogów; lubią pić kwasy i herbatę, posty ściśle obserwują i w czasie tychże mleczywa ani jaj nie używają. Łóżek nie znają; w zimie na

piecach, w lecie na ławkach sypiają, wszyscy prawie nałogowo pijaństwu oddani. Kupcy i mieszczanie (grażdanin), mieszkają wygodniej, ubiór noszą długi azyatycki, nakształt kaftana z sukna (podczas gdy chłopi w zimie w kożuchach, w lecie zaś w płóciennych kolorowych bluzach, ściśniętych pasem, chodzą); brody długie zachowują jak i chłopi; co do stołu, te same mają przysmaki co i pierwsi; u możniejszych znaleźć można najprzedniejsze wina greckie, wędliny, ryby wytworne, kawiory, drogie herbaty i t. d. i t. d. Narodowe potrawy i napoje mają jednakże u nich pierwszeństwo.

Żony ich najnieczynniejsze prowadzą życie i rzadko się pokazują. Stosunek ich do męża jest prawie podobny do stosunku kobiet na wschodzie. Namiętnie lubią tak jak one kąpiele parne, widowiska i przepych w ubiorach.

Jest rzeczą pewną, iż już w roku 1147 kronikarze wspominają Moskwę, która od założenia swego różnych klęsk doznawała. Pod panowaniem Dymitrego Dońskoj roku 1366. panowało powietrze, które większą część ludności wytępiło. — W tym samym roku pożar okropny obrócił w perzynę części miasta Kremlinu, Popad, Zagorodie i Zareckie, z drzewa ówcześnie zbudowane.

Pod tym samym wielkim księciem, roku 1382. Toktumowicz, chan tatarski, zdobywa podstępem Moskwę i płomieniom na pastwę oddaje.

Roku 1547. pod panowaniem cara Iwana IV., Moskwa prawie zupełnie zgorzała, a w roku 1602. za panowania Borysa Godunowa, okropnego głodu doznała; 127,000 ludzi padło ofiarą.

Lecz najokropniejszą klęskę poniosła Moskwa od Polaków pod Gąsiewskim dnia 29. marca 1611 roku, którzy dla obrony własnej od zbuntowanego ludu podpalili miasto, a sami w Kitajgorodzie i Kremlinie się obwarowali. Reszta miasta poszła z dymem w przeciągu trzech dni. Do 100.000 mieszkańców różnego stanu i wieku, śmierć w gruzach znalazło.

Roku 1771, za panowania Katarzyny II., powietrze miasto nawiedziło i okropne w ludności sprawiło spustoszenie, bo 50.000 ludzi wymarło. — Nowa a może większa jeszcze klęska miała to miasto pochłonąć. Dnia 14. września około godziny 2. popołudniu weszliśmy do Moskwy przedmieściem kałuskiem. Dywizya jazdy w przedniej straży, piechota w porządku za nią. Postępowano zwolna, z wszelkiemi ostrożnościami, które nakazywało położenie nasze. Część miasta, którą przechodziliśmy po większej części była drewniana, z lichych niskich domków złożona. Przedmieście było nierównie piękniejsze. Po obu stronach szerokiej drogi, w pięknych malowniczych ogrodach i podwórzach widać było przepyszne dworce bojarów rosyjskich. Lecz jak pierwsze tak i ostatnie były zupełnie wyludnione. Gdzieniegdzie tylko widzieć było można policyantów lub mużyków moskiewskich z otrętwiałą lub pijaną twarzą, snujących się po ulicach i przypatrujących ciekawie naszemu wojsku. Przednia straż zbierała pojedyńczych żołnierzy ruskich, także pijanych lub znużonych, którzy się odłączyli od swoich pułków, i tych pod straż piechoty oddawała.

Nie dochodząc do Biełgorodu spotkaliśmy naprzeciwko nas jadącego w dorożce wyższego oficera rosyjskiego w mundurze bez szlif i bez szpady, okrytego ozdobami i krzyżami, który nam się zdał na łaskę. Nazwał się księciem Wisapur i mianował się pułkownikiem w odstawce. Sposób zdania się jego i nazwisko dziwnie indyjskie, wzbudziło nieufność. Oddano go pod straż i polecono kapitanowi inżynierów Valentin d'Hauterive, aby miał nad nim czujne oko. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że był właścicielem pięknego domu w Moskwie. Zaprowadził doń kapitana d'Hauterive i pod jego okiem kosztowniejsze rzeczy z domu swego pozabierał, konia pięknego perskiego dozorcy swemu darowawszy. On to pierwszy objaśnił nas względem zamiaru wyludnienia miasta i spalenia [illegible] rozkaz gubernatora, hrabiego Roztopczyna. Tego [illegible]zora skutki tego rozkazu w odleglejszych od

nas częściach miasta dały się uczuć. Z Góry wróblej widzieliśmy kłęby dymu wznoszące się na przedmieściach; te pochodziły z wysadzonych magazynów prochowych i pracowni ogni wojennych, które artylerya rosyjska przed wyjściem zapaliła. W nocy pojedyńcze pożary dowodziły coraz bardziej, iż zamiar spalenia miasta nie był urojonym. Przy łunie tych ogni przepędziliśmy noc na przedmieściu Riazańskiem, nie rozbierając się i zachowując wszelką ostrożność. Żołnierze nasi, obficie opatrzeni w żywność w domach bojarskich zdobytą, całą noc gotowali i posilali się. Niektórzy herbatę gotowali gęsto i słoniną krasili, inni rozsądniejsi, o przyszłość pamiętniejsi, w pożywniejsze wiktuały zaopatrywali się. Nad ranem wszedłem w środek miasta i znalazłem się w Kitajgrodzie, wśród żołnierzy gwardyi francuskiej, wytaczających beczki wina z piwnic i dobrze już podochoconych. Około godziny 9. z rana dostałem się Spaską bramą do Kremlinu, i kupca rosyjskiego spotkawszy, dałem mu się oprowadzać po gmachach carskich. O godzinie 10. cesarz z gwardyą przyboczną wszedł do Kremlinu. Widok tak pięknego wojska wprowadził w zdumienie mego przewodnika. Obejrzawszy się w tej części miasta, udałem się do gościnnego dworu, czyli bazaru, gdzie były składy opuszczone kupców rosyjskich. Pożary pojedyńcze coraz groźniejszymi się stawały; już ogień podłożony przez policyantów i złoczyńców, wypuszczonych w tym celu z więzień, zbliżał się do bazaru. Korzystając z chwili, gdzie jeszcze przystęp był wolny, wszedłem do sklepów i pierwsze lepsze futro z wilków i cokolwiek żywności w herbacie, cukrze, kawie, krup i ryżu zabrawszy, powróciłem do stanowiska naszego na przedmieściu Riazańskiem, około południa. Zastałem tam wojsko nasze pod bronią, sposobiące się do dalszego pochodu. Wielu oficerów i żołnierzy nosiło na sobie ślady nocnych bankietów. Nawet jenerał naszej artyleryi Pelletier i oficerowie francuscy: Mallet, Bontemps i inni dobrze podochoceni byli i w bulliotę grali. Dowiedziałem się, że całą noc ponczem z araku i ananasów posilali się. Pelletier ciągle wołał »pić«

i szklanki nie puszczał z ręki. Nasz jeniec wczorajszy, książę Wisapur dzielił tę ochotę, wszakże przytomniejszym zdawał się od drugich i pilnie uważał na każde słowo. »Kiedy ujrzę tego wielkiego człowieka!« co chwila powtarzał i prosił, ażeby go do głównej kwatery odprowadzono, ażeby się mógł widokiem Napoleona nasycić. Tak dziwne żądanie w tej chwili wzbudziło jeszcze bardziej podejrzenie. Uczyniono jednak zadość jego życzeniu i w rzeczy samej odprowadzono go do sztabu głównego cesarskiego. Nie wątpiliśmy, że był szpiegiem zostawionym przez Rosyanów, dla uważania naszych poruszeń. Później okazało się jednak, żeśmy się na nim omylili. Po wyjściu bowiem Francuzów z Moskwy, wróciwszy do swoich został aresztowany, pod sąd oddany, i nieostrożność swoją w stosunkach z nami przypłacił wysłaniem na Sybir.

Dnia 15. września o godzinie 3. popołudniu wyruszyliśmy w pochód za ustępującym przed nami wojskiem rosyjskiem. Król neapolitański objął komendę nad przednią strażą francuską i nas do tejże wcielił. Jenerał Sebastiani po śmierci jenerała Montbruna objął dowództwo nad jego korpusem jazdy, a w miejsce jego jenerał dywizyi Lefebre Decenotte, pułkownik strzelców konnych gwardyi, otrzymał komendę naszej dywizyi jazdy, złożonej z 4. i 5. pułku strzelców konnych, z 13. huzarów i 12. ułanów, i bateryi o sześciu działach artyleryi konnej. Postępowaliśmy traktem riazańskim ku Pankom i Bronicy. Marsz nasz oświecała łuna pożaru Moskwy. Widziałem tylko początek tego okropnego pażaru, niemógłbym więc jako świadek naoczny opisać zdarzenia, które tak wielki wpływ wywarło na losy tej wojny. Segur, Champray i Buturlin wyczerpali w swoich opisach wszystkie szczegóły tego wypadku; odsyłam czytelnika do tych dzieł. Niemasz w nich nic przesadzonego.

Pożar trwał przez dnie: 16. 17. i 18. września z gwałtownością niepohamowaną, pomimo czynnego ratunku ze strony Francuzów. Lecz uprowadzenie sikawek przez Rostopczyna odjęło wszelką możność ocalenia miasta. Dnia 19-go

ogień począł wolnieć; dnia 20. ustał zupełnie. Kremlin ocalony został, lecz dziewięć dziesiątych części miasta zgorzało i połowa kościołów.

Dnia 20. cesarz, którego gwałtowność ognia zmusiła do opuszczenia Kremlina i schronienia się do pałacu Petrowskiego na przedmieściu, mógł wrócić do Kremlina i tam założył swoją główną kwaterę.

Tymczasem Kutuzów poruszeniem swojem na trakcie riazańskim zwiódł zupełnie króla neapolitańskiego; bowiem dnia 16. przeprawił się przez rzekę Moskwę pod Miaczkowem, i pod zasłoną rzeki Pachry zwrócił się marszem flankowym ku Podolskowi; stamtąd udał się dnia 19. pod Krasnoją Pachrę na trakcie starym kałuskim i stanowisko swoje oszańcował, zostawiwszy naprzeciw Murata korpus z jazdy i kozaków złożony, dla obserwacyi jego poruszeń. — Król neapolitański w niewiadomości tego ważnego obrotu posunął się do miasta Bronicy i tam główną kwaterę swoją założył.

Nasz 5. korpus pod Pankami mosty zastał zrócone i naprawiwszy je, postępował dalej ku rzece Moskwie, zasłaniając prawe skrzydło króla Neapolitańskiego.

Mieliśmy przed sobą tylko oddziały kozaków, które zdawały się na to przeznaczone, ażeby nam fałszywy pokazać kierunek pochodu nieprzyjacielskiego wojska. Doszedłszy do rzeki Moskwy król przekonał się o swoim błędzie i zwrócił się ku Podolskowi.

Nie dochodząc do Panków, odebrałem rozkaz pełnienia służby oficera sztabowego przy jenerale dywizyi Lefebre Decenotte; zdaje mi się, iż zmiana ta w służbie mojej nastąpiła dnia 16. września.

Jenerał Lefebre Decennotte był człowiekiem młodym, liczył bowiem lat dopiero 35. Znany był w armii z świetnej odwagi, lecz nie uchodził za oficera doświadczonego ani roztropnego. Dał tego dowody w roku 1809, kiedy z kilkoma szwadronami pułku swego strzelców konnych gwardyi przepłynął rzekę Cea pod Benavente w Hiszpanii wobec 4.000

jazdy angielskiej i obskoczony przez nią dokoła, dostał się do niewoli, utraciwszy część pułku. Niedawno powrócił z niewoli angielskiej i tu była pierwsza komenda jego po tym przypadku. W sztabie jego znalazłem kapitana francuskiego Dautan'a, pełniącego służbę adjutanta; kapitana ze sztabu polskiego, Łętowskiego; porucznika adjutanta Alberta Grzymałę i porucznika inżynierów Hincza. Szefem sztabu dywizyi był pułkownik Strzyżewski, z kampanii roku 1809 dobrze zasłużony oficer. Brygadami dowodzili: książę Sułkowski i hrabia Tadeusz Tyszkiewicz. Pułkami: 4-tym strzelców pułkownik Dulfuss: 5-tym strzelców Kornatowski; 13-tym huzarów, Teliński; 12-tym ułanów, Ryszczewski; artyleryą konną kapitan Romański. Cała ta dywizya nie liczyła więcej jak 1.600 koni i te już bardzo osłabione.

Dnia 24. września 5. korpus zajął miasto Podolsk; król neapolitański z jazdą i legią nadwiślańską nazajutrz, to jest 25. września, złączył się z nami.

Dnia 28. września stanęliśmy obozem pod wsią Nemczyno, o kilka wiorst od traktu z Podolska do Czarykowa. Przednia straż nasza, złożona z jazdy, posunęła się pod Krasnoją Pachrę; w miejsce, gdzie przed kilku dniami stała w obozie oszańcowanym główna armia Kutuzowa. Jenerał Wasilczykow z huzarami gwardyi i kozakami ukryty za laskiem wbok Krasnoi Pachory, uderzył niespodzianie na dwa szwadrony 5-go pułku strzelców konnych, które się pod obóz podsunęły i zmusił ich do odwrotu. Jazda nasza wsiadła na koń i odparła ten atak. Forpoczty nasze zajęły napowrót wieś Krasnoje. Dywizya jazdy i sztab stanęły we wsi Kuzieniewo. Dywizye 16. i 17. obozowały w prawo wsi Nemczyna. Główny trakt z Moskwy do Kaługi przechodzi przez Krasnają Pachrę. Rzeka Pachra zakrywała to stanowisko obronne. Wielka reduta zamknięta na wzgórzu i dwie mniejsze baterye po prawej stronie reduty usypane, utwierdzały to z natury mocne stanowisko. Dwa laski na prawym skrzydle i głęboki parów przed redutą położony zakrywał front i skrzydło prawe. Łąka

bagnista po lewej stronie reduty, z tej strony także broniła przystępu.

Kutuzow w tem stanowisku nietylko że mógł dzielny dać opór głównej armii francuskiej, lecz naprowadziwszy na nią króla neapolitańskiego, który miał przy sobie tylko trzy dywizye polskiej piechoty, około 9.000 ludzi i 10 do 11.000 jazdy, mógł ciężką zadać mu klęskę. Lecz ostrożny wódz nie chciał przebudzać Napoleona ze snu, dla Rosyan tak zbawiennego, wolał go zostawić przy swojem złudzeniu i czekać, aż mrozy przymuszą go o powrocie myśleć. Opuścił więc oszańcowaną pozycyę swoją i cofnął się traktem kałuskim aż do pozycyi, pod strategicznym względem nierównie korzystniejszej, skąd i Kaługę zakrywał i komunikacyom francuskiej armii zagrażał. Pozycya ta wybrana była za rzeką Narą, pod wsią Tarutyno. Tam zgromadziwszy wszystkie swoje siły stanął dnia 2. października obozem, w dziejach wojny osławionym. Stąd pierwszy potężny cios zadał niezwyciężonemu dotąd wodzowi.

Bitwa Czarykowska.

Dnia 29-go września piąty korpus wyruszył z obozu pod Nemczyno i posunął się o 7 wiorst pod wieś Czaryków, leżącą w małem oddaleniu od głównego traktu kałuskiego. Zastaliśmy tam na pozycyi tylną straż rosyjską pod jenerałem Miłoradowiczem i Ottermanem. Król neapolitański, który szedł wprost na Woronowo, spotkał się z ostatnim, 5-ty korpus miał sprawę z jenerałem Miłoradowiczem. Droga z Nemczyna do Czarykowa prowadzi przez las; wychodząc z niego na równinę otoczoną lasami, na której leży wieś Czaryków, ujrzeliśmy jazdę nieprzyjacielską w przewyższającej nierównie nas sile, uszykowaną za wsią i sięgającą lewem skrzydłem poza trakt, z Moskwy do Kaługi prowadzący. Wieś Czaryków i lasek po lewej stronie zajmowali strzelcy rosyjscy; artylerya liczna stała na pochyłości w środku. Jenerał Lefebre Decenotte uszykował dywizyę swoją w dwie linie, i artyleryi konnej kazał odprzodkować. Zaledwie artylerya rozkaz ten wypełniła, nieprzyjaciel ze wszech

stron uderzył na naszą jazdę, lecz silnie odparty został ogniem naszych dział i atakiem dwunastego pułku ułanów i szwadronu piątego pułku strzelców. Po kilkakroć atak ten przypuszczony został z jego strony, lecz zawsze skutecznie odparty; za nadejściem naszej piechoty cofnął się do swego stanowiska za wsią, które dla niego ważnem było, bo zasłaniało wielki gościniec, do Kaługi prowadzący, na którym cała jego armia w masie się znajdowała. Książę Poniatowski rozpoznawszy położenie nieprzyjaciela, wysłał zaraz dwa bataliony dla opanowania wsi i zajęcia lasku; w środku zaś stanowiska swojego kazał postawić kilka dział, obsadziwszy piechotą las wielki za sobą, po prawem i lewem skrzydle. Brygada jazdy Tyszkiewicza z artyleryą konną stanęła na prawem skrzydle, ku głównej drodze kałuskiej; brygada księcia Sułkowskiego została w odwodzie bliżej środka. Skoro wieś Czyryków i lasek mały zajęte zostały, nieprzyjaciel trzema pułkami jazdy atak przypuścił do artyleryi naszej w środku ustawionej. Lecz książę Sułkowski na czele trzech szwadronów tak szczęśliwie i skutecznie na jazdę nieprzyjacielską uderzył, iż nietylko ją odparł, ale nadto znaczną klęskę zadał: mianowicie pułkowi ułanów rosyjskich. Wówczas dopiero nieprzyjaciel rozwinął wszelkie swoje siły dla wyparcia nas ze stanowiska. Wieś była kilkakrotnie atakowana, teraz przez świeże wojska, które ciągle z naszej strony odpartemi były.

W lasku także, który liczne kolumny nieprzyjacielskie napełniać zaczynały, gdy niezmiernie w przewyższającej sile, mając przed sobą i po bokach mnóstwo strzelców, brzegów jego doszły i wychodzić na równinę poczęły: rozkazał książę Poniatowski piechocie naszej pójść na bagnety, a księciu Sułkowskiemu z trzema szwadronami z boku uderzyć. Tu nastąpiło bliskie bardzo zwarcie się z nieprzyjacielem, który znaczną poniósłszy stratę, odpartym został napowrót ku laskowi. Ogień działowy i ręcznej broni trwał w tem miejscu do godziny 8. wieczór. Nasza piechota brzeg lasku utrzymała. —

Gdy się to dzieje w środku i na lewem skrzydle, nieprzyjaciel w 3.000 koni i 10 dział, nieustannie usiłuje wpaść w prawy bok naszego korpusu, ale waleczność brygady Tyszkiewicza, złożonej z 4. i 12. pułków, oraz dwóch szwadronów 13. pułku odparła wszystkie ataki. Nad wieczorem, gdy już się zmierzchało, jazda nieprzyjacielska ostatni atak z całą siłą, z ogromnym krzykiem przypuściła na front i prawe skrzydło brygady Tyszkiewicza, lecz jazda nasza, zachowując swój szyk nierozerwany i krótkie czyniąc natarcia, nie zapędzając się za daleko, za pomocą artyleryi konnej potrafiła utrzymać się na stanowisku. Wrzawa i wzajemne natarcia trwały do godziny 8. wieczór. Noc ciemna i ulewa przerwała bitwę, przez sześć godzin zacięcie trwającą. Z naszej strony straciliśmy 30 oficerów, pomiędzy tymi kapitana artyleryi Oskierkę, 160 żołnierzy zabitych i 300 rannych. Nieprzyjaciel około 500 rannych zostawił w naszem ręku, z których wielu tej nocy umarło.

Przez całą noc staliśmy pod bronią, niesłychanie znużeni i zgłodniali, bez ognisk dla bliskości nieprzyjaciela. Dnia 30-go września nad ranem nieprzyjaciel zniknął z naszych oczów, zostawiwszy przed nami czaty kozackie. Zaczęliśmy dopiero ognie zakładać i kociołki zastawiać. Wysuszywszy się cokolwiek oddałem się przez kilka godzin pożądanemu spoczynkowi.

Nazajutrz dnia 1. października wyruszyliśmy traktem kałuskim ku Woronowowi. Piękną tę majętność właściciel hrabia Rostopczyn sam zapalić kazał. Zastaliśmy tylko gruzy i pismo następujące, na słupie przybite:

»Przez ośm lat upiększałem tę majętność, w której żyłem szczęśliwie na łonie mojej familii. Mieszkańcy tego miejsca, których liczba wynosi 1730 ludzi, opuszczają je za zbliżeniem waszem, a ja zapalam mój dom, ażeby nie był skalany obecnością waszą. Francuzi! opuściłem dla was dwa domy w Moskwie i ruchomość, pół miliona rubli wartającą. Tu same popioły znajdziecie!«

Podpisano: Fedor hr. Rostopczyn.

Główna armia rosyjska, która do dnia 30. września stała w pozycyi pod Babenkowem, o 5 wiorst tylko od pola bitwy czarykowskiej, cofnęła się dnia 1. października o 15 wiorst dalej do Spass-Kuplia i tam stanęła obozem. Miłoradowicz dnia tego, zakrywając odwrót, cofnął się do Babenkowa.

Dnia 3. października jenerał Sebastiani, który szedł na czele przedniej straży 2. korpusu jazdy, boczną drogą od Woronowa do Spass-Kuplia, bez należytego rozpoznania i oświecenia drogi, napadnięty został niespodzianie przez jazdę nieprzyjacielską. Lekkie pułki przedniej straży przewrócone zostały i pędzone kilka wiorst drogi przez kozaków, którzy im paręset ludzi i koni ubwali. Pułk dziesiąty huzarów polskich pod komendą pułkownika Umińskiego i inne pułki do tej brygady należące, zredukowane w poprzednich bitwach, mocno tu ucierpiały. Błąd ten, popełniony przez jenerała Sebastianiego, nie nauczył go większej ostrożności. Dnia 18. października miał nowy dać dowód swego niedoświadczenia.

Bitwa dnia 4. października.

Dnia 4. października król neapolitański zastał tylną straż rosyjską w szyku bojowym nad rzeką Czerniczną, o 5 wiorst od Spass-Kupli. Spotkanie było nader żywe, jazda nasza uszykowana w dwóch liniach z artyleryą konną rozłożoną przed frontem, potykała się z największą spokojnością, odpierając ataki licznej jazdy rosyjskiej, bardziej ogniem armatnim i ogniem karabinowym, aniżeli natarciem własnem. Dla wzmocnienia naszej jazdy kilka batalionów piechoty, uszykowane w czworoboki, wysunęły się przed front i ogniem rotowym zniweczyły wszystkie ataki nieprzyjaciela. Piękny to był widok: z jednej strony chmury jazdy rosyjskiej, z różnej broni złożonej, rzucające się nakształt nawały na nasze linie, a z drugiej spokojność w szeregach naszych, przerywana tylko rotowym ogniem piechoty i jazdy. Tym sposobem jazda nasza, zmęczona i osłabiona tak długim pochodem, a szczególnie bitwą możajską, ochronioną została. Reszta piątego korpusu na lewem skrzydle francuskiem w kolumnach ściśniętych, czekała sposobności uderzenia na

nieprzyjaciela. Lecz tylko artylerya konna kilka razy mogła dać ognia. Bitwa, w której tylko jazda nieprzyjacielska, było jej 5 do 6.000, brała szczególniej udział, trwała do późnej nocy. Po ustąpieniu nieprzyjaciela trąby francuskiej jazdy na znak zwycięstwa odezwały się na całej linii.

Około godziny 9. wieczorem uciszyło się wszystko i po rozstawieniu czatów zaczęto rozpalać ognie. Nazajutrz dnia 5. października rozpoznałem z bliska nasze stanowisko.

Rzeczka Czerniczna, płynąca w głębokim jarze do Nary, od ujścia w tę rzekę do wsi Ilieny, w długości blisko jednej mili zakrywała front. Prawe skrzydło opierało się o Narę. Wioski: Bielowa, Pałaski, Kaszeja, Petrowa, Iliena, leżały po obydwóch stronach Czerniczny. Od Ilieny strumyk Dzesna w głębokim parowie płynący od wsi Czeczerynki i Dmitrówki do Czerniczny resztę frontu zakrywał. Lewe skrzydło złożone z dwóch korpusów jazdy pod jenerałem Sebastianim, dochodziło do Czeczerynki i rozłożone było naokoło tej wsi. Artylerya tego korpusu na wzgórzu za wsią ustawiona, bez żadnej asekuracyi piechoty, dowodziła niedoświadczenia jenerała Sebastianiego. Lewe skrzydło było zupełnie, jak to mówić się zwykło, w powietrzu; nie miało żadnego pewnego oparcia i wystawione było na wszystkie przedsięwzięcia śmiałego nieprzyjaciela.

Przed frontem tej pozycyi, pomiędzy wsiami Czeczerynką a Petrową na lewem brzegu Czerniczny, jest lasek brzozowy, 1200 krokow długi a 600 szeroki, na wyniosłości. Na brzegu tego lasku rozłożyła się nasza piechota, artylerya w kącie wyskakującym, jazda po skrzydłach. Tym sposobem piąty korpus znajdował się przed główną pozycyą i oddzielony był od niej głębokim parowem. Na prawej stronie był drugi parów, do Czerniczny schodzący, który zasłaniał nas od tej strony. Naprzeciw lewego skrzydła francuskiego i frontu naszego ciągnął się las obszerny, od wsi Dmitrówki ku pozycyi przedniej straży rosyjskiej. Ten las leżał z 2000 kroków od cas. Zaniedbano obsadzić go piechotą. Linia widet naszych znacznia była na-

przód wysunięta, w niektórych miejscach o 2000 sążni, a blisko pół mili od nas odległa. Dla wsparcia jej wysłano dwa bataliony 3. pułku piechoty z dwoma trzyfuntowemi armatami, pod komendą walecznego pułkownika Blumera, które zajęły pojedyńcze laski w tej stronie leżące. Z tego wysuniętego stanowiska można było jak na dłoni rozpoznać obozy przedniej straży rosyjskiej i opodal od niej, po za wsią Tarutyno, główne obozy wielkiej armii rosyjskiej za Narą. Park artyleryi i bagaże 5. korpusu stanęły przy wsi Rogowo, zakryte dwoma parowami i na prędce zbitemi kobylicami. Batalion piechoty dodany im był ku zasłonie. Cała rozległość frontu naszego od Czeczerynki do ujścia Czerniczny w Narę, wynosiła blisko $1^1/_2$ mili: oczywiście była za wielką na nasze szczupłe siły. Położenie nasze w tem stanowisku nie było najbezpieczniejsze. Cała nasza siła tu zebrana składała się z 1., 2., 3. i 4. korpusów jazdy francuskiej, zredukowanych do 8.000 koni, z legii nadwiślańskiej 3.000 ludzi, z dywizyi Dufoura, 1. korpusu do 2.500 ludzi i z 5. korpusu, złożonego z 5.500 piechoty i 1.500 koni: ogółem 20.500 ludzi, 187 dział, przydanych tej małej sile, obciążyły nas bardziej w pochodzie, aniżeli nam pomagały.

Ten nieliczny korpus, z wyborowego wprawdzie wojska złożony, rzucony był naprzód o 70 wiorst, czyli o trzy marsze od Moskwy, bez żadnej rezerwy. Przed sobą mieliśmy o kilka wiorst tylko główną armię rosyjską, liczącą jeszcze 70.000 ludzi i codzień wzmacniającą się licznymi rekrutami, milicyami i kozakami dońskimi, których 23 pułków starych, pod hetmanem Płatowem przybyło do obozu. Nic łatwiejszego nie było naczelnemu wodzowi rosyjskiemu, jak rozbić nasz mały korpus i zadać mu ciężką klęskę. Lecz nie leżało to w planie przebiegłego starego wodza. Postanowił dać wypoczynek wojsku swojemu; tym sposobem bezpieczniejszymi nas uczynić i przedłużyć nasz pobyt jaknajdłużej pod Moskwą, aż do nadejścia pierwszych mrozów. Wiedział on dokładnie przez jeńców i cudzoziemskich zbiegów o naszem krytycznem

położeniu; wiedział o braku żywności i furażów, a po słabości ataków naszej jazdy, która już nie inaczej, jak tylko pod zasłoną licznej artyleryi i czworoboków piechoty walczyć mogła, sądził, jak wielkie musi być osłabienie koni naszych. — Nie była to jazda z czasów Zygmuntowskich, która w 7000 koni pod Żółkiewskim na polach kluczyńskich rozbiła potęgę 40.000 Moskali, wzmocnionych zaciągami i posiłkowemi wojskami szkockiemi, francuskiemi i szwedzkiemi. Jakoż w istocie jazda francuska, osobliwie kirasyery i karabiniery, smutny przedstawiała widok. Ogromne ich konie wynędzniałe, wychudzone i odsiedzone, ledwie jeźdźców swoich z ciężką zbroją dźwigać i kłusem tylko małym poruszać się mogły.

Wszystka żywność i furaże w obrębie naszej pozycyi zabrane były przez nieprzyjaciela. Na prawem skrzydle Naramowała wysyłki, przed frontem obozy rosyjskie. Trzeba ich było szukać o parę mil za nami i przed lewem skrzydłem. Lecz w tej stronie liczne podjazdy kozaków, ukryte w zasadzkach, ciągle napadały na naszych furażerów i codzień nam urywały po kilkadziesiąt mniej ostrożnych ludzi.

Służba oficerów sztabowych w tych okolicznościach stała się nader uciążliwą. Konie nasze nie miały wypoczynku. Cały dzień przepędziwszy na rozpoznaniach i pochodach, w nocy nie mieliśmy czem ich posilić. Częstokroć tylko liście drzew, pod któremi obozowaliśmy, można im było podać. Dwa konie wierzchowe z Warszawy przyprowadzone, musiałem nareszcie porzucić przed Moskwą jeszcze; w dobrach opuszczonych rosyjskiego bojara zabrałem ze stadniny trzyletnią klacz nieujeżdżoną, która mi jedna już tylko została. Dla służącego musiałem dokupić małego wytrzymałego podjezdka, a później od adjutanta jenerała Lefebre Decenotte nabyłem za kilka luidorów siwego konia, dość mocnego. Na tych to koniach trudną moją służbę pełniłem. Co się tyczy żywności, niedostatku jeszcze nie czułem. Jenerał Lefebre hojnie nas wszystkich podejmował, a kucharz jego przezorny miał w jukach swoich i furgonów jenerała zapasy żywności i wina na kilka tygodni.

W tem pamiętnem dla mnie stanowisku nad rzeką Czerniczną wytrwaliśmy od dnia 5. do 18. października. Mieszkaliśmy w barakach, zapuszczonych parę stóp w ziemię. Dach z chrustu i darni zabezpieczał nas od deszczu. Barak podobny był dosyć ciepły; nieciliśmy w nim ogień, z którego dym otworem odchodził. Około 12-go października pierwsze szrony i ranne przymrozki dały się uczuć. Futro, zabrane z Moskwy, zaczęło mi czynić dobre przysługi, jemu to winien jestem obronę późniejszą od większych mrozów, w czasie pamiętnego odwrotu.

Na linii widet wszystko było spokojne; zdawało się jakoby rozejm zatrzymał nieprzyjacielskie kroki. Przez zobopólną tajemną umowę, żaden strzał nie padł na tejże linii. Król neapolitański w polskiej aksamitnej zielonej czamarce, z czworograniastą czapką na głowie, przejeżdżał się po linii forpoczt i odbierał pokłony od kozaków, którzy czapki przed nim zdejmując, wołali: kral, kral! Nastąpiło nawet króla Murata spotkanie na linii widet z jenerałem roryjskim Benningsenem, gdzie o nadziei rychłego zakończenia kroków nieprzyjacielskich była także mowa. Wiadomo nam było, iż pułkownik ze sztabu cesarskiego, Berthemi, wysłany został z ramienia cesarskiego do jenerała Kutuzowa, z żądaniem wolnego przejazdu do Petersburga dla jenerała Lauristona. Zaczęto jeszcze bardziej wierzyć w zawieszenie broni, a nawet w rychły pokój, mający koniec położyć naszym cierpieniom. Lecz nadzieja ta, podniecana przez oficerów rosyjskich, niczem innem nie była, jak tylko nowem sidłem, zastawionem na naszą zgubę przez Kutuzowa. Kiedy obóz jego w dostatki opływał i wzmacniał się coraz bardziej, tak, iż nareszcie do 100.000 ludzi pod bronią liczyć w nim było można; my w ciągłym niedostatku, i ludzie i konie codzień tracili, i widocznie na siłach słabnęli. Zawieszenie broni, tak obłudnie dotrzymywane na linii widet, nie miało żadnego znaczenia po skrzydłach. Tam codzień urywano nam furażerów naszych, tak dalece, iż nie było można inaczej, jak pod zasłoną mocnych oddziałów wysyłać

ich o milę od obozu. Dotychczas piechota nasza zachowała po trzy bataliony w każdym pułku. Lecz bataliony te liczyły tylko po 300 ludzi, i żadnej taktycznej siły już nie miały. Książę Poniatowski uznał potrzebę zredukowania liczby batalionów z trzech na dwa, w każdym pułku. Tym sposobem każda dywizya składała się z sześciu batalionów po 450 ludzi. Nadjechał też w tym czasie jenerał dywizyi Zajączek, wyleczony z rany, pod Smoleńskiem odebranej, i objął dowództwo 16-tej dywizyi; jenerał Kniaziewicz zachował dowództwo nad dywizyą 18-stą.

Dnia 9. października odebrałem polecenie ze sztabu głównego, rozpoznania ściślejszego pozycyi naszej i sporządzenia planu tejże dla króla neapolitańskiego. W dniach 9. i 10. października zająłem się tą robotą, wspólnie z kapitanem Valentin d'Hauterive i dozorcą inżynierów Rosmanem, i plan stosowny przedstawiłem. Zachowałem dotąd kalk na olejnym papierze tej pracy naszej.

Dnia 17. przybył do obozu naszego konwój z żywnością i wódką, wysłany z Moskwy. Rozdano tegoż dnia pierwszą i drugą wojsku. W obozach francuskich żołnierze zgłodniali rzucili się na tę żywność i oddali się przez całą noc napojom przysłanym. Wielu nawet oficerów, zapomniawszy o swojej powinności, przepędziło noc na biesiadzie, i zrana dnia 15. byli prawie niezdatni do służby. Osobliwie w korpusie drugim Sebastianiego zaniechano wszelkiej ostrożności i zwyczajnych rannych patroli nie wysłano.

U nas przeciwnie, od godziny 3. zrana, cała jazda stała przy okiełznanych koniach, czekając powrotu patroli; piechota pod bronią, artylerya przy swoich oddziałach. Patrole powróciły nie spotkawszy nieprzyjaciela, jednakże lasu o 2000 metrów od nas leżącego dokładnie nie przejrzały. O godzinie 6. zrana jeszcze cichość panowała; konnica zaczęła rozkiełznywać konie, piechota broń w kozły rozstawiła i do gotowania rannego zabierała się, kiedy nagle kilka wystrzałów armatnich z pod lasku, naprzeciw nas leżącego, zagrzmiało. Dzień

dopiero się zaczynał. Na ten odgłos całe wojsko rzuciło się do broni. Już kozacy ze zwykłym okrzykiem: »koli, koli! hurra!« wpadli do obozu piechoty i kozły broni przewracać zaczęli, kiedy ich woltyżery nasi spostrzegli.

W oka mgnieniu wojsko stanęło w szyku bojowym, konnica posunęła się naprzód, artylerya zaś nasza odpowiadać zaczęła nieprzyjacielskiej. Na lewem skrzydle chmura jazdy rosyjskiej napadła na drugi korpus Sebastianiego i zabrała w pierwszym zapędzie 38 dział bez asekuracyi, za wsią Czeczerynką stojących, i cały ten korpus w wielki wprawiła nieład. Wielu oficerów i żołnierzy, pogrążonych w śnie po nocnej biesiadzie, nie zdołało dopaść koni. Reszcie udało się zebrać i sformować za wsią. Książę Poniatowski rozkazał kilka dział zwrócić ku wzgórzom nad wsią Czeczerynką i w masę jazdy rosyjskiej granaty puszczać. Strzały te skutkowały i zapęd jej nieco wstrzymały. Rozpoczęła się porządniejsza bitwa. Kolumny 2-go i 3-go korpusu rosyjskiego, pod jenerałem Baggowuth, zaczęły występować z lasu przed nami leżącego, pod protekcyą luźnej artyleryi, i szybkim krokiem następowały na naszą pozycyę. Książę Poniatowski, ażeby zyskać czas dla przeprowadzenia piechoty swojej z lasku brzozowego przez parów za nami leżący, na prawy brzeg rzeki Czerniczny, które to poruszenie było koniecznem dla skoncentrowania sił naszych i zapobieżenia, aby nas nieprzyjaciel zupełnie nie oskrzydlił: rozkazał księciu Sułkowskiemu natrzeć na czele brygady swojej, z 5-tej strzelców i 13-tej huzarów złożonej, na zbliżające się kolumny piechoty nieprzyjacielskiej. Te zwinąwszy swoich tyralierów, miały czas na sformowanie czworoboków. Jazda nasza nie zatrzymując się, wykonała atak kłusem i dwa czworoboki rozbiła. Tu podziwiać było trzeba zaciętość, z jaką młoda piechota rosyjska walczyła. Widziałem leżących na ziemi i rannych strzelców, którzy podnosili się za nami i do nas strzelali. Musiano ich dobijać, ażeby szkodliwszymi się nie stali. Pod zasłoną tych szarż piechota nasza zakrywszy się tyralierami, którzy w lasku brzozowym się za-

trzymali, przebyła parów bez straty. — Książę Sułkowski, prowadząc jazdę naszą do ataku, odebrał postrzał w nogę; jeden z moich dobrych znajomych, Edward Potworowski, podporucznik w piątym pułku strzelców konnych, przestrzeloną miał także nogę. Przeprawiając się przez parów, jenerał Lefebre Decenotte, ugodzony był w piersi kulą karabinową, która się oparła o blachę na pasie patrontaszowym. Zawołał: *je suis mort*, i wznak się rzucił. Objąłem go w moje ręce i rozerwawszy mundur, widziałem, że to tylko kontuzya. *Ce n'est rien Genéral*, powiedziałem mu i otrzeźwiwszy cokolwiek wódką z flaszy mojej, odprowadziłem o kilkaset kroków. Nieprzyjacielskie strzelcy żywo następowali. Mając pałasz dobyty poczułem, że kula karabinowa utkwiła mi w pochwie. Kilka chwil przedtem adjutant jenerała Lefebre, nazwiskiem Dautan, stracił konia od odłamu granatu. Wszyscy oficerowie sztabu otrzymali mocne kontuzye albo lekkie rany. Jenerał Lefebre Decenotte cokolwiek później miał konia zabitego od granatu. Co do mnie, miałem surdut kilka razy przedziurawiony kulami, i w pochwie od pałasza znalazłem wygniecioną kulę karabinową. Tymczasem kolumny piechoty rosyjskiej z 7-go i 8-go korpusu złożone, pod jenerałem Rajewskim postępowały ku frontowi pozycyi naszej, poprzedzone liczną artyleryą. Przypomnieli sobie wówczas wszyscy pułk trzeci piechoty, pod komendą pułkownika Blumera, zostawiony w obserwacyi na ostatnim krańcu lasów. Wszyscy go mieli za stracony. Tymczasem Blumer, skoro spostrzegł poruszenie nieprzyjacielskie, zebrał swoje dwa bataliony i brzegiem lasu trzymając się, postępował w ściśniętych kolumnach ku nam. Z początku wzięli go Rosyanie za własne wojsko, lecz spostrzegłszy omyłkę, zaczęli jazdą i artyleryą żywo na niego nacierać. Blumer nie straciwszy na chwilę przytomności, gdy się na pole równe dostał, uformował czworoboki, które się wzajemnym ogniem broniły; i wytrzymawszy kilka ataków, doszedł nareszcie do Czernicznej, przebył parów główny, w który ta rzeczka płynie i z niewypowiedzianą radością

przyjęty został przez nas. Działa swe nawet ocalił. — Krytyczniejsza chwila tego dnia dla nas, a osobliwie dla piątego korpusu minęła; siły nasze zewsząd koncentrowały się na trakcie woronowskim. Ataki jazdy rosyjskiej na lewem skrzydle, które aż do naszych parków pod Spas Kuplią doszły, zatrzymane zostały przez drugi korpus jazdy, który się porządnie nareszcie sformował i walecznie kilka razy ataki do niej przypuścił.

Nie można jednak było długo zatrzymać się na pozycyi nad Czerniczną. Oczywistą rzeczą było, że całą rosyjską armię przed sobą mieliśmy. Uformowawszy więc piechotę naszą w czworoboki, zaczęto wolno ustępować pod zasłoną artyleryi i jazdy ku Spas Kuplia. Legia nadwiślańska podobnież w czworobokach porządnie się cofała. Nareszcie około godziny 1-szej z południa stanęliśmy na pozycyi pod Spas Kuplia, zupełnie połączeni, w należytym szyku bojowym prostopadle do drogi, prowadzącej z Woronowa, mając las pół milowy za sobą. W tem stanowisku ogień armatni jeszcze szedł żywo z obydwóch stron; czworoboki nasze jeszcze po razy kilka odpierać musiały szarże jazdy nieprzyjacielskiej. Nareszcie i te ustały, i nieprzyjaciel od dalszych ataków odstąpił; około 3. godziny po południu ogień ucichł zupełnie i korpus nasz zaczął się cofać przez las, oddzielający od Woronowa.

Straciliśmy w tej potrzebie blisko 1000 ludzi zabitych, pomiędzy którymi jenerałowie Léry i Fiszer, szef sztabu naszego, który odebrał postrzał karabinowy w głowę, i do 1000 niewolnika, prócz tego 38 armat i bagaże z drugiego korpusu, tudzież bagaże króla neapolitańskiego.

Strata piątego korpusu, przez śmierć jenerała Fiszera dotkliwszą się stała, wynosiła około 500 ludzi w zabitych, rannych, lub wziętych do niewoli.

Śmierć jenerała dywizyi Fiszera.

Jenerał dywizyi Fiszer należał do rzędu tych oficerów, których szczęście, jak to zwykło się mówić, było zaklęte. Zabrany do niewoli rosyjskiej

z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami, zawieziony był do Petersburga, i tam w cytadeli kilka miesięcy przepędziwszy, wysłany został później na wygnanie, w prowincye odleglejsze państwa. Po śmierci casarzowej Katarzyny, puszczony na wolność przez syna jej Pawła I., znalazł sposobność dostania się do legionów polskich we Włoszech. Przeznaczony do obrony Mantuy z częścią legii Dąbrowskiego, po kapitulacyi tej twierdzy, dostał się do austryackiej niewoli. Zamieniony później, wstąpił do legii polskiej naddunajskiej pod Kniaziewicza rozkazy, i odbył z nim kampanię roku 1800. Ranny w tej wojnie, po zakończeniu jej traktatem lunewilskim, powrócił na łono familii do Prus południowych, teraźniejszego Księstwa Poznańskiego i wszedł w śluby małżeńskie z panią Kwilecką. Przepędziwszy lat kilka spokojnie na wsi roku 1806., za ukazaniem się francuskiej wielkiej armii, pospieszył ofiarować swoje usługi Napoleonowi. Roku 1809., był szefem sztabu księcia Poniatowskiego i odebrał niebezpieczną ranę pod Raszynem. Jenerał dywizyi Fiszer uchodził za dobrego oficera piechoty i organizatora najzdatniejszego naszego wojska. Był surowym przestrzegaczem karności wojskowej i energią swoją w służbie naprawiał to, co miękkość księcia Poniatowskiego częstokroć zepsuła; był nadzwyczajnie czynnym i odważnym w boju, lecz ciągłą intrygą i popędliwością swoją odrażał wielu i był powszechnie nielubiany przez niższych oficerów. Wzrost miał niski, twarz pociągłą, zwyczajnie zaperzoną, nos wielki, włosy jasne, łopatkę jedną wyższą. Zginął od kuli karabinowej, która w głowę go trafiła, w 45. roku życia swego.

Dnia 19. października zrana stanęliśmy na pozycyi pod Woronowem; nieprzyjaciel nie następował za nami w przekonaniu, że wsparci jesteśmy przez wielką armię. Chciał bowiem uniknąć stanowczej bitwy. Piechota nasza stanęła za wsią Woronowem, jazda jenerała Lefebre Decenotte przed Woronowem. Zajęliśmy z jego sztabem jeden z pozostałych od pożaru domów od przyjazdu kałuskiego.

Dnia 18. października o godzinie 2. po południu, cesarz Napoleon zajęty był przeglądem jednego z korpusu swoich, gdy adjutant, wysłany zrana przez króla neapolitańskiego, przyniósł mu wiadomość o ogólnym ruchu wojska rosyjskiego. Przerwał natychmiast rewię i wydał stosowne rozkazy. Tego samego wieczora cała wielka armia wyszła z Moskwy i stanęła obozem na trakcie kałuskim. Nazajutrz dnia 19-go października francuska armia była w wielkim ruchu na tymże trakcie i przyspieszonym marszem dążyła do Woronowa na odsiecz królowi neapolitańskiemu.

Pojedynek mój z kapitanem Dautan.

W dniu 19. miałem nader nieprzyjemne zajście z adjutantem Jenerała Lefebre Decenotte, kapitanem Dautan, z powodu służby. Od wymówek grzeczniejszych przyszło do słów ostrych. Nareszcie, gdy się coraz bardziej unosił, dobyłem na niego pałasza i pchnąć go chciałem. Obecni oficerowie sztabowi rozbroili nas. Wskutek tej kłótni wyzwałem go natychmiast i wezwawszy na sekundanta kapitana inżynierów Valentin d'Hauterive, potykałem się z nim tego samego rana na pałasze i lekką ranę w rękę mu zadałem. Na tym się skończyła ta rozprawa. Po odbytym pojedynku żądałem od pułkownika Maletta, dowódzcy mego, aby mi inne dał przeznaczenie, i pożegnawszy jenerała Lefebre Decenotte, który mi wszelką sprawiedliwość oddał za postępowanie moje przy boku jego w czasie bitwy dnia 18. października, gdzie go na chwilę nie odstąpiłem i prawie sam przy nim pozostałem w czasie największego niebezpieczeństwa; powróciłem do sztabu głównego księcia Ponjatowskiego. W kilka dni potem kapitan Dautan, w utarczce pod miastem Medyną, roznosząc rozkazy swego jenerała, skłóty został przez kozaków, o kilkadziesiąt kroków przed frontem naszej jazdy.

Dnia 20. października korpus piąty opuścił swoje stanowisko pod Woronowem i uboczną drogą, na Rykowo, zwrócił się na trakt z Moskwy do Borowska prowadzący. Spotkaliśmy na tym trakcie wielką armię, maszerującą w tym samym kierunku na Borowsk ku Mało-Jarosławiecowi. Piechota miała

piękną postawę, osobliwie gwardya cesarska; konnica tej gwardyi zupełnie wypoczęta w Moskwie, jeszcze groźną okazywała postać. Lecz widok kilku tysięcy jazdy spieszącej, pociągów niezliczonych artyleryi, z trudnością postępujących, a nadewszystko mnóstwo nieprzejrzane bagażów i teleg, kilkoma rzędami, pod eskortą pojedyńczych ludzi oderwanych od szeregów, a zajmujących szerokość traktu, wiele dawały do myślenia, i smutny koniec całej wyprawy rokowały!

Doszedłszy do wsi Fominskoje, o 25 wiorst od Borowska, przecięliśmy główny trakt kałuski i zwrócili się do Werci. Tam stanęliśmy obozem dnia 22. Książę Poniatowski, wskutek odebranych rozkazów, wysłał z Werci jenerała Lefebre Decenotte z dywizyą swoją ku Medyni, dodawszy mu pułk 15-sty piechoty.

Dnia 25. października jenerał Lefebre pod Medyną spotkał kilka pułków kozackich pod pułkownikiem Iłowańskim, którzy naprowadziwszy jazdę naszą na groblę, przez nieostrożność jenerała Lefebre ciężką jej zadali klęskę. Straciliśmy w tej nieszczęśliwej akcyi najlepszą część dywizyi, 5 armat artyleryi konnej i jenerała Tyszkiewicza, który się dostał do niewoli. Wszyscy przytomni oficerowie na to się zgadzali, że nigdy kozaków nie widzieli tak ślepo i tak odważnie nacierających, i gdyby nie przydane dwa bataliony piechoty 15. pułku, ani jedna noga naszej jazdy nie byłaby uszła z tej potyczki. Tak więc złe rozporządzenie dowódzcy może udaremnić waleczność najleszego żołnierza. Lecz i to przydać potrzeba na obronę jazdy naszej, że konie jej do żadnego szybkiego obrotu już nie były zdolne. Było to pierwsze nasze niepowodzenie od początku kampanii, które strata pięciu dział tem dotkliwszem czyniła.

Tego samego dnia wieczorem, wiadomość o tem nieszczęściu doszła do naszego obozu i wszystkich smutkiem napełniła. W piechocie naszej liczono już tylko 4000 ludzi zdolnych do boju, w jeździe zaledwie 600 koni; prócz pięciu dział pod Medyną zabranych, wszystkie inne prowadzono za sobą;

artylerya nasza przez doświadczonych oficerów prowadzona, zaopatrzyła się w furaż i konie swoje ukuła ostro. Po krótkim pobycie pod Wercią i Jegorowskojem 5. korpus dnia 28. października rozpoczął swój odwrót z tego ostatniego miejsca ku Gżackowi. W wilię pierwsze mrozy dały się uczuć. Dnia 28. października dzień był posępny, sadź gęsta zakrywała pola. Zima moskiewska wielkim krokiem następowała na naszą zgubę.

Strata dwóch koni.

Dzień ten 28. października był dla mnie prawdziwie feralnym. Wysłany bowiem służący mój za furażem z dwoma powodowymi końmi nie powrócił więcej. Zabrany pewnie został przez kozaków eskortujących nas, i żadnej o nim nie miałem więcej wiadomości. Zostałem więc przy jednym tylko podjezdku i odtąd sam myśleć musiałem o żywieniu i opatrywaniu go. — Mantelzaki z rzeczami także przepadły; został mi się tylko większy mantelzak w furgonie sztabowym inżynierskim, w którym także było nieco żywności, przysposobionej w Moskwie.

Odtąd nasz odwrót przybierał tę postać, którą nam Segur, Chambray i Buturlin, a osobliwie pierwszy w tak żywych oddali kolorach.

Dnia 30. października przedstawiło się oczom naszym pole bitwy Możajskiej. Widoczne tam były ślady olbrzymiej walki z dnia 7. września; niepochowane trupy, szkielety koni, ułamki łóż i wozów amunicyjnych okrywały pobojowisko. — Smutny ten widok zdawał się jakby przepowiednią tych cierpień i klęsk, które nas spotkać miały.

Wojsko nasze polskie, słabe co do liczby, maszerowało jeszcze porządnie; konnica z każdym dniem się zmniejszała, lecz artylerya, której przezorniejsi dowódzcy kazali wszystkie swoje konie ostro okuć, zaopatrzyli się w żelazo i węgle, i znaczniejsze zapasy owsa ze sobą prowadzili, przebywała z łatwością wszystkie trudniejsze przesmyki, przy których francuska artylerya traciła zaprzęgi i działa.

Widzieliśmy przy każdej przeprawie wysilenia nadzwyczajne artylerzystów francuskich, dla wyratowania dział swoich, lecz płasko okute ogromne ich konie napróżno się wysilały, ażeby armaty i wozy pod górę wyciągnąć. Po nadludzkiej pracy oficerów i żołnierzy, musiano porzucać jedne jak i drugie; armaty więc zagwożdżano, wozy amunicyjne wysadzano w powietrze, konie porzucano. To wszystko zatrzymywało pochód następujących i utrudniało im przeprawę.

Tym sposobem droga od Możajska do Smoleńska, po której postępowaliśmy, zasłaną została końmi i ułamkami dział i wozów, i to wszystko stało się łupem postępujących za nami kozaków.

Brak żywności i furażu na samym trakcie smoleńskim, przymuszał wojsko szukać ich po obydwóch stronach drogi, w odległości jednej do dwóch mil. Z początku czynność ta odbywała się porządnie i zbrojno, lecz skoro nieład i niekarność wkradła się w szeregi, każden bez komendy zaczął na swoją rękę zdobywać żywność i furaże. Co chwila widziano pojedyńczych ludzi, głuchych na przestrogi oficerów swoich, odrywających się od swoich batalionów, lub z braku sił zostających się w tyle. Jedni i drudzy wpadali w ręce kozaków, czychających na tę zdobycz. Wkrótce liczba żołnierzy pilnujących orłów swoich w sposób przerażający się zmniejszyła, mianowicie: w korpusie wice-króla, z Włochów złożonym; w korpusie Davousta i w korpusie marszałka Neya. — Niedługo oficerowie poszli za przykładem żołnierzy i zaczęli o sobie myśleć. Nareszcie jenerałowie zostali bez brygad, marszałkowie bez korpusów.

I tak naprzykład dochodząc do Wiazmy, liczba żołnierzy zdatnych do boju wynosiła tylko: 1. korpus Davoust'a [1]) 13.000 ludzi; 3. korpus Ney'a 6.000 ludzi; 4. korpus Wło-

[1]) Korpus Davoust'a na początku kampanii liczył 60.000 ludzi, wychodząc z Moskwy 27.000 ludzi, pod Wiazmą 13.000 ludzi, a pod Berezyną 1.200 ludzi.

chy 12.000 ludzi; 5. korpus ks. Poniatowskiego 3.500 ludzi; 1. i 3. korpus jazdy i jazda lekka 3.000 ludzi. Razem 37.500 ludzi.

W liczbie tej jazda zaledwie mogła być użytą, dla słabości koni; artylerya wprawdzie była liczną, lecz z tego samego powodu z trudnością postępowała i tylko na pozycyi dała się użyć. Gwardya i ósmy korpus westfalski (1.200 ludzi nie są tu liczone) wyprzedziły nas bowiem na trakcie drogobuskim.

Dnia 3. listopada, korpus piąty polski, pod komendą jenerała dywizyi Zajączka w zastępstwie księcia Poniatowskiego, który wskutek zwichnięcia nogi nie mógł konia dosiąść i w powozie za nami jechać musiał, zbliżył się zrana do Wiazmy. Połączone tam cztery korpusy, w liczbie wyżej oznaczonej, stoczyły bitwę z korpusem jenerała Miłoradowicza, dowodzącego przednią strażą Kutuzowa. Bitwa ta dla zmęczenia żołnierza, braku żywności i nieporządku, który się zakradł do korpusu Davousta, niepomyślnie dla nas wypadła. Korpus piąty, wystawiony na ogień przemagający artyleryi rosyjskiej i częste natarcia jazdy, stracił w tym dniu kilkaset ludzi i jedno zdemontowane działo. Jenerał Pelletier dowodzący artyleryą naszą, zbliżywszy się zanadto do kolumn rosyjskich, wraz z adjutantem Żwanem wzięty był do niewoli w stanie podobno nietrzeźwym.

Lecz straty dnia tego nie były tak wielkie, jak skutki dezorganizacyi coraz większej w szeregach naszych. Na drodze od Wiazmy do Smoleńska mrozy zaczęły być mocniejsze i niedostatek żywności i furażu dolegliwszy. Przeprawa przez Wop, kosztowała wice-króla całą artyleryę i bagaże czwartego korpusu; brygada z dywizyi jenerała Baragnay d'Hillier zabraną została przez nieprzyjaciela; nareszcie odebrano wiadomość o zajęciu Witebska na tyłach naszych. Tyle katastrof, obok strat, które wielka armia z przyczyny wzmagających się [illegible] osiła, mogły zwalczyć jej ducha i przygotować [illegible] dek.

Dnia 10. listopada stanęliśmy pod Smoleńskiem przy 12-stopniowym mrozie. Dni następnych 11., 12 i 13. mieliśmy 17 stopni. Rozłożyliśmy się na przedmieściu, na prawem skrzydle miasta, z tej samej strony, z której przypuszczaliśmy nasze ataki. Co do mnie i kilku kolegów moich, zajęliśmy chałupę ciepłą i tam przez jeden dzień wypoczywaliśmy po tylu trudach. Korzystając z bliskości miasta, zaopatrzyłem się cokolwiek w żywność.

Dnia 12-go listopada korpus piąty, stojący na trakcie mścisławskim, o dwie mile drogi od Smoleńska, zwrócił ku Krasnemu za Wołkowo.

Po wypoczynku przez jeden dzień i dwie nocy, opuściłem Smoleńsk dnia 12. po południu i udałem się do Krasnoje, gdzie dnia 13. wieczorem stanąłem i zastałem już niektórych oficerów naszych z pułkownikiem Malletem, ulokowanych w dobrym domku drewnianym, w ulicy bocznej od smoleńskiej drogi. W mieście stał batalion gwardyi cesarskiej, którym komenderujący oficer zajął kościół na cmentarzu, środek rynku i kilka murowanych domów tegoż rynku obsadził. Ta ostrożność uratowała nas od zguby. Przepędziwszy noc z 13. na 14. października, o godzinie 4. zrana zaczęliśmy gotować nasz ranny posiłek, wtem strzały karabinowe i armatnie w lewej stronie miasta przerwały miłe nam zatrudnienie. Chwyciliśmy za broń i pospieszyli na rynek, dla połączenia się z batalionem gwardyi cesarskiej, który ogniem z cmentarza odpierał nieprzyjacielskich strzelców. Był to korpus partyzancki, pod komendą jenerała Ożarowskiego. Po kilku strzałach armatnich i żywym ogniu broni ręcznej, oddział ten zrażony niespodziewanym oporem, cofnął się z ulic i zajął pozycyę pod Kontkową. Nad wieczorem dnia 14. korpus piąty, złożony zaledwie z 1.500 ludzi pod bronią, stanął pod Krasnem. Jenerał Zajączek zajął ze sztabem swoim dom drewniany na rynku, od smoleńskiego zajazdu. Pułki przeszły za miasto i obozowały na prawym brzegu traktu Orszy. Noc była nadzwyczajnie mroźna. W pierwszej wielkiej izbie domu

tego natłoczyło się przeszło pięćdziesięciu oficerów, ze sztabu i piechoty, i tam leżąc jedni na drugich przepędziliśmy noc całą w gorącu i zaduchu okropnym; pod naszemi oknami kilku żołnierzy zmarzniętych zrana zastaliśmy.

Dnia 15. za nadejściem pierwszych kolumn gwardyi, wyruszyliśmy ku Liadzie. Baterya rosyjska, ustawiona na lewej stronie drogi, witała nas kulami swemi podczas tego poruszenia. Przeszliśmy więc na stronę miasta od Liad bez straty i spokojnie maszerowaliśmy wielkim traktem, pomiędzy dwoma rzędami niebotycznych brzóz ku Liadzie. Temperatura dnia tego złagodziła się nieco i dla nas Polaków nie była nawet nieprzyjemną.

W Liadzie witali nas pierwsi żydzi polscy; widok ich czarnych długich sukien, czapek futrzanych i pejsów rozweselił nas cokolwiek.

Dnia 16. stanęliśmy w Drubrownie, w przedniej straży wielkiej armii. Nazajutrz, dnia 17. listopada, Napoleon ze szczątkami swych wojsk, zaledwie 20.000 ludzi pod bronią wynoszącymi, odważył się zaczepnie działać przeciw armii księcia Kutuzowa do 80.000 ludzi liczącej. Nie mieliśmy udziału w tej bajecznej bitwie; tego dnia bowiem dochodziliśmy do Orszy. Napoleon wycofawszy się szczęśliwie z pod Krasnego, przybył na noc dnia 17. pod Liady.

Korpus Neya, zakrywający odwrót na głównym trakcie od Smoleńska, odcięty został od nas przez jenerała Miłoradowicza i zdawał się być stracony. Lecz dzięki odwadze i wytrwałości dowódzcy, w ciągu kilku dni potem połączył się z nami pod Orszą. Stracił konie, działa, bagaże i kilka tysięcy ludzi. Odwrót Neya i przeprawa przez Dniepr, do najświetniejszych dzieł tej kampanii bez wątpienia należały.

Zabawiwszy dzień jeden, to jest 18. listopada w Orszy, wyruszyliśmy dnia 19. o dwie mile na trakt miński. Zostawiono kilku oficerów w Orszy, z poleceniem zbierania pojedynczych ludzi i zaprowadzenia ich do głównej kwatery. Tym sposobem szeregi nasze powiększone zostały kilkuset ludźmi.

Lecz przywyknięcie do maszerowania i szukania na swoją rękę żywności nie dało się przezwyciężyć u wielu innych; pomimo, że magazyny w Orszy były dla nich otwarte, woleli w osobnych kupkach pozostać, w obawie, aby zdobyczy i żywność, które powózkami prowadzili od Moskwy, nie postradać, a ponieważ broni nie porzucili, mogli napaści pojedynczych kozaków odpierać z łatwością. Ci żyli w obfitości, kiedy żołnierze orłów pilnujący, innego nie mieli pożywienia, jak mięso z koni na trakcie porzuconych. Tem to tłómaczyć można, dlaczego szeregi nasze z każdym dniem się zmniejszały, tak dalece, iż korpus piąty, dochodząc do Orszy, nie liczył więcej nad 1.200 ludzi.

Co do mnie, odbyłem cały pochód od chwili utracenia koni i bagażów, na podjezdku, dla którego musiałem starać się o furaż na każdym noclegu. Żywiłem się jak mogłem, aż do Smoleńska, to gotując wspólnie z kolegami żywność, którąśmy w furgoniku prowadzili ze sobą od Moskwy, to udając się do łaski pułkownika Bontempsa, komendanta pułku artyleryi, który w furgonach swoich miał ciągle dostatek wszystkiego i często mnie do siebie zapraszał. Przeciwko zimnu, opatrzony byłem ciepłem futrem z wilków, temu winienem ocalenie moje. Nogi mniej dobrze były opatrzone, podobnież i głowa kapeluszem stosowanym okryta.

Dochodząc do Krasnoji, koń mój tak mocno się odgrudził, iż z trudnością dalej prowadzić go mogłem; minąwszy Liady, musiałem go porzucić i pieszo przebyć drogę do Orszy i stąd do Berezyny. Marsz ten ostatni dał mi się szczególnie we znaki. Dnia 19 bowiem temperatura zupełnie złagodniała; raptowna odwilż przemieniła trakty w błotne kałuże, które liczne wozy i armaty wkrótce zupełnie rozjeździły. Musiałem w lekkiem obuwiu postępować po tem błotnistem morzu i nieraz tak byłem zmęczony, iż zacząłem o sobie powątpiewać. W chwili takiej, kiedy wysilony siadłem na boku drogi dla wypoczęcia, spotykam pułkownika Malleta w dobrej bryczce, zaprzężonej w trzy silne konie; wołam na niego, przedsta-

wiam stan mój i proszę, ażeby się nademną zlitował i na bryczkę zabrał. Lecz człowiek ten bez serca, niepomny na dawne stosunki, odmówił mi wręcz tej pomocy i zimno spojrzawszy, kazał mnie minąć. W kilka chwil później, nadszedł pociąg wozów i armat polskich. Pułkownik artyleryi Walewski, widząc moje położenie, zlitował się przecież nademną i pozwolił mi siąść na armatnim łożu. Tym sposobem przebyłem trudną część drogi od Tołoczyna do Bobru. Dnia 22 doszliśmy do Tołoczyna, a dnia 23. do Bobru. Pod tym miastem doszła nas wiadomość o zajęciu Borysowa przez korpus Czyczagowa i o klęsce, poniesionej przez dywizyę jenerała Dąbrowskiego, przy obronie mostu na Berezynie; nareszcie o zbliżaniu się od Witebska korpusu Wittgensteina.

Położenie szczątków wielkiej armii stało się przez to tak krytycznem, iż tylko niesłychanym błędom, popełnionym przez dowódzców nieprzyjacielskich przypisać było można szczęśliwe przeprawienie się nasze przez Berezynę pod Studzianką. Dnia 20. listopada jenerał Dąbrowski, po nieszczęśliwej potyczce pod Koydanowem, w której stracił cały niemal oddział jenerała Kosseckiego, stanął w nocy w okopach pod Borysowem z trzema batalionami piechoty, kilkoma szwadronami jazdy i dwudziestoma działami. Nieobznajomiony dokładnie z miejscowością, czekał do rana, ażeby uszykować wojsko swoje na pozycyi. Lecz dnia 21. o godzinie 6. zrana zaatakowany został niespodziewanie przez dywizyę jenerała Lamberta, mającą w odwodzie dywizyę Langerona, stanowiącą przednią straż admirała Czyczagowa. Bitwa rozpoczęła się najzaciętsza. Jenerał Dąbrowski widząc dobrze, iż od zachowania mostu zależało ocalenie wielkiej armii, bronił pozycyi jak najsilniej; w czasie boju otrzymawszy posiłek dwóch batalionów pod jenerałem Pakoszem, wracających z pod Bobrujska, zapewnił sobie nimi tyły i przeprawę przez most berezyński. Bitwa toczyła się przez cały dzień, nareszcie Langeron wzmocniony świeżemi batalionami, przypuścił ogólny atak na osłabione długą bitwą linie polskie, przełamał je i wyparł za

Berezynę, ze stratą 2.000 ludzi, jednego orła i trzech dział. Jenerał Dąbrowski w tej bitwie to wszystko uczynił, czego od doświadczonego i walecznego wodza spodziewać się tylko można było, lecz uledz musiał przemagającym siłom i sam jeden z ostatnich przeszedł przez most na Berezynie.

Po zajęciu Borysowa przez nieprzyjaciela, cesarz zmuszony był szukać innego punktu przeprawy. Wybrano w tym celu wieś Studziankę, o dwie mile powyżej Borysowa. Po kilku demonstracyach powyżej i poniżej, celem uwiedzenia jenerała Czyczagowa, zaczęto stawiać mosty dnia 26 listopada o godzinie 6 zrana pod osłoną artyleryi drugiego korpusu i gwardyi, rozstawionynh na wzgórzach, panujących nad Berezyną i wobec korpusu nieprzyjacielskiego pod jenerałem Czaplicem, stojącym na wzgórzach pod Brykowem. Tegoż dnia cała wielka armia włącznie z gwardyami, korpusem Oudinot'a i Victora, wynosiła już tylko 29.700 ludzi pod bronią. Między tymi było Polaków około 6.000, mianowici: korpus piąty pod jenerałami: Zajączkiem i Kniaziewiczem, dywizya Dąbrowskiego, jazda tej dywizyi, dywizya Girard'a składająca się z 4, 7 i 9 pułku piechoty, i legia nadwiślańska. Mosty zbudowano na kozłach z lekkiego materyału, pochodzącego z domów wsi Studzianki. Lewy przeznaczony był dla pociągów i jazdy, prawy dla piechoty. Budową zajęli się jenerałowie Ellé od artyleryi i Chasseloup od inżynieryi; pontonierzy francuscy i kompania saperów polskich z dywizyi Dąbrowskiego, poświęcili się tej ciężkiej robocie, wymagającej zanurzenia się po pas w rzece, krą płynącej. Większa część tych ludzi padła ofiarą swojego poświęcenia. Napoleon od godziny 7 zrana stał przy mostach i wszystkich zachęcał. Most po prawej stronie był gotów o godzinie 1. w południe. Zaraz po nim defilował korpus drugi Oudinot'a z 5.600 piechoty i 1.400 jazdy, z dywizyą Dąbrowskiego, i atakował oddział Czaplica. Po krótkiej utarczce Czaplic cofnął się ku Borysowu. Tym sposobem droga do Wilna, na Zembin i Pleszczenice otwartą dla nas została. Most lewy gotowy był o trzy godziny później. W cza-

sie budowy mostów Czyczagow, uwiedziony demonstracyami Napoleona, zrwóconą miał uwagę ku niższej Berezynie i spodziewając się przeprawy w okolicy miasta Berezyny, z większą częścią sił swoich wyruszył ku Szabaszewicom, w stronę przeciwną. Dopiero po odebraniu raportu od jenerała Czaplica o istotnym stanie rzeczy, pospieszył do Borysowa i stanął dnia 28 z rana z całą swoją armią, liczącą 17.000 ludzi i 9.000 jazdy, na trakcie, prowadzącym z Borysowa do Zembina, naprzeciw korpusu Oudinot'a.

W dniu 26. nad wieczorem przybyłem pieszo i bardzo znużony do Studzianki. Spotkałem tam przyjaciela i kolegę, Prądzyńskiego. Jakież było jego zdziwienie i smutek na widok szczątków naszego korpusu i wielkiej armii; co za różnica od czterech miesięcy! Wojska, dawniej tak świetne, tak potężne, w stanie najopłakańszym przedstawiały się jego oczom. W posród masy zdezorganizowanej i bezbronnej, maszerowały pojedyncze plutony pilnujące orłów swoich, i te nazywano korpusami 1. 3. 4. i 5. wielkiej armii! Jazdy już wcale nie było, zbiedzone jej oddziały, do cieniów podobne, w całej tej bezładnej zgrai rozrzucone były. Tylko korpus piąty zachował większą część artyleryi swojej; część bowiem odstąpić musiał korpusowi czwartemu, z Włochów składającemu się, który między Smoleńskiem i Orszą pozostawił na drodze. Gwardya cesarska tylko przedstawiała masę, do wojska podobną. Tłum ten konnych, pieszych i na wozach żołnierzy, ciurów, maruderów i powózek postępował w milczeniu. Na twarzach bladych, wychudłych, okopconych dymem ogniska, zeszpeconych długą brodą, malowało się odrętwienie lub rozpacz. Wszelkie usiłowania, aby powrócić szeregom tych ludzi, oderwanych od pułków i zdatnych jeszcze do broni, były nadaremne. Nie było do tego środka. Węzły karności zupełnie były zerwane. Oficer, jenerał i żołnierz, jeden los dzielili; różnica pomiędzy nimi ustała. Klęska tak wielka, tak wielki niedostatek wszystkich zrównoważyły. Pomimo to, co do

mojej osoby nie poddawałem się rozpaczy, tak jak drudzy, i z wielką spokojnością radziłem sobie, jak mogłem. Jednakże różnica w mojej powierzchowności wzbudziła współczucie w poczciwem sercu Prądzyńskiego; rozpłakał się na mój widok; opatrzył mnie w żywność i konia dobrego odstąpił, miał ich bowiem kilka, zdobytych w utarczkach pod Bobrujskiem. Dnia więc 27. przyjechałem konno, lubo z trudnością wielką przez lewy most za artyleryą korpusu piątego i dostałem się szczęśliwie na brzeg przeciwny. Bagno od mostów aż do wzgórza, panującego nad przeprawą, było zamarznięte. Przed dwoma dniami, w czasie odwilży, przejść po niem było niepodobna.

Bitwa nad Berezyną dnia 28 listopada.

Połączyłem się tego wieczora z dywizyą Dąbrowskiego i noc przepędziliśmy razem z Prądzyńskim, okryci moim futrem, w lesie sosnowym na prawej stronie drogi, prowadzącej do Borysowa. Dnia 28. o godzinie 7. zrana nieprzyjaciel atakował nas całą siłą. Marszałek Ney po Oudin'ocie, rannym w dniu 26., objął komendę nad nami. Dywizya Dąbrowskiego przeszła na lewo drogi i rozrzucona w tyraliery, bez żadnego wsparcia ani odwodu, potykała się przez cały dzień z chmarą nieprzyjacielskich tyralierów; jenerał Zajączek z resztkami korpusu piątego, wynoszącemi zaledwie 1.200 ludzi, walczył na prawej stronie; legia nadwiślańska przyszła mu w pomoc. Artylerya nasza stała na drodze; jazda w miejscach, gdzie las rzadszy dozwalał się jej poruszać, dzielnie szarżę przypuszczała, rozbiła piechotę rosyjską i parę tysięcy jeńców, najwięcej rannych zabrała. Ogień zacięty wrzał ze wszystkich stron. Raz Rosyanie przyparci rozpaczliwymi atakami naszej piechoty i jazdy, cofali się ku swoim rezerwom; drugi raz nasi przed siłą przemagającą ustępowali i zebrawszy się w kupki, z podwójną natarczywością posuwali się znowu naprzód.

Gdy się to działo, na prawym brzegu Berezyny marszałek Victor z jedną dywizyą polską Girard'a, później wzmocniony dywizyą jenerała Daendels'a i kilkuset jazdy pod jene-

rałem Fournier'em, odpierał z wielką stałością na lewym brzegu Berezyny ataki korpusu Wittgensteina. Trzecia dywizya korpusu pod jenerałem Partonay'em, w nocy z dnia 27. na 28. odciętą zostawszy pomiędzy Studzianką a Borysowem, zmuszona była broń złożyć przed korpusem Wittgensteina. Nieszczęśliwy ten wypadek utrudnił bardziej obronę mostów z lewego brzegu. Napoleon z 6.400 starej i młodej gwardyi stał nieporuszony pod Borysowem, gotów nieść pomoc, gdzieby się potrzeba tego okazała.

Około godziny 11. zrana, jenerał Dąbrowski ranny został w rękę, w której trzymał szablę Sobieskiego i opuścić musiał pobojowisko. Cokolwiek później Kniaziewicz odebrał kontuzyę w nogę, a jenerałowi Zajączkowi kula armatnia urwała nogę. Zaniesiono go do biwaku cesarskiego i tamże opatrzony był przez doktora Larrey'a w przytomności cesarza. Około godziny 1. w południe koń padł podemną, przestrzeloną mając szczękę od kuli karabinowej; podniosłem go i widząc, że się da uratować, odprowadziłem w tył i oddałem służącemu Prądzyńskiego, który widząc mnie spieszącego, a mając jeszcze kilka luźnych koni, podał mi drugiego. Około godziny 4. po południu ogień zaczął wolnieć na całej linii. Rosyanie nie mogąc nas przełamać, zaczęli tyralierów strąbywać i biwaki na linii bojowej swojej zakładać.

W czasie bitwy znaczna część bagażów, parków i pojedynczych maruderów defilowała przez mosty; budowane ze słabego materyału, często pod ciężarem uciekających łamały się i naprawy potrzebowały. Pochód bezbronnej zgrai zatrzymany przeto został kilka razy; w bliskości mostów ciżba coraz większa się stawała. Nareszcie, gdy kule Wittgensteina zaczęły padać między ten łtum, wszystko się zerwało, chcąc dosięgnąć mostów. Powstał ogromny zgiełk, gdy mosty przez straż tylną zajęte zostały. Już było zapóźno do uratowania tej masy bezbronnych ludzi. Za nadejściem pierwszych oddziałów rosyjskich, osłupienie ogarnęło wszystkich. Do 20.000

ludzi i ogromna ilość wozów dostała się w ręce nieprzyjaciela [1]).

Noc z 28. na 29. listopada po bitwie, przepędziłem na bagnach ramarzniętych nad rzeczką Gayną, przy stogach siana. Znalazłem cokolwiek kaszy w sakwach, na koniu Prądzyńskiego i tą posiliłem się po ciężkiej pracy. Nazajutrz dnia 29. wyruszyłem w dalszy pochód. Droga prowadziła szeregiem nieprzerwanych mostów, w długości 300 sążni, ku miasteczkowi Zembinowi. Nieprzyjacielskie oddziały krążące w okolicy, zaniedbały spalenia tych mostów, które stanowiły dla niedobitków jedyną przeprawę. Tym sposobem zostaliśmy uratowani. Na drodze spotkałem cesarza z królem Neapolitańskim, w zamkniętej karecie jadącego wolno, wśród pieszej gwardyi. Marszałek Davoust i książę Nevchatelski Berthier, siedzieli za powozem w ubiorach, dawnej ich wielkości wcale nie przypominających. Pierwszy po stracie korpusu przedstawiał obraz najopłakańszy. Widać było na jego twarzy cierpienie i osłupienie zarazem. Postępując zwolna i wyprzedziwszy kolumnę cesarską, doszedłem do miasteczka Zembina.

Dnia 30. listopada stanąłem nareszcie w Pleszczenicy. Zastałem tam rannego jenerała Dąbrowskiego, spoczywającego w domu drewnianym, w którym w wilię dnia marszałek Oudinot, ranny także dnia 27. z innymi rannymi oficerami i żołnierzami, mianowicie z włoskim generałem dywizyi Pino, zabarykadowawszy się, wytrzymali atak ze strony jenerała rosyjskiego Łanskoja, na czele lekkiego oddziału jazdy z dwoma działami, odeprzeć go potrafili. Dom nosił jeszcze na sobie ślady walki. Kilka kul armatnich przedziurawiły go bowiem na wylot.

Cesarz Napoleon stanął dnia 28. listopada w Mołodecznie i tu postanowił opuścić armię i wrócić do Paryża.

---

[1]) Okropne sceny przy mostach, opisane są dokładnie w dziełach Chambray'a i Buturlina. Nie będąc ich świadkiem, pominąć takowe muszę.

Co do mnie, sprzągłszy konia mego z koniem oficera Urmowskiego i nabywszy lekkie sanki, puściłem się wśród okropnego mrozu do Wilna na Mołodecznę, Smorgonię, sławną pomiędzy Litwinami z akademii niedźwiedziej, Oszmianę, Ryhomię — i stanąłem w stolicy litewskiej dnia 7. grudnia.

Wiadomość o naszych klęskach jeszcze nie była zupełnie doszła do miasta. Nikt się nie spodziewał takiego pogromu. Dostałem kwaterę u poczciwego obywatela, gdzie sobie przez dzień jeden wypocząłem i wykąpałem się; a pomimo tego iż niema nic niebezpieczniejszego, jak kąpiel po 25-stopniowym mrozie, nie zaszkodziłem zdrowiu. Tu także zastałem księcia Poniatowskiego, jenerała Dąbrowskiego, pułkownika Rautenstraucha i innych wyższych oficerów, którzy nas wyprzedzili. Pokrzepiwszy się przez jeden dzień i opatrzywszy w cokolwiek bielizny i pieniędzy z łaski pułkownika Stanisława Chłapowskiego, adjutanta przy Dąbrowskim, puściłem się dnia 9. grudnia zrana w towarzystwie podpułkownika Urmowskiego na Ponary do Kowna. Artylerya nasza i wszystkie pojedyncze oddziały poszły w kierunku Olity. Drogę tę także obrał książę Poniatowski ze swoim sztabem. Dnia 11. przybyłem do Kowna i nie zatrzymawszy się w tem mieście, przeprawiłem się przez zamarznięty Niemen i stanąłem na noc w Aleksocie wraz z jenerałem Dąbrowskim, w domu posła Godlewskiego, który nas z gościnnością staropolską i z otwartemi rękami przyjął. Była to pierwsza noc prawdziwego wypoczynku po tak wielkich znojach. Lecz i tu nie można było długo pozostać, nie chcieliśmy być pochłonięci ciżbą zdezorganizowanej armii. Ruszyliśmy więc dalej lasami, okrywającymi północną część augustowskiego województwa i dlo skrócenia sobie drogi, przerznąwszy się przez część wschodnich Prus około Johanisberga, przez Pułtusk i Sierock, stanęliśmy w Warszawie dnia 20. grudnia. Cesarz dnia 10. grudnia już przejeżdżał przez Warszawę, w towarzystwie jenerała Caulincour'a i kapitana Wąsowicza, i po krótkiej rozmowie z wyższymi władzami i arcybiskupem de Praett, nadzwyczajnym

posłem swoim przy konfederacyi, wyruszył do Drezna. Książę Poniatowski w trzy dni później, to jest dnia 13. przybył także do Warszawy. Zaczęły się ściągać do stolicy wszystkie pojedyncze oddziały, artylerya, jazda, oderwańcy i t. d., którzy w zbyt szybkim odwrocie potrafili ocalić swoje życie od mrozów i następujących kozaków. Zaledwie 6.000 ludzi i to bezbronnych w większej części, powróciło z korpusu piątego, 32.000 ludzi wynoszącego w czasie przeprawy przez Niemen, prócz oddziałów jazdy, rozrzuconych w wielkiej armii.

Legia nadwiślańska, gwardya konna Krasińskiego, dywizya polska z korpusu Victora, dywizya grenadyerów z korpusu Macdonald'a, innymi szły traktami. Litewskie pułki piesze nowo sformowane pod jenerałem Giedroyciem, pułkownikiem Czapskim, Giełgudem i t. d., zwrócone zostały do Modlina.

Po niewielkim spoczynku zaczęto myśleć o środkach zreorganizowania tej bezładnej masy. Użyto na to kadrów piechoty i zakładowych szwadronów jazdy. Artylerya prawie wszystkie działa swoje szczęśliwie doprowadziła i z chlubnem poświęceniem, jedna tylko zachowała porządek w ludziach i zaprzęgach. Dowodził nią waleczny pułkownik Górski. Park artyleryi i oddziały saperów: pierwszy pod rozkazami pułkownika Bontemps'a, bez wielkiej straty, w należytym porządku przybyły do Warszawy.

Z powracających żołnierzy, z kadrów piechoty i z rekrutów, których departamenta przez Rosyan nie zajęte, dostarczyły, uformowano sześć nowych pułków pieszych. W zakładach jazdy po zarekwirowaniu kilku tysięcy koni, znaleziono tyle jeszcze ludzi i koni, iż dołączywszy pozostałych jeźdźców: sześć pułków konnych, mianowicie: 1, 3, 6, 8, 12 i 13 jazdy uformować było można, lubo niekompletnych.

Jenerał Dąbrowski w Kaliszu i okolicach zebrał kadry swojej dywizyi i przyłączywszy do nich świeży pobór, sformował dwa pułki piechoty i dwa pułki jazdy. Nareszcie w pierwszych dniach stycznia roku 1813. zwołane zostało

pospolite ruszenie w departamentach, nie zajętych przez nieprzyjaciela. Na to wezwanie w departamentach na lewym brzegu położonych, w przeciągu sześciu tygodni stanęło około 8.000 jazdy na koniach mierzynach, uzbrojonych w lance z chorągiewkami, pałasze i pistolety, i wszyscy umundurowani. Departament poznański dostawił 2.000 koni w mundurach granatowych z amarantowymi wyłogami lub wypustkami. Departament kaliski 2.000 koni w granatowych z niebieskimi przyborami, pod komendą starego pułkownika Biernackiego. Departament krakowski 2.000 w ubiorze krakowskim, właściwym chłopom w okolicach Proszowic i Szkalmierza. Ile dostarczyły departamenta inne, nie jest mi wiadome. Owo pospolite ruszenie złożone było z samych chłopów — zbłądzono w tem, iż na dowódzców nie dano im starszych oficerów i podoficerów. Właściciele ziemscy bez doświadczenia, zastąpić ich byli zmuszeni. Lecz nie było czasu do uporządkowania i wymustrowania tego naprędce zebranego żołnierza. Chociaż wysilenie takie po wystawieniu 6.000 żołnierza, bardzo ciążyło na obywatelach, przecież bez szemrania, z największą ochotą, każdy się garnął do oręża, lub dostawiał nakazanych: ludzi i koni. Lecz za to w krótkim czasie nieład i zniechęcenie wkraść się musiały w szeregi. Za pierwszą wiadomością o przejściu Wisły przez Rosyan, dezercya się rozpoczęła i w dwa tygodnie ledwie się 2.000 koni z tego całego pospolitego ruszenia przy chorągwiach znalazło!

KONIEC KSIĘGI I.

WSPOMNIENIA

JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.

WSPOMNIENIA

JENERAŁA

KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIĘGA II.

od roku 1813 do 1820.

(Z DZIESIĘCIU RYCINAMI W TEKSCIE).

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1899.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego

WSPOMNIENIA

JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.

III.

(1813–1815).

W początku stycznia otrzymaliśmy urlop na sześć tygodni do domów rodzicielskich i razem z Prądzyńskim podróż tę odbyliśmy. Jaka była radość rodziców, po tak wielkiej o nas niespokojności, trudno mi wypowiedzieć.

Lecz nie długo było tego, tak miłego wypoczynku. Wkrótce zaczęły się pokazywać na trakcie z Bydgoszczy do Poznania, o pół mili od naszej wsi Wojnowa, niedobitki wielkiej armii francuskiej. Stanął u nas jenerał Walther od konnej gwardyi cesarskiej, z oddziałem oficerów i żołnierzy, ocalonych z Moskwy. O kilka dni marszu za nim już ukazywała się przednia straż rosyjska. Trzeba było myśleć o ustąpieniu jej miejsca. Ojciec, zaopatrzywszy mnie w parę koni z własnej stajni, i w trzeciego, nabytego w Poznaniu z całym rynsztunkiem, podarowawszy broń i potrzebne pieniądze, pożegnał się ze mną w Poznaniu dnia 10. lutego. Postanowiliśmy z Prądzyńskim połączyć się w Częstochowej z korpusem księcia Poniatowskiego, który w niebytności naszej, po wkroczeniu Rosyan w granice Księstwa Warszawskiego, znaglony był odwrotem i dwuznacznem postępowaniem księcia Schwarcenberga, naczelnego dowódzcy korpusu posiłkowego austryackiego, do opuszczenia Warszawy.

Dnia 12. lutego, oddział litewskiej jazdy, pod dowództwem jenerała księcia Giedroycia, złożony z 30 oficerów, 900

ludzi i 1.000 koni, napadnięty i zabrany został zupełnie w niewolę, w mieście Sierakowie nad Wartą, przez oddział rosyjskich kozaków, pod pułkownikiem Jefremowem i majorem Puszkinem.

Obróciliśmy drogę naszą na Kalisz i tam nas znowu spotkać miał obraz żywej wojny. Zastaliśmy w Kaliszu jenerała Dąbrowskiego, z kadrami dywizyi swojej, na wpół uzbrojonymi, i powstanie kaliskie, pod komendą pułkownika Biernackiego. Zaczęły przychodzić wiadomości o zbliżaniu się korpusu jenerała Reynier, który z dywizyą francuską Durutt'a i Sasami ustępował wolno przed korpusem rosyjskim Wittgensteina. Wysłany oddział powstańców, pod komendą Biernackiego na rozpoznanie, o trzy mile od Kalisza rozbity został przez kozaków, przy pierwszem spotkaniu. Biernacki mocno ranny, z wielu innymi oficerami i żołnierzami dostał się do niewoli. Niedobitki trwogę rozniosły po Kaliszu.

Drugiego dnia, to jest 13. lutego, po naszem przybyciu do Kalisza rozlegał się huk dział na wzgórzach miasta. Była to rzeczywista bitwa, korpus Reyniera bowiem, party przez Rosyan, stawił im czoło i chlubną, odporną bitwę stoczył z przeważającą siłą; po kilkugodzinnym, nader żywym ogniu, Francuzi ustąpili z pozycyi przed miastem i nazajutrz opuścili Kalisz, z niewielką stratą. Czas było pomyśleć o naszym odwrocie, kozacy bowiem zaczęli podjazdami swymi dochodzić do traktu częstochowskiego. Przemknęliśmy się szczęśliwie, i w kilka dni połączyli z kolegami pod Częstochową.

Część korpusu księcia Poniatowskiego tak dalece zreorganizowana była, że stanąć mogła na linii bojowej, składała się bowiem z 10.000 żołnierzy, z odpowiednią artyleryą, pomiędzy tymi było 3.000 jazdy, po większej części regularnej, w mniejszej z powstańców złożonej. Oddziały, potrzebujące lepszej organizacyi, nie mniej oddział Sasów i Francuzów, odcięte od korpusu jenerała Reynier'a, (brygada Gablentz'a) spieszyły ku Krakowu, a korpus księcia Poniatowskiego rozłożył się

JENERAŁ HENRYK DĄBROWSKI

według sztychu Villerey'a, fotogram Kriegera w Krakowie

w okolicach Częstochowy. Twierdzę uzbrojono i zaopatrzono w odpowiedni garnizon i żywność.

Pod Częstochowę podciągnął korpus rosyjski jenerała Sachen dnia 25. marca i po krótkiem bombardowaniu, garnizon nasz, składający się z 51 oficerów, 48 podoficerów, 978 żołnierzy i 26 armat, kapitulował dnia 5. kwietnia i poszedł w niewolę.

Wsteczne to poruszenie księcia Poniatowskiego zakrywał książę Schwarzenberg z korpusem posiłkowym ausrtyackim, w pochodzie niemal etapowym. Tym sposobem zupełnie oddzieleni byliśmy od Rosyan z jednej strony, lecz z drugiej coraz bardziej zbliżaliśmy się do Wisły, granicę z Galicyą stanowiącej. Położenie było nader drażliwe.

Po zdobyciu Częstochowy jenerał Sachen zwrócił się ku Krakowu, założył główną kwaterę w Żarkach i stał, obserwując księcia Poniatowskiego, do początku maja. Korpus ten składał się: z 8. pułku piechoty 3200 ludzi, 4. pułku jazdy 1.200 ludzi, 6. pułku kozackiego 1.000 ludzi, 4. bateryj konkonnych 600 ludzi i 36 armat; razem 6.000 ludzi.

Po obsadzeniu fortec: Modlina, Zamościa, Częstochowy, Torunia i Gdańska, do których obserwacyi potrzebował nieprzyjaciel znaczne zostawić oddziały, książę Poniatowski, przyciągnąwszy do siebie 4.000 ludzi pod jenerałem Dąbrowskim, które w fałszywym poszły kierunku, i do nich dodawszy 4.000 ludzi, pod Krakowem oczekujących na lepszą organizacyę; mógł zebrać nad Pilicą około 18.000 regularnego wojska. Prócz tych, należało się z wyboru wszystkich powstań, pod doświadczonymi oficerami uformować lekką jazdę, na podobieństwo Lisowczyków i tę zaprawić do partyzanckiej wojny; tych ostatnich można było do 4.000 koni zebrać.

Korpus, w ten sposób sformowany, pod wodzem tak popularnym, jakim był książę Poniatowski, zakryty Pilicą, w stanowisku bocznem do linii operacyjnej nieprzyjaciela, w kraju własnym, długoby się powinien utrzymać; a byłby odwrócił w najgorszym razie część sił nieprzyjacielskich, które

w kilka miesięcy później potykały się pod Lützen i Budziejowicami. Lecz polityka austryacka wtedy nie mniej, jak w całej kampanii 1812 roku, dwuznacznie mająca się ku neutralności zbrojnej, nie chciała dopuścić pobytu naszego na lewym brzegu Wisły. Nie chcąc zawcześnie odkryć nieprzyjaznych dla cesarza Napoleona zamiarów, przestała z początku na oddzieleniu nas od Rosyan. Zakrycie odwrotu naszego zdawało się w stanie niezupełnej organizacyi, czynem lojalności wojskowej i dobrego koleżeństwa. Lecz myśl zdradliwa powodowała księciem Schwarzenbergiem. Zaczęto księciu Poniatowskiemu w poufnych komunikatach przedstawiać, jak wielka wdzięczność się od nas należy korpusowi austryackiemu za tę zasłonę od przemagającej siły rosyjskiej, żądającej usilnie naszego pognębienia; później żądano miejsca dla własnego korpusu, cofającego się przed Rosyanami; później oświadczono zupełną neutralność, nareszcie, nie chcąc wystawić nas samych na widoczną zgubę, ofiarowano księciu Poniatowskiemu konwencyą, na mocy której mógł korpus polski swobodnie przeprowadzić przez państwo austryackie i połączyć go z wielką armią, stojącą w Saksonii. Książę Poniatowski nie potrafił oprzeć się tym zręcznym podstępom; krótko zabawiwszy w okolicach Częstochowy, zaczął się cofać ku Krakowu i skoncentrował się naokoło miasta. Austryacy zajęli górną część Pilicy.

Co do mnie, wykonawszy z polecenia wyższego rozpoznanie biegu Warty, od Częstochowy do wsi Wygody, i dróg do niej równoległych i prostopadłych, stanąłem na początku marca w Krzeszowicach. Zastałem tam pułkownika inżynierów Malett'a z kolegami wszystkimi. Odwilż w miesiącu lutym zamieniła się w mocniejsze mrozy i śniegi, dla których komunikacye w kraju górzystym zatamowane zupełnie zostały. Operacye wojenne w takiej porze zastanowić się musiały. Każdy spoczynku potrzebował, a jeżeli straty nasze były dotkliwe, Rosyanie w pochodzie za nami nie mniej wielkie w ludziach i koniach, dotkniętych mrozem, ponieśli. Nieprzy-

jaciel równie jak i my, ściągał rezerwy i wzmacniał swoje siły. Książę Poniatowski korzystał z dwumiesięcznego zawieszenia wszelkich operacyj wojennych, dla wzmocnienia i zreorganizowania swego małego korpusu. Doprowadził go wkrótce do 14.000 zdatnego do boju żołnierza, w nadziei zawsze, iż niezadługo otworzy się dla niego pora oddania razem wielkiej przysługi cesarzowi i oswobodzenia ziemi naszej od nieprzyjaciela.

Lecz sidła, na słaby charakter księcia Poniatowskiego nasadzone, już się nie dały zerwać.

Położenie nasze z każdym dniem pogorszało się. Król pruski dnia 25. stycznia 1813 roku, przeniósł się z dworem do Wrocławia. Dnia 27. lutego podpisany został traktat odporny i zaczepny między Prusami i Rosyą, a dnia 3. lutego król w dwóch odezwach, do wojska i do ludu swojego, odsłonił zupełnie swoje zamiary przeciwko Francyi. Więc już nietylko z Rosyanami, lecz i z Prusakami nasz mały korpus byłby miał sprawę. W tej chwili nalegania ze strony dowódzcy austryackiego do zawarcia konwencyi, w celu przeniesienia armii polskiej przez państwo austryackie do Saksonii, coraz silniejsze się stawały. W tym także czasie zjawił się w Krakowie książę Antoni Radziwiłł, ścisłymi węzłami z domem królewskim pruskim związany, z poleceniem od dwóch sprzymierzonych monarchów, oderwania księcia Poniatowskiego od związku z Francyą. Krok ten ze strony Polaka i w takiej sprawie, obruszył nadzwyczajnie księcia Poniatowskiego. Irytacya, której doznał z powodu tej haniebnej, jego rycerskiemu charakterowi tak przeciwnej propozycyi, nie jest do opisania. Onże miał dać pierwszy przykład odstąpienia sprawy, której tak wiernie od młodości służył? — On, rycerz nad rycerze, miał splamić nasze chorągwie? Tego było za wiele! Z pogardą odrzucił propozycye obydwóch dworów. Książę Antoni Radziwiłł z tego powodu wystawiony był nawet na największe niebezpieczeństwo, gdyż francuski poseł pan Bignon, dowiedziawszy się o powodach jego misyi, żądał

aresztowania księcia. Dozwolono mu jednak bez szwanku wyjechać. Drugi był powód, nie mniej dotkliwy, zmartwienia księcia Poniatowskiego. Odebrał bowiem w Krakowie podanie do dymisyi z powodu zdrowia, od jenerała Kniaziewicza. Krok ten w okolicznościach niebezpiecznych, w jakich się korpus polski znajdował, wytłumaczeniu nie podlega. Dymisya wydaną została w wyrazach, nie przynoszących zaszczytu jenerałowi Kniaziewiczowi. W połowie kwietnia wojska austryackie, z 3.000 ludzi złożone, pod komendą księcia Schwarzenberga, a później jenerała Frymont'a, zbliżyły się pod Kraków tak, iż linie białe obozowe, na górach Prądnika rozłożone, ze stanowiska naszego spostrzedz było można.

JENERAŁ KAROL KNIAZIEWICZ.

Myśl rozpaczliwa napadnięcia w nocy na obóz austryacki, podaną została księciu Poniatowskiemu przez gorętsze umysły sztabu jego. Lecz zimna rozwaga i obawa politycznych skutków i deklarowanie się Austryi przemogły. Naglono o konwencyę, tę wreszcie zawarto w ostatnich dniach kwietnia. Zawarowano: iż wojsko polskie w kilku kolumnach postępować będzie etapami przez Galicyę, Śląsk austryacki, Morawy i Czechy, ku saskiej granicy. Oficerowie, podoficerowie i kilkudziesięciu żołnierzy, dla utrzymania karności i porządku mieli zachować broń. Resztę broni wieźć miano za kolumnami. Żywność, furaż i kwatery miał król saski wskutek konwencyi wynagrodzić cesarzowi austryackiemu.

Przyszła nareszcie chwila opuszczenia Krakowa. Z jakim żalem porzucaliśmy rodzinną ziemię i wieże starożytnego

grodu żegnali, ten tylko uczuje, kto na tej ziemi wychowany. Prześliśmy Wisłę. Korpus polski rozłożony został po wsiach naokoło Podgórza. W kilka dni potem kolumny nasze zaczęły maszerować traktem żwirowym wiedeńskim na Mogilany, Wadowice ku Bielicy.

Co do mnie, bawiąc cały miesiąc luty i połowę marca w Krzeszowicach, pięknej majętności Potockich, słynnej z wód siarczanych i z romantycznego położenia doliny rzeki Czarnej i zwalisk zamku Tenczyńskich; zatrudniałem się rysunkami planów i projektów dla pułkownika inżynierów Mallet'a, dowódzcy mego. Tu spotkał mnie przykry przypadek; przez złe stąpnięcie po schodach kamiennych, gołoledzią pokrytych, padłem na twarz i dużą ranę zadałem sobie w brodę. Lecz przy pomocy doktora miejscowego, pana Woynickiego, w przeciągu dwóch tygodni wyzdrowiałem, pozostał tylko ślad od blizny.

W połowie marca przybyłem do Krakowa i razem z Prądzyńskim wygodne pomieszkanie otrzymałem przy ulicy Grodzkiej.

Dn a 22. lutego postąpiłem na kapitana pierwszej klasy. W tym samym czasie, na przedstawienie dowódzcy mego, ozdobiony zostałem krzyżem złotym orderu wojskowego polskiego *Virtuti militari*.

Nagrody te, za kampanię 1812 roku udzielone, najprzyjemniejsze sprawiły na mnie wrażenie.

W pochodzie przez państwo austryackie przyłączony zostałem do kolumny, maszerującej ze sztabem głównym. Pułkownik Mallet, szef batalionu Minter, major Sałacki, kapitan Prądzyński, porucznicy: Kuźnic, Wilson, i Klemensowski znajdowali się przy niej.

Część Galicyi, którą nam przebyć wypadało, jest malowniczo piękna. Z lewej strony wznoszą się Karpaty, w kilku piętrach i stare zamczyska na nich. Z prawej, w odległości kilku [illegible] rywa się dolina Wisły, widać Tyniec i Oświęcim. Sta [illegible] i ich mieszkania, zasmucały serce. Nie-

ochędożność, pijaństwo, nierząd, wszędzie się dały spostrzegać. Inny obraz przedstawił nam się na Śląsku austryackim, i w Morawii. Tu ubóstwo nie mniejsze jak w Galicyi, lecz domki schludne, wybielone, mieszkańcy gościnni, porządnie odziani, bogobojni, moralni! A jednak jest to ten sam ród słowiański. W kimże wina? Nie dochodząc do Bielicy, spotkaliśmy jenerała Sokolnickiego, wysłanego do nas przez cesarza Napoleona, z wiadomością o wygranej dnia 2. maja bitwie pod *Lützen*, czyli *Grossgerschen*. Wiadomość ta pomyślna pokrzepiła wszystkich. Książę Poniatowski wahał się nawet, czy nie zatrzymać ruchu kolumn naszych i nie powrócić do Krakowa. Lecz Austryacy żadną miarą zezwolić nie chcieli na to żądanie, owszem wymagali od nas dotrzymania ścisłego konwencyi i do dalszego pochodu naglili, grożąc, w razie zastanowienia naszego ruchu, rozbrojeniem kolumn. Musieliśmy uledz i dalej się posuwać.

Doszedłszy do Przerowa, porzuciliśmy główny gościniec wiedeński, omijając twierdzę pierwszego rzędu Ołomuniec i poszliśmy na Wischau do Berna. Po drodze leży sławne pole bitwy austerlickiej. Polecono mnie i Prądzyńskiemu zdjęcie planu okolicy. Czynność tę wypełniliśmy z ostrożnością dostateczną. Widok miejsc, w których tak świetne zwycięztwo geniuszem Napoleona odniesione zostało; dolina Pratzen, skąd środek Francuzów pod dowództwem Napolena nagle wypadając, rozbił środek rosyjski; doliny przy wsiach Sokolnitz, i Jellnitz, przy której dwie dywizye Davoust'a zatrzymać potrafiły przez kilka godzin lewe skrzydło rosyjskie, mające zamiar oskrzydlić Francuzów; stawy, w których pogrążona została rosyjska artylerya; pozycye lewego skrzydła francuskiego pod Bernadottem, Muratem i Lannes'em; wszystko to oddane zostało w żywych kolorach. Praca ta zjednała nam pochwały i podziękowanie ze strony księcia Poniatowskiego.

Z ładnego miasta Berna, nad którem panuje zamek Spielberg, więzienie tylu szlachetnych ofiar politycznych, mianowicie Laffayettè'a i Silvio-Pellco, po jednodniowym odpoczynku

zwróciliśmy się ku granicom czeskim. Nie pozwolono nam iść traktem głównym na Pragę, lecz obrano dla nas boczną drogę na Kolin. Towarzyszył naszemu ruchowi korpus austryacki; głównym traktem wiedeńskim szły znaczne siły ku granicom saskim; a w okolicach Königgraetzu stał korpus obserwacyjny, dla uważania poruszeń wielkiej armii francuskiej, wkraczającej do Śląska, po nowem zwycięztwie dnia 20. marca, w okolicach Budziejowic.

W Czechach zaczęli emisaryusze austryaccy w zmowie z mieszkańcami, odmawiać nam żołnierzy. Powstała wielka dezercya w naszych szeregach. A gdy kary dyscyplinarne nic nie pomogły, książę Poniatowski chcąc złemu zapobiedz, odrazu zwołał sąd wojenny, który dwóch żołnierzy skazał na rozstrzelanie. Wyrok ten wykonany został w przytomności mieszkańców. Stąd nastąpiło wielkie wzburzenie mieszkańców, nie pojmujących, iż polski dowódzca prawo śmierci śmie wykonywać w państwie cesarskiem. Pominięto ich żale, a przykład, tak energicznie dany, powstrzymał dezercyę. Pierwszych dni czerwca, po zawartem zawieszeniu broniu, kolumny nasze bez żadnej przeszkody przebyły granicę czeską pod Gabel i stanęły na ziemi saskiej, w mieście Zittau i w okolicy. Mieszkańcy tego pięknego kraju, nie dotknięci jeszcze wojennemi klęskami, przyjęli nas jak braci. Nie pamiętam w czasie mojej karyery wojskowej większej uprzejmości i gościnności.

Główny sztab stanął w Zittau. I mnie się tu dobra kwatera dostała w mieście u poczciwego obywatela Plehna. Stąd różne wycieczki czyniłem w góry czeskie, do obozu francuskiego siódmego korpusu pod Görlitz; zamek Oybin i inne interesujące miejsca, a mianowice sławne fabryki płótna, zwiedziłem. Zastanowiła nas zamożność mieszkańców, którzy prawie wszyscy są fabrykantami, a między nimi tacy, co 50.000 tal. posagu córkom swoim dają.

Dnia 4. czerwca nastąpiło pomiędzy cesarzem Napoleonem a sprzymierzonymi monarchami zawieszenie broni na kilka dni, po którem nastąpił dłuższy rozejm we wsi Ple-

schwitz pod Jauer, do 20. lipca. W tym czasie toczyć się miały w Pradze rokowania o pokój, do których cesarz austryacki ofiarował obydwom stronom pośrednictwo swoje.

Tymczasem organizacya ósmego korpusu, ten bowiem numer porządkowy otrzymaliśmy od cesarza, szybkim postępowała krokiem. Uformowano pięć pułków piechoty o dwóch batalionach po 700 ludzi; później pułk nadwiślański, w okolicach miasteczka Stolpe przyłączył się do nas. Z jazdy uformowano dwie dywizye: pierwszą pod dowództwem księcia Sułkowskiego; drugą pod dowództwem jenerała Sokolnickiego. razem 3.500 ludzi.

Jazda ta przeszła pod komendę jenerała Kellermana i hrabiego Valmy, pod nazwą czwartego korpusu rezerwowego. Dodano ze strony francuskiej dwie piękne konne baterye.

Prócz tej jazdy, utworzono korpus przedniej straży z pułku Krakusów, o 4 szwadrodnach po 880 koni, pod komendą majora Rzuchowskiego i szwadron kirasyerów bez kirysów pod pułkownikiem Dziekońskim z 180 koni, nad którym dowództwo powierzone zostało jenerałowi Umińskiemu, dawnemu dowódzcy 10 pułku huzarów. Później dwa działa artyleryi konnej pod porucznikiem Wierzbickim przydane zostały.

Artylerya ósmego korpusu składała się z czterech bateryj pieszych, jednej ciężkiej i jednej konnej, pod dowództwem pułkownika artyleryi Redla. Parkiem dowodził pułkownik Bontemps; saperami, do których przyłączył się oddział saperów naszych, wprawionych oblężeniami hiszpańskiemi, pułkownik Rakowiecki. Waleczny kapitan Schweitzer, wsławiony w Hiszpanii, prowadził jedną kompanię. Nareszcie z całego korpusu ósmego wybrano batalion grenadyerów, pod komendą pułkownika drugiego pułku piechoty Kurciusza z 600 ludzi, i ten wcielony został do gwardyi cesarskiej, pod nazwą gwardyi polskiej.

Cała siła ósmego korpusu składała się tym sposobem z 10.710 ludzi; doliczywszy do tego: korpus jazdy hrabiego

Valmy 3.500 ludzi, i dwie baterye francuskiej artylery konnej 300 ludzi, otrzymamy cyfrę 14.510 ludzi; była to cała siła, pozostająca pod dowództwem księcia Poniatowskiego.

Sztab główny składał się z następujących osób: jenerał dywizyi Rożniecki, szef sztabu; jenerał brygady Rautenstrauch, podszef; adjutanci naczelnego wodza: szef szwadronu Artur Potocki, kapitanowie: Kicki, Szydłowski, Heliodor Skurzewski i Kamieniecki; major Aksamitowski. Adjutanci kapitanowie: Potulicki, Langert, Kostkowski, Brodowski, Braun, kapitan Bléchamp. Ordonator korpusu Darewski.

Piechotą dowodzili: jenerał dywizyi Izydor Krasiński; jenerał brygady Małachowski, weteran z legionów; jazdą jenerałowie dywizyi: książę Sułkowski, Sokolnicki; brygadami pułk. Kwaśniewski i t. d. (zobacz powyżej). Pomiędy sztabsoficerami piechoty odznaczali się już wtedy: pułkownik Jan Skrzynecki i podpułkownik Maciej Rybiński. Legią nadwiślańską dowodził waleczny i nader wykształcony pułkownik Malczewski; pułkiem pierwszym strzelców konnych, Kurnatowski. Podpułkownicy szóstego pułku ułanów: Dłuski i Kazimierz Skarzyński, do najdzielniejszych dowódzców jazdy słusznie policzeni być powinni. W korpusie jenerała Dąbrowskiego znajdowali się: jenerał Krukowiecki, pułkownicy jazdy: Estko, Siemiątkowski i szef szwadronu artyleryi, Szwerin.

Prócz siły, zebranej pod Zittau, pod rozkazami księcia Poniatowskiego, wynoszącej, jak wyżej powiedziano 14.510 ludzi z 42 działami, jenerał Dąbrowski przyprowadził do wielkiej armii dywizyę, uformowaną w zakładach nad Renem i Wezerą, złożoną: z dwóch pułków piechoty, o dwóch batalionach po 700 ludzi; dwóch pułków ułanów po cztery szwadrony i jednej bateryi konnej o sześciu działach, gwardyi konnej Krasińskiego o sześciu szwadronach; pułku ułanów nadwiślańskich pod pułkownikiem Stokowskim; doliczywszy do tego korpus ósmy i korpus hrabiego Valmy, przyjdziemy do przekonania, iż przy wielkiej armii znajdowało 20.160 wojska polskiego, dobrze zorganizowanego i bitnego.

W garnizonach pozostało: W Modlinie niektóre zakłady starej piechoty, rekonwalescenci z kampanii rosyjskiej i cztery pułki litewskie nowej formacyi, pod komendą jenerała Daendelsa, Holendra rodem. Garnizon modliński składał się z początku z 6.000 ludzi piechoty, z odpowiednią wałową artyleryą. Jedną brygadą piechoty dowodził pułkownik Blumer, wsławiony w armii śmiałym odwrotem dnia 18. października pod Tarutyną; inżynierami placu: pułkownik francuski Prèvo-Vernois, jeden z najdzielniejszych oficerów tej broni, pod nim kapitan Męciszewski i porucznik Wiszniewski Konstanty. W Zamościu, prócz różnych zakładów i rekonwalescentów, znajdował się kompletny pułk 13. piechoty o trzech batalionach, pod pułkownikiem Żymirskim, z odpowiednią ilością artyleryi wałowej i jedną kompanią saperów. Twierdzą, na rok w żywność zaopatrzoną, dowodził jenerał brygady Maurycy Hauke, doświadczony oficer legionów; inżynierami kapitan Jodko. Garnizon zamoyski wynosił 4.000 ludzi.

W Gdańsku pozostały następujące oddziały polskie: jenerał brygady książę Michał Radziwiłł, pułkownik szef sztabu Nowicki, z 5., 10. i 11. pułkiem piechoty, 9. ułanów, 6. i 16. kompanią artyleryi polnej, jedną kompanią artyleryi konnej i kompanią saperów, to jest 5.835 ludzi.

W Częstochowej zostało się 1.000 ludzi załogi, która za przybyciem korpusu Sachena i z wyrzuceniem pierwszych granatów, kapitulowała dnia 5 kwietnia.

Nareszcie w Hamburgu szef szwadronu Dwernicki uformował siedemnasty pułk ułanów polskich z rozmaitych zakładów, składający się z 300 koni.

Rekapitulacya siły oddziałów polskich w czasie kampanii 1813 roku:

Batalion Kurciusza przy gwardyi cesarskiej 700 ludzi, przy wielkiej armii 20.160, w Modlinie 6.000, w Zamościu 4.000, w Gdańsku 5.835, w Hamburgu 300. Ogółem było 36.995 ludzi.

Nie małe wysilenie na tak mały kraik, jakim było Księstwo Warszawskie, zwłaszcza po stratach kampanii 1812 roku. Lecz jeszcze wtedy wierzono w gwiazdę Napoleona i nikt z pomiędzy nas nie wątpił o powrocie Fancuzów nad Wisłę.

Tymczasem układy o pokój toczyły się w Pradze czeskiej, pomiędzy pełnomocnikami mocarstw wojujących, pod protekcyą Austryi. Lecz pośrednictwo to przestało być bezstronne, skoro ofiarowane z bronią w ręku. Spostrzeżono wkrótce ze strony francuskiej, iż Austrya znacznie się przechyliła na stronę Rosyi i Prus, sądząc po warunkach podawanych z jej strony, które dążyły do ograniczenia francuskiego państwa pomiędzy Renem, Alpami i Pireneami, a zatem ustąpienia bez wystrzału królestwa włoskiego, Illiryi, wysp Jońskich, Rzymu i całego wpływu w Niemczech i Hiszpanii. Holandya, królestwo Westfalskie, Neapol, Hiszpania, miały powrócić pod panowanie dawne. Los Księstwa Warszawskiego w zawieszeniu pozostał, a zapewnie trzy mocarstwa, do rozbioru Polski należące, byłyby o niem stanowić chciały bez udziału Francyi.

Kilka przegranych bitew nie mogły gorszego rezultatu za sobą pociągnąć. A jednak Francya rozbrojona, nie leżała jeszcze u stóp koalicyi. Owszem wysilenia z jej strony były tak ogromne, jak niemal w 1812 roku; 300.000 ludzi stało między Elbą i Odrą. Rezerwy silne nadchodziły, nareszcie twierdze nad Wisłą, Odrą, Elbą, z wyjątkiem Torunia, były dotąd jeszcze w naszym ręku. Dodać do tego należy, iż sprzymierzeńcy Francyi jeszcze wierności swojej nie naruszyli.

Termin rozejmu, postanowiony z początku do 20. lipca, nie wystarczał do rozwikłania tak ważnej kwestyi. Przedłużono go do 10. sierpnia, za wspólną zgodą. Lecz 7. sierpnia Austrya, porzuciwszy rolę pośredniczki zbrojnej, kategoryczne oświadczenie złożyła, któremu Napoleon w tej osnowie i z warunkami tymi, nie mógł się żadną miarą poddać. Oręż musiał rozstrzygnąć.

Dnia 12. sierpnia Austrya przystąpiła do przymierza z Rosyą i Prusami. Dwa dni wprzód rozpoczęły się kroki

wojenne. Ograniczę się w pamiętniku moim na opisie tych zdarzeń, które się korpusu polskiego tyczą.

Kampania w roku 1813 w Niemczech.

W czasie pobytu w Zittau i w okolicy, z polecenia wyższego zajęty byłem rozpoznaniem granic czeskich. Z jednej strony od Zittau na Neusatz, Niedersohland, Wilpen, Ottendorf, aż do miasteczka saskiego Neustadt: opisałem wszystkie drogi równoległe do granicy, niemniej i wszystkie, prowadzące z Saksonii przez góry do Czech. Z drugiej strony miasta Zittau zwróciłem się na Hirschfeld, Ostritz ku Seidenberg, dochodząc do punktu, w którym stykają się granice: saska, czeska i śląska, i z wszelką dokładnością wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące przez góry i w wojennych działaniach posłużyć nam mogące, na moim szkicu oznaczyłem. Pierwsze oddziały francuskie, strzegące granice, spotkałem w okolicy Laubau. Wypełniwszy te ważne polecenia, pomyślałem o przygotowaniu mego kampanicznego ekwipażu. Nauczony doświadczeniem wojny w roku 1812, gdzie tyle wycierpieć musiałem, opatrzyłem się w te wszystkie przedmioty, które są niezbędnie potrzebne w kampanii.

Na koniu własnym miałem mantelzak z dwoma skórzanemi kieszeniami przy olstrach, do żywności na dwa dni; manierkę skórzaną do wódki, skręcone siano i owies w sakwach przy siodle. Na drugim, luźnym koniu, wisiały na kulbace z obydwóch stron juki skórzane niewielkie, lecz najpraktyczniej rozłożone. W jednych była żywność, mianowicie: ryż, kasza, słonina, suchary z mąki pszennej, rum, wino, herbata, kawa, cukier; kociołek do zupy, naczynie do kawy, kociołek do herbaty, kubki i t. d. W drugich: bielizna, ubranie drugie, buty i t. d. Wszystko to przykryte derką i kobierczykiem, na tem namiocik z płótna saskiego z kołkami, na dwie osoby; a ostatecznie skóra na wierzchu. Mocne górty i troki przytwierdzały ten pakunek. Cała waga jego wraz z siodłem nie przenosiła 120 funtów.

Na trzecim koniu siedział służący, opatrzony należycie w żywność i furaż. Później powiększyłem mój rynsztunek

jednym jeszcze powodowym koniem, zdobytym na husarzu węgierskim.

W tym wygodnym ekwipażu gotów będąc do rozpoczęcia kampanii, odebrałem przeznaczenie na adjutanta inżynierów przy boku jenerała Umińskiego, komendanta przedniej straży ósmego korpusu, złożonej, jak wyżej wspomniałem, z pułku Krakusów, pod komendą majora Rzuchowskiego; ze szwadronu kirysyerów, pod komendą pułkownika Dziekońskiego; z jednego batalionu piechoty, pod komendą szefa batalionu Rybińskiego i dwóch dział artyleryi konnej, pod porucznikiem Wierzbickim. Razem 1.590 ludzi.

Jenerał Jan Nepomucen Umiński, najmłodszy z trzech braci, z których jeden zginął 1794 roku pod Pragą, drugi, człowiek bardzo wykształcony, lecz pełen dziwactw, oddany namiętnie grze, popędliwy i tyran poddanych (miał wówczas około lat 40) był wzrostu małego, postawy prawdziwie wojskowej, jeździec zawołany. W kampanii 1812 roku komenderował pułkiem dziesiątym huzarów, który sam sformował i wymustrował. Pułk ten należał do najwaleczniejszych, ale też i do najswawolniejszych całej armii, tak co do oficerów, jak i żołnierzy. Składał brygadę z pułkiem ułanów pruskich i pułkiem strzelców konnych wirtemberskich, nad którymi wszystkimi pułkownik Umiński objął komendę po bitwie Możajskiej.

Jenerał Umiński był surowym przestrzegaczem karności wojskowej, znał dobrze służbę konnicy, był czynnym, pilnym i przebiegłym, lecz żadnego nie miał wyobrażenia o służbie innych broni. Dlatego też, nie pochlebiając sobie, przybycie moje do jego korpusu było mu przyjemnem i pożytecznem. Przyczyniła się do dobrego przyjęcia osoby mojej dawna zażyłość jenerała z ojcem moim, dawnym towarzyszem młodości. Ulegli też razem przypadkowi, gdy z nimi konie w ulicy Poznania się zbiegły. Adjutantami jenerała Umińskiego byli: Edward Potworowski, waleczny oficer piątego pułku jazdy i pan Gorayski z Galicyi, który mało jeszcze powąchał

prochu i w pułku żadnym dotąd nie służył. Prócz nich był kapitan dziesiątego pułku huzarów, Pawłowski, przy boku jenerała, i wachmistrz tegoż pułku Jezierski, krzyżem legii honorowej ozdobiony.

Książę Poniatowski skoncentrował swoje siły w okolicy Zittau. Przeznaczenie miał obserwować wszystkie przesmyki z Czech prowadzące do Saksonii i zamaskować poruszenie, które cesarz z główną armią zamierzał zrobić przeciwko armii *śląskiej*, pod komendą Blüchera zajmującej okolice Lignicy.

Armie nieprzyjacielskie rozdzielone były bowiem na trzy główne korpusy. Pierwszy z nich pod komendą księcia Bernadotte, królewicza szwedzkiego, (dodać tu bowiem winienem, że i Szwedzi przystąpili do przymierza przeciw Francyi), zakrywał Berlin, a składał się z Prusaków, Szwedów i Rosyan, zwany *armią północną*, siła zaś jego wynosiła 120.000 ludzi. Drugi korpus, pod komendą Blücher'a, składał się tylko z Prusaków i Rosyan, siłę jego podawano na 90.000 ludzi. Trzeci pod księciem Schwarzenbergiem, w większej części z Austryaków, w mniejszej z Prusaków i Rosyan złożony, zwany *wschodnią armią sprzymierzoną*, stał w okolicach Pragi; siłę jego oznaczano na 200.000 ludzi. W środku koła tego, pod Dreznem, stał Napoleon z odwodową armią do 100 tysięcy ludzi wynoszącą, w gotowości rzucenia się na korpus nieprzyjacieski, najbardziej wystawiony. Drezno obsadzone było korpusem z 30.000 ludzi złożonym, pod komendą marszałka Saint-Cyr. Powyżej pod Liliensteinem, z mostami na Elbie, jenerał Vandâme, z korpusem 300.000, zajął mocne stanowisko.

Naprzeciw armii śląskiej stał marszałek Macdonald, z trzema korpusami, wynoszącymi około 90.000 ludzi, w okolicach Löwenberga.

Nareszcie naprzeciw armii północnej stał marszałek Oudinot z dwoma korpusami i z wątpliwymi już wtedy Sasami. Siłę jego szacowano na 70.000 ludzi.

Najgłówniejszem pytaniem było, co uczyni wschodnia armia sprzymierzonych: czy uderzy na Drezno, czy w dalszym kole oskrzydlać zacznie armię francuską; albo wprost z Czech wynurzy się na Zittau lub Reichenberg, ażeby w czasie marszu Napoleona przeciwko Blücherowi, zajść z boku, a może i z tyłu. Kazde z tych przypuszczeń było możliwe, za każdem bowiem przemawiały ważne strategiczne powody.

W niepewności zamiarów nieprzyjacielskich Napoleon polecił księciu Poniatowskiemu zdobycie przesmyku głównego, wiodącego z Zittau do Gabel i zajęcie mniejszymi oddziałami miast: Friedlandu i Reichenberga, przez które przechodzi uboczna komunikacya z Czech do Saksonii.

Pierwsze główniejsze zadanie wypełnił książę Poniatowski; dnia 18. sierpnia sforsował bowiem główny gościniec, na Gabel do Pragi prowadzący, po bitwie dość żywej z korpusem obserwacyjnym austryackim, z dywizyą lekką hrabiego Bubny i natychmiast polecił założenie mocnego obozu oszańcowanego. na wzgórzach panujących nad drogą. Obóz ten w trzech dniach wysypany został przez oficerów inżynieryi polskich, w wymiarach potężnych. Nie szczędzono ani palisad, ani blockhauzów w uzbrojeniu szańców.

Pierwsze kroki nieprzyjacielskie dnia 17 sierpnia.

Drugie, podrzędniejsze zadanie, jenerał Umiński miał doprowadzić do skutku. Przednia straż pod jego komendą, w sile wyżej oznaczonej, zebrała się dnia 17. sierpnia w miasteczku Hirschfeld w bok Zittau, w odległości pół mili od granicy czeskiej i tegoż samego dnia wkroczyła do Czech. Przed miasteczkiem Friedland przyszło do utarczki z nieprzyjacielem, w której z obudwu stron padło kilkadziesiąt ludzi. Nieprzyjaciel wystawił przeciwko nam kilkuset huzarów i celnych strzelców. W pozycyi pod Friedland, pozostaliśmy w biwakach przez 18. i 19. sierpnia. Dopiero dnia 20 po południu, wyruszono w dalszy pochód na Reichenberg.

Zdobycie Friedlandu.

O pół mili drogi od Friedlandu spotkano nieprzyjaciela w większej sile, aniżeli dnia poprze-

dniego, i z armatami. Przyszło do żywego starcia; przepędzano nieprzyjaciela z pozycyi na pozycyę, oskrzydlając go ciągle Krakusami. Nad wieczorem nieprzyjaciel opuścił Reichenberg i cofnął się do Liebenau. Strata nasza wynosiła 31 ludzi zabitych, w tych jeden oficer i 27 rannych, włącznie z dwoma oficerami. Nieprzyjaciel ciągle party, poniósł większą nierównie stratę, zabrano mu 40 ludzi w niewolę. Poruszenie nasze byłoby osiągnęło świetniejsze korzyści, gdyby nie opieszałość francuskiego jenerała Bruno, z drugiego korpusu marszałka Wictora, któremu dany był rozkaz maszerowania przez Kratzau na Reichenberg, z dwoma batalionami piechoty i 400 huzarami westfalskimi, pod komendą pułkownika Hamerstein'a wraz z trzema działami, dla skombinowania ruchu swojego z ruchem naszym. Lecz on przybył dopiero późnym wieczorem. Wśród akcyi, gdy się już zmierzchać zaczynało, przechodząc drogę w bliskości małego folwarczku, czoło nasze, mając na przodzie jenerała Umińskiego, postępowało ostrożnie; wtem zaczajony między budynkami huzar austryacki z pułku cesarskiego, z pałaszem w zębach i dwoma pistoletami w ręku, wpada między nas, strzela i rąbie wokoło siebie. Położył dwóch Krakusów, paru ranił, nareszcie sam poległ. Atak na Reichenberg.

Wieczorem po bitwie jenerał Umiński wysłał mnie z raportem do głównej kwatery cesarskiej, o zajęciu Reichenbergu. Powróciwszy więc do Zittau, częścią pocztą, częścią podwodami, ostatnie dwie mile pieszo, dla braku podwód, dogoniłem cesarza w mieście Löwenberg i raport księciu Nevchatelskiemu wręczyłem w przytomności cesarza, który się dopytywał o szczegóły potyczki. Zastałem w głównej kwaterze pułkowników Grabowskiego i Suchorzewskiego, znajomych moich, i u nich wypocząłem przez kilka dni. Armia cesarska była dnia tego w wielkiem poruszeniu i armię Blüchera, ustępującą ku Wrocławowi, według umówionego planu, przed sobą parła. Postawa wojska, które spotkałem, była jak najświetniejsza. Lecz wkrótce ruch ten musiał być wstrzymany.

dla wiadomości nadeszłych z Drezna. Albowiem wielka armia sprzymierzonych, której oddalenie się Napoleona nie było tajnem, zaczęła występować z Czech na lewym brzegu Elby i podchodzić pod Drezno.

Dnia 26. sierpnia nastąpił atak na Drezno. Przedmieście i część szańców zewnętrznych znajdowały się już w ręku sprzymierzonych, gdy ukazanie się kolumn Napoleona inny obrót bitwie nadało. Nieprzyjaciel musiał nad wieczorem drogo okupione stanowisko opuścić i linie swoje do odleglejszych punktów cofnąć.

Rys ogólny operacyj wojennych.

Cesarz, nie przestając na odniesionej w tym dniu korzyści, dnia 27. sierpnia całą siłą zebraną tu, uderzył na wschodnią armię sprzymierzonych. W czasie okropnej ulewy, która nie dozwalała użyć broni ręcznej, jazda pod królem Muratem uderzyła na lewe skrzydło nieprzyjacielskie, z Austryaków złożone, a doliną Plauen od środka oddzielone, i śmiałem natarciem zniosła je zupełnie. 10.000 niewolnika owocem było tego zwycięstwa. Sprzymierzeni monarchowie najdotkliwszą ponieśli stratę przez śmierć jenerała Moreau, któremu dnia 27. kula armatnia urwała obydwie nogi. Zasłużona kara dla tych, którzy oręż podnoszą przeciwko własnej ojczyźnie.

Masy nieprzyjacielskie wieczorem zaczęły się cofać ku granicom czeskim. Przewidziany był przez cesarza ten wypadek. Zostawiony bowiem na prawym brzegu Elby, w oszańcowanym obozie pod Liliensteinem, jenerał Vandâme z korpusem 30.000 ludzi, przeszedł nagle Elbę i posunął się w granice czeskie, aż pod Kulm. Poruszenie to groziło wschodniej armii sprzymierzonych największą katastrofą. Lecz śmiałe stawienie się gwardyi rosyjskiej i pruskiej, pod jenerałem Ostermanem, i rezerw austryackich, zniweczyło tak trafnie przedsięwzięty zamiar. Wojsko jenerała Vandâme, z młodego żołnierza złożone, nie mogło oprzeć się atakom weteranów gwardyi rosyjskiej; zaczęło pierzchać — a ukazanie się jenerała Kleista, partego przez przednią straż Napoleona, na jego tyle,

pod Nollendorf, powiększyło zamieszanie. Dnia 30. sierpnia jenerał Vandâme wzięty został do niewoli z orężem w ręku, po zaciętym oporze, z 10.000 ludźmi. Bitwa pod Kulmen, dnia 30. sierpnia stoczona, niemniej, jak i wiadomości smutne od korpusów Oudinot'a i Macdonald'a, o przegranych bitwach pod Gross-Beeren, dnia 23. i nad rzeką Kazbach dnia 26., zniweczyła wszystkie strategiczne rachuby cesarza Francuzów.

Po bitwie pod Dreznem cesarz rozkazał z pomiędzy niewolników austryackich, zabranych dnia 27. sierpnia, wybrać 2000 Galicyanów i tych wcielić do naszych szeregów; lecz duch tych żołnierzy pozostał jak najgorszy, przy każdej sposobności przechodzili do nieprzyjaciela.

Co do mnie, powróciłem do mego oddziału w nocy z 22. na 23. pod Reichenberg, lecz noc ta miała być świadkiem niesłychanego w wojskowych dziejach przypadku. Tu bowiem, po raz pierwszy w tej wojnie, naruszoną została przysięga i honor wojskowy, wiążące żołnierza do chorągwi. Pułk huzarów westfalskich, pod komendą pułkownika Hamersteina, podmówiony przez samego dowódzcę, należącego oddadawna do związkutajnego niemieckiego *(Tugennbund)*, przeszedł tej nocy do nieprzyjaciela, w całem uzbrojeniu. Przykład ten naśladowany był później przez korpusy saski i wirtemberski, w czasie bitwy pod Lipskiem. Jenerał Jomini w czasie zawieszenia broni przeszedł do nieprzyjaciela.

Jenerał Umiński, umówiwszy się z jenerałem Bruno, uznał po tym wypadku, iż niebezpiecznem byłoby pozostać w tej pozycyi pod Reichenbergiem. Zrana więc dnia 23., połączony nasz oddział z francuską piechotą jenerała Bruno, cofnął się pod Kratzau, o dwie mile od Reichenberga; lecz tegoż dnia, po odebraniu dokładniejszych wiadomości o nieprzyjacielu, ruszyliśmy znowu naprzód i po żwawej bitwie z Austryakami opanowaliśmy na nowo miasto Reichenberg z przedmieściami. Strata wynosiła, tak ze strony francuskiej, jak i polskiej, 7 ludzi zabitych i 53 rannych. Nie obeszło się także bez małego rabunku miasta, któremu dowódzcy tamę położyli.

Przepędziwszy noc pod bronią spokojnie, dnia 24. nad ranem odebraliśmy rozkaz dla jenerała Bruno, połączenia się ze swoim korpusem, maszerującym ku Dreznu. Zmiana ta w siłach zmusiła jenerała Umińskiego do porzucenia odniesionych korzyści przy wzięciu miasta i cofnięcia się z pułkiem Krakusów i szwadronem kirasyerów, pod Kratzau. Tu spotkał nas o godzinie 6. wieczorem batalion piechoty z czterema działami, przysłanemi nam w pomoc przez księcia Poniatowskiego. Z temi wzmocnionemi siłami jenerał Umiński podstąpił po raz trzeci pod Reichenberg, i tą razą miasto bez wystrzału opanował. Austryacy bez oporu cofnęli się pod wieś Röchlitz, na trakcie ku Liebenau, nie pojmując, co znaczy to trzyktotne ukazywanie i ustępowanie z naszej strony; zostawili o ćwierć mili od miasta mały oddział, dla obserwacyi naszych ruchów.

Zajęliśmy stanowisko pomiędzy drogami, wiodącemi do Friedlandu i do Kratzau, przy lasku pod wsią Paulsdorf. Rzeka Neissa przedzielała nasze pozycye. I to było błędem. Według wiadomości, wymuszonych na niewolnikach, nieprzyjaciel zajmował wieś Christdorf, na boku Reichenbergu leżącą, ze znacznym oddziałem. W Nimes naprzeciw Gabel miał korpus 5.000. Tyle tylko pozostawił ze wschodniej armii swojej na prawym brzegu Elby, reszta sił jego bowiem dnia 26. atakowała Drezno. Ulewa, która dnia tego i następnego tak wielkie korzyści przynosiła cesarzowi w atakach jazdy na lewe skrzydło austryackie, nam przeciwnie, wiele przykrości zgotowała. Rzeka Neissa, przedzielająca nasze obozy, zaczęła tak, jak wszystkie wody z gór spadające, nadzwyczajnie przybierać; mosty nam zabrała, i komunikacyę z księciem Poniatowskim a nawet z oddziałem naszym, na prawym brzegu obozującym, przerwała.

Dnia 26. sierpnia posterunek, złożony z 70 ludzi pułku nadwiślańskiego, zostawiony w Kratzau dla utrzymania komunikacyi z księciem Poniatowskim, napadnięty był przez dwie kompanie Kroatów i szwadron huzarów. Wedety wraz z cza-

tami, rozstawionymi przez oficera komenderującego posterunkiem, pochwycone zostały przez nieprzyjaciela. Lecz waleczność oddziału naszego, zabarykadowanego w murowanym folwarku na przedmieściu od strony Weiskirchen, zdołała odeprzeć natarczywe ataki Austryaków i utrzymać się na posterunku. Nieprzyjaciel ze znaczną stratą cofnął się ku Christdorf. Oficer, dowodzący z naszej strony, zginął w tej potrzebie. Skoro wiadomość o tym napadzie doszła do jenerała Umińskiego, wysłał on zaraz sukurs do Kratzau. Sam zaś w nocy z dnia 26. na 27. sierpnia, zadość czyniąc rozkazom księcia Poniatowskiego, przybył do Kratzau. Marsz ten dla ciemnej nocy i zebranych mostów był bardzo trudny. Jeden z naszych przewodników utonął, szukając przeprawy przez rzekę Neissę.

Dnie 27. i 28. sierpnia przeszły spokojnie w stanowisku pod Kratzau. Lecz dzień 29. nie przeszedł dla nas bez straty. Nieprzyjaciel bowiem zająwszy Reichenberg po raz trzeci i mając Christdorf w swojej mocy, niespodzianie napadł na nasze czaty pod wsią Einsiedel. Zabrawszy lub rozpędziwszy pierwsze nasze oddziały, obszedł lasami posterunek większy, z 30 Krakusów i 20 ludzi piechoty, wystawiony przez majora Rzuchowskiego dla wsparcia czatów, i zniósł go w większej części. Major Rzuchowski, stojący o ćwierć mili od nas, na lewym naszym brzegu pod Einsiedel, atakowany został niebawem, lecz uporządkowany będąc, odparł nieprzyjaciela i przepędził go aż pod Reichenberg.

Kiedy się to działo na lewem skrzydle naszem, kilka kompanij strzelców, wspartych jednym szwadronem huzarów, przybyło do Markendorfu, w zamiarze rzucenia mostu na rzece Neissie. Jenerał Umiński z trzema kompaniami piechoty posunął się w tę stronę i ustawiwszy je w ukrytych miejscach nad brzegiem rzeki, rzęsistym ogniem broni ręcznej przeszkodził nieprzyjacielowi w budowie mostu.

Dnia tego doszła nas wiadomość o odniesionem zwycięstwie cesarza pod Dreznem, lecz także i o porażce jego

namiestników pod Gross-Beeren i nad Kazbachą; jednocześnie patrole nasze doniosły o przybyciu przedniej straży nieprzyjacielskiej w 8.000 koni do Laubau, co spowodowało nas do większej baczności na ruchy nieprzyjacielskie.

Dnia 30. podoficer Zarzycki, z 16. pułku piechoty, wysłany na zwiady z sześcioma ludźmi ku Christdorfowi, obskoczony został w lesie, przed tą wsią leżącym, przez nieprzyjacielską piechotę; a choć już ranny od bagnetu w czasie nocnej walki, nietylko swój oddział przyprowadził ze sobą napowrót, ale nawet tego samego kaprala węgierskiego, od którego ranę otrzymał. Waleczny ten mąż w kilka dni potem chwalebne życie zakończył.

Dnia 1. września nadeszły nowe rozkazy z głównej kwatery ósmego korpusu, w moc których jenerał Umiński, zwinąwszy wszystkie swoje posterunki i zniszczywszy mosty na rzece Neissie pod Kratzau i Weiskirch, sam cofnął się pod Kratzau, gdzie wzmocniony został batalionem nadwiślańskim. Majorowi Rzuchowskiemu nakazano maszerować do Reichenau, a następnie do Zittau, czem lewą naszą flankę zasłonił. Resztę dnia przepędziliśmy w Kratzau. Z pierwszym zmierzchem wyruszyliśmy w wielkiej cichości do Zittau i tam zastaliśmy 400 piechoty i trzy działa artyleryi konnej, z którymi siła nasza doszła do 2.700 ludzi i sześciu dział. Podjazdy korpusu Blüchera w tymże czasie dochodziły do Hernhut i Neusatz. Jenerał nieprzyjacielski Laugeron minął już Labau, a forpoczty jego stały w Ostritz, o dwie mile od Zittau.

O samej północy oddział jenerała Umińskiego, stanowiący teraz tylną straż, opuścił Zittau i udał się do Rumburga w Czechach, zachowując zwykłe w pochodzie wobec nieprzyjaciela ostrożności. Nad ranem, dnia 2. września, stanęliśmy szczęśliwie w Rumburgu i tu zastaliśmy korpus nasz na pozycyi. Oddział zajął stanowisko bojowe i ognie rozpalił.

Dnia 3. września patrol z dziesięciu Krakusów, pod komendą podporucznika Malinowskiego wysłany ku Neusatz na zwiady, dostał się w niewolę nieprzyjacielską Dnia tego for-

poczty nasze i nieprzyjacielskie nie spuszczały się z oka. Armia śląska stała w Löbau i Hernhut, mając forpoczty swoje w Waldorf i Eybau. Jenerał austryacki Neiperg zajmował Zittau. Wskutek tych poruszeń, ósmy i czwarty korpusy jazdy cofnęły się do Schlukenau, o trzy marsze od Drezna. Tym sposobem korpusy nasze zasłaniały jak najlepiej ruch koncentracyjny cesarza ku Dreznu i były pod jego ręką, na przypadek stoczenia bitwy.

Jenerał Umiński, wzmocniony pułkiem nadwiślańskim, pozostał na pozycyi pod Rumburgiem i dopiero dnia 4. września cofnął się ku Schlukenau. Forpoczty nasze, zaledwie ustawione w miejscach przeznaczonych, atakował nieprzyjaciel, lecz odparty został. Niepokoił nas tym sposobem po kilka razy, lecz z jednakowym zawsze skutkiem.

Cesarz, przekonawszy się o marszu armii śląskiej na Drezno, postanowił wydać jej bitwę. Lecz nieprzyjaciel uprzedzony o tym zamiarze, przeszedł napowrót rzekę Neissę i cofnął się do Löbau. Cesarz 5. września nocował w Hochkirchen, pamiętnem z porażki Fryderyka Wielkiego przez Daun'a. W skutek tych ruchów ósmy korpus i czwarty rezerwowy jazdy otrzymały rozkaz posunięcia się aż do Loebau, na wielkim trakcie z Zittau do Drezna, dla osłonięcia prawego skrzydła wschodniej armii, idącej z Bautzen do Görlitz. Wojsko nasze wyruszyło ze świtem. Jenerał Umiński pozostał na pozycyi do godziny 9 zrana, z jazdą swoją, dwoma działami i batalionem piechoty.

Stanowisko w Schlukenau.

Wspomnieć tu wypada o zdarzeniu, malującem popędliwość i okrucieństwo jenerała Umińskiego. Wartowniki z obydwóch stron stali naprzeciwko siebie i ostrzeliwali się nawzajem, jenerał Umiński stał na wzgórku pod wsią Königswald, obserwując nieprzyjaciela, strzały padały koło nas; wtem wieśniak czeski, biegnący od strony nieprzrzyjaciela, przestraszony, bez czapki, wpada jak obłąkany pomiędzy nas. Jenerał Umiński zatrzymuje go i bada na wpół żywego ze strachu; ten nic nie rozu-

mie i błędnie odpowiada. Rozgniewany jenerał dobywa pałasza i zadaje mu cięcie w głowę. Nieszczęśliwy, krwią zbroczony, rzuca się na ziemię i trawą wyrwaną chce krew zatamować. Nareszcie podnosi się nagle i rzuca się w pędzie za nami, ku miastu Schlukenau. To szpieg! wrzasnął Umiński, Jezierski zakłuj tego szelmę! Wachmistrz nie wiele myśląc, porywa lancę od Krakusa i w pędzie konia przeszywa na wylot nieszczęśliwego. Woltyżerzy opodal stojący, dobili go bagnetami.

Ten czyn okrucieństwa ze strony jenerała Umińskiego nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Tyle podobnych czynów, zwłaszcza w kampanii 1831 roku, plami jego pamiątkę, iż nie dziw, ze imię Umińskiego, pomiędzy żołnierzami, cały swój urok utraciło.

O godzinie 9. z rana wyruszyliśmy za naszym korpusem ku Georgswalde, Neu Ebersbach do Kottmarsdorf, zasłaniając tym sposobem prawe skrzydło korpusu, w czasie pochodu jego ku Neusatz. W chwili, kiedyśmy opuszczali stanowisko nasze, oddział nieprzyjacielski z kilkuset koni złożony, wpadł do Schlukenau i zaczął się ścierać z naszą tylną strażą, lecz przywitany strzałami armatnimi, nie tamował więcej naszego marszu. Wychodząc z lasu naprzeciwko wsi Hempel i Georgswalde, spotkaliśmy kilka sotni kozaków ukraińskich, dążących ku Ebersbach. Jenerał Umiński rozkazał majorowi Rzuchowskiemu z dwoma szwadronami Krakusów przypuścić do nich atak; kapitanowi zaś Celińskiemu z jednym szwadronem przeciąć im drogę od Herrnhut. Ruchy te pomyślnie poszły. Kozacy rozbici zostali, 30 zabitych, 18 rannych, 50-ciu wzięto w niewolę a 100 koni dostało się w nasze ręce. Z naszej strony mieliśmy tylko 3 rannych. Oddział ten kozaków należał do nowej formacyi jenerała Wittego, zostającego pod rozkazami jenerała Wasilczykowa.

Resztę dnia przepędziliśmy w Kottmarsdorf, a nad wieczorem zajęliśmy wieś Ebersdorf, na drodze z Loebau do Herrnhut. Korpus ósmy pozostał w Loebau.

W dniach 6., 7. i 8. września z obozu naszego wyszły trzy rozpoznania ku Oberseifsdorf, na drodze do Zittau i ku Herrnhut, w celu przekonania się o sile nieprzyjacielskiej, pod komendą majorów Rzuchowskiego i Dziekońskiego. Wszystkie szczęśliwie wróciły z wiadomościami dostatecznemi i 9 niewolnika przyprowadziły.

W nocy z dnia 8. na 9. woltyżerzy, podkradłszy się pod biwaki nieprzyjacielskie, niespodzianymi strzałami przymusili ich do porzucenia ognisk.

Nieprzyjaciel przyuczony do opieszałego pilnowania się Francuzów, nie pojmował powodów tego niepokojenia go z naszej strony i szukał okazyi ukarania nas za naszą zuchwałość.

Dnia 9. września przednia straż jenerała Laugerona stała we wsi Strohweide, naprzeciw naszego stanowiska. Równo z dniem dragony, wypędziwszy harcowników naszych z lasku przed Ottenhain, doszli aż do brzegu onego, w czasie, gdy rosyjscy kozacy posterunki nasze zwijali. Jenerał Umiński, na czele jazdy, zebrawszy kompanię woltyżerów, stósowne rozporządzenia wydał. Woltyżerom rozkazał las opanować, z jazdą postąpił drogą ku nieprzyjacielowi, a dwom kompaniom polecił oskrzydlenie go. Pułk Krakusów uderzył pędem na kozaków, kirasyerzy zaś zwrócili się wprawo wpadłszy na dwa szwadrony dragonów. Nieprzyjaciel nie wytrzymał natarcia tego, pierzchnął w wielkim nieładzie, pędzony przez lance nasze, wpadł do wsi Strohweide. Tu się zamieszanie powiększyło, gdy Krakusy, obchodząc wieś dookoła, zaczęli przecinać mu drogę. Nareszcie wyrwał się z rąk naszych, zostawiwszy na placu 46 zabitych i 18 ludzi niewolnika. Lecz waleczność naszych została jeszcze świetniej wynagrodzona. Sierżant Krakusów Godlewski, zdobył bowiem chorągiew pułku kozackiego, pod komendą Grekowa i wręczył ją jenerałowi.

Czyn ten Godlewskiego nagrodził cesarz krzyżem legii honorowej, książę Poniatowski, krzyżem polskim.

W czasie potyczki szef batalionu Rybiński, zostawiony w Ebersdorf z batalionem piechoty, doniósł jenerałowi, iż luźni rosyjscy tyralierzy zaczynają się pokazywać na jego lewem skrzydle, w tyle naszym, pomiędzy lasami i wyżynami, najbliższymi Ebersdorf. Równocześnie wysłał przeciwko nim dwie kompanie piechoty.

Bitwa pod Loebau dnia 9. września.

Jenerał Umiński, uznawszy za rzecz stosowną nie posuwać się dalej, przeszedł las napowrót i sformował swoje siły w dawnem stanowisku. Doszedłszy sam do linii tyralierów, przekonał się, iż nieprzyjaciel w większych masach następuje i zamierza opanować wieś Ebersdorf. Lecz mając parów i most ciasny we wsi do przebycia, a obawiając się strat, postanowił niebawem przeprowadzić artyleryę i jazdę przez wieś, zająć nimi wolniejsze stanowisko, obronę zaś samejże wsi Ebersdorf powierzyć piechocie naszej. Żywy ogień broni ręcznej, przerywany strzałami pozycyjnych dział rosyjskich, na wzgórzach przed nami, niemniej dzielnie odpowiadających armatom naszym, wszczął się naokoło wsi. Wkrótce spostrzegliśmy górę Bayersberg naprzeciw Loebau, uwieńczoną licznymi batalionami piechoty i artyleryi a w końcu kolumny piechoty z jednej strony posuwające się ku Loebau, ku Ebersdorf z drugiej. Książę Poniatowski rozkazał jenerałowi Umińskiemu utrzymać Ebersdorf do ostatniego żołnierza, a jenerałowi Małachowskiemu z jednym pułkiem piechoty postąpić naprzeciw nieprzyjacielskim kolumnom. Rozkazy te świetnie wykonane zostały. Pułk pierwszy piechoty z bagnetem w ręku odparł nieprzyjacielską piechotę i zajął wzgórza, opanowane przez niego. Dwie kompanie pułku nadwiślańskiego pod komendą kapitana Brandta, później jenerała w wojsku pruskiem, stanąwszy w odwodzie, przyczyniły się do zatrzymania niejaki czas tej pozycyi. Lecz przybycie nowych kolumn rosyjskich, zmusiły jenerała Małachowskiego do odwrotu, nie bez dotkliwej straty.

Pułkownik Rybiński walecznie potykał się w tym czasie w Ebersdorf i stale odpierał licznych tyralierów nieprzyjaciel-

skich, uporczywie do wsi wdzierających się. Ogień naszej artyleryi, połączony z natarciem jazdy, przyczynił się do utrzymania się w niej, aż do godziny 6. wieczorem.

O tej godzinie liczniejsze kolumny, które szacowaliśmy na 20.000 do 25.000 ludzi, stanowiące korpus Laugerona, zaczęły się wynurzać pomiędzy Bayersbergem a Jukelsbergem na drodze do Bernstadt. Wskutek tego książę Poniatowski kazał opuścić Loebau i o dobry strzał armatni od miasta uszykował swój korpus wraz z czwartą rezerwą jazdy. Jenerałowi zaś Umińskiemu polecił, aby powoli wyprowadził swoją piechotę z Ebersdorf. Wszystkie te ruchy odbyły się jak najlepiej; odwrót przez miasto bez przypadku żadnego nastąpił, nareszcie cały korpus rozwinięty zdawał się wyzywać nieprzyjaciela. Za pierwszem ukazaniem się jego kolumn z miasta, ogień silny naszej artyleryi na całej linii zaczął go razić. Jazda pod hrabią Walmy posunęła się naprzód i kilka razy natarła na jego piechotę, — ukazanie się lekkiej piechoty jenerała Lauriston'a pyłożyło koniec walce. O godzinie 9-ej wieczorem korpus tegoż jenerała zluzował nas na pozycyi. My udaliśmy się do Bautzen, stósownie do rozkazów cesarza i nazajutrz o godzinie 1 z rana stanęliśmy w miejscu wskazanem, w zwartych kolumnach, pułkami. Straty nasze dnia tego wynosiły 185 zabitych, w tych 8 oficerów, i 110 rannych. w tych 9 oficerów.

Nim w dalszy pochód się udam, wypada mi znowu donieść czytelnikowi o czynie okrutnym jenerała Umińskiego.

W dniu 7. września przyprowadzono do obozu podejrzanego człowieka, schwytanego na forpocztach od strony nieprzyjaciela, na drodze prowadzącej do Zittau. Znaleziono przy nim papierek, na którym kilka wsi okolicznych ołówkiem było spisanych. Badany o powód swojej podróży w czasie tak niepewnym, zawikłał się w odpowiedziach. Jenerał Umiński, nie mogąc groźbą nic na nim wymódz, kazał go Krakusom pochwycić i w przedpokoju swoim, w czasie, gdy sam najspokojniej herbatę popijał, najokrutniej batami skatować tak,

że ciało tego biednego podobnem do węgla się stało. Jęki katowanego do nas dochodziły. Z początku nie przyznawał się do niczego, nareszcie, czy winny, czy niewinny, nie mogąc dłużej wytrzymać zadawanej mu katuszy, przyznał się do wszystkiego, co na nim wymuszono. W moim przekonaniu był on niewinny. Jenerał Umiński złożył sąd wojenny, w którym adjutant jego Edward Potworowski, jako instygator figurował. Sąd uznał go winnym na mocy zeznań, wydobytych turturami i skazał na rozstrzelanie. Wyrok dnia 8. z rana wykonany został. Smierć tego nieszczęśliwego obciążać wiecznie będzie sumienie jenerała Umińskiego, a we mnie wzbudziła odrazę nieubłaganą do jego osoby.

Fałszywy alarm dnia 10. września pod Bautzen.

Noc z dnia 9. na 10. września była fatalną dla naszego korpusu. W czasie bowiem, gdy całe wojsko rozstawiwszy czaty, oddawało się spoczynkowi, oderwanych kilka koni od kołków, wpadło na kozły broni piechoty. Broń jedna wystrzeliła. Na ten odgłos rozmarzona piechota porywa się, chwyta za broń i nie czekając na komendę oficerów, ogień rotowy wydaje na mniemanego nieprzyjaciela. Stojący przed tą piechotą pułk zwraca się ku niej i ogień ogniem oddaje. Powstaje zgiełk okropny. Kule po całym obozie świstają. Krzyk rannych, woźniców, jeźdźców szukających koni, rozlega się w obozie. Armaty, wozy amunicyjne, powózki bez przewodników w największym pędzie na wszystkie strony rozlatują się, rozbiegają i tratują piechotę. Spoczywałem spokojnie w namiocie, gdy nawałnica ta się wszczęła, a dopadłszy konia, czekałem, co z tego wyniknie. Jenerał Umiński przestraszony, nie mogąc w pierwszem zamieszaniu znaleść swoich koni, ratuje się pieszo. Nareszcie pierwsze promienie słońca oświecają scenę nieporządku i zamieszania. Armaty, wozy, amunicya, powózki rozmaitego rodzaju, znalazły się w dolinie na naszem lewem skrzydle. Piechota przyszedłszy do siebie, stała nieporuszona. Jazda czwartego rezerwowego korpusu, opodal od nas obozująca, nie uległa żadnemu przypadkowi; złożona ze starszych oficerów

i żołnierzy, wsiadła na konie jak najspokojniej. Lecz strata poniesiona w koniach, bagażach, ludziach, nie była małą; 20 ludzi zabitych i rannych kosztował nas ten fałszywy alarm.

Skoro porządek zupełnie przywrócono, korpus nasz dnia 10-go, o godzinie 11-ej z rana wyruszył do Patzkau, gdzie zanocował.

Brygada jazdy jenerała Weissenhofa wyprzedziła nas w Neustadt, zajmując swemi forpocztami Schlukenau, Zeibnitz i Schandau; 11. września korpus nas pomaszerował z Patzkau do Neustadt, 12. września połączone korpusy: ósmy i czwarty, kombinując ruchy swoje z wielką armią francuską, cofającą się ku Dreznu, zajęły Stolpen. Jenerałowi Umińskiemu dostało się dowództwo tylnej straży. Rozłożywszy się tymczasowo na trakcie Stolpen do Neustadt, wysłał niebawem rozpoznanie ku Schlukenau. Dowiedziano się od huzara, zabranego do niewoli, iż korpus nieprzyjacielski, którego siły nie chciał oznaczyć, maszeruje od Schlukenau. On sam należał do korpusu jenerała Bubny, postępującego za nami, wraz z armią śląską. W rzeczy samej nieprzyjaciel nie dał długo na siebie czekać. 500 do 600 kozaków z przedniej straży zaczęło się pokazywać i odstrzeliwać naszym harcownikom. Jenerał Umiński wyruszył natychmiast do Lang-Wollmsdorf, wsi położonej przed naszym frontem i zająwszy wieś, wysunął posterunki piechoty do lasu, naprzeciwko nas leżącego. Wieś ta zasłaniała nasze prawe skrzydło i front, w długości kilkuset kroków. Koniec wsi, przez którą płynął mały strumyczek, przypierał do małego lasku. Za nami leżał drugi lasek odosobniony. Wtyle, za naszem lewem skrzydłem była wieś Lauterbach, obsadzona przez jenerała Enulmans'a. Zresztą, grunt chociaż górzysty, dość był odkryty. O kilkaset kroków przed nami i na prawem skrzydle horyzont okryty był lasami. Widok ku wsi Polenz i ku Neustadt był jednakże wolny.

Dnia 13. września jenerał Umiński, widząc nieprzyjaciela wzmacniającego się przed naszym frontem, cofnął piechotne

posterunki do wsi Wollmsdorf i kwaterę swoją w jednym ze środkowych domów założył. Mieszkańcy wsi w zaufaniu do nas pozostali i żywność i furaż chętnie dostarczyli. Nad wieczorem 800 kozaków z jednym batalionem piechoty wyparli czaty nasze, przed tą wsią leżące, lecz ogniem tyralierów naszych z po za płotów i granatami spłoszeni, cofnęli się do lasu, zostawiwszy 20. ludzi na placu. Strata nasza nie przechodziła 3 zabitych i 2 rannych. Forpoczty nasze i nieprzyjacielskie tak blisko siebie stały, iż w czasie trzynastodniowego pobytu w Lang-Wollmsdorf, służba czatów nadzwyczajnie stała się utrudzającą. Co noc posterunki zewnętrzne i czaty zmieniać musiały miejsca. Jazda przy okiełznanych koniach, artylerzyści przy działach, całą noc przepędzali; dzień tylko służył do spoczynku. Zresztą, żołnierz dobrze żywiony, znosił z ochotą te nadzwyczajne trudy w przekonaniu, że od naszej czynności zależało bezpieczeństwo korpusu, obozującego pod Stolpen.

Dnia 14. września zrana spostrzegliśmy korpus nieprzyjacielski, 12.000 do 15.000 na oko wynoszący, w obozie pod Neustadt. Około południa część tego korpusu stanęła pod bronią i poruszyła się ku prawemu skrzydłu naszemu do wsi Polentz. Rückendorf i lasy, oddzielające nas, mocno obsadzonymi być się zdawały.

Dla pewniejszego przekonania się jenerał Umiński z dwoma szwadronami Krakusów i 300 piechoty wyszedł ze wsi na rozpoznanie nieprzyjaciela, a zwinąwszy czaty jego, rozkazał piechocie wejść do lasu, przed nami położonego. Rozpoczął się żywy ogień, nieprzyjaciel uparcie się trzymał. Stąd przekonania nabraliśmy, iż w piewotnej sile zmiana nie zaszła. Wzięto do niewoli podoficera, który zeznał, iż należy do oddziału jenerała rosyjskiego Emanuela, mającego pod swymi rozkazami pułkownika pruskiego Katzlera i że korpus pod Neustadt w dniu wczorajszym ukazujący się na naszem prawem skrzydle, pod komendą jenerała pruskiego Yorka zostaje. Jednakże ostatnia wiadomość nie była bardzo do prawdy podobną.

JENERAŁ JAN NEPOMUCEN UMIŃSKI.
(Wedle sztychu z roku 1831).

Potyczka pod Lang-Wollmsdorf dnia 15. września.

Wskutek rozkazów cesarskich książę Poniatowski postanowił rozpoznać nieprzyjacielskie stanowisko i skłonić do rozwinięcia wszystkich sił. Jenerał dywizyi, książę Sułkowski, z pułkiem nadwiślańskim, czterema działami, 6. i 8. pułkiem ułanów, wspólnie z jenerałem Umińskim, wypełnili tę czynność.

Dnia 15. książę Sułkowski równo ze wschodem słońca przybył do naszych biwaków i umówiwszy się z jenerałem Umińskim, zwrócił się z jazdą na prawo ku Polentz, w czasie, kiedy jenerał Umiński rozpoznanie lewej części pozycyi na siebie przyjął. Oddział księcia zbliżywszy się do lasu, pod wsią Polentz położonego, zakrył się tyralierami; w tym samym czasie jenerał Umiński opanował szybko las pod Rückendorf. Na drodze do Neustadt stały trzy bataliony rosyjskie w szyku rozwiniętym; te czując odwody swoje w bliskości, wysławszy tyralierów, posunęły się ku nam. Szósty i ósmy pułki ułanów, poprowadzone przez pułkownika Suchorzewskiego, przeszły pomiędzy Polentz wielkim traktem i przeprawiwszy się przez wąską łączkę, uderzyły na 2 pułki kozaków na skrzydle tej piechoty i do ucieczki zmusiły. W tej chwili dopiero mocniejsza linia, z rosyjskiej piechoty i jazdy złożona, zaczęła się pokazywać na wierzchołkach gór, po obydwóch stronach traktu do Neustadt; wynosiła ich liczba 800 do 900 ludzi.

Jenerałowie nasi, wypełniwszy rozkazy w tym celu wydane, kazali się cofnąć swoim pułkom i zająć stanowisko za wsią Lang-Wollmsdorf. Lecz nieprzyjaciel, w ruchu będący, nie zatrzymał się, wystąpił z jedną kolumną jazdy drogą od Rückendorf, trzy zaś bataliony wysłał do ataku na Lang Wollmsdorf i ośmioma działami wsparł te dwa oddziały. Piechota nasza wypartą została aż do pierwszych domów.

Jenerał Umiński, nakazawszy zmianę frontu na lewo, wysunął artyleryę konną przeciw kolumnie jazdy nieprzyjacielskiej i wysłał mnie do jenerała Enulmansa, zajmującego wieś Lautersbach, z prośbą o wsparcie. Na jego rozkaz dwa

pułki strzelców konnych francuskich wsiadły na koń i stanęły na lewem skrzydle naszem. Na ich widok nieprzyjaciel zatrzymał się w dalszych postępach. Tymczasem pułkownik Malczewski na czele dwóch batalionów nadwiślańskich natarł we wsi Lang-Wollmsdorf na nieprzyjacielską piechotę i zmusił do odwrotu. Nareszcie natarcie pułku Krakusów na jego jazdę, oraz wstępne poruszenie całej jazdy naszej w szyku bojowym zakończyły bitwę. W dniu tym utraciliśmy 70 ludzi zabitych, pomiędzy tymi 2 oficerów i 87 rannych włącznie z 3 oficerami. Waleczny jenerał Rybiński lekką odebrał ranę. Nieprzyjaciel we wsi zostawił nam 127 zabitych żołnierzy i 2 oficerów; do niewoli dostało się 30 ludzi. W miejscu, gdzie jazda nasza zwarła się z nieprzyjacielem, leżało na pobojowisku 23 kozaków i 30 ułanów i dragonów zabitych. W czasie potyczki wachmistrz Jezierski przy boku jenerała prosił go o pozwolenie zapolowania na kozaków. Z lancą w ręku uganiał się za nimi przez parę godzin, dwóch zabił, a trzech żywcem przyprowadził.

Nad wieczorem oddziały nasze powróciły do dawnych stanowisk. Jenerał Umiński, wzmocniony pułkiem nadwiślańskim, rozłożył się następującym porządkiem: batalion piechoty we wsi Lang-Wollmsdorf, drugi batalion na prawo wsi w obserwacyi drogi od Hohenstein, reszta piechoty z dwoma działami w lasku za naszym frontem; kirasyerzy z batalionem przedniej straży i dwoma działami na wzgórzach, nad wsią Wollmsdorf panujących, a Krakusy na ich prawem skrzydle.

Dnia 16. brygada piechoty francuskiej jenerała Charpentier przybyła do Lautersbach i łańcuch forpoczt swoich z naszymi złączyła. Dzień ten, niemniej jak 17. września, spokojnie minęły.

Dnia 18. spostrzegliśmy na drodze z Zeibnitz do Neustadt znaczne poruszenie wojska nieprzyjacielskiego. Był to korpus austryacki jenerała Bubny. Góry pod Neustadt wkrótce uwieńczyły się 15 działami i kilkoma pułkami piechoty. Korpus ten miał wspierać ruchy armii śląskiej, skoncentrowanej

pod Bautzen, a prawem skrzydłem dotykającej Marienstern. Tej samej nocy łuna ogni nieprzyjacielskich zdradzała bytność znacznego oddziału pod Ehrenberg; oddział ten stał w odwodzie jenerałowi Emmanuelowi.

Dnia 20. brygada Charpentiera opuściła Lautersbach. Laski przed tą wsią, a na lewem skrzydle naszem leżące, obsadzili strzelcy rosyjscy, których ogień niepokoić zaczął nasze posterunki.

Dnia 21. armia śląska przedsięwzięła rozpoznanie w kierunku Stolpen, przeciwko armii Macdonalda, rozłożonej za rzeką Wesnitz, bez wielkiego jednakże skutku. W czasie tegoż rozpoznania oddział nieprzyjacielskiej jazdy podstąpił pod Lautersbach i harcowników przed sobą wysłał, lecz ukazanie się 6. pułku ułanów, połączone z kilkunastu strzałami armatnimi, ochotę im dalszą odjęły.

Dnia 19. cesarz przybył do armii i główną kwaterę założył w Harta. Lewe skrzydło poszło naprzód ku Bischowswerda, jenerał zaś Lauriston zajął napowrót Lautersbach, tak jak dnia 16.

Dnia 24. cesarz, połączywszy w okolicy Fischbach i Hohenstein korpusy: drugi, trzeci, ósmy i jedenasty, rozkazał piątemu, pod jenerałem Lauristonem, zająć stanowisko pomiędzy Lautersbach i Lang Wollmsdorf i odebrać nieprzyjacielowi wieś Rückendorf. Dywizya Alberta wykonała ten rozkaz i po krótkiej potyczce wieś tę opanowała. Wówczas wojska francuskie zajęły także Lang-Wollmsdorf, luzując wszystkie nasze posterunki.

Dnia 25. z rana maszerując przez Stolpen, połączyliśmy się z korpusem ósmym pod Fischbach; oddział nasz, jak zawsze w przedniej straży, stanął w Harta, zakrywając pozycyę. O godzinie 4. wieczorem cesarz przybył do nas drogą od Bischofswerda. Na widok Krakusów na małych konikach nie posiadał się od śmiechu. Jenerał Umiński pospieszył ku niemu dla zdania raportu. Chcę zlustrować ten pułk — jest on dobry, wyborny — czy wiesz pan, jaka jego siła? —

rzekł do Umińskiego. Podjechawszy przed front, przyjęty został okrzykiem *niech żyje cesarz!*

Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał konia jednego rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojłokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i obróciwszy się do Caulaincoura — zawołał: Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary; to przecież dzielna jazda i dzielny naród ci Polacy! do Umińskiego zaś powiedział: Jenerale, muszę mieć takich 3.000 ludzi; a gdy jenerał Umiński odrzekł, iż takich koni nie znalazłby w Saksonii; cesarz na to: ale cóż, za pieniądze można wszystkiego dostać. Każę panu dać odpowiednie fundusze — i nie ma o czem gadać, muszę mieć takie konie! Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powtórzył: właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską, muszę mieć 3.000 podobnej. Odjeżdżając od nas cesarz, rozkazał księciu Poniatowskiemu maszerować z ósmym i czwartym korpusami jazdy do Drezna.

Przechodzimy Elbę dnia 26. września pod Dreznem.

Dnia 26. września przechodziliśmy przez Drezno. Pierwszy raz widziałem to miasto, tyloma pamiątkami naszymi napełnione. Zatrzymaliśmy się z jenerałem Umińskim w hotelu pod aniołem, gdzie leżał ranny pod Culmen szef szwadronu Radoński, przyjaciel jenerała, a mój dobry znajomy. Nad wieczorem powróciłem do mego oddziału. Jazda w okolicy Drezna rozłożoną została.

Nowe przeznaczenie korpusów ósmego i czwartego na tem zależało, ażeby oczyścić okolice Drezna na lewym brzegu Elby od licznych partyzantów nieprzyjacielskich, którzy pod komendą jenerałów: Thielemana, atamana Płatowa, księcia Bireu; pułkowników: Kutuzowa i Münstera, komunikacyę naszą przecinali i pod samemi bramami Lipska grasowali. Siłę tych dowódzców oznaczano na 9.000 koni, dobrze zaopatrzonych w artyleryę konną. Stał wprawdzie w Altenburgu, w stanowisku środkowem, jenerał dywizyi gwardyi Lefevre-Desnounettes z 4.000 jazdy doborowej, 1.500 piechoty i 6. działami, z rozkazem niedopuszczenia dalszych zagonów nieprzyjacielskich partyzantów i za-

POWRÓT NAPOLE

(Kopia obrazu Ja

)NA Z MOSKWY.

aa Meissonier'a).

pewnienia linii komunikacyjnych naszych z Saalą i Erfurtem. Lecz wybór tego jenerała, którego niedoświadczenie, pod nim służąc w 1812, poznałem, nie odpowiadało temu przeznaczeniu. Książę Poniatowski w myśl wydanych rozkazów, zajął zamek naszym oddziałem z 500 ludzi pod jenerałem Sierawskim, sam stanął w Waldheim z dywizyą piechoty i dwoma pułkami jazdy, resztę wojska rozdzielił na trzy ruchome kolumny: pierwszą piechoty i pierwszą i trzecią jazdy. Pierwsza pod jenerałem dywizyi Sokolnickim, z dwóch pułków jazdy, jednego pułku piechoty i sześciu dział złożona, poszła do Colditz, dla zapewnienia związku z Lipskiem; druga pod generałem dywizyi, księciem Sułkowskim, tejże samej siły, poszła do Mittweg dla obserwacyi miasta Chemnitz; trzecia nareszcie pod jenerałem Umińskim, złożona z 15. pułku piechoty, Krakusów i kirasyerów, wraz z sześcioma działami lekkiej konnej artyleryi, przez Waldheim pomaszerowała do Rochlitz. W tej ostatniej znajdowałem się.

Kolumna nasza, stanąwszy dnia 28. wieczorem w Rochlitz, zajęła pozycyę na lewym brzegu Muldy, a obsadziwszy drogi, do Altenburga i Penig powadzące, wysłała rozpoznanie w obydwie strony, w celu zawiązania stosunku z jenerałem Lefevre-Desnouettes. Dnia 29. nad samym ranem, jeden z tych podjazdów doniósł nam o wzięciu Altenburga w wigilię dnia tego i zupełnem porażeniu korpusu francuskiego. Wiadomość ta w ciągu dnia potwierdziła się. W rzeczy samej jenerał Lefevre-Desnouettes, napadnięty w Wendisch Leipa przez atamana Płatowa, obskoczony do okoła przez pułkownika Münstera, mając przeciętą drogę do Zeitz przez jenerała Thielemana, stracił zupełnie głowę. Francuska jazda, mianowicie pułk szwoleżerów pod Krasińskim, na przebój idąc, dostała się do Zeitz; wszelako piechota, prawie cała, z pięcioma działami i dwoma orłami, wpadła w ręce nieprzyjaciela.

Na tę wiadomość jenerał Umiński przeszedł na prawy brzeg Muldy i na wzgórzu, panującem nad miastem Rochlitz, skąd całą okolicę ku Geithain jak najlepiej przejrzeć się dało,

rozłożył swój obóz. Szwadron Krakusów pozostawiono w Watmitz, a dwie kompanie obsadziły miasto i zabarykadowały ulice. Drogi do Chemnitz i Wechselburga mocnymi oddziałami oświecono. Podług zebranych zewsząd wiadomości nieprzyjaciel trzymał Chemnitz i Altenburg głównemi siłami, a w Penig, jako mniej ważnym punkcie, miał tylko oddział 1.200 ludzi, wysyłający patrole swoje do Wechselburga.

Wysłane w dniu 29. wieczorem i 30. rozpoznanie, złożone z jazdy i piechoty pod majorem Rzuchowskim i szefem szwadronu Szymańskim w kierunku Frohburga i Penig, wpadło na obozy kozackie pod Frohburgiem i przyprowadziło 10 niewolnika z korpusu Płatowa; drugie, blizko Sunzenau na posterunek huzarów austryackich natrafiwszy, zaalarmowało obóz ich pod Penig, w nocy z dnia 30. września na 1. października i 7 huzarów przywiodło. Przekonano się z badań niewolników, iż ataman Płatow stoi pomiędzy Frohburgiem i Altenburgiem, jenerał Thieleman w Preisnitz, w Penig zaś korpus austryacki, 2.500 ludzi wynoszący. Innych wiadomości o nieprzyjacielu powziąść nie mogliśmy; mieszkańcy bowiem wszyscy pomagali mu do ukrywania ruchów.

Dnia 1. października jenerał Umiński postanowił wyrugować nieprzyjaciela z miasta Penig i tym sposobem przerwać jego komunikacye z Altenburga do Chemnitz. W tym celu wysłał tam pułkownika Straszewskiego z jednym batalionem piechoty i 300 jazdy, lecz oficer ten nie zastał tam już nieprzyjaciela, który otrzymawszy wiadomość o tym ruchu, wycofał się wcześniej do Chemnitz. Podjazdy nasze dostały w swoją moc oficera austryackiego, eskortującego majora francuskiego, zabranego pod Altenburgiem, i ostatniego uwolniły.

Tegoż samego wieczora otrzymaliśmy rozkaz maszerowania do Frohburga. Książę Poniatowski zajął rezerwowym korpusem ósmym Rochlitz. Droga nasza prowadziła przez Geithain; minąwszy te miasteczko, stanęliśmy w Rötha. Wysłane na zwiady patrole doniosły o bliskości koczowiska kilkuset kozaków. Jenerał wysłał na ich spłoszenie kompanię wolty-

żerską, która się w nocy podkradłszy pod ich biwaki, nagle ognia dała i zabiwszy sześciu ludzi i kilka koni, resztę do ucieczki spiesznej zmusiła. Zdobyto przy tej okazyi kilka koni. Żołnierze nasi obłożyli się zdobyczą, w siodłach kozackich znalezioną.

Wysłany, jak wyżej napisałem, do Penig, pułkownik Straszewski, nie powrócił do nas tego samego wieczora, wzbudził przez to w nas obawę o swoje powodzenie; mając bowiem rozkaz po wypędzeniu stamtąd nieprzyjaciela, powrócić do obozu, zatrzymał się dłużej aniżeli należało, do tego zaniedbał przesłania raportu. Z tego powodu jenerał niespokojny o niego, cofnął się dnia 2. października zrana do Geithain i wysłał patrole przeciw pułkownikowi Straszewskiemu. Dziwny to sposób prowadzenia wojny ze strony jenerała Umińskiego! Ileż to ruchów niepotrzebnych, ileż zmian w pochodach, ileż daremnych rozpoznań; z drugiej strony zato żołnierz przez ciągłe pochody, nieustanne potyczki z nieprzyjacielem, codzień zdatniejszy się stawał do boju i wyrównywał przytomnością, czynnością i posłuszeństwem najstarszym żołnierzom.

Dnia 2. książę Poniatowski postanowiwszy uderzyć na połączone siły Płatowa, Thielemana i Münstera, uznał za rzecz nieodzowną skoncentrować własne siły pod Frohburgiem. Połączywszy się z pułkownikiem Straszewskim, wysłał do nas rozkaz maszerowania do Frohburga, gdzie zastaliśmy już jenerała Sokolnickiego.

Dnia 3. równo z dniem, jenerał wzmocniony 300 końmi i 400 piechoty z kolumny Sokolnickiego, podstąpił pod Altenburg, w zamiarze atakowania tam nieprzyjaciela w czasie, gdy książę Poniatowski chciał z resztą wojska uderzyć na jenerała Thielmana, stojącego w pozycyi pod Möschwitz.

W czasie marszu jenerał Umiński od patroli dowiedział się, iż nieprzyjaciel z główną siłą opuścił Altenburg, pozostawiwszy tylko dwa pułki kozackie przed miastem; jenerał Thieleman także wycofał się z Möschwitz, a wszystkie oddziały

nieprzyjacielskie połączyły się w Zwickau, o trzy mile od Altenburga, w kierunku czeskiej granicy. Za ukazaniem się naszych proporców, nieprzyjaciel rozwinął się na wzgórzach za miastem. Jazda przeszła kłusem przez ciasne ulice i uderzywszy na kozaków w całym pędzie koni, rozbiła ich w oka mgnieniu ze stratą 10 zabitych na placu i 28 niewolników. Oficer wyższy kozacki znajdował się w liczbie zabitych. Szablę turecką, na nim zdobytą, jenerał Umiński ofiarował księciu Poniatowskiemu. Pogoń za kozakami posunęła się do Moeckern. Oddział nasz zajął stanowisko w lewo Altenburga, pomiędzy drogami do Zwickau i do Ronnenburga. Placówki nasze stanęły wzdłuż brzegów Pleissy aż do Moeckern; niemniej i na traktach do Gera i Zeitz. Książę Poniatowski sam tylko przyjechał do nas i słuszne pochwały oddawszy jeździe, uprzedził jenerała Umińskiego, iż nieprzyjaciel znajduje się w Annaberg i że większe aniżeli z Altenburga przybyłe siły, oczekiwane są w Zwickau i Chemnitz; doniósł nam także i o bytności jenerała Sokolnickiego w Penig, z którym zalecił komunikować się jak najczęściej; przytem największą baczność na nieprzyjacielskie ruchy nakazał.

Jenerał Umiński założył swoją kwaterę w domu radzcy książęcego Thümmla, brata znanego w Niemczech pisarza podróży po Francyi. Obraz swobody i uprzejmości, doznanej w tym domu, odwrócił na niejaki czas nasze umysły od posępniejszych obrazów. Nie zapomnę nigdy tego miłego przyjęcia, tych nadobnych Niemek, tego ogródka napełnionego pomnikami czułego serca; tych zabaw i rozmów niewinnych, wśród wrzawy wojennej! Dziś jeszcze, schylony ku ziemi, z radością o nich wspominam.

Tegoż samego dnia wysłano podjazdy w kierunku Smollen, Ronnenburg, Gera i traktem do Penig. Obsadzono także patrolami okolice Gosnitz, Waldenburga i Moselu. W nocy z d. 3. na 4. podjazd nasz jeden wpadł na placówkę kozaków, trzech na miejscu położył, a jednego ze sobą przyprowadził, który

zeznał, iz ataman Płatow znajduje się w Glaucha, na brzegu przeciwnym Muldy, pułkownik zaś Münster w Waldenburgu.

Książę Poniatowski stojący w Frohburgu, wysłał dywizyę księcia Sułkowskiego do Wendischleipa ku naszemu wsparciu. Jenerał Lefevre - Desnouettes w Zeitz organizował na nowo rozbity w dniu 28. września korpus.

Zatrzymaliśmy naszą pozycyę pod Altenburgiem w sposób wyżej opisany do dnia 4. października, w którym to dniu jenerał Sokolnicki dowiedziawszy się o przybyciu austryackiego jenerała Mohra, dowódzcy przedniej straży korpusu feldmarszałka Klenau do Chemnitz, chciwy zawsze boju, podstąpił pod to miasto, opanował je chwilowo, lecz za przybyciem atamana Płatowa z jazdą swoją zmuszony był opuścić je i cofnąć się napowrót do Penig.

W ciągu dnia 4. października jenerał Umiński przez szpiegów odebrał wiadomość o marszu z Czech wschodniej armii sprzymierzonych, idącej kilkoma kolumnami w kierunku Annabergu, Chemnitz i Zwickau. Zdawało się, iż nieprzyjaciel ma zamiar zwrócenia się ku Lipskowi, częścią przez Zeitz, częścią przez Penig, Altenburg, i że jenerał Thieleman wysłał kilka pułków lekkich do Gera, ażeby niepokoić pochód marszałka Augereau, ku Lipskowi ciągnącego z armią odwodową.

Dla nabrania większej pewności o zamiarach nieprzyjacielskich, pułkownik Dziekoński z 300 jazdy i 400 piechoty w dniu 5. o godzinie 8. wieczorem pomaszerował do Weida, zostawiwszy po drodze w Goesnitz 30 Krakusów i 40 ludzi piechoty, dla strzeżenia linii odwrotu. Przybywszy w nocy do Weida, wpadł na maruderów i opóźnione bagaże korpusu 6.000 jazdy, pod jenerałem księciem Lichtensteinem idącego w kierunku Gera. Dowiedział się od nich, iż straż przednia hrabiego Wittgensteina, pod rozkazami hrabiego Pahlena posuwa się na Goessnitz ku Altenburgowi, w czasie gdy główny korpus znajduje sie w Zwickau. Inny oddział rosyjski podług nich miał się znajdować w Chorsitz nad rzeką Pleissą. Pułkownik Dziekoński, przerażony temi wiadomościami, nad ra-

nem zaczął się cofać ku Altenburgowi i o położeniu niebezpiecznem, w jakim się znajduje, doniósł jenerałowi Umińskiemu, Gdy się to działo, już nieprzyjaciel napadł na niedbale strzegący się posterunek w Goessnitz. Oficer dowodzący tym oddziałem, zamiast zabarykadowania się w jakim murowanym domu, szukał ratunku w spiesznym odwrocie, lecz obskoczony dokoła, po walecznym odporze w polu otwartem, rozbity nareszcie został.

Kilku Krakusów na lepszych koniach przedarło się przez jazdę nieprzyjacielską i ze smutną wiadomością do naszego obozu przybiegło. Jenerał Pahlen, zniósłszy nasz posterunek, wysłał podjazdy na drogę do Gera, i obsadziwszy Smollen, sam z resztą wojska, mając opodal w odwodzie dywizyę piechoty, poszedł ku Altenburgowi.

Pułkownik Dziekoński przewidując, że z trudnością tylko uda mu się połączyć z nami i wiedząc o stracie w Goessnitz, postanowił ubocznemi drogami przebijać się ku nam. W Smollen zastał już nieprzyjacielską jazdę; bez namysłu toruje sobie drogę przez nią bagnetem, odpiera jej ataki w polu, nareszcie zatrzymuje się w Loepitz, o strzał armatni od linii czatów naszych, poniósłszy stratę tylko 12 ludzi i przyprowadziwszy jeńców, zabranych w Weida. Tu już był bezpieczny. Pospieszyliśmy naprzeciw niemu i z radością przywitaliśmy. Wyprawa tak niepotrzebna przeciwko linii operacyjnej nieprzyjacielskiej, z tak małym oddziałem przedsięwzięta, nie mogła mieć lepszego skutku, a kosztowała nas przeszło 70 ludzi zabitych i wziętych w niewolę.

Jak tylko zbiegi z pod Goessnitz do naszego obozu przybyli, jenerał Umiński kazał wojsku stanąć pod bronią i księcia Sułkowskiego, stojącego w Wendischleipa, wezwał o pomoc. Wkrótce przybyły dwa szwadrony pułku 6. ułanów, reszta kolumny księcia Sułkowskiego stanęła w odwodzie. Nie dochodząc do wsi Zehma, na wzgórzu przed tą wsią spostrzegliśmy nieprzyjaciela, formującego się. Jenerał Umiński zatrzymał się na wzgórzu, piechotę ukrył, a kompanię wolty-

żerów wysłał parowem do wsi, z rozkazem nie pokazywania się tak długo, dopóki nieprzyjaciel z częścią sił swoich nie minie głównej ulicy. Stało się według jego rozkazu. Huzary izumskie z kozakami zaczęli przez wieś defilować i szykować się przeciwko nam. W tej chwili trąby nasze do szarży odezwały się. Jazda nasza, wsparta dwoma szwadronami 6. pułku, uderzyła raptem na nieprzyjacielską i przewróciła ją zupełnie, zaczajeni woltyżerzy dali wtedy ognia. Wszczęło się zamieszanie okropne w nieprzyjacielskiej jeździe, zaczęła się ratować ucieczką przez wieś i znaczne straty poniosła. 35 ludzi i 2 oficerów zabitych znaleziono na placu, wielu rannych było; kapitan i 10 ludzi dostało się w nasze ręce. Strata nasza wynosiła tylko 8 rannych.

Nieprzyjaciel, wyrugowany tem szybkiem natarciem ze wsi Zehma, zebrał swoje szyki na wzgórzach pod Griba, gdyż odebrał nowe posiłki. My zaś weseli powróciliśmy do Altenburga i tego wieczora graliśmy w gry niewinne z córkami naszego gospodarza, pannami Thümell.

Jenerał Umiński rozstawiwszy forpoczty i placówki nad brzegami Muldy, zrzuciwszy mosty na tej rzeczce od Mensa do Moechern i ostatnią wieś obsadziwszy dwoma kompaniami piechoty, zdał raport księciu Poniatowskiemu o wypadkach dnia upłynionego.

Książę Poniatowski, uznawszy potrzebę cofnięcia się z Frohburga do Roechlitz, stosownie do tego postanowienia rozkazał jenerałowi Umińskiemu opuścić Altenburg i przenieść się do Geithain.

W nocy dnia 6. na 7., nie pożegnawszy się z naszymi gospodarzami, z którymi jak najprzyjemniej wieczór przepędziliśmy, o samej północy pomaszerowaliśmy w kierunku wskazanym (w największej cichości zebrano wszystkie placówki) Jakież musiało być zdziwienie mieszkańców, gdy ogniska nasze wygaszone, a ślady pobytu zatarte zastali. Tegoż dnia bowiem, chcąc ich lepiej zwieść i zabezpieczyć nasz pochód, kazaliśmy im się przygotować na przyjście ósmego korpusu.

Równo z dniem stanęliśmy w Geithain, skąd rozpoznania wyszły na wszystkie strony, mianowicie ku Frohburgowi. Nikomu nie dozwolono opuszać szeregów, ani iść do miasta. Jenerał Umiński założył kwaterę swoją w domku na ustroniu; było to mieszkanie kata miejscowego. Nie wyrażę jakiego nieprzyjemnego uczucia z tego powodu doznałem. Choć zgłodniały, nie skosztowałem nawet chleba w tym przeklętym domu.

Dnia 7. król Neapolitański z korpusami jenerała Lauristona i Belluno (Victor) i z dwoma dywizyami Bergheima i L'Heritier, połączył się z korpusem pod Roechlitz. Tym sposobem siły nasze dochodziły tu do 45.000 ludzi. Widok francuskiej jazdy nie był pocieszający. Ubiór, uzbrojenie, a nawet konie, choć cięższe od naszych, niewiele zostawiały do życzenia; lecz na tych koniach, pod tą zbroją, nie żołnierze, lecz dzieci siedziały, z równą obawą patrząc się na swoje konie, jak na nieprzyjaciela. Cóż dziwnego, iż z taką jazdą Napoleon takich cudów, jak pod Eylau i Możajskiem nie mógł dokazywać.

Dnia 8. przed wschodem słońca, poczty nasze, stojące na drodze z Geithain do Frohburga, w bliskości wsi Rötha i Kleingründen, atakowane zostały przez 1.500 kozaków. Oddział nasz cały był już pod bronią. Zasadzona we wsi Rötha piechota nasza, ogniem swoim zatrzymała ten zapęd, a natarcie szwadronu Krakusów tę chmarę kozaków do ucieczki wkrótce zmusiło, straciliśmy jednak trzech ludzi.

Dnia 8., o godzinie 2. po południu, ósmy korpus udał się do Frohburga. Przednia straż, którą dowodził jak dawniej jenerał Umiński, godzinę wcześniej opuściła biwaki swoje. Z tej strony Frohburga wzgórza obsadzone były harcownikami nieprzyjacielskimi kozaków, ułanów i huzarów; bliżej miasta stały dwa szwadrony w odwodzie, z tamtej zaś strony miasta, na drodze do Altenburga, około 2.000 koni w szyku rozwiniętym. Potyczka wkrótce na naszą stronę się przechyliła. Kirasyerzy i Krakusy wsparci o piechotę i artyleryę konną,

przepędzili nieprzyjacielskich harcowników przez miasto; w ulicach niektórzy, mianowicie starsi kozacy, o swoje *czerwieńce* w poduszkach pozaszywane troskliwi, uporczywie się bronili, musieli jednakże ustąpić nam placu, zostawiwszy kilku zabitych w ulicach i 8 niewolników, wyższy oficer kozacki był w liczbie pierwszych. Nam także ubito kilku ludzi i jednego oficera, a 13 mieliśmy rannych. Wyszedłszy z miasta jenerał Umiński kazał odprzodkować działa i dawać ognia do linii nieprzyjacielskiej, która zaczęła się usuwać i nareszcie do wsi Eschfeld zupełnie się cofnęła; oparłszy lewe skrzydło o Pleissę, a prawe na drodze do Altenburga, zdawała się na nas oczekiwać.

Z naszej strony opanowano Frohburg piechotą, dwa działa skierowano na most, i cmentarz obwarowano, jeździe zaś naszej kazano zwrócić się za miasto. O g. 6. wieczorem ósmy korpus nadciągać zaczął. Stanowisko jego na tę noc dano wzdłuż rzeczki, lewem skrzydłem na drodze z Roechlitz do Altenburga dotykając się młyna Grünstein, prawem o lasek przyległy, który obsadzono batalionem piechoty. Od jeńców dowiedziano się, że należeli do oddziału pod komendą jenerała Rüdigera z korpusu hrabiego Wittgensteina, stojącego w Mockern.

W czasie, gdy ósmy korpus maszerował do Frohburga, jenerał Sokolnicki niepohamowaną żądzą sławy, kosztem krwi żołnierzy popychany, staczał bezowocne bitwy z jenerałem austryackim Mohrem, pod Penig. Przepędziwszy go za miasto aż do wsi Mühlau, za nadejściem sukursów, sam ustąpić musiał mu placu, znaczną zadawszy, lecz i sam nie mniejszą poniósłszy stratę. Później z nami się połączył. Działo się dnia 8 i 9 października.

Dnia 9. żadnej nie było zmiany; forpoczty patrzały na siebie. O godzinie 1. po południu korpusy króla Neapolitańskiego zaczęły przybywać. Jazda rozwinęła się przed Frohburgiem, ósmy korpus odebrał rozkaz przejścia na drugą

stronę miasta; jenerałowi Umińskiemu zlecono z przednią strażą torować drogę do Altenburga.

Dywizya księcia Sułkowskiego, stojącą w Rötha, zasłaniała nasze lewe skrzydło.

Według zebranych wiadomości i sądząc po śmiałej postawie nieprzyjaciela w pozycyi za wsią Eschfeld, zdawało się, jak gdyby się czuł na siłach i na pewne odwody liczył. Dlatego też jenerał Umiński, luźnymi tyralierami piechoty i jazdy zasłoniwszy front i skrzydła, posuwał się jak najostrożniej.

Jazda nieprzyjacielska za ukazaniem łańcucha tyralierów naszych cofnęła się, zostawiwszy kilkaset ludzi w prawo lasu. Tyralierzy nasi niezadługo starli się z nieprzyjacielskimi.

W lesie pomiędzy nową a starą drogą do Altenburga, stała czwarta dywizya rosyjska piechoty z korpusu Wittgensteina; trzecia dywizya piechoty z tegoż samego korpusu zajmowała stanowisko pomiędzy drogami z Altenburga do Borny i do Zeitz. Jenerał Ziethen z jedenastą brygadą pruską zbliżał się od Wendischleupa ku Frohburgowi, dziesiąta brygada pruska stała w Wendischleipa, dziewiąta i dwunasta brygada pozostały w Altenburgu; Płatow z kozakami stał pod Pegau.

Mieliśmy zatem znaczne siły nieprzyjacielskie przed sobą i na prawem skrzydle wyprzedzeni już byliśmy ku Lipskowi, na trakcie do Borna, o czem w tej chwili jeszcze nie wiedziano. Jenerał Umiński kazał jeździe swojej natrzeć na nieprzyjacielską, na prawo lasu stojącą. Nie dotrzymała placu. Żywy ogień broni ręcznej rozpoczął się tymczasem w mocno obsadzonym lesie; 15. pułk piechoty nadszedł w tej chwili pod komendą pułkownika Straszewskiego. Waleczny ten pułk w ściśniętych kolumnach rzucił się w las za tyralierami i lewe skrzydło piechoty nieprzyjacielskiej zmusił do odwrotu. Lecz tu natrafiwszy na siły nierównie większe, zaczął zwolna, jak na starego żołnierza przystoi, ustępować. Potyczka ta w lesie trwała już dwie godziny. Spodziewaliśmy się sukcesów, lecz gdy te nie nadchodziły, jenerał Umiński zatrzymał ruch

wsteczny, kazał działom odprzodkować i piechocie uformować się o sto kroków od lasu. W tej chwili chmara nieprzyjacielskich strzelców wysypała się z lasu za naszą piechotą, za niemi kilka batalionów rosyjskich w ściśniętych kolumnach. 15. pułk nasz przyjął ich ogniem plutonowym tak porządnie jak na placu musztry, przy odgłosie muzyki pułkowej i wystrzałach kartaczowych artyleryi konnej. Pierzchła nieprzyjacielska piechota i cofnęła się do lasu, o kilkaset kroków. Zabrani jeńcy wyznali, iż należą do korpusu Wittgensteina, którego część większa poszła ku Zeitz i Borna. W tej potyczce straciliśmy 70 ludzi w zabitych, włącznie z trzema oficerami, i 37 żołnierzy i 4 oficerów rannych, w tych ostatnich liczbie znajdował się jenerał Umiński, którego nad samym wieczorem trafiła kula karabinowa w nogę. Była to tylko mocna kontuzya, dla której nie mógł przez kilka dni być czynnym. Komendę po nim odebrał jenerał Małachowski.

Szczegóły te wszystkie od początku kampanii, zapisywałem starannie codziennie w moim pularesie. Ten pulares zachowałem dotąd i przekazuję go dzieciom moim. Czerpane z niego daty udzieliłem w roku 1814 po naszym powrocie z Francyi jenerałowi Umińskiemu, który z nich ułożył niekompletne dziełko (wyd. po francusku) p. t.: »Pamiętnik o działaniach przedniej straży ósmego korpusu wielkiej armii, złożonej z wojsk polskich w roku 1813, przez świadka naocznego« z dewizą dość szczególną *non quis sed quid.*

Jenerał Małachowski odebrawszy komendę przedniej straży, rozkazał tejże samej nocy szefowi Rybińskiemu wypędzić ze wsi Eschfeld kilka kompanii piechoty nieprzyjacielskiej, które się w niej wygodnie rozłożyły. Rybiński wykonał to polecenie ze zwykłą przezornością, wyrugował Rosyan i ulokował się we wsi, nie rozniecając ogni.

O godzinie 1. w nocy, patrol z 60 kozaków wszedł sobie spokojnie do wsi, nie spodziewając się nas. Przepuszczono ich do środka wsi. Tu dopiero ze wszystkich stron dano do

WOJSKO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO Z ROKU 1812.

1. Woltyżer (piechota liniowa). 2. Weteran. 3. Sierżant gwardyi narodowej.

nich ognia i 23 trupem położono; reszta, sadząc przez płoty, uszła, zostawiwszy 47 koni w naszym ręku.

Dnia 10. o godzinie 6. z rana, ósmy korpus zaczął defilować przez Frohburg, traktem ku Lipskowi. Tylna straż pod jenerałem Małachowskim ucierając się z nieprzyjacielem, który z wielką ostrożnością następował, spaliła most na rzece Wira. Ze strony nieprzyjacielskiej jenerał rosyjski Pahlen obsadziwszy Bornę piechotą, wysłał pułk izumski huzarów przeciw przedniej straży naszej, maszerującej po prawym brzegu Wiry ku Bornie i wieś Zeittlitz, gdzie się znajduje przeprawa przez tę rzeczkę, zajął 25. pułkiem strzelców rosyjskich. Jednocześnie jenerał major Gorczakow II. z dwoma dywizyami piechoty 5. i 14. zbliżył się ku Zettlitz, w zamiarze wsparcia strzelców. Korpus polski, poprzedzony dywizyą jenerała Izydora Krasińskiego i mając w tylnej straży dywizyę francuską jazdy Berkheima, maszerował spokojnie traktem. Książę Poniatowski ze sztabem i z eskortą, złożoną z 30. Krakusów, znajdował się na przodzie, gdy nagle przywitany został ogniem broni ręcznej tyralierów nieprzyjacielskich, ukrytych niedaleko traktu. Książę z przytomnością jemu właściwą, dobywszy pałasza, — zawołał do oficerów sztabu swojego: »Teraz pora panowie pokazać, czy umiemy szarżować! Naprzód panowie!« i w tejże chwili rzuca się na nieprzyjaciela. Strzelcy rosyjscy przewróceni tym atakiem, chronią się do wsi Zeittlitz. Tu nieprzyjaciel pod rozkazami księcia Gorczakowa pragnął usilnie utrzymać się, lecz wyparty przez nadchodzącą piechotę naszą, cofać się musiał ku Bornie. Pułk izumski pędzony przez naszą jazdę, zatrzymuje się dopiero na lewym brzegu Pleissy pod zasłoną ciężkiej bateryi, ostrzeliwającej kolumny nasze, postępujące głównym traktem lipskim. Natrętnym tym ogniem rażony korpus polski, zboczył cokolwiek w prawo i pod Eyla połączył się z korpusem głównym pod rozkazami króla Neapolitańskiego, złożonym z korpusów Victora i Lauristona i czwartego rezerwowego jazdy hrabiego Walmy, maszerującymi przez Preissnitz, Hoesburg,

Laussig ku Lipskowi. W czasie tego pochodu korpusu polskiego ku Bornie, tylna straż jego pod jenerałem Małachowskim atakowana była przez oddział drugiego korpusu pruskiego, należącego do armii Wittgensteina. Pod Hoesburg i Steinbach tylna straż polska stawiła czoło. Nasi jednak bez wielkiej straty, zwolna postępując, połączyli się ze swoim korpusem.

Dnia tego, to jest 10. października, jenerał Kleist z drugim korpusem, złożonym z 9., 10., 11. i 12. brygady piechoty i z jazdą rezerwową jenerała Roedera, znajdował się w Altenburgu. Czwarty korpus austryacki stał pomiędzy Frohburgiem a Penig; drugi i trzeci korpus austryacki w Penig. Jenerał austryacki Mohr, z którym walczył jenerał Sokolnicki przez dnie 8. i 9. października, stał w Frohburgu. Główne siły armii czeskiej z główną kwaterą księcia Schwarzenberga nocowały w Chemnitz.

Dnia 11. korpus polski wraz z innymi korpusami pod rozkazami króla Neapolitańskiego zajął okolice Gross Zoessen. Około południa wojska nasze pomaszerowały ku Rötha. Wsie Dittmansdorf, Gross Zoessen, Traknau, miasteczka Rötha, Zwenckau, obsadzone przez nas były.

Dnia 12. korpus polski pomaszerował do Groebern i tamże pozostał do dnia 14.

Dnia 13. jenerał Pahlen, dowodzący przednią strażą jenerała Wittgensteina, postępując za nami, rozwinął swoją jazdę po obu stronach traktu, prawem skrzydłem sięgając wsi Mücken. W Gross Poetsche stał pułk piechoty rosyjskiej. Trzecia i czwarta dywizya piechoty rosyjskiej stały pod Espenhain. Jazda czwartego korpusu rezerwowego pod hrabią Walmy rozwinęła się naprzeciw rosyjskiej ku Mägdeborn, artylerya konna naprzód wystąpiła, nie przyszło jednakże tegoż dnia do ważniejszego spotkania.

Wystąpienie tej nieprzyjacielskiej jazdy poprzedziło następujące zdarzenie. Forpoczty nasze z rana były zluzowane i wojsko zabierało się do gotowania posiłku, gdy jakiś oficer

sztabowy, nikomu nieznany, przybył z rozkazem cofnięcia forpoczt obozowych na przeciwną stronę wsi Groebern, w której stała główna kwatera króla Neapolitańskiego. Rozkaz ten wypełniono i placówki nasze omijając wieś, zajęły nowe stanowisko; lecz zaledwie stanęły na wskazanych miejscach, kolumna nieprzyjacielskiej jazdy ukazała się przy wchodzie do wsi. Pojedynczy harcownicy wpadli w ulicę i zaczęli się uganiać za żołnierzami naszymi, rozrzuconymi po wsi, aż nareszcie doszli do domu, w którym król Neapolitański ze sztabem swoim siedział przy śniadaniu. Warta dała ognia, pikiety służbowe nadbiegły na ten odgłos i zastały króla z pałaszem w ręku, szarżującego na czele sztabu. Jazda nieprzyjacielska pierzchła na ten widok i wkrótce porządek został przywrócony. Ów oficer sztabowy znikł w zamieszaniu.

Dzień 14. października pamiętny jest z potyczki pod Libertwolkwitz, pomiędzy jazdą obydwóch stron. Był to jakby pierwszy akt, czyli prolog wiecznie pamiętnych bitew dnia 16., 18. i 19. października.

Tegoż dnia armia króla Neapolitańskiego zakrywając Lipsk, w oczekiwaniu wielkiej armii, pod osobistą komendą cesarza Napoleona maszerującej traktem od Wurzen do Lipska, opuściła z rana pozycyę pod Groebern i zbliżyła się ku Lipskowi. Piechota francuska zajęła Mark Kleeberg, Wachau i Liebertwolkwitz, jazda zaś uszykowała się na wzgórzach w prawo Liebertwolkwitz, lewe skrzydło oparłszy o to miasteczko. Ze strony naszej następujące korpusy udział miały w potyczce:

Piąty korpus rezerwowy jazdy jenerała Milhaud z pierwszą i drugą dywizyą draganów, przybyłych z Hiszpanii; było to czoło jazdy francuskiej z samego starego żołnierza złożone; liczył około 4.000 koni.

Czwarty korpus rezerwowy jazdy hrabiego Walmy z 6 pułków polskich, każdy z trzech brygad złożony: 1. strzelców konnych; 3., 6., 8. i 12 ułanów; 13. huzarów; dwóch bateryj konnych. Razem około 3,000 koni.

Pierwsza dywizya jazdy francuskiej Berkheima, z huzarów i strzelców konnych, z samego młodego, niedoświadczonego żołnierza złożona, około 1.200 koni. Wogóle około 8.000 koni, z liczną artyleryą konną. Za nimi stały w czworobokach trzy korpusy piechoty: drugi Victora, piąty Lauristona i ósmy polski; w ogóle 38.000 ludzi.

Pułk Krakusów i szwadron kirasyerów polskich, pozostały jako eskorta przy księciu Poniatowskim.

Ze strony nieprzyjacielskiej wystąpili na linię bojową: jazda rererwowa pruska pod jenerałem Röderem, złożona z 28 szwadronów; jazda drugiego korpusu jenerała Kleista (pruska) z 16 szwadronów; jazda rosyjska pod hrabią Pahlen złożona z jednej dywizyi huzarów i jednej dywizyi ułanów, 33 szwadrony; jazda czwartego korpusu austryackiego pod jenerałem Klenau: 18 szwadronów. Razem 95 szwadronów: a zatem przeszło 10.000 koni wyborowych, prócz luźnej konnej artyleryi i kilku kozackich pułków.

W odwodzie stały dwa korpusy piechoty rosyjskiej: pierwszy i drugi z armii Wittgensteina, korpus drugi pruski jenerała Kleista, a bardziej opodal na prawem skrzydle czwarty korpus austryacki jenerała Klenau i trzecia dywizya kirasyerów rosyjskich, z rezerwy ściągnięta na lewem skrzydle.

Bitwa rozpoczęła się na lewem skrzydle naszem przy piątym korpusie jazdy rezerwowej jenerała Milhaud, od silnej kanonady, poczem dragoni francuscy z wielką natarczywością wpadli na nieprzyjacielską linię i kilka razy ją przełamali, lecz tyle razy przemagającą siłą odparci, formowali się na nowo. Po wielokrotnych szarżach, w których z każdej strony do 6.000 koni mogło brać udział, obydwie jazdy cofnęły się pod czworoboki zobopólnej piechoty. Polska jazda na prawem skrzydle stojąca, rozwinięta w szyku bojowym, nie brała udziału w szarży. Strata z obydwóch stron wynosić mogła kilkaset ludzi.

Nazajutrz 15. październ., jazda francuska rozwinęła się na nowo na wzgórzach pod Wachau i stała na pozycyi aż do

późnego wieczora. Toż samo uczyniła jazda jenerała Wittgensteina, lecz nie przyszło dnia tego do żadnego starcia. Potyczka dnia 14. nie była niczem innem, jak tylko rozpoznaniem ze strony nieprzyjaciela, ażeby się przekonać o siłach, jakie ma przed sobą i czyli cesarz Napoleon z wielką armią nie przybył do Lipska.

Gdyby książę Schwarzenberg zamiast rozpoznania uderzył był tego dnia połączonemi siłami na oddzielony od wielkiej armii korpus króla Neapolitańskiego, mógł był go w niebezpieczne wprawić położenie, albowiem wielka armia znajdowała się na linii długiej, pochodowej, rozciągnięta na drodze od Wurzen do Lipska i pierwsze jej oddziały stanęły dopiero 14. października z wieczora w Reudnitz, o ćwierć mili od Lipska, dokąd cesarz dnia tego przeniósł swoją główną kwaterę. Odległość zaś od Liebertwolkwitz do Lipska wynosi półtorej mili. Lecz książę Schwarzenberg wszystkich sił nie miał jeszcze pod ręką; rezerwy jego dopiero później nadeszły.

Wiadomo wszystkim, iż cesarz Napoleon, postawiwszy w obserwacyi armii czeskiej króla Neapolitańskiego z trzema korpusami piechoty i liczną jazdą, opuścił Drezno dnia 7. października z częścią sił swoich, złożoną z gwardyi starej i młodej, dwóch korpusów piechoty: czwartego Bertraud, jedenastego Macdonalda i dwóch korpusów jazdy rezerwowej: pierwszego Latour-Maubourga i drugiego Sebestiani, wogóle 60.000 ludzi i zwrócił się maszerując po obu brzegach Elby ku armii śląskiej Blüchera i armii północnej Bernadottego, których poruszenie obserwowały trzy połączone korpusy: szósty Marmonta, siódmy Reyniera i trzeci Neya, po klęskach poniesionych pod Dennewitz i Jüterbog, wynoszące już tylko 50.000 ludzi. Zamiarem cesarza było zmusić Blüchera do stoczenia stanowczej bitwy i poraziwszy go obrócić się w tym samym zamiarze ku armii czeskiej, na wodzy trzymanej przez króla Neapolitańskiego.

W Dreznie, który jako punkt środkowy swych działań i główną przeprawę przez Elbę uważał, pozostawił pierwszy

korpus Mouton-Loebau i czternasty marszałka Gouvion St.-Cyr, w ogóle 26.000 ludzi, pod zasłoną mocnych polowych szańców, z rozkazem bronienia miasta do upadłego. Spodziewał się bowiem cesarz po ukończonej operacyi przeciw Blücherowi, powrócić do Drezna i linię Elby, na której prócz Magdeburga, posiadał jeszcze Wittenberg i Torgau, na nowo zająć. W Lipsku spodziewał się zastać korpus odwodowy marszałka Augereau z 10.000 piechoty i piąty korpus rezerwowy jazdy jenerała Milhaud z 4.000 koni; prócz tych dwóch korpusów książę Padwy z trzecim korpusem rezerwowym jazdy 3.000 koni i małym oddziałem piechoty, stojąc w Lipsku, bronił komunikacyi z Erfurtem. Około Lipska stało więc w odwodzie 17.000 ludzi; pod królem Neapolitańskim 42.000 ludzi naprzeciw armii czeskiej; w Dreznie 26.000; przeciwko Blücherowi Ney z 50.000 ludzi; w Hamburgu marszałek Davoust z 25.000 ludzi; nareszcie w twierdzach nadelbiańskich 18.000 ludzi. Sam zaś cesarz z 60.000 armią w środku pomiędzy tymi wszystkimi korpusami, gotów był nieść pomoc, tam, gdzieby się tego potrzeba okazać miała.

Taka dyspozycya była bezwątpienia najstrategiczniejsza, jaka tylko być mogła i zupełnie zastosowana do jego położenia, gdyby nie tak wielka przewaga sił nieprzyjacielskich. Lecz po przegranych pod Kulmen, nad rzeką Katzbach, pod Dennewitz i pod Jüterbog, w których to potrzebach wojsko francuskie straciło około 70.000 ludzi, prócz mnóstwa armat i amunicyi, szala oczywiście przeważała się na stronę sprzymierzonych.

Cesarz Napoleon, włącznie z garnizonem Drezna, miał pod ręką około 195.000 do 200.000 wojska. Sprzymierzeńcy prócz wojska, w obserwacyi Drezna pozostałego, liczyli więcej o 100.000 ludzi.

Przewaga była więc zbyt wielką; dodać do tego jeszcze wypada, iż wojska sprzymierzonych składały się z doborowego i wyćwiczonego żołnierza, mianowicie jazda francuska nie mogła porównania z jazdą nieprzyjacielską wytrzymać.

Wojska te we własnym kraju walczyły w obronie ojczyzny swojej, przygnębionej żelaznem ramieniem Napoleona; przystępowały więc do każdej bitwy z wielkim zapałem i w niektórych potrzebach rozwinęły odwagę, energię, zaciętość nawet, jakich po nich, mianowicie po Prusakach, wcale się nie spodziewano. Przeciwnie wojsko francuskie składało się po większej części z młodych, szesnastoletnich konskrypcyonistów, zebranych na prędce, nie obeznanych z bronią, nie wprawionych do pochodów, upadających pod ciężarem pakunku; kości starych bowiem żołnierzy wielkiej armii, powracających z Moskwy, bieliły się na polach Smoleńska, Możajska, nad Berezyną, na całym trakcie od Moskwy do Kowna. Bito się odważnie i ochoczo pod okiem i sterem wielkiego wodza; lecz tam, gdzie sam nie dowodził, ponoszono okropne klęski, świadkiem Kulm, Katzbach, Dennewitz! Do tego marszałkowie i generałowie francuscy, tęskniąc za spokojnem używaniem dostojeństw i dotacyi swoich, pragnęli kresu niebezpieczeństw, na które od początku wojen rewolucyjnych byli wystawieni.

Nareszcie i to nadmienić wypada, iż cesarz nie mógł wcale liczyć na sprzymierzonych swoich niemieckich, mianowicie: Sasów, Bawarów, Wirtemberczyków, Westfalczyków, Hesów, Badeńczyków; wojna bowiem przybrała barwę wojny narodowej i każdy Niemiec w szeregach francuskich, czując, iż przeciw własnej ojczyźnie walczy, tylko wolą króla swego i karnością wojskową krępowany, bił się źle, gdyż przeciw sumieniu własnemu i przekonaniu.

W takim stanie rzeczy, pod wpływem tak nieprzyjaznych okoliczności, było to wielkim błędem ze strony Napoleona, zostawiać dwa korpusy w Dreznie i obsadzać tak mocno twierdze nadelbiańskie. Stracił przez to niepowrotnie 40.000 ludzi, które na polach Lipska stanowczy wpływ byłyby miały.

Mojem zdaniem, należało opuścić linię Elby, a przynajmniej opuścić Drezno i wycofać się z matni, założonej na

WOJSKO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

1. Huzar. 2. Oficer artyleryi konnej. 3. Generał brygady. 4. Oficer grenadyerów. 5. (Leżący) artylerzysta pieszy.

niego na polach lipskich wprzód, nimby skoncentrowane masy sprzymierzonych sieć tę zaciągnąć potrafiły. Zdaje się, iż cesarzowi już wtedy wypadało zwolna ustępować ku granicom francuskim i z po za Renu w groźnej podstawie traktować o pokój. Lecz względy polityki i honoru narodowego przemogły, bał się też może rozprzężenia młodej armii w czasie tak długiego pochodu. Wreszcie niezwyciężony dotąd na żadnem polu bitwy, ufał jeszcze swojej gwiaździe i w stanowisku środkowem upatrywał wielkie korzyści na przypadek bitwy. Postanowił więc skoncentrować wszystkie siły pod Lipskiem i stanowczą przyjąć tu bitwę.

Nim przystąpimy do opisu bitew na polach lipskich, o ile się ten wojsk polskich tyczy, obrachujmy się naprzód dokładnie ze stosunkami sił, walczyć tu mających.

Wojsko sprzymierzone składało się:

A. Z armii czeskiej pod feldmarszałkiem księciem Schwarzenbergiem, do której należały: pierwszy, drugi, trzeci i czwarty korpusy austryackie i lekka dywizya, wogóle 70.000 ludzi; drugi korpus pruski jenerała Kleista 23.535, w którym było około 5.000 koni; korpus rosyjski pod księciem Wittgensteinem 18.000; rezerwa pod wielkim księciem Konstantym 25.000. Ogółem 136.000; między tymi przynajmniej 25.000 jazdy.

B. Z armii śląskiej pod jenerałem jazdy Blücherem, do której składu wchodziły: pierwszy korpus pruski pod jenerałem Yorkiem 21.429 ludzi; rosyjski korpus pod jenerałem Langeronem 25.000; rosyjski korpus pod jenerałem Sackenem 10.000. Ogółem 56.429 ludzi.

C. Z armii północnej pod królewiczem szwedzkim Bernadottem, złożonej ze szwedzkiego korpusu pod hrabią Stedingk 18.000; rosyjskiego korpusu jenerała Wintzingerode 25.000; trzeciego korpusu pruskiego pod jenerałem Bülowem, 25.000. Ogółem 68.000 ludzi.

D. Z armii zwanej polską, pod jenerałem Beningsenem składającej się z przedniej straży pod hrabią Stroganowem 4.000 ludzi; piechoty rosyjskiej pod jenerałem Doktorowem 23.000;

korpusu kozackiego pod atamanem Płatowem 1.500; drugiej lekkiej dywizyi austryackiej pod hrabią Bubną 8.000. Ogółem 41.500 ludzi, — a zatem łącznie 300.000 ludzi i 1.500 armat.

Wojsko francuskie składało się z następujących korpusów, których przybliżoną siłę tu podajemy:

Pod marszałkiem Oudinotem i Mortier: stara gwardya 1.000 ludzi; młoda gwardya 21.000; jazda gwardyi 6.000 koni. Drugi korpus pod marszałkiem Victorem 18.000; trzeci korpus pod marszałkiem Neyem 22.000; czwarty korpus pod jenerałem Bertrandem 14.000; piąty korpus pod jenerałem Lauristonem 10.000; szósty korpus pod marszałkiem Marmontem 20.000; siódmy korpus pod jenerałem Reynier z Sasów 8.000; ósmy korpus pod księciem Poniatowskim 10.000; jedenasty pod marszałkiem Macdonaldem 14.000; odwodowy pod marszałkiem Augereau 10.000; pierwszy korpus jazdy rezerwowej pod Latour-Maubourgiem 6.000; drugi korpus jazdy rezerwowej Sebestiani 6.000; trzeci korpus jazdy rezerwowej księcia Padwy 3.000; czwarty korpus jazdy rezerwowej Kelermana 3.000; piąty korpus jazdy Milhaud 3.000; dywizya jenerała Dąbrowskiego 3.000. Ogółem 187.000 ludzi, między tymi 25.000 do 30.000 jazdy i 800 dział. Polaków było około 16.000 do 17.000, nie licząc w to szwoleżerów Krasińskiego i batalionu grenadyerów Kurciusza, wcielonych do gwardyi.

Pół miliona ludzi zbrojnych stało więc naprzeciw siebie, gotowych rozstrzygnąć losy Europy. Od czasów napadu barbarzyńców na państwo rzymskie, od czasów nawalności Mongołów i Tatarów, nie widziano na jednem bojowisku tak wielkich mas zebranych. Dlatego też Niemcy pamiętną bitwę Lipską dotąd zowią *Völkerschlacht* (bitwą ludów).

Dnia 15. cesarz Napoleon rozpoznawszy miejscowości i przegląd wojsk swoich odbywszy, następujące wydał rozporządzenie:

Korpus ósmy polski zajmie prawe skrzydło, i obronę brzegów rzeki Pleissy od Doelitz do Connewitz ma sobie po-

ruczoną. Punkta te były nader ważne. Od ich posiadania zależało bowiem zupełne bezpieczeństwo tego skrzydła i całej armii. Wystawione zaś były nietylko na ataki frontowe prawego brzegu Pleissy, ze strony armii czeskiej, lecz i na ataki boczne z lewego brzegu tej rzeki, ze strony mocnego oddziału tejże armii, pod księciem Hessen-Homburgiem i Meersfeldem. Opanowanie wsi Doelitz i Connewitz, o które opierało się prawe skrzydło francuskie, otwierało sprzymierzonym najkrótszą drogę do Lipska i zagrażało komunikacyom wielkiej armii na trakcie do Altranstädt. Lewe skrzydło piechoty polskiej dochodziło do lasku pod owczarnią Meyersdorf. Tu stała druga dywizya Izydora Krasińskiego, 8., 16. i 4. pułki nadwiślańskie. Pierwsza zaś dywizya pod jenerałem Małachowskim obsadziła wsie wyżej wymienione, nad Pleissą. W przerwie pomiędzy temiż dywizyami rozwinięta była jazda hrabiego Valmy. W odwodzie o 1.500 sążni za nami, pod Probstheidą, stały gwardye stare i młode, a bardziej opodal ku Lipskowi na trakcie od Borna, korpus marszałka Augereau. Skrzydło prawe było zatem należycie zabezpieczone.

Obok nas, na naszem lewem skrzydle, stały w dwóch liniach: drugi korpus Victora i piąty generała Lauristona. Za nimi i w przedziałach pomiędzy nimi, pierwszy, drugi i piąty korpusy rezerwowe jazdy, przeszło 1.500 koni, pod osobistem dowództwem króla Neapolitańskiego.

Pod Stoeteritz, o trzy czwarte mili od lewego skrzydła i w tyle za nim, stał korpus jedenasty Macdonalda na początku bitwy, lecz wkrótce sprowadzony został do Holzhausen i około południa zajął stanowisko swoje na linii bojowej, dla wsparcia lewego skrzydła, zagrożonego z tej strony.

Pod Moeckern i Entritsch obozowały dwa korpusy: szósty Marmonta i siódmy Reyniera; pod Pfaffendorf trzeci korpus rezerwowy jazdy, pod księciem Padwy, i dywizya jenerała Dąbrowskiego, wogóle 34.000 ludzi. Przeznaczenie miały obserwować i zatrzymać ruchy nadchodzącej od Delitsch armii śląskiej, pod dowództwem Blüchera.

Pomiędzy Macdonaldem a Marmontem stał korpus trzeci Neya, przeznaczony z początku do działania wspólnego z Marmontem, lecz gdy armia śląska do godziny 10. z rana nie pokazywała się, Napoleon niespokojny o lewe skrzydło swoje pod Liebertwollkwitz, wśród bitwy przyciągnął do siebie korpus Neya i przez to pozbawił korpus Marmonta ważnej rezerwy, na którą powinien był rachować, a tem samem najbardziej się przyczynił do jego porażki.

Pod Lindenau znajdował się czwarty korpus Bertranda, dla zasłony mostów na Pleissie i Elstrze i drogi do Lützen.

Naprzeciw głównej armii francuskiej, pod dowództwem cesarza Napoleona, działała armia czeska pod ks. Schwarzenbergiem, mianowicie drugi i czwarty korpusy austryackiej rezerwy, austryacki korpus skombinowany, pruski i rosyjski pod Barclayem de Tolly i rezerwy rosyjskie i pruskie pod wielkim księciem Konstantym, wogóle około 100.000 ludzi. Korpus pierwszy austryacki Colloredo jeszcze nie nadszedł, a trzeci Giulay przeznaczony był do działania przeciwko jenerałowi Bertrandowi, strzegącemu z czwartym korpusem komunikacyi wielkiej armii francuskiej.

Siły francuskie połączone tu wynosiły 110.000; były zatem z niewielką różnicą nieprzyjacielskim równe. Lecz cesarz miał te wszystkie siły w boju, kiedy na stronie sprzymierzonych spodziewano się przybycia t. zw. armii polskiej Bennigsena, i armii północnej Bernadottego, wynoszących przeszło 100.000. Gdy te stanęły na linii bojowej, stosunek sił zupełnie się zmienił.

Co do szyku armi czeskiej, ten był następujący:

1. Jenerał jazdy, hrabia Giulay, z trzecim korpusem austryackim, lekką dywizyą księcia Maurycego Lichtensteina i korpusem lekkim jenerała Thielemana, atakować miał wieś Lindenau w tyle armii francuskiej, zagrażając przez to komunikacyi głównej armii.

2. Książę Hessen-Homburg z drugim korpusem jenerała jazdy Meerveldta i z częścią rezerw austryackich operować miał

pomiędzy Pleissą i Elsterą. Nakazano mu starać się o zdobycie przeprawy przez Pleissę pod Connewitz; co pociągało za sobą oskrzydlenie prawego skrzydła francuskiego.

3. Jenerał hrabia Wittgenstein z korpusem rosyjskim, z drugim korpusem pruskim Kleista, czwartym jenerała Klenau i z resztą rezerw austryackich miał w czterech kolumnach przypuścić atak do linii francuskiej, rozwiniętej na wzgórzach po za wsiami Wachau i Liebertwollkwitz.

W drugiej linii za nim stał korpus grenadyerów rosyjskich pod jenerałem Rajewskim, z dwóch dywizyj złożony, i druga dywizya kirasyerów jenerała Kretowa.

Pod Magdeborn nareszcie, naprzeciw środka pozycyi, pod wielkim księciem Konstantym i jenerałem Miłoradowiczem, stały gwardye pruskie i rosyjskie i pierwsza dywizya kirasyerów rosyjskich jenerała Depreradowicza.

Około godziny 8. zrana rozpoczął się ogień na lewem skrzydle nieprzyjacielskim, a prawem naszem, ze strony korkupusu pruskiego Kleista, który przeszedłszy wsie Groebern i Gossewitz rozwinął się naprzeciw Markkleeberg i wieś tę opanował. Francuzi starali się usilnie zdobyć tę wieś napowrót; lecz korpusowi Kleista udało się utrzymać przy niej za nadejściem części rezerw austryackich pod jenerałem Bianchi.

Druga kolumna armii Wittgensteina pod księciem Wirtemberskim, stanowiąca środek, posunęła się ku wzgórzom pod Wachau, przechodząc obok wsi Güldengossa. Jazda tej kolumny zbliżyła się do Liebertwollkwitz. Usiłowania tej kolumny zwrócone były ku wsi Wachau, którą też na początku bitwy zająć potrafiła.

Gdy Francuzi ze znacznemi kolumnami piechoty i liczną artyleryą poszli naprzód i po uporczywej bitwie zdobyli napowrót Wachau i usadowili się w niem powtórnie, kolumna księcia Wirtemberskiego po wielkich stratach musiała cofnąć się ku Güldengossa.

Trzecia kolumna z korpusu Wittgensteina pod księciem Gorczakowem postępowała w prawo księcia Wirtemberskiego

ku Lieberwollkwitz; lecz tu znalazłszy zbyt silny opór, cofnąć się także musiała ku Gossa, przestając na zajęciu tej wsi.

Jazda hrabiego Pahlena z korpusem Wittgensteina zapełniła próżne miejsca pomiędzy księciem Gorczakowem i księciem Wirtemberskim, lecz wystawiona będąc na ogień artyleryi francuskiej, wiele ucierpiawszy, opuścić musiała wzgórza pod Lieberwollkwitz i w tył się cofnęła.

Czwarta kolumna, pod jenerałem austryackim Klenau, o godzinie 9. zrana wyruszyła z Gross-Poessna, przez las zwany Krähenwald, leżący na wschód Lieberwollkwitz ku temu ostatniemu punktowi i zajęła stanowisko w prawo tejże wsi, na wzgórzu. Lecz korpus jedenasty Macdonalda, który ściągnął cesarz ze Stoetteritz, nie dopuścił jenerała Klenau do Lieberwollkwitz, zaczął działać zaczepnie i po nader zaciętej walce, w czasie której dwie dywizye młodej gwardyi pod marszałkiem Mortierem na pomoc korpusowi jedenastemu przyszły, zmusił tę kolumnę do cofnięcia się aż do pierwszego swojego stanowiska, pomiędzy Gross-Poessna i Fuchshain, pod lasek uniwersytecki. Szczególnie żywą stała się bitwa o posiadanie góry Kahlenberg, przy której nareszcie Francuzi utrzymali się.

Bitwa pod Connewitz.

Walka szczególnie interesująca dla nas się tu wszczęła; tu bowiem walczył ósmy korpus księcia Poniatowskiego, a z tego korpusu pierwsza dywizya pod jenerałem brygady Małachowskim, z 1., 12. i 15. pułków złożona, przeciwko drugiemu korpusowi austryackiemu hrabiego Meerveldta, broniła przystępu do Pleissy.

Rozłożeni na prawym brzegu tej rzeki tyralierzy nasi, zasłonięci krzakami i drzewami, do tego zabezpieczeni wysokim brzegiem Pleissy, przepełnionej ostatnimi deszczami, na której most pod Connewitz zebrali, walczyli korzystnie z piechotą austryacką i pomimo jej żywego ognia nie usuwali się na krok.

Połączone tu siły austryackie wynosiły: korpus hrabiego Meerveldta trzynaście batalionów piechoty, dwanaście szwadronów jazdy i siedm bateryi artyleryi; odwodowa dy-

wizya Bianchi'ego dwanaście batalionów i trzy baterye artyleryi; dywizya Weissenwollfa ośm batalionów grenadyerów i dwie baterye artyleryi; nareszcie korpus odwodowy jazdy Nostitza trzydzieści szwadronów kirasyerów, sześć szwadronów szwoleżerów i trzy baterye konne.

Kolumna Meerveldta zaczęła się posuwać na lewym brzegu rzeki Pleissy przez Gautsch ku Connewitz, lecz zastawszy most zebrany i nie mogąc, dla niedogodnego położenia, użyć artyleryi, musiała trzymać się głównego traktu ku Lipskowi, po obydwóch stronach którego stały gęste krzaki i dęby. Polacy każde przedsięwzięcie przeprawy silnym armatnim i broni ręcznej ogniem odpierali. Jenerał Meerveldt starał się przeto o przeprawę powyżej, lecz i to mu się nie udało, ponieważ okolica pokryta była zaroślami, a do tego bagnami i łąkami przeplatana. Podobnież na niczem spełzł zamiar przeprawy pod Loessnig.'

W Doelitz, które rzeka Pleissa na dwie części dzieli, leży folwark z mieszkalnym domem na lewym brzegu. Ten punkt Austryacy zrana o godzinie 8. obsadzili i tu nader zacięta się wszczęła walka; polska bowiem piechota zająwszy wieś z młynem, pilnowała brzegów i przeprawy usilnie broniła. Austryacy zapalili młyn granatami; podobnież Polacy starali się zapalić folwark, w ręku Austryaków będący. W tym stanie rzeczy jenerał Meerveldt otrzymał rozkaz przedłużania pozornych ataków na Connewitz, a tymczasem miał się postarać o wstępną przeprawę pod tą wsią.

Tym sposobem od rana do południa, bitwa na całej linii od Connewitz do Lieberwollkwitz wrzała z wyraźnem niepowodzeniem po stronie sprzymierzonych. Z obydwóch stron rozciągnięte linie stały naprzeciw siebie. Przeszło 1.000 dział grzmiało na tej linii. O godzinie 10. zrana szczególnie kanonada ogromne przybrała rozmiary. O godzinie 11. przed południem piechota wzajemnie na siebie nacierała, jazda uderzyła na czworoboki; artylerya przewróciła zupełnie mury i płoty wsi Doelitz, Wachau i Lieberwollkwitz. Wsie te prze-

chodziły z rąk nieprzyjacielskich w nasze i na odwrót z naszych w nieprzyjacielskie.

Bitwa pod Wachau.

Cesarz Napoleon znajdował się na wzgórzu pod Wachau, a widząc stąd, jaki obrót bitwa przybiera, rozkazał gwardyom stojącym pod Probsthaidą, w ściśniętych kolumnach posuwać się naprzód; zaś korpusowi jedenastemu Macdonalda zbliżyć się kazał od Stoetteritz ku Holzhausen, dla zakrycia lewego skrzydła pozycyi pod Liebertwollkwitz. W tym celu korpus ten w ukośnym sformował się szyku, na ostatnim końcu lewego skrzydła, ażeby przeszkodzić oskrzydleniu onegoż, lub też szybką zmianą frontu i posunięciem się naprzód obejść prawe skrzydło sprzymierzonych. W tym także zamiarze dwie dywizye młodej gwardyi pod marszałkiem Mortierem i drugi korpus rezerwowy Sebestianiego posłane zostały w tę stronę. Ku Wachau zaś cesarz wysłał dwie dywizye młodej gwardyi pod marszałkiem Oudinottem, całą artyleryę rezerwową gwardyi i pierwszy korpus jazdy rezerwowej Latour-Maubourga, dla wsparcia korpusu marszałka Victora. Na tym punkcie cesarz Napoleon osobiście zostawał do godziny 3. po południu. Walka wszędzie trwała bez przestanku, gdyż atak równie był silny, jak opór zacięty. Bój toczył się szczególnie o wsie powyżej wymienione: Doelitz, Wachau i Liebertwolkwitz.

Jenerał Barclay de Tolly, głównie komenderujący linią bojową rosyjską i pruską, chcąc zatamować postępy Francuzów, rozkazał się zbliżyć rezerwom swoim, mianowicie dwom dywizyom grenadyerów rosyjskich i drugiej dywizyi kirasyerów pod jenerałem Rajewskim, dla wsparcia księcia Wirtemberskiego.

Książę Schwarzenberg odebrawszy wiadomość, że hrabia Wittgenstein ustępuje przemocy francuskiej i że cesarz główne siły skoncentrował naprzeciw Wachau i Liebertwollkwitz, w zamiarze obejścia prawego skrzydła, a może i przełamania środka; rozkazał księciu Hessen-Homburg z większą częścią korpusu odwodowego austryackiego, a mianowicie: z jazdą

pod jenerałem Nostitzem i dywizyą jenerała Bianchi przejść na prawy brzeg Pleissy pod Gosswitz i Deuben i stanąć w szyku bojowym przed wsią Groebern.

O godzinie 1. w południe czoło jazdy austryackiej zaczęło się rozwijać przed Groebern. W tej chwili czwarty korpus jazdy Kellermana, z 24 szwadronów polskich i pułku dragonów gwardyi pod jenerałem Lefort, posunął się przeciw kirasyerom austryackim. Przyszło do zaciętej walki pomiędzy obydwiema jazdami; nawet Krakusy nasze brały w niej udział. Polskie szwadrony, sadząc przez rowy oddzielające ich od kirasyerów, nacierali na front i na skrzydła, lecz po kilkunastu dzielnych szarżach nie zdołali rozbić żelazem okrytych hufców austryackich, z doborowego żołnierza złożonych. Potrzaskawszy lance o kirysy, cofnąć się musieli i uszykowali się opodal. Potyczki między pojedynczymi jeźdzcami długo się jeszcze przedłużyły. Dzielne natarcie naszej jazdy wstrzymało tu jednak postępy kirasyerów austryackich, a dowodzący jenerał Nostitz ranny tu został.

Pomiędzy epizodami tej bitwy wspomnieć należy o dzielnej szarży kirasyerów pułku Somariva, którzy przebiwszy linie podwójne jazdy naszej w pędzie niepowstrzymanym, podsunęli się pod czworoboki piechoty, mianowicie czwartego nadwiślańskiego, a doznawszy tu rotowego ognia, rzucili się w bok na artyleryę rezerwową francuską, lecz ta spokojnie odprzodkowawszy swoje działa, takim ich ogniem kartaczowym przywitała, iż z wielką stratą pierzchnąć musieli i pojedynczo tylko dostać się mogli do swego korpusu. Wielu z nich w odwrocie zostało skłutych lub wziętych do niewoli przez naszych ułanów.

Jenerał Bianchi z Groebern poszedł w dwóch kolumnach aż do Markkleeberg i tu zluzował korpus Kleista, od kilku godzin w bitwie będący; tym sposobem wstrzymał dalsze postępy Francuzów.

Francuzi nie mogąc przełamać lewego skrzydła nieprzyjaciela, po odparciu ataku na Wachau, połączyli wszystkie

siły swoje przeciwko środkowi i zaczęli mocno nacierać na oddział pod księciem Wirtemberskim. Jazda francuska niespodzianie wyruszyła z pod lasku przy Wachau i wieś tę zostawiwszy po prawej stronie, posunęła się w największym pędzie naprzód, a przełamawszy lewe krzydło drugiego korpusu piechoty rosyjskiej pod księciem Wirtemberskim, z niesłychaną śmiałością coraz się dalej zapuszczała.

Piechota rosyjska i dziewiąta brygada pruska zformowały czworoboki i w miejscu stojąc, przepuściły tę nawałność, lecz lekka dywizya jazdy rosyjskiej gwardyi pod jenerałem Schäwitz, formując się przeciwko niej, nie zdążyła uszykować się, porwaną została w największym nieporządku przez jazdę francuską, zostawiając w ucieczce swojej wieś Gossa po lewej stronie. — 26 dział było już straconych; nie było żadnej rezerwy jazdy pod ręką, godzina 3. po południu wybiła, środek sprzymierzonych rzeczywiście był przełamany, niebezpieczeństwo do najwyższego kresu doszło, cesarz miał bitwę za wygraną!

Jazda fruncuska, mianowicie kirasyerzy Latour-Maubourga, znajdowała się już tylko o kilkaset kroków od wzgórza, za wsią Gossa, z której cesarz Aleksander i król pruski przypatrywali się bitwie. Eskorta ich składała się z pułku kozaków lejb-gwardyi, pod jenerałem hrabią Orłow-Denisowem. Pułk ten doborowy, na rozkaz cesarza rosyjskiego nadstawiwszy lance, uderzył na jazdę francuską już rozprzężoną w gonitwie, zatrzymał jej zapęd, 24 dział odbił i z pomocą szykującej się na nowo dywizyi lekkiej jazdy jenerała Schäwitza i jazdy hrabiego Pahlena, zmusił ją do odwrotu. Jenerał francuski Latour-Maubourg stracił tu nogę od kuli armatniej, jenerał Schäwitz zginął.

Gdyby dwie dywizye gwardyi francuskiej były przybyły w czas na poparcie ataku jazdy swojej, bitwa wygranąby była. Po szczęśliwym odparciu nieprzyjacielskiej jazdy, wszystkie rezerwy: austryacka, pruska i rosyjska zaczęły się posuwać ku Wachau. 80 dział rezerwowych rosyjskich stanęło na lewo

wsi Gossa. Pomimo tych groźnych ruchów francuska piechota, nie zatrzymując się w wstępnym pochodzie ku środkowi, zdobyła owczarnię Auenhain. Tu przyszło do zaciętej bitwy z grenadyerami rosyjskimi Rajewskiego, którzy z bagnetem nadstawionym odparli Francuzów i owczarnię Auenhain napowrót zdobyli. Pułkownik austryackiej piechoty Limbschon z dywizyą Bianchi'ego i jednym batalionem grenadyerów austryackich brali silny udział w tej potyczce. Inne kolumny francuskiego wojska opanowały wzgórza Gossa i szykowały się do ataku wsi rzeczonej. Połowa wsi Gossa już była w ręku Francuzów, gdy nadejście piechoty pruskiej, wzmocnionej rezerwami, tamę położyło dalszym postępom Francuzów.

Francuzi zatoczyli działa naprzeciw Gossa i na nowo uformowali się w kolumny do ataku; lecz nadejście strzelców gwardyi rosyjskiej obróciło bitwę na tym punkcie na stronę sprzymierzonych i Francuzi na nowo wyparci z Gossa zostali. Noc tu przerwała walkę.

Jenerał hrabia Pahlen z jazdą swoją, wzmocniony drugą dywizyą kirasyerów Kretowa, uszykował się pod wsią Störmthal i tam stał wieczorem. Jenerał Gorczakow z pierwszym korpusem rosyjskim utrzymał się przy lasku uniwersyteckim. Jenerał Klenau z czwartym korpusem austryackim zajął pozycyę pod Gross-Poessna i Fuchshain. Wprawdzie jedenasty korpus Macdonalda starał się wieś Seiffertshain opanować ku wieczorowi, i już miał wieś tę w posiadaniu swojem, lecz połączonym siłom jenerała Klenau, któremu wieczorem dwa pułki kirasyerów pruskich pod pułkownikiem Wranglem na pomoc przybyły, udało się Seiffertshain napowrót odzyskać. Silna kanonada z obydwóch stron koniec położyła bitwie.

Powróćmy teraz do Connewitz.

Jenerałowie austryaccy: Lederer i książę Alojzy Lichtenstein napróżno usiłowali, pierwszy pomiędzy Connewitz a Lössnig, drugi pod Doelitz, zbudować mosty na Pleissie. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, udało się jenerałowi Meerveldtowi przeprawić się z batalionem Straucha I

pod Doelitz, pomimo najsilniejszego oporu ze strony polskiej; lecz zaledwie przeprawę uskutecznił, atakowany z boku przez dywizyę starej gwardyi pod jenerałem Curialem, a we froncie zatrzymany przez naszą piechotę i artyleryę, wpędzony został do wsi Doelitz. Tu batalion austryacki, dokoła obsadzony, chorągiew swoją spalił i sam się poddał. Jenerał Meerveldt został ranny i wzięty do niewoli. W czasie tej walki piechota z dywizyi Małachowskiego, z częścią jazdy i artyleryą konną stała w ściśniętych kolumnach po obydwóch stronach traktu do Lipska; za nią w odwodzie część korpusu marszałka Augereau.

Przeprawę jenerała Meerveldta najpierwszy spostrzegłem, znajdowałem się bowiem na lewo traktu z Doelitz do Mark-Kleeberg, gdy czoło kolumny Straucha zaczęło się na szosy pokazywać, tylko mnie rów szosy od niej rozdzielał. Austryacy ze spuszczoną bronią biegli ku Doelitz. Kilka strzałów padło na mnie, zwróciłem więc konia i pospieszyłem do dywizyi. Jenerałowi Curial, stojącemu w bok Doelitz w ściśniętych kolumnach, opowiedziałem jak rzeczy stoją. Ten bez wielkiego namysłu zwrócił kilka batalionów w prawo do Doelitz; za ukazaniem się ich Austryacy wpadli do wsi palącej się, w nadziei połączenia ze swoimi w folwarku obwarowanym, lecz ich klęska ostateczna spotkała.

Jeżeli się Austryakom ta przeprawa przez Pleissę nie udała, której celem było oskrzydlenie prawego skrzydła Francuzów i odcięcie ich od Lipska, to tylko przypisać można waleczności i wytrwałości ósmego korpusu polskiego, pod księciem Poniatowskim, i czwartego pod hrabią Valmy.

Bitwa pod Lindenau.

W czasie tych zdarzeń pod Connewitz, Wachau i Liebertwolkwitz, jenerał hrabia Giulay z drugim korpusem austryackim, z jedną lekką dywizyą austryacką księcia Maurycego Lichtensteina i oddziałem lekkiej jazdy barona Thielemana, atakował na lewym brzegu rzeki Elstery w trzech kolumnach, korpus czwarty Bertranda, [illegible] wsie: Lindenau, Plagwitz i Leutsch. Po zaciętej

walce, w której Austryacy już byli zdobyli wieś Lindenau, na odwrotnej linii francuskiej od Lipska do Weissenfels leżącą, jenerał Bertrand, tknięty niebezpieczeństwem, grożącem wielkiej armii, a do tego naglony rozkazami Napoleona, postanowił zrobić wielkie wysilenie dla odzyskania tak ważnego punktu. W tym celu rozwinąwszy całą artyleryę, postąpił na nowo naprzód i wieś Lindenau nad samym wieczorem odebrał Austryakom, a marszałek Giulay cofnął się do Klein-Zschocher.

Bitwa pod Moeckern.

Na lewem skrzydle Macdonalda, w odległości jednej blizko mili, stały trzy korpusy francuskie: czwarty Marmonta, siódmy Reyniera (ostatni w większej połowie z Sasów złożony) i korpus trzeci marszałka Neya; pierwsze dwa 30.000, ostatni 20.000 ludzi wynoszące, na pozycyi pod Moeckern i Eutritsch, pomiędzy rzekami Elsterą i Larthą. Przednia straż zajmowała wsie Lindenthal i Radefeld. A że nieprzyjaciel do godziny 10. zrana nie pokazywał się, przeto korpus trzeci Neya, na prawem skrzydle pozycyi stojący, z rozkazu cesarza pomaszerował ku Connewitz.

Około godziny 11. zrana zaczęły się błyszczyć zdaleka bagnety armii śląskiej pod jenerałem Blücherem, złożonej jak następuje: korpus pierwszy Yorka 48 batalionów, 14 batalionów strzelców i 13 bateryi, razem 21.429 ludzi pod bronią; korpus rosyjski Langerona: 24 bataliony, 20 bat. strzelców, 5 bateryi i 11 kozackich pułków; korpus rosyjski jenerała St.-Priest: 20 batalionów, 26 bat. strzelców, 3 baterye i 4 kozackie pułki. Plothe podaje siłę całej armii śląskiej tego dnia na 56.429 ludzi, mianowicie: korpus pierwszy Yorka 21.429, jak wyżej; Langerona 25.000 i Sackena 10.000 ludzi; korpusu St.-Priesta nie podaje.

Nie jest moim zamiarem opisywać bitwę pod Moeckern, w której polskie wojsko żadnego nie miało udziału. Niektóre główniejsze rysy dostateczne tu będą. Korpus szósty Mar-

monta skoncentrowany był, jak wyżej mówiłem, za wsią Moeckern; korpus siódmy Reyniera stał na jego prawem skrzydle. Naprzeciw Marmonta rozwinął się korpus Yorka. Naprzeciw Reyniera korpus Langerona.

Główny atak wymierzony był ze strony Langerona na wieś Moeckern. Po wyparciu Francuzów ze wsi Radefeld i Lindenthal, rozpoczęła się żywa kanonada z obydwóch stron. Prusacy zdobyli Moeckern, wyparci po dwakroć zostali, lecz nareszcie po wielkiej stracie utrzymali się przy niem. W tejże chwili jenerał York na czele jazdy uderzył na jazdę szóstego korpusu i przełamał ją; piechota pruska z nastawionym bagnetem poszła za tem poruszeniem i zmusiła francuską do odwrotu. Niektóre francuskie czworoboki przełamane zostały. 53 działa, dwie chorągwie, jeden orzeł i 2000 niewolnika wzięte zostały. Wskutek tej porażki piechota francuska cofnęła się w wielkim nieładzie do Eutritsch i Gohlis. Marszałek Marmont, jenerałowie Compans i Frederic, i kilku innych generałów ranni byli. Korpus Yorka stracił w tej walce 172 oficerów i 5508 żołnierzy zabitych i rannych. Strata francuska była nierównie większa. Korpus Langerona w tymże samym czasie atakował wsie Gross- i Klein-Wiedteritsch piechotą swoją, zdobył je i znów utracił; nareszcie się przy nich utrzymał. Siódmy korpus Reyniera stracił w tej bitwie 11 dział i wiele niewolników. W tych pozycyach noc rozdzieliła walczących. Nad wieczorem dopiero trzeci korspus Neya, który cały dzień stracił na marszach i kontrmarszach z lewego skrzydła ku środkowi wielkiej armii, pokazał się na prawem skrzydle szóstego korpusu; lecz za późno; bitwa bowiem rozstrzygnięta już była na stronie sprzymierzonych. Obydwa korpusy: Neya i Marmonta, przeprawiły się wieczorem przez Parthę. Marszałkowie francuscy mieli główną kwaterę w Schönfeld. Forpoczty francuskie stały w Eutritsch, Gohlis i Mochau. Jazda księcia Padwy i jenerała Dąbrowskiego cofnęły się do Pfaffendorf, blizko bramy *Gaerberthor* pod samym Lipskiem.

Dzień 17. października na całej linii, wyjąwszy na stronie Marmonta i armii śląskiej, przeszedł bezczynnie. Sprzymierzeni postanowili bowiem oczekiwać przybycia pierwszego korpusu austryackiego Colloredo; t. zw. armii polskiej Beningsena i armii północnej księcia Bernadotte'go, których wystąpienie na linię bojową powiększyło siłę sprzymierzonego wojska o 130 tysięcy ludzi.

Napoleon zamiast korzystać z tej zwłoki do porządnego odwrotu, lub też do powtórnego natarcia na czeską armię, jak mu doświadczeńsi marszałkowie radzili, przeznaczył dzień ten na spoczynek wojsku; czuł bowiem potrzebę zreorganizowania korpusów, najbardziej dotkniętych wczorajszą bitwą, i zastąpienia ubytku w amunicyi.

O godzinie 11. zrana pierwszy korpus austryacki Coloredo stanął na linii bojowej i zajął pozycyę w pierwszej linii pomiędzy Markkleeberg i Doelitz, lewem skrzydłem oparty o Pleissę. O godz. 4. po południu czoło kolumny armii polskiej Beningsena stanęło w Fuchshain; armia północna księcia Bernadotte'go w pełnym pochodzie spieszyła na pobojowisko, monarchowie sprzymierzeni postanowili więc w dniu następnym powiększonemi siłami odnowić atak, a godzina 7. z rana wyznaczona została do ogólnego natarcia ze wszystkich stron.

Cesarz Napoleon dnia 17. października przybył do naszego ósmego korpusu i podziękowawszy w pochlebnych wyrazach księciu Poniatowskiemu za udział świetny Polaków w bitwie pod Connewitz, mianował go marszałkiem państwa francuskiego. Nic bardziej nie dowodzi ważności stanowiska naszego.

Dzień 17. października nie przeminął tak spokojnie na stronie armii śląskiej, na lewem skrzydle francuskiem. Tu bowiem jenerał Blücher przedsięwziął popierać zebrane w dniu wczorajszym korzyści. Pozostawiwszy w rezerwie korpus pierwszy pruski Yorka, potrzebujący wypoczynku, po stra-
[illegible] w wilię dnia poniesionych, posunął się naprzód z kor-
[illegible]i Langerona i Sackena przeciw francuskiemu stano-

wisku. Kopus szósty Marmonta wskutek tego poruszeina opuścił wieś Eutritsch i przednią strażą zajął pozycyę prawem skrzydłem o wieś Schoenfeld, lewem o Gohlis.

Wieś ostatnią atakował jenerał Sacken ze swoim korpusem, rozkazawszy jeździe pod jenerałem Wasilczykowem, złożonej z dwóch dywizyi huzarów i kozaków, natrzeć na jazdę francuską księcia Padwy, na prawem skrzydle stojącą. Jazda francuska nie dotrzymała placu i w wielkim nieładzie pierzchła pod sam Lipsk. Huzary rosyjskie uprowadzili z sobą pięć dział i wielki popłoch po sobie zostawili.

Gohlis, niejaki czas dość uporczywie broniony przez Francuzów, zdobyty nareszcie został za nadejściem rezerw Yorka.

W tejże chwili przyszła wiadomość z głównej kwatery księcia Schwarzenberga, iż bitwa ogólna na dzień 18. października odłożona została. Jenerał Blücher pomimo odniesionych korzyści rozkazał zaprzestać bitwy i wojskom swoim pozostać w dawnych pozycyach.

Bitwa pod Lipskiem.

Cesarz Napoleon przewidując dnia 18. Października powtórny atak ze strony sprzymierzonych, wycofał w nocy z 17. na 18. października korpusy: drugi, piąty i jedenasty z Wachau i Libertwollkwitz bliżej ku Lipskowi, i nakazał im zająć stanowisko w odległości jednej mili od miasta; o godzinie 2. z rana rozkazał wojskom swoim stanąć pod bronią i następujące zająć stanowiska:

Prawe skrzydło, z ósmego korpusu polskiego, drugiego i piątego złożone, pod królem Neapolitańskim, uszykowało się w ten sposób, iż korpus ósmy polski zajął Connewitz, drugi stanął pod Probstheidą; piąty przy Stötteritz. Rezerwą prawego skrzydła, z drugiej dywizyi młodej gwardyi złożoną, dowodził marszałek Oudinot, a zbliżony był do Connewitz. Znaczne oddziały tych korpusów przed linię bojową wystawione, trzymały wsie Doelitz, Doesen i Zuckelhausen, niemniej owczarnię Meisdorf i cegielnię, na drodze z Liebertwollkwitz do

Lipska leżącą. Środek, złożony z korpusu jedenastego Macdonalda, stał pod wsią Holzhausen. Oddziały tego korpusu zajmowały nad ranem wsie Klein-Pösna, Baalsdorf i związek z lewem skrzydłem utrzymywały przez Zweinaundorf i Mölkau.

Gwardye stare stały w rozwiniętym szyku na górze glinianej (Thonberg), przy tabacznym młynie Duanetta. Na prawem ich skrzydle dwa bataliony grenadyerów saskich i polskich, ostatni pod dowództwem Kurciusza. Około godziny 11. zrana Krakusy polskie stanęły przy gwardyi, na prawym batalionie grenadyerów polskich. Jazda gwardyi przenosiła się w czasie bitwy na rozmaite punkta, dla wsparcia linii piechoty. Marszałek Mertier z drugą dywizyą młodej gwardyi otrzymał rozkaz czuwania nad przystępami do Lipska.

Dodać i to muszę, że część korpusu ósmego, mianowicie dywizya piechoty Izydora Krasińskiego, pod osobistem dowództwem księcia Poniatowskiego zajęła pozycyę w bok wsi Probstheide, na prawo korpusu Victora; obok niej stała jazda czwartego korpusu pod hrabią Valmy. W lewo wsi Probstheide rozwinęła się baterya o kilkudziesiąt działach z korpusu Victora i z gwardyi. Cesarz Napoleon stał przez dzień cały prawie przy młynie tabacznym i stąd wydawał rozkazy.

Lewem skrzydłem dowodził marszałek Ney; szósty korpus Marmonta stał przy Schoenfeld; trzeci pod dowództwem jenerała Souhama, wzdłuż Parthy w Leutsch i przy kościele św. Tekli; siódmy korpus Reyniera przy Paunsdorf; forpoczty tego ostatniego korpusu obsadziły miasteczko Taucha. Na północ miasta Lipska, na Halskiem przedmieściu aż do bramy Rosenthal i w folwarku Pfaffendorf stały: jazda księcia Padwy i dywizya jenerała Dąbrowskiego. O godzinie 3. zrana cesarz udał się osobiście do Lindenau, do czwartego korpusu Bertranda i rozkazał mu maszerować drogą z Lützen do Weissenfels i opanować most na rzece Saali; stąd cesarz pospieszył do głównej kwatery marszałka Neya, do Reudnitz, i stosowne dla lewego skrzydła wydał instrukcye.

Nad samem ranem, przed rozpoczęciem bitwy, cesarz uwolnił jenerała jazdy hrabiego Meerveldta na słowo honoru i wręczył mu pismo do cesarza austryackiego, w którem okazywał skłonność do układów i gotowość do zawarcia zawieszenia broni; ofiarował oraz wydanie sprzymierzonym twierdz nadwiślańskich i nadelbiańskich.

Ze strony przeciwnej następujące wydano rozporządzenia do bitwy: atak miał się odbyć w sześciu kolumnach:

Pierwsza i druga kolumna pod rozkazami księcia Hessen-Homburga, z drugiego korpusu austryackiego i dywizyi Lederera złożona, operować miała przeciw Connewitz, na lewym brzegu Pleissy.

Druga kolumna pod jenerałem Colloredo, z pierwszego korpusu austryackiego, dywizyi rezerwowych Bianchie'go i Weissenwolfa, trzeciej dywizyi rezerwowej jazdy i dywizyi księcia Alojzego Lichtensteina z drugiego korpusu austryackiego złożona, miała posuwać się od Markkleeberg, po prawym brzegu Pleissy ku Doelitz i Loessnig i wspólnie z pierwszą kolumną starać się o opanowanie wsi Connewitz, tak ważną rolę odgrywającej dnia poprzedzającego; te dwie masy połączone, wynosiły czterdzieści tysięcy ludzi.

Trzecia kolumna pod jenerałem rosyjskim Barclayem de Tolly, złożona z korpusu rosyjskiego księcia Wittgensteina, drugiego pruskiego Kleista i rezerwy pruskich i rosyjskich, a wynosząca 55.000 ludzi, atakować miała wsie Wachau i Liebertwollkwitz, a następnie wieś Probstheide.

Czwarta kolumna pod jenerałem Beningsenem, złożona z t. zw. polskiej armii, z czwartego korpusu austryackiego Klenau'a; jedenastej brygady Zietena i kozaków atamana Płatowa, razem 50,000 ludzi, miała przeznaczenie obejść lewe skrzydło francuskie i postępować z Fuchshain i Seiftertshain przeciw Zuckelhausen i Holzhausen, następnie ku Lipskowi.

Piąta kolumna pod następcą tronu szwedzkiego Bernadottem, złożona z armii północnej i z armii śląskiej korpusu Langerona, przy którym jenerał Blücher sam osobiście chciał się

znajdować, nie bardzo ufając dobrej woli i energii Bernadotte'go, wynosiła 96.0000 do 100.000 ludzi, i miała przejść Parthę pod Taucha; korpus zaś Langerona w obliczu armii francuskiej pod Mockau.

Szósta kolumna nareszcie pod hrabią Giulayem nie doznała zmiany; postępować miała na nowo z Klein-Zschocher ku Lindenau. Siła jej wynosić mogła 20.000 ludzi.

270.000 sprzymierzonych ścieśniało więc coraz bardziej obwód, na którym Francuzi, stratami bitwy poprzedniej do 150.000 ludzi zredukowani, walczyć postanowili.

O godzinie 6. z rana forpoczty doniosły o opuszczeniu wsi Wachau przez Francuzów.

O godzinie 7. zrana atak rozpoczął się w nakazanym porządku. Druga kolumna pod księciem Hessen-Homburg i Colloredo uformowała się między Doesen i Loessnig na prawym brzegu Pleissy, na wzgórzu tamtejszem, tak, iż dywizya Bianchi'ego w pierwszej, dywizya Weissenwolffa w drugiej, jazda rezerwowa w trzeciej linii stanęły, w odwodzie zaś dywizya księcia Alojzego Lichtensteina i pierwszy korpus austryacki Colloredo. W miarę, jak pozostawione w Doesen, Doelitz i Loessing oddziały francuskie walcząc ustępowały, kolumna rezerwowa naprzód postępowała, lewym brzegiem o Pleissę, prawym o wojsko jenerała Kleista oparta. Francuzi i Polacy z wielką zaciętością potykali się. Drugi korpus austryacki na lewym brzegu Pleissy bez skutku odstrzeliwał się naszym tyralierom, rozłożonym w Connewitz, wzdłuż brzegów Pleissy. I tu daremne były usiłowania ze strony austryackiej. Dowodzący jenerał Hessen-Homburg został ranny; hrabia Colloredo po nim objął komendę. Austryacy posunęli się zaraz z jednej strony pod Connewitz, z drugiej pod Doelitz, Doesen i lasek po prawej stronie leżący; dalej jednak nie mogli żadną miarą postąpić; wszystkie ich usiłowania rozbiły się o waleczność francuskiego i polskiego wojska. Bitwa coraz gorętszą się stawała; austryackie pułki ustępować już zaczynały, gdy dywizye Wimpfena i Gretha z korpusu pierwszego

austryackiego równowagę przywrócić zdołały. Dywizya Wimpfena zdobyła wieś Doesen na nowo i postąpiła na wzgórza, pod tą wsią leżące. W tej chwili brak amunicyi czuć się już dawał na linii austryackiej, i na nowo obawiać się zaczęto o to skrzydło, gdy nadejście brygady Czollicha z korpusu feldmarszałka Giulaya, stojącej pod Gautsch z rozkazu księcia Schwarzenberga, stan rzeczy zmieniło. Nareszcie przybycie drugiej dywizyi grenadyerów i kirasyerów rosyjskich wszelkie niebezpieczeństwo usunęło. Pomimo tego jednak zadanie tej kolumny spełnionem nie zostało. Pozycya pod Connewitz do późnej nocy pozostała w rękach naszych.

Trzecia główna kolumna pod jenerałem Barclayem de Tolly, wymaszerowała w dwóch oddziałach ze wsi Gossa, pierwszy pod hrabią Wittgensteinem ku Liebertwollkwitz, drugi pod jenerałem Kleistem ku Wachau. Gwardye rosyjska i pruska, grenadyerzy Rajewskiego i jazda rosyjska i pruska, postępowały za tym ruchem. Cesarz Aleksander, król pruski i feldmarszałek książę Schwartzenberg, znajdowali się przy tej kolumnie.

Pierwszy oddział pod hrabią Wittgensteinem spotkał francuskie przednie straże na wzgórzach, na zachód Liebertwollkwitz w pozycyi; po żywym ogniu działowym Francuzi ustępować zaczęli i zatrzymali się pomiędzy Libertwollkwitz i Probstheidą, przy cegielni. I tu przyszło do mocnego działowego ognia, wskutek którego Francuzi cofnęli się do Probstheidy i Stötteritz, które były istotnymi kluczami pozycyi z tej strony; pierwszą obsadził marszałek Victor swoim korpusem, artyleryę rozwinął w lewo wsi, a jazdę postawił w odwodzie za wsią. Również mocno zajął marszałek Macdonald Stötteritzy. Lewe skrzydło zakrywała dywizya kirasyerów.

W czasie cofania się przednich straży francuskich z pod Libertwollkwitz i Wachau, jenerał Pahlen przeszedłszy pomiędzy Zuckelhausen i Stötteritz, starał się obejść wieś Holzhausen i urwać cofające się kolumny francuskie; lecz ten plan nie udał się zupełnie. Tylko kilka dział zdemontowanych do-

stało się w jego ręce. Dywizya kirasyerów francuskich spostrzegłszy ten napad, przybyła na pomoc piechocie swojej i jazdę jenerała Pahlena do odwrotu zmusiła, przyczem hrabia Pahlen był dwa razy ranny.

Dywizya jenerała Kleista, mając 50 dział na przodzie, postępowała frontem przeciwko Wachau, zajęła ten punkt słabo broniony, następnie obsadziwszy las pod Wachau, po krótkiej potyczce zajęła owczarnię Meyersdorf. Na tej wysokości obydwie kolumny Wittgensteina i Kleista, nieco się zatrzymały, chcąc dać czas kolumnie nieco spóźnionej Benigsena, do zrównania się na linii bojowej.

Około godziny 11. zrana przyszło do żywego natarcia ze strony jazdy polskiej na czwarty kopus rosyjski Kellermana, jazdę nieprzyjacielską hrabiego Pahlena I. i jenerała Roedera. Jenerał dywizyi Sokolnicki na czele ósmego i szesnastego pułku ułanów oraz trzynastego huzarów kilka szarż przypuścił na jazdę rosyjską i pruską. Przy tej sposobności jenerał brygady Kwaśniewski zdobył i uprowadził jedno działo austryackie, siedząc sam na niem.

Atak i obrona Probstheidy.

Teraz przyszła chwila ataku wsi Probstheida przez kolumny Kleista i Wittgensteina. Była godzina 2. po południu. Gwardye i rezerwy wszystkie stanęły na wzgórzu, w prawo cegielni, gotowe do wsparcia tegoż ataku. Drugi korpus rosyjski księcia Wirtemberskiego, 10. i 12. brygada pruska rozpoczęły tu ogień. Pruskie tyraliery 12. brygady, za którymi piechota pruska postępowała w kolumnach, przekroczyli mury obwodowe wsi, zapuścili się w ulicę i doszli do końca przeciwnego. Lecz tu spotkali liczne kolumny korpusu Victora, które je napowrót przeparły. Atak ponowiony został przez 10. brygadę pruską z takimże samym skutkiem i po raz drugi odparty został. Kolumny pruskie wprawdzie zdobyły część wsi Probstheide, lecz ustąpić musiały przed natarczywością francuskiej piechoty i cofnąć się o dwieście kroków za wsią, gdzie na nowo uformowały się. Drugi korpus księcia Wirtemberskiego nie był

szczęśliwszy. Książę Poniatowski wiele się przyczynił do obrony wsi Probstheide, na czele batalionów polskich dywizyi Izydora Krasińskiego, które sam pojedynczo prowadzał w ogień. Strata tej dywizyi była bardzo wielka i przy końcu bitwy bataliony rozpuszczone w tyralierach, nie liczyły więcej jak po trzysta ludzi.

Monarchowie sprzymierzeni przypatrywali się tej walce; widząc usiłowania piechoty swojej nadaremne, kazali się kolumnom cofnąć bardziej w tył. Artylerya pruska i rosyjska zasłoniła ruch ten wsteczny i z punktów wyższych utrzymywała ogień nader morderczy z bateryami francuskiemi. O godzinie 3. po południu ogień tych ostatnich, rozwiniętych w lewo wsi Probstheide, wolnieć zaczął. Książę Poniatowski spostrzegłszy tę zmianę, udał się do tych bateryi i bardzo strofował pułkownika francuskiego, komenderującego niemi. Lecz ten w milczeniu wskazał ręką na pole, gdzie stały jego działa. Cała pozycya zasłana była kanonierami, końmi i zdemontowanemi działami. Pomiędzy niemi leżał zabity syn pułkownika, komendant jednej bateryi. Książę Poniatowski ścisnąwszy z żalem rękę pułkownika, odwrócił się i do piechoty swojej pospieszył.

O tym samym czasie cesarz Napoleon na czele jazdy gwardyi przejeżdżał linie swoje z prawego skrzydła ku lewemu. Wszędzie odzywały się okrzyki »niech żyje cesarz!« Już doszła do niego wiadomość o przejściu Sasów i o porażce lewego skrzydła. Noc nareszcie zastała walczących w tych samych pozycyach. Sprzymierzeni cofnęli kolumny przednie swoje z kartaczowego ognia, Francuzi zostali w posiadaniu wsi Probstheida. Nareszcie ogień z obydwóch stron zamilkł. Na całej więc linii od Connewitz do Stötteritz, sprzymierzeni żadnych korzyści nie odnieśli, a straty z obydwu stron były znaczne.

Atak armii polskiej Benigsena.

Czwarta kolumna sprzymierzonych pod jenerałem Benigsenem, stanęła pod bronią; o godzinie 6. z rana dwie dywizye: dwunasta i dwudziesta

szósta poszły ku Klein-Poesna, lecz tu już Francuzów zastały. Atak nastąpił w czterech kolumnach:

Pierwsza kolumna, stanowiąca lewe skrzydło, z jedenastej brygady Ziethena złożona, zajęła las przed Klein-Poesna, zdobyła wieś Zuckelhausen po żywej bitwie; zatrzymała się w obserwacyi ruchów francuskich pod Stötteritz, nie śmiąc jednakże dalej postąpić, ponieważ główne siły francuskie skoncentrowane były pod Probstheida, których pominąć nie było można. Jenerał Ziethen starał się tylko, aby ogniem artyleryi razić francuskie linie, pod Stötteritz stojące.

Druga kolumna, z czwartego korpusu austryackiego złożona, atakowała wieś Holzhausen, której bronił oddział korpusu Macdonalda i po żywej bitwie, wsparta dwunastą i dwudziestą szóstą dywizyą rosyjską, usadowiła się w niej. W tym czasie drugi korpus jazdy rezerwowej Sebestianiego, kilka razy uderzył na kolumny rosyjskie dwunastej i dwudziestej szóstej dywizyi Doktorowa; lecz piechota rosyjska utrzymała się przy pomocy jazdy jenerała Kreutza. Ogień wzajemny artyleryi raził obydwie jazdy.

Trzecia kolumna pod jenerałem Strogonowem, wsparta dywizyą jazdy Czaplica, poszła z Klein-Poesna ku Klein-Baalsdorf i wsie Baalsdorf i Zweinaundorf po żywej bitwie zdobyła. Tu nacierały nawzajem na siebie: jazda francuska gwardyi pod jenerałem Waltherem i rosyjska jenerała Czaplica.

Czwarta kolumna pod hr. Bubna wyszła z Zwengfurth i pomimo wielkiego oporu ze strony francuskiej zajęła wielki trakt z Wurzen do Lipska, i wsie Paunsdorf i Mölkau zdobyła.

Ataman Płatow z kozakami poszedł na prawo, a hrabia Bubna otworzył komunikacyę z armią północną królewicza szwedzkiego.

Tym sposobem cała okolica pomiędzy Zuckelhausen, Zweinaundorf, Mölkau i Paunsdorf, zajęta została przez korpus Beningsena.

Atamanowi Płatowowi udało się przeciągnąć na swoją stronę lekką brygadę wirtemberską jenerała Normana, złożoną z dwóch pułków jazdy. Toż samo stało się pomiędzy Zweinaundorf i wielkim traktem do Wurzen, z saskiem wojskiem, oddawna przysposobionem do tego zdradzieckiego kroku. Tu przeszło pięć batalionów piechoty, jeden pułk jazdy i dziewiętnaście dział pod jenerałem marszałkiem Rypel, należących do prawego skrzydła korpusu siódmego Reyniera, następnie i inne saskie wojska, mianowicie dwa pułki jazdy, huzary i ułany, brygada piechoty pułkownika Brause i cała artylerya saska.

O godzinie 3. po południu jenerał Benigsen udał się na swoje prawe skrzydło do królewicza szwedzkiego, aby się porozumieć z nim i przyczynił się atakami jazdy i ogniem artyleryi do zdobycia wsi Sellerhausen.

Wojsko Benigsena wieczorem zajęło następujące pozycye: Jedenasta brygada w Zuckelhausen; czwarty korpus Klenaua przed Holzhausen, zwrócony ku Stötteritz; korpus Doktorowa, jedenasta, dwunasta i trzynasta dywizye rosyjskie przed Zweinaundorf; dwudziesta szósta dywizya Paskiewicza na górze wiatrakowej ku Stötteritz. Przednia straż jenerała Strogonowa przy Mölkau; jazda Czaplica w tyle za nią; jazda jenerała Kreutza zwrócona ku Stötteritz; druga austryacka lekka dywizya Bubny i korpus Płatowa z tamtej strony Paunsdorf; główna kwatera jenerała Benigsena w Baalsdorf.

Piąta główna kolumna czyli armia północna pod królewiczem szwedzkim.

Najprzód królewicz Bernadotte miał zrana rozmowę z jenerałem Blücherem pod Breitenfeld, na której postanowiono, ażeby armia północna przeszła pod Taucha przez Parthę, pod tym jednakże warunkiem, ażeby ją jenerał Blücher 30.000 ludzi ze śląskiej armii wzmocnił na ten dzień. Jenerał Blücher przeznaczył na ten cel korpus rosyjski Langerona i sam postanowił ten korpus poprowadzić.

Ogólne rozporządzenie na tem zależało, ażeby przeszedłszy Parthę połączyć się lewem skrzydłem z armią polską Benigsena i wspólnie postępować ku Lipskowi. Tym końcem armia północna, stojąca pod Breitenfeld, opuściła swoje biwaki o godzinie 8. zrana i w następującym porządku przebyła Parthę:

Trzeci korpus pruski Bülowa i jazda rosyjska jenerała Winzingerode, stanowiące lewe skrzydło, przeszły pod Taucha.

Korpus rosyjski jenerała Winzingerode z przednią strażą, pod jenerałem Woroncowem, przeszły pod Grasdorf.

Armia szwedzka pułkownika Stedingka, pod Plaussig.

Czwarty korpus jenerała Langerona, pod osobistym kierunkiem jenerała Blüchera, pod Möckau, stanowiąc prawe skrzydło. Ta masa cała wynosiła przeszło 90.000 ludzi.

Miasteczko Taucha obsadzili Francuzi i mocno się w niem bronili. Jenerał rosyjski Pahlen III, obszedłszy miasto, zdobył je i wziął cały batalion saski do niewoli, poczem jenerał Bülow zwrócił się ku Paunsdorf, które wprawdzie hrabia Bubna z armią Benigsena wprzód opanował, lecz później opuścić musiał, a teraz na nowo obsadzone było piechotą i artyleryą francuską. Landwera Bülowa, pomimo najmocniejszego ognia, poszła na przebój, wieś Paunsdorf opanowała i usadowiła się w niej. Korpus Langerona chcąc zapewnić sobie przeprawę przez Parthę, pomiędzy Möckau i Abt Nauendorf wystawił 36 dział dwunasto-funtowych i artyleryę francuską, pod Neutsch stojącą, zmusił do milczenia i przeszedł rzekę, choć piechota miała wodę po pas. Francuzi cofnęli się pod Schoenfeld.

W chwili, kiedy jenerał rosyjski Korff z jazdą żywo następował, dwa pułki saskie, huzary i ułany, przeszły do sprzymierzonych; Francuzi stanęli pod Schoenfeld i tu rozpoczął się mocny ogień tyralierski, który tak długo trwał, dopóki trzeci korpus pruski Bülowa nie wszedł na linię bojową i nie otworzył komunikacyi z armią polską, przez Paunsdorf.

Ponieważ tem poruszeniem sprzymierzonych pozycya rancuska nad Parthą na wszystkich punktach przełamanąf

została, marszałek Ney zmuszony był naprędce front zmienić; w tym celu zebrawszy wszystkie trzy korpusy, pod swoją komendą będące, zajął nimi linię od Schoenfeld na Sellerhausen i Stünz, a siódmy korpus Reyniera stanął w dwóch liniach przy wsi Paunsdorf. Cokolwiek jazdy saskiej z artyleryą konną i batalion lekki saski, niemniej brygada wirtemberska jenerała Normana stały na przodzie, pomiędzy Paunsdorf i Taucha.

W chwili, gdy rosyjska jazda natrzeć już miała, jazda saska i wirtemberska szybko przeciw niej poszły i połączyły się z nią. Za ich przykładem wystąpiły z linii bojowej saska piechota, jedna brygada pod pułkownikiem Brausem i dwa pułki jenerała Rypla, z całą artyleryą. Natrafiły one na atamana Płatowa, zapewnie już uprzedzonego, który kilka kozackich pułków wysłał przeciwko, aby ich zasłonić przed jazdą francuską, usiłującą przeszkodzić temu poruszeniu. Przejście to nastąpiło w tym właśnie punkcie, gdzie się armia północna z polską stykała. Tym sposobem dokonaną tu została powtórna, niesłycha zdrada ze strony wojsk obcych, połączonych od tak dawna z francuskiem węzłami koleżeństwa na polach bitwy. Westfalczyki dali pierwszy przykład pod Reichenbergiem, jak już wspomniałem. Przemogła nad honorem wojskowym, świętym u wszystkich narodów, miłość do ojczyzny niemieckiej i nienawiść do obcego jarzma.

Tak nagła zmiana w szeregach siódmego korpusu zmniejszyła jego liczbę do 4.000 ludzi pod bronią. Pozycya pod Paunsdorf temsamem upadła.

Jenerał Blücher spostrzegłszy, iż rezerwy francuskie, stojące pod Lipskiem, wysyłają posiłki ku Schoenfeld, rozkazał korpusowi jenerała Sackena postąpić ku Halskiej bramie i atakować szańce nieprzyjacielskie na prawym brzegu Parthy; przez to osiągnął ten skutek, iż posiłki już w marszu będące zatrzymać się musiały.

Około godziny 2. popołudniu, kiedy armia północna stanęła na równej wysokości ze śląską, korpus Lagnerona roz-

począł atak na wieś Schoenfeld; silna kanonada poprzedziła, wieś zapalona zdobytą została i znów przez francuską piechotę odebrana.

O godzinie 3. marszałek Ney jeszcze raz przedsięwziął zaczepnie działać i tym końcem rozkazał licznym kolumnom piechoty swojej wystąpić ze wsi Sellerhausen i Volksmansdorf i naprzód się posunąć; lecz jazda rosyjska i szwedzka przeciw tym kolumnom wysłana, po kilku szarżach zmusiła francuską do odwrotu. Cztery działa zostały stracone przez Francuzów w tej utarczce. Skoro tym sposobem atak na środek odparty został, liczne kolumny piechoty francuskiej wystąpiły pomiędzy Engelsdorf i Mölkau, w zamiarze atakowania lewego skrzydła armii północnej, obejścia tego skrzydła i zajścia mu boków i tyłu.

Zapobiegając temu poruszeniu, hrabia Bubna rozkazał oddziałowi swojemu naprzód postąpić i front odmienić. Jednocześnie trzecia brygada pruska księcia Hessen-Homburskiego zbliżyła się ku zagrożonemu punktowi. Artylerya saska z batalionem rakietników angielskich kapitana Bogne, zaczęła ogniem swoim razić francuskie kolumny; nareszcie jenerał Bülow z całą piechotą pruską przyspieszonym krokiem nadciągnąwszy na linię bojową, wsie Stünz i Sellerhausen w szturmie zdobył i utrzymać się w nich potrafił, pomimo kilkakrotnych ataków francuskich.

W tym samym czasie jenerał Langeron, na prawem skrzydle stojący z masami piechoty swojej, uderzył na wieś Schoenfeld (już się wtedy zmierzchało), zdobył ją także wstępnym bojem i posunął się aż pod wieś Reudnitz, o pół godziny tylko drogi od Lipska; w tej chwili jednak cesarz Napoleon z jazdą gwardyi i dywizyą starej gwardyi przybywszy w miejsce zagrożone, uderzył na wieś Reudnitz i korpus Langerona do cofnięcia się przymusił. Przybycie szwedzkiej artyleryi pułkownika Cardell z dwudziestu działami, zatamowało dalsze postępy gwardyi francuskiej i koniec położyło walce na tem skrzydle.

Szóstą główną kolumnę, złożoną z reszty śląskiej armii po odejsciu korpusu Langerona, stanowiły korpus rosyjski Sackena i korpus pierwszy pruski Yorka.

W czasie kiedy korpus Sackena użyty był, jak wyżej wyrażono, do dywersyi na Halską bramę, wskutek której to dywersyi Francuzi brzeg Parthy opuścić musieli i ograniczyli się na obronie szańców i palisad przed Halską bramą, w której to obronie szczególniejszy brali udział Polacy z dywizyi Dąbrowskiego; korpus pruski Yorka od godziny 10. zrana stał nieporuszony w drugiej linii, na wzgórzach pomiędzy Eutritsch i Gohlis; dywizya jenerała Horna formowała prawe, dywizya Hünerberna lewe skrzydło.

Na żądanie jenerała Sackena dwa bataliony fizylerskie z prawego skrzydła posunęły się pod Gohlis dla wsparcia tyralierów rosyjskich, we wsi i przed wsią Gohlis rozłożonych. Już to wsi tej bronili przeciwko siłom francuskim do późnej nocy.

I tu w końcu walka zastanowiła się.

Siódma główna kolumna, z oddziału feldmarszałka hrabiego Giulaya złożona, poprzestała tylko na zachowaniu pozycyi swojej pod Klein-Zchocher w czasie, gdy jenerał Bertrand z czwartym korpusem francuskim maszerował od Lindenau ku Lützen, torując drogę parkom i bagażom francuskim, które od rana już zaczęły defilować tą drogą; tylko pomniejsze oddziały piechoty i jazdy marsz ten zblizka obserwowały, do walki jednak nie przyszło.

Około południa brygada Czollich z korpusu Giulaya sprowadzoną została przez feldmarszałka księcia Schwarzenberga na odsiecz lewego skrzydła austryackiego, jak to już wyżej powiedziano.

Nad wieczorem korpus Giulaya niczego nie dokazawszy, odebrał rozkaz maszerowania z resztą korpusu, wynoszącego jeszcze 15.000 ludzi, do Pegau.

Podobnież i korpus pierwszy Yorka otrzymał polecenie maszerowania do Merseburga, w zamiarze uprzedzenia Francuzów w czasie przeprawy Sali pod Weissenfeld.

W tym samym celu ataman Płatow miał przebyć Pieissę pod Doelitz lub pod Gossewitz, Elsterę pod Zwenckau i starać się niepokoić Francuzów w ich odwrocie.

Jeżeli rzut oka zwrócimy na wypadki dnia poprzedniego, znajdziemy, że prawe skrzydło francuskie i środek ich utrzymały się zupełnie na swoich pozycyach od Connewitz, Probstheida do Stötteritz. Na tej linii sprzymierzeni, pomimo wprowadzenia mas wszystkich do boju, żadnych nie odnieśli korzyści. Przeciwnie lewe skrzydło francuskie, gdzie 40.000 Francuzów walczyło przeciwko połączonym masom armii śląskiej i armii północnej, wynoszącym razem przeszło 120.000 ludzi, dwa razy przełamane zostało i cofnąć się musiało po wielkich stratach aż pod wieś Reudnitz, o pół mili od Lipska. Najwięcej do klęski tu poniesionej, przyczyniło się haniebne przejście Sasów i Wirtemberczyków i zdemoralizowanie wojsk francuskich przez powtórzone natarcie jazdy pruskiej w dniu 16. i rosyjskiej w dniu 17. października.

Widoczną było rzeczą po tych wypadkach, iż francuska armia dłużej utrzymać się nie potrafi pod Lipskiem, i że katastrofą okropną opłacić może dłuższe upieranie się przy swoich pozycyach.

Dnia 18. o godzinie 7. wieczorem jenerałowie artyleryi Serbier i Dulauloy, zameldowali cesarzowi, iż tego dnia 95.000 naboi wystrzelono i tylko 16.000 pozostaje, iż armia przez pięć dni wystrzeliła 220.000 naboi, i że tylko z Erfurtu i Magdeburga stratę tę można zastąpić. Podobna wiadomość potwierdziła w cesarzu myśl odwrotu.

Cesarz przewidując ten koniec, w dniu 18. już myślał o odwrocie; lecz tylko korpus czwarty Bertranda wysłać mógł dla otwarcia drogi bagażom i parkom ku Wiessenfels, innych w boju zawikłanych korpusów ani osłabiać, ani też całkiem ściągać z linii bojowej nie był w stanie.

I to nazwać można szczęśliwem zdarzeniem, iż korpus Giulaya z taką opieszałością wypełniał rozkazy. Jenerał cokolwiek śmielszy byłby o przysłowiu »złotego mostu« zapo-

mniał i ostatni ładunek wystrzelił dla zatrzymania korpusu Bertranda, przełamania przechodowej linii, spalenia parków, i t. d. Jenerał Giulay tego wszystkiego nie uczynił, a gdy odebrano mu brygadę Czollich, nieczynnie patrzał na defilujące parki francuskie przez cały dzień 18. października.

Miasto Lipsk, liczące wówczas około 40.000 mieszkańców, opasane było dokoła starym murem, bynajmniej do obrony niezdatnym; w niektórych miejscach pozostały stare wieże, do których żadnego nie było przystępu; na innych znów punktach widzieć było można strzelnice zrujnowane. W kilku bramach głównych były wejścia do miasta, i tak: na trakcie do Altenburga, *Petersthor;* na trakcie do Grimm, *Grimaischer Thor;* na trakcie do Halli, *Hallesche Thor;* na trakcie do Lützen i Weissenfels, *Ranstaedter Thor.* Naokoło murów prowadziła szeroka aleja, wysadzona lipami w kilku rzędach i obok niej ścieżki z klombami, stanowiące ulubione spacery mieszkańców Lipska. Poza tym ogrodem poczynają się dopiero obszerne przedmieścia z ogrodami, płotami i murami obwodowymi.

Droga odwrotu naszego prowadziła od *Ranstaedter-Thor,* na zachód Lipska leżącej, przez most murowany o jednym łuku na Pleissie, następnie przez długą groblę, ciągnącą się pomiędzy nizkiemi łąkami, wyspami i zaroślami, aż do wsi Lindenanu, na której było kilka mostów drewnianych, rzuconych na odnogach Elstery i rzeczki Lipy. Tą jedną wązką groblą cała armia cofać się musiała. Ażeby spokojnie na niej przedefilować można było, dwa dni było potrzeba, a tu zaledwie kilka godzin, i to nocnych, nam zostawało. Dodajmy do tego, iż wojsko trzydniową walką było nadzwyczajnie znużone, że liczba rannych, a po części nieopatrzonych przenosiła 20.000 ludzi, że wojsko francuskie prowadziło za sobą niesłychaną ilość bagaży: a pojmiemy trudności zaprowadzenia jakiegokolwiek porządku w tym nieszczęśliwym odwrocie. Od dawna należało pomyśleć o możebności odwrotu i przystępy do miasta mocniej obwarować. To, co u Halskiej bramy rozpoczęto przez barykady i palisady, należało przy-

sposobić i przy innych bramach; wysypać prócz tego silne polowe szańce, któreby pierwszy zapęd atakujących kolumn, tak, jak to się stało pod Dreznem, przełamać nie mogły. Lecz to wszystko pominięto; nawet o urządzeniu kilku mostów na odnogach Pleissy i Elstery zapomniano. Tylko jeden most na koziołkach, powyżej murowanego na Pleissie zbudowano i ten wkrótce pod ciężarem uciekających załamał się.

Przepędziwszy noc na biwaku z jenerałem Umińskim na drodze do Grimma, udałem się zrana wraz z nim do Lipska, gdzie odwiedziliśmy rannych kolegów naszych: Edwarda Potworowskiego i Heliodora Skórzewskiego; pierwszy był adjutam jenerała Umińskiego, drugi księcia Poniatowskiego; poczem wyjechaliśmy z miasta bramą Petersthor.

W alejach pomiędzy tą bramą a bramą Grimma, stały stara gwardya francuska i najspokojniej goliła się i pudrowała sobie głowy, mając zwierciadła przytwierdzone do lip. Kule armatnie zaczęły warczeć nad ich głowami, ale oni najspokojniej harcapy sobie stroili. Dopiero gdy bębny uderzyły apel, grenadyerzy gwardyi wzięli broń na ramiona i w ściśniętych kolumnach poszli ulicami, pominąwszy Petersthor ku Altranstadzkiej bramie.

W nocy z 18. na 19. armia francuska w największej cichości opuściła swoje biwaki, zostawiwszy słabe oddziały we wsiach Connewitz, Probstheida, Stötteritz, Górach glinianych (Thonberge), Vollkmansdorf i Reudnitz, dla zakrycia wstecznego ruchu, i zaczęła defilować traktem do Lützen: najpierw jazda, część parków, piechota marszałków Victora, Augeraua i Neya; za nimi młoda gwardya, zrana o godzinie 9. stara gwardya, za nią nareszcie cesarz. Pożegnawszy króla saskiego i poleciwszy jego osobę wątpliwej wierności batalionu grenadyerów gwardyi saskiej, udał się ze sztabem i eskortą swoją ku Altrandstadzkiej bramie. Lecz ciżba była tak wielka, ulice tak napchane, iż musiał zboczyć ku Petersthor; i stąd dopiero alejami, objechawszy mury, dostał się do mostu na Pleissie, około godziny 10. zrana.

Artylerya polska, w większej części park ósmego korpusu, polska jazda czwartego korpusu rezerwowego, przeszły także groblą do Lindenau nad ranem. Toż samo uczyniły dwa pułki ułanów jenerała Dąbrowskiego z artyleryą konną Schwerina. Krakusy małą eskortę zostawiwszy przy księciu Poniatowskim, przeszli za jazdą czwartego korpusu. Cesarz obronę miasta Lipska poruczył marszałkom Macdonaldowi i księciu Poniatowskiemu; pierwszy na czele jedenastego i reszty piątego korpusu Lauristona, drugi na czele ósmego korpusu. Ci dwaj wodzowie mieli rozkaz bronić miasta i zatrzymać kolumny sprzymierzonych tak długo, dopóki ostatnia armata, ostatni wóz amunicyjny, ostatni ranny nie przejdą mostu. Nad mostem murowanym na Pleissie czuwał oficer z oddziałem minerów, z rozkazem wysadzenia go po przejściu tylnej straży.

Korpus polski, z piechoty i z kilku dział artyleryi tylko złożony, po stratach dni ostatnich, liczył zaledwie 2.500 do 3.000 ludzi zdatnych do boju. Szwadron kirasyerów polskich pozostał w eskorcie księcia Poniatowskiego, niemniej mały oddział Krakusów.

Korpusy, jedenasty i piąty połączone, nie miały więcej nad 10.000 ludzi pod bronią. Tą małą garstką trzeba było obsadzić przedmieścia i przystępy do miasta, od Halskiej do Peterskiej bramy.

Książę Poniatowski podjął się obrony od bramy Grimma do Peterskiej; marszałek Macdonald obrony reszty. Tym końcem książę Poniatowski obsadził mury, płoty i ogrody tyralierami, w ulicach prowadzących do bram zatoczył kilka dział, rezerwy zachował w alejach. Przy królu saskim pozostał batalion grenadyerów gwardyi saskiej; prócz tego kilka batalionów heskich, badeńskich i francuskich z dawnego garnizonu lipskiego pod jenerałem brygady Bertrandem, stały w mieście.

O godzinie 8. zrana grzmot dział ze wszystkich wzgórzy oznajmił atak nieprzyjaciela. Masy sprzymierzonych wojsk stały w ściśniętych kolumnach na strzał armatni od miasta; na le-

wem skrzydle rezerwy austryackiej korpus pierwszy Colloredo, obok niego korpus Kleista i Wittgensteina, następnie armia polska Benigsena, dalej pod Reudnitz korpus Bülowa, mający w odwodzie za sobą Szwedów pod marszałkiem Stedinghem; nareszcie od Halskiej bramy korpusy Sackena i Langerona z śląskiej armii.

Atak rozpoczął się na Halskiem przedmieściu ze strony korpusu Sackena. Około godziny 10. zrana Rosyanie podstąpili pod Halską bramę, zdobyli barykady i opalisadowania broniące przystępu do niej, lecz tu natrafili na mocniejszy opór. Dopiero za nadejściem korpusu Langerona powtórny atak nastąpił, ten się udał i brama Halska zdobytą została. Rosyanie wstępnym bojem weszli do miasta, bój się wszczął w ulicach.

Z armii północnej, korpus Bülowa trzymający porządek atakował przedmieście od Schoenfeld. I tu bramę zatarasowaną znaleźli; z poza murów strzelnicami opatrzonych i z poza płotów szedł ogień nader żywy ze strony francuskiej. Książę Hessen-Homburg, dowódzca brygady pruskiej, ranę tu otrzymał, kilku oficerów i żołnierzy pruskich padło; atak się nieco zastanowił. Dopiero za przybyciem sześciu batalionów szwedzkich z bateryą artyleryi rozstrzygła się tu walka na stronę sprzymierzonych, a wchód od Schoenfeld zdobyty został.

Jednocześnie strzelcy armii północnej korpusu Woroncowa, opanowali bramę Grimma i do miasta wkroczyli pomimo najzaciętszego oporu; za nimi korpus Benigsena.

Kolomny sprzymierzonych ze wszech stron wchodziły w ulice i szykowały się na rynkach. Żołnierze francuscy pojedynczo spotykani, prezentowali broń przed jenerałami nieprzyjacielskimi, a potem ją składali. Mieszkańcy na widok zwycięzców, witali ich radosnymi okrzykami, kobiety powiewały z okien chustkami, wieńce pod nogi rzucały: niektóre nawet ściskały oficerów i żołnierzy, wołając *die Kosaken, sind doch schoene Leute!* Inni zaciętsi za naszymi żołnierzami strzelali.

Od strony Petersthor korpusy Kleista, Wittgensteina i Colloredo walczyły od samego rana z garstką Polaków. Po dzielnym oporze musieli oni przed siłą przemagającą ustąpić z przedmieść. Książę Poniatowski batalion po batalionie sam w ogień wprowadzał; zostawiwszy parę batalionów, mianowicie czwarty nadwiślański pod pułkownikiem Malczewskim, w alejach w odwodzie, książę na czele eskorty kirasyerów i Krakusów w ulicy szarżując na tyralierów pruskich, pierwszą ranę odebrał w rękę od kuli karabinowej; kazał się opatrzyć, wsiadł znów na konia i rękę na chustce trzymając, nie przestał walczyć.

Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Hesi i Badeńczycy, stojący w mieście, przeszli na stronę sprzymierzonych, i zaczęli z murów miasta do naszych strzelać. Pułkownik Malczewski poległ od ich strzałów.

W tej chwili tyralierzy nieprzyjacielscy z korpusu Sackena, obszedłszy mury od zachodniej części miasta, zaczęli się zbliżać ku Ranstedzkiej bramie; kule ich dochodziły już murowanego mostu. Ulice prowadzące doń, zapchane były tłumami rannych, chorych i bezbronnych; wozy amunicyjne, armaty, powozy oficerskie w zbitej, nierozwikłanej masie cisnęły się ku mostowi; zamieszanie powstało nie do opisania. Berezyna mi się przypomniała...

W tej ostateczności oficer minierów, czuwający nad mostem, mając rozkaz wysadzenia go za zbliżeniem się nieprzyjaciela, przyłożył lont i most w powietrze wyleciał.

Tym to sposobem odwrót wojskom polskim i francuskim, broniącym się jeszcze w ulicach miasta i w alejach, przy Peterskiej bramie przecięty został. Książę Poniatowski na czele garstki walczących, przyparty do Pleissy, wystawiony był na ogień tyralierów nieprzyjacielskich, w gęstych zastępach ze wszystkich stron zbliżających się. Jenerał Bronikowski przy księciu stojący, radził mu szukać ocalenia wpław. Lecz książę żywo mu odparł: *chcę zginąć śmiercią walecznych!* Nakazał reszcie eskorty swojej nowy atak na nieprzy-

jacielskich tyralierów, lecz ten tylko na chwilę zdołał wstrzymać ich postępy. Nie było jednej chwili do stracenia! W tej ostateczności książę nareszcie poszedł za zdaniem otaczających go oficerów, wspiął konia i wskoczył z nim w rzekę!

Woda wysoko zalewała brzegi; koń porwany jej pędem nie mógł do brzegu przybić. Na ten widok kapitan sztabu Bléchamp rzuca się za księciem, pomaga przepłynąć i dostać się na brzeg przeciwny.

Niebezpieczeństwo jednak jeszcze nie minęło; głęboka, do tego błotnista odnoga Elstery, zostawała do przebycia, Książę szedł pieszo ogrodami, leżącymi pomiędzy Elsterą i Pleissą: tu kulą karabinową w bok po raz drugi ugodzony, padł w objęcia otaczających go oficerów. Wkrótce odzyskał jednak przytomność i z pomocą adjutanta dosiadł z trudnością konia, lecz już się chwiał na siodle. Zaczęto go ze wszystkich stron zaklinać, aby się dał opatrzyć, i oddawszy komendę innemu generałowi, zachował się dla Ojczyzny. Lecz odwaga księcia z niebezpieczeństwem wzmagać się zdawała, *nie! nie!* — zawołał — *Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu tylko go oddam.* Oficer inżynierów przybiega i miejsce najdogodniejsze do przeprawy wskazuje; książę brzegiem rzeki postępując, kieruje się w tę stronę; lecz spostrzegłszy nieprzyjacielski oddział, zachodzący mu drogę, zawoła głośno: *Otóż oni!* konia zwraca i rzuca się do Elstery. Osłabiony ranami, koniem już nie powoduje, ten jednak pasuje się z nurtem i wspiąć się na brzeg wysoki, urwisty nie może. To wszystko działo się pod gradem kul. W tej ostatecznej chwili, książę odbiera trzecią ranę, zsuwa się z konia i pędem wody porwany, tonąć zaczyna. Zacny Bléchamp i tu na ratunek spieszy. W szlachetnym zapale rzuca się w rzekę i porywa księcia. Widziano, jak obejmując wpół, starał się unosić głowę księcia nad powierzchnią wody, lecz daremne były usiłowania tego szlachetnego męża. Znikli obaj na zawsze w nurtach zdradliwej rzeki! Taki był zgon bohatera polskiego, wodza kochanego, przekładającego śmierć nad sromotną nie-

POMNIK KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

Pomnik ten, sporządzony w roku 1813, staraniem jenerała Rożnieckiego w ogrodzie Reichenbacha nad Elsterą, przeniesiony teraz na Lessing-strasse, odnowiony został staraniem i kosztem galicyjskiego Wydziału krajowego w r. 1876.

(Wedle rysunku Al. Lessera z r. 1832).

wolę. Oficerowie sztabu, co zdążyli przepłynąć Pleisę w jego ślady, osłupieni tą stratą, wzięci tu zostali do niewoli. Tenże sam los spotkał pozostałych na prawym brzegu głównodowodzących: Rożnieckiego, Bronikowskiego, Umińskiego, (adjutant księcia, Szydłowski, na wylot przestrzelony, pozostał w Lipsku) i pułkowników: Malleta, Rautenstraucha, adjutanta księcia Kickiego i wielu innych oficerów; z niektórymi Prusacy najniegodziwiej się obeszli.

W czasie tej śmiertelnej katastrofy piechota nasza ciągle walczyła w ulicach przed Peterską bramą; zewsząd otoczona sformowała się nareszcie w małą kupkę, w liczbie może jeszcze 500 ludzi, gotowa do ostatniego tchu bronić orłów polskich. Były tam pułki: 15. pod dowództwem pułkownika Macieja Rybińskiego; 16. pod majorem Bolestą; 8. pod pułkownikiem Ostrzeżewiczem, pułk 1. pod kapitanem Łubińskim. O dwóch innych, o 4. nadwiślańskim i 12. nie mogłem powziąć dokładniejszej wiadomości. Jenerał Małachowski, dowodzący tu, nie wiedząc co czynić, udał się sam trochę na bok, i został w ulicy schwytany. Gdy niepotrzebnie ludzi tracono od ognia nieprzyjacielskiej piechoty, a nawet od niemieckich naszych sprzymierzonych, chcieli nasi dowódzcy przynajmniej w polu, z bronią w ręku, kapitulować. Stali spokojnie w kolumnie ściśniętej, na ramieniu broń, o pół strzału kartaczowego od dział, wymierzonych przeciwko nim, otoczeni do koła kolumnami rosyjskiemi, pruskiemi i austryackiemi. Nie śmiał nieprzyjaciel uderzyć na garstkę bohaterów w rozpaczy! Zbliżył się nareszcie jenerał Paszkiewicz i żądał zdania się na łaskę, lecz gdy nie mógł dogodzić żądaniom dowódzców naszych, nawinął się flügeladjutant cesarza Aleksandra, za radą którego wysłali dowódzcy polscy pułkownika Rybińskiego do cesarza. Kiedy wszedł na rynek lipski, zastał cesarza Aleksandra, otoczonego monarchami sprzymierzonymi i głównie naczelnymi. — Co żądasz? — zapytał cesarz. — Najjaśniejszy Panie! odpowiedział Rybiński w języku francuskim: — pięćset Polaków, odciętych i oto-

czonych, składa broń u stóp Waszej Cesarskiej Mości, któremu się należy zaszczyt wygranej. Zachowaj Najjaśniejszy Panie żołnierzom naszym te godła honoru, które oni nad życie cenią. Los nas poddaje Waszej Cesarskiej Mości, lecz gotowi jesteśmy w stanowczej dla nas chwili, bronić tych godeł do ostatniego tchu naszego. — Patrzał w czasie tej mowy cesarz surowo na Rybińskiego, potem z łagodnością wyrzekł: zgoda!

Tym sposobem dokonane zostało poddanie się garstki naszej piechoty; złożyli broń; orły znikły; zatrzymali swe znaki i ubiór żołnierze i pożegnawszy obok nich leżących, rannych swoich i przyjaciół Francuzów, również rannych, poszli do niewoli.

Prócz powyżej wymienionych jenerałów i oficerów wyższych, dostali się w ręce nieprzyjaciela pułkownicy: Straszewski, Piotrowski i Wierzbiński; jenerałowie Kamieniecki, Izydor Krasiński, Stefan Grabowski, przy królu saskim będący jenerał Paszkowski i pułkownik Błeszyński. Co do mojej osoby, rozłączyłem się z jenerałem Umińskim przy wyjściu z bramy Petersthor; on pojechał do księcia Poniatowskiego po ostatnie instrukcye dla jazdy; mnie rozkazał połączyć się z jazdą naszą. Udało mi się przedrzeć przez ciżbę gwardyi armat i wozów aż do mostu, przez który przejechałem kilka chwil po cesarzu. Jenerał Umiński zastawszy księcia Poniatowskiego w ogniu, już go nie odstąpił, a po jego zgonie dostał się do niewoli nie przeszedłszy Pleissy.

Strata ogólna armii francuskiej w tym dniu i w dniach 16. 17. i 18. października wynosić mogła w zabitych 15.000 ludzi, w rannych i chorych 23.000; 15.000 w niewolę poszło; ogółem zatem przeszło 50.000 ludzi. Niektórzy stratę tę do 70.000 podnoszą; 250 dział, 900 wozów amunicyjnych i furgonów różnego rodzaju stały się zdobyczą sprzymierzonych. Jenerałowie dywizyi, Viat i Rochambeau, zostali zabici; jenerałowie dywizyi, komendanci korpusów: Reynier, Lauriston, gubernator Lipska Bertrand, dostali się do niewoli. Król Saski z całym dworem wpadł w ręce zwycięzców. Stratę ostatnich

[illegible]

[illegible] w Kiemen- [illegible] Elstery, [illegible] Wła- [illegible] żołnierze szczęśliw- [illegible] naszego wojska. [illegible] się przed frontem. [illegible] w nadziei uratowa- [illegible] na grobli, wstrzy- [illegible] że wszystko byłoby [illegible] szeregów.

[illegible] najstarszy, objął dowództwo [illegible] Sułkowski, Krukowiecki, Weisenhof. [illegible] dowodzili dywizyami i bryga- [illegible] któremu właściwie należała się ko- [illegible] się w innej stronie z piechotą swoją.

[illegible] 12. widziałem cesarza pieszo stojącego na [illegible]dt; obok niego przechodzili jeźdźcy z pie- [illegible] wojska, żołnierze piesi bez broni, ranni [illegible] mocno strofował. »Co zrobiłeś z karabi- [illegible] korpus, każe cię rozstrzelać«.

Jenerał Sokolnicki około godziny 2. po południu poprowadził jazdę naszą wbok traktu do Lützen i stanął o godzinę drogi od Altranstaedt, we wsi na prawo traktu, frontem do Pegau. Doświadczony wódz czuł dobrze, iż najpierwszem jego zadaniem jest uspokoić umysły, wzburzone po stracie ulubionego wodza i wojsko zatrudnić. Tymczasem zebrawszy wieczorem dowódzców dywizyi i brygad, oświadczył im, iż mając wiadomość pewną o stanowisku korpusu jenerała Giulay pod Pegau, o milę drogi od naszego stanowiska, postanowił poprowadzić wszystkich tej jeszcze nocy dla napadnięcia na źle strzeżonych Austryaków. Na to oświadczenie zdumieli wszyscy dowódzcy, a niechęć malowała się na wszystkich twarzach. Projekt tego nocnego ataku konceptem nazwali niespokojnego umysłu dowódzcy. Po tylu dniach, przepędzonych pod ogniem, po tylu nocach bezsennych, nie mieliż oni choć jedną noc przepędzić bez boju? Zaczęli więc przedstawiać jenerałowi Sokolnickiemu, iż żołnierze i konie po 5-dniowych nieustannych bitwach i po tylu poniesionych stratach, strudzeni do upadłego, niezbędnie spoczynku potrzebują; iż poruszenie zamierzone, zwłaszcza w nocnej dobie, ze znużonym żołnierzem niechętnie wykonane, nietylko klęskę na jazdę ściągnąć, ale do większego rozprzężenia dać może powód. Lecz jenerał Sokolnicki obstawał za swojem zdaniem, i zaczął instrukcye wydawać jenerałom. Natenczas jenerał Krukowiecki, znany od dawna w wojsku z niesfornego umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, zabrawszy głos i wsparty przez jenerała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalińskiego, oświadczył wręcz jenerałowi Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie. Dosyć tych bojów! — rzekł — wszystko od dawna stracone, trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny!

Jenerał Sokolnicki, przekonawszy się o tak niemężnem usposobieniu, odstąpił od pierwotnej myśli i poprzestał na wydaniu najściślejszych rozkazów strzeżenia się tej nocy. Ży-

wności i furażu nie brakło w tej wsi i w okolicznych wioskach.

Ta słabość ze strony jenerała Sokolnickiego, któremu należało się aresztować nieposłusznych dwóch jenerałów i pod sąd oddać, najgorsze skutki wywarła na karność naszego wojska. Odtąd początek sejmików pomiędzy oficerami, dezercyi pomiędzy żołnierzami.

Nad ranem jenerał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swemu dowódzcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej do Altranstaedt, i zastał cesarza w karecie wśród gwardyi. Zbliżywszy się do niego, oświadczył mu ów Tersytes naszego wojska, najbezczelniej w imieniu wszystkich polskich dowódzców, iż do jenerała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą cesarza, ażeby nad nimi dowództwo powierzył ks. Sułkowskiemu.

Cesarz, dobrze obeznany z podobnemi scenami pomiędzy oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskich, lekko te oznaki niesubordynacyi pominął. Ważniejszemi sprawami, jak godzeniem jenerałów polskich między sobą zajęty, odpowiedział dość obojętnie: »Dobrze, niech książę Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada«.

Pochwyciwszy tę odpowiedź, jenerał Krukowiecki przylatuje do naszej jazdy, i słowa cesarskie jenerałowi Sokolnickiemu przekazuje. Zacny wódz, żalem przejęty na tę wiadomość, nie wyrzekłszy i słowa, odstąpił komendy księciu Sułkowskiemu i do swojej dywizyi powrócił.

Książe Sułkowski, szkaradnym tym podstępem Krukowieckiego i kilku podrzędnych intrygantów, którym się bić nie chciało, wodzem naczelnym naznaczony, nie był to człowiek, odpowiadający tak trudnemu zadaniu, jakiem jest komenda rozprzęgającego się wojska. Waleczny wprawdzie na polu bitwy, pięknej, ujmującej, prawdziwie książęcej postawy, lecz pełen drobiazgowej pychy; nikt słabszego nie był od niego charakteru. Powodowany zawsze zdaniem najbliższych, otacza-

jących go osób, sam nie miał żadnego, i w ważnych momentach ciągle się wahał. Najwięcej wpływu na księcia wywierał adjutant jego przyboczny Zbijewski, młodzieniec miękki, gnuśny, ospały, pełen zarozumiałości i dumy. Tak dalece działał na księcia, że ten się bez niego na chwilę obejść nie mógł. Nawet łóżka ich w czasie kampanii zawsze były razem.

Wnet znaleźli się intryganci, co słabą księcia stronę zbadawszy, użyli go za narzędzie do wypełnienia swoich podłych zamiarów. A nic innego w myśli nie mieli, jak opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu. Pamięć na koniec smutny legionów włoskich, poświęconych na usługi Francyi w klimacie zwrotnikowym wysp St Domingo, stawiali na postrach trwożliwszych; dla nich samych powodem do zmiany była zmiana fortuny Napoleona, od którego żadnych zaszczytów spodziewać się już nie mogli; maską zaś dla wszystkich, była chęć powrotu do ojczyzny i los jej niepewny, już niezależący od potęgi cesarza. Na czele tych intryg podziemnych stanął jenerał Krukowiecki, opanowawszy umysł adjutanta księcia; coraz mocniej wystawiał księciu potrzebę dania wojsku jakiejś rękojmi, iż go nie da poświęcić nakształt włoskich legionów; aż nareszcie, gdy dezercya pomiędzy oficerami i żołnierzami wzmagać się zaczęła, gdy batalion grenadyerów gwardyi polskiej, wcielony do gwardyi cesarskiej, straciwszy wiele ludzi przez dezercyą, jednej nocy z dowódzcą swoim, pułkownikiem Kurcyuszem, przeszedł do nieprzyjaciela, książę Sułkowski, zebrawszy korpus oficerów, zaręczył im uroczyście słowem honoru, iż do Renu tylko towarzyszyć będzie cesarzowi, a stamtąd odprowadzi ich do ojczyzny. Nierozsądna obietnica, do wykonania niepodobna bez narażenia na niebezpieczeństwo honoru wojska polskiego, potokami krwi nabytego.

Oświadczenie to jednak nie położyło końca dezercyi. Nie doszliśmy do Fuldy, a przeszło 500 ludzi brakowało w szeregach; jednej nocy prawie cała kompania saperów z namowy sierżanta starszego znikła z biwaku.

Cesarz dowiedział się o tym stanie rzeczy. Spotkawszy korpus polski dnia 26. października, na drodze z Fuldy do Gelnhausen, zatrzymał go w marszu, i zebrawszy oficerów w wielkie koło, przemówił do nich w ten sposób: »Oficerowie i żołnierze polscy! Dowiaduję się, iż są pomiędzy wami, co was namawiają do opuszczenia mojéj armii, skoro nad Renem stanę. Mylą się ci, co wam tak radzą. Nie uczynilibyście tego bez złamania wiary waszej i nadwerężenia drogiego wam honoru wojskowego. Nie przestałem być człowiekiem Europy; czy mnie okoliczności zmieniły? patrzcież się na mnie (i pokazując na siebie) nie schudłem dlatego. Wierzcie mi, los wasz odemnie jeszcze zależy. W roku 1812. zawarłem traktat z cesarzem austryackim, warujący oddanie wam Galicyi w zamian za prowincye Illiryjskie. Szczęście zmienne nie dozwoliło dokonać tego zamiaru! Byliście mnie dotąd wiernymi i zasłużyliście sobie na mój szacunek! Zaprowadzę was do Francyi, tam naznaczone będziecie mieli najlepsze kwatery, a gdy pokój stanie, nie zapomnę o was i los waszej ojczyzny zapewnię«.

Znalazło się kilku oficerów mówiących po francusku, pomiędzy nimi Artur Potocki, którzy niektóre uwagi czynili względem niepewności dalszego losu rodaków. Na wszystko cesarz łagodnie i trafnie odpowiedział. Odezwał się okrzyk: »Niech żyje cesarz! pójdziemy za tobą, dokąd rozkażesz!

Książę Sułkowski, nieprzytomny tej mowie, skoro się dowiedział o zmianie w usposobieniu wojska, oświadczył, iż dawszy słowo honoru wojsku, jako nie poprowadzi go dalej jak nad Ren, łamać nie może swojego słowa i sam wróci do ojczyzny. Podał się zatem do dymisyi, i uwolnienie otrzymawszy, z sztabem swoim, t. j. z adjutantami i z szefem sztabu swego Henrykiem Zabiełłą opuścił wojsko i odjechał do forpoczt sprzymierzonych. Gazety ówczesne niemieckie wiadomość o tem w następujących doniosły słowach: »Książe Sułkowski, naczelnie dowodzący wojskiem polskim, w dniu tym a tym przeszedł do wojsk sprzymierzonych«.

Niezatarty dotąd ślad tego wojskowego i politycznego błędu; historya słowa te powtórzyła, pomimo reklamacyi księcia. Intryganci, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciwko starszym. Krukowiecki użył do tego jenerała Kwaśniewskiego, który przed frontem poważył się zelżeć jenerała dywizyi Sokolnickiego i za to jednak pod sąd nie poszedł!

Wojsko nasze w pochodowej linii swojej poszło na Weissenfels, gdzie Salę; na Freiburg, gdzie Unstrutt przebyło, zasłaniając lewe skrzydło francuskie. Dnia 21. października wojsko francuskie w czasie przeprawy przez most na rzece Unstrutt, atakowane zostało przez korpus pruski Yorka, idący od Merseburga. Jenerał Bertrand na czele czwartego korpusu odparł ten atak i zasłonił armię w czasie przeprawy, która w mniejszym rozmiarze przedstawiała straty, podobne do Berezyńskiej przeprawy; porzucono i tu wiele armat i wozów.

Dnia 23. października cesarz nocował w Erfurcie, dnia 25. wyjechał stamtąd, wydawszy rozkazy tyczące się obrony tego ważnego punktu.

Przechodziliśmy obok Erfurtu, przez Eisenach, Fuldę, i dnia 29. stanęliśmy w Gelnhausen. Tu cesarz spotkał jenerała Dąbrowskiego na drodze do Hanau i przywitał go temi słowy: »Jak się masz stary druhu, oddałem dowództwo nad Polakami temu niegodnemu księciu Sułkowskiemu, zawiódł moje zaufanie, i kazałem go odprowadzić do forpoczt nieprzyjacielskich. Tobie, stary przyjacielu, powierzam dowództwo nad wojskiem polskiem, ty je przez Ren przeprowadzisz; oddaję wam na leże zimowe Sedan z okolicą«.

Tej mowie cesarza byłem przytomny.

Jenerał Dąbrowski odebrał więc komendę nad wojskiem polskiem i dnia 30. października stanął na prawem skrzydle armii francuskiej w czasie bitwy pod Hanau. Naprzeciw jazdy naszej widzieliśmy rozwiniętą lekką jazdę korpusu oddzielonego Czerniszewa, lecz nie przyszło do starcia. Wiadomo, iż jenerał bawarski Wrede na czele korpusu skom-

binowanego bawarskiego i austryackiego, idąc od Würzburga opanował trakt z Gelnhausen do Frankfurtu i zastąpił drogę armii francuskiej. Jazda francuska pod jenerałem Nansouty i Sebastianim, wsparta grenadyerami gwardyi jenerała Curial i artyleryi gwardyi pod jenerałem Drouot, przełamała środek nieprzyjaciela i zadawszy okropną klęskę Bawarczykom utorowała drogę wielkiej armii. Cesarz sam osobiście znajdował się niejaki czas przy działach gwardyi i linie celu poprawiał.

Francuzi wprowadzili tu do boju 5.000 tyralierów z korpusu Macdonalda pod jenerałem Charpentier, 4 bataliony starej gwardyi, 80 szwadronów jazdy i 120 dział. Reszta armii tego dnia marszerowała w kolumnie pochodowej od Gelnhausen ku Hanau.

Dnia 31. października przechodziliśmy przez pole bitwy, zasłane trupami bawarskimi i austryackimi. Dojechawszy do Frankfurtu, wstąpiłem do miasta z jenerałem Sokolnickim w stanie znużenia, trudnym do opisania. Ciągłe pochody i noce bezsenne wprawiły mnie w tak wielki stan osłabienia, iż się na koniu chwiałem i zaledwie na siodle utrzymać potrafiłem.

Znalazłszy pokoik w hotelu, zażądałem kolacyi i butelkę starego reńskiego wina, a po kolacyi położyłem się w wygodne łóżko. Nazajutrz czułem się jak odrodzony i od tego czasu wdzięczność dla reńskiego wina zachowałem.

W Hochheim, miejscu sławnych winnic, powtórzyłem wczorajszą receptę z równie pomyślnym skutkiem, i dnia 1. listopada wstąpiłem na ziemię francuską w Moguncyi, gdzie odebrałem zawiadomienie o nominacyi mojej na kawalera legii honorowej w skutku przedstawienia księcia Sułkowskiego.

Po dwóch dniach pobytu w Moguncyi, która się napełniać zaczynała wojskami różnego rodzaju, chorymi i rannymi, jenerał Dąbrowski odebrał rozkaz zebrania wszystkich pojedynczych oficerów bez wojska w Sedanie, dawnym zakładzie jazdy nadwiślańskiej. Miasto to przeznaczone nam było przez

Napoleona na leże zimowe. Odebrałem z innymi rozkaz udania się na miejsce tego nowego przeznaczenia. Odbyłem drogę konno etapami, na Alzey, Kaiserslautern, Deuxponts, Saarbrücken i Metz. W tej dla inżyniera tak interesującej twierdzy, wypocząłem dzień jeden i korzystałem z tego dla zwiedzenia niektórych dział fortyfikacyjnych, znanych mi tylko z planów, mianowicie korony podwójnej, Bellecroix zbudowanej przez sławnego inżyniera francuskiego Cormontaigne; w której zastanowiła mnie szczególnie sztuka, z jaką potrafił osłonić wszystkie części od gór przeciwległych, panujących nad niemi. Twierdzę zastałem, jakby wśród pokoju, prawie bez załogi, bez żadnego przygotowania do jej obrony. A tymczasem o mil kilkanaście pod Moguncyą, odgłos dział nieprzyjacielskich już się dawał słyszeć. Metz należy do twierdz pierwszego rzędu francuskich, leży nad Mozellą, która część rowów zalewa i zapomocą śluz i zaporników do znacznej wysokości może być podniesiona. Rozległość jego szańców jest bardzo znaczna, bo wymaga około 15.000 załogi. Ulice miasta są ciasne, brudne, a część najbrudniejsza napełniona jest żydami, którzy się szczycili przedemną z rabina swego polskiego. Kościół katedralny nietyle z obszerności jak z pięknych gotyckich okien jest słynny. Metz prócz dzieł fortyfikacyjnych interes mój wzbudził z powodu szkoły aplikacyjnej artyleryi i inżynierów, w której się kształcą oficerowie tych dwóch broni i do najpierwszych zakładów tego rodzaju policzyć się może. Wspomnieć tu jeszcze muszę o sławnej obronie miasta tego przez księcia Guise przeciwko cesarzowi Karolowi V, osobiście dowodzącemu oblężeniem r. 1553. Kraj, którym jechałem, wcale nie odpowiedział oczekiwaniu mojemu; ani zamożności, ani ludności jego nie mogłem porównać z zamożnością i ludnością niemiecką. Tylko drogi i mosty dowodziły pieczołowitości rządu. Wszędzie gorzkie skargi na niepohamowaną ambicyę Napoleona i na klęski wojenne słyszeć się dawały.

Z Metzu zwróciłem się do Werdun, miasta sławnego z suchych konfitur i pasztetów. Zastałem tam wielu oficerów

angielskich, w rozmaitych potrzebach wziętych do niewoli, i wedle zwyczajów swojego narodu żyjących i biesiadujących. Nie miałem sposobności zabrania z nimi znajomości. Dopiero w Mouson, nad rzeką Meuse położonem miasteczku, zsiadającemu z konia zaszedł drogę młody anglik Aitoun, także w niewoli francuskiej zostający, który mnie, szefa batalionu Skrzyneckiego i dwóch innych oficerów zaprosił do siebie na obiad. Przyjął nas jaknajgościnniej i uprzejmością swoją szczególnie dla mojej osoby, wzbudzić potrafił sympatyę niewymowną. Nazajutrz odprowadził mnie o milę drogi ku Sedanowi i wymógł obietnicę odwiedzenia go w Mouson.

Około 15 listopada stanąłem w Sedan, w departamencie des Ardennes i tu już zastałem jenerała Dąbrowskiego z wielką liczbą oficerów polskich bez wojska. Po smutnej nocy przepędzonej u żyda, w którego mieszkaniu jeden z kolegów moich, Tadeusz Ostrowski, zaraził się świerzbem, dostałem na cały czas dwumiesięczny pobytu mego w Sedanie mieszkanie u bogatego piwowara Lefevre, który mnie bardzo gościnnie przyjął. Tu wypocząłem sobie z trudów całej kampanii. Płaca nas regularnie dochodziła, życie było tanie. Stołowałem się z kolegami: Królikiewiczem, Wilsonem, Ostrowskim u eksksiędza, który w czasach rewolucyjnych porzucił sutannę i żonę pojął. Dziwny to był stosunek tej familii; poznałem tu, lepiej jak z dawnych opowiadań nauczyciela mego księdza Tisseraud, głęboką otchłań moralną towarzystwa francuskiego.

Wkrótce przywołany byłem do jenerała Dąbrowskiego i od niego odebrałem polecenie przejrzenia i ułożenia papierów po ś. p. księciu Poniatowskim, którą to czynność w krótkim czasie wypełniłem.

Oficerowie, zebrani w Sedan, postanowili także ze składek, między sobą zebranych, uczcić pamiątkę ś. p. księcia Poniatowskiego nabożeństwem żałobnem w głównym kościele Sedańskim. Przyjąłem na siebie kierunek muzyki. Znalazło się tylu amatorów, iż z pomocą muzyki gwardyi hiszpańskiej

króla Józefa, konsystującej w Sedanie, po kilku próbach, z zadowoleniem przytomnych wykonać mogłem sławne *requiem Mozarta* w czasie mszy, i marsz żałobny z Westalki Spontiniego w czasie konduktu. Najwięcej wrażenia jednak zrobiła mowa żałobna pułkownika Morawskiego, która nas wszystkich przytomnych do łez poruszyła.

Sedan znany jest z fabryk, wydających najpiękniejsze sukna na całą Francyę. Dziś fabryki, dla braku robotników, po większej części spoczywały. Stan machin nie zdawał mi się odpowiedni postępowi tej gałęzi przemysłu w Niemczech.

Po ukończonym przeglądzie papierów ś. p. księcia Poniatowskiego i zdaniu w tej mierze raportu, zająłem się rozpoznaniem okolicy Sedanu i stosowny plan jenerałowi Dąbrowskiemu wręczyłem. Wycieczki moje w tym celu posunąłem do twierdzy Mezieres, lecz i tu żadnego przygotowania nie zastałem do obrony, ani dział na wałach, ani palisad w drodze krętej, ani załogi odpowiedniej. Wszystko było jakby wśród najgłębszego pokoju.

W czasie pobytu mego w Sedan przypomniałem się listownie księdzu Tisserand. Odebrałem wkrótce odpowiedź prawdziwie ojcowską, malującą serce i przychylność dla naszego domu szanownego starca. Był wówczas dziekanem w mieście Joigny i najlepszem jeszcze cieszył się zdrowiem.

Pobyt nasz w Sedanie przedłużył się do połowy stycznia. W czasie tym wybrano z pomiędzy licznych oficerów, w zakładzie zostających, potrzebną liczbę do zorganizowania dwóch batalionów piechoty. Jazda nasza stanęła w Rheims. Oficerami bez wojska można było armię 30.000 obsadzić, lecz żołnierzy, których większa część poległa lub wziętą była do niewoli na polach lipskich, inna w lazaretach leżała lub na drodze z Lipska do Moguncyi została się po drogach, zaledwie było 1.600 zdatnych do boju. Ci wszyscy włączeni zostali do dwóch batalionów piechoty, wyżej

Rok 1814.

wymienionych. Jazda była nierównie liczniejsza; sformowano z niej dwa piękne pułki ułanów, które się odznaczyły w kampanii 1814 r. Wybrano z niej ludzi do pułku gwardyi Krasińskiego, i dodano na lekkich koniach, w prowincyi Limousin zakupionych, pułk zwany Eclaireurs de la Garde, z 800 koni. W zakładach okolicznych Paryża przeformowano także pułk Krakusów, dodano lekkich koni z tejże samej prowincyi i doprowadzono jego siłę do 800 koni; lecz pułk ten świeżo umundurowany nakształt czerkiesów i należycie uzbrojony, dopiero w połowie marca wystąpił na linię bojową. Z całej artyleryi bateryę jedną konną pod komendą szefa szwadrona Schweryna sformowano i jedną pieszą,

Tyle się tylko z armii20.000, na początku kampanii 1813 r. pod bronią będących, znalazło zdatnych do boju. W zakładach było przeszło 300 oficerów, czekających wezwania do służby polowej lub garnizonowej. Pomyślano o nich dopiero kilka dni przed wzięciem Paryża.

Jenerał Dąbrowski na poczatku stycznia odebrał wiadomości niezawodne o przejściu Renu przez główną armię księcia Schwartzenberga, o wtargnięciu innych korpusów nieprzyjacielskich w północne prowincye Francyi, o klęskach rozmaitych wojska francuskiego, mianowicie o bitwie pod La Rothiére i o postępach sprzymierzonych w kierunku Paryża. Musiał więc z obowiązku pomyśleć o ocaleniu zakładów, jego komendzie powierzonych. Odebrawszy stosowne w tej mierze instrukcye, opuścił Sedan około 20 stycznia i podzieliwszy zakład na kilka oddziałów, pomaszerował na Rethel do Rheims. W tem mieście podziwiałem piękny katedralny kościół, w którym tylu francuskich królów namaszczenie odebrało, i niektóre starożytności rzymskie. Z Rheims zwróciliśmy się do Soissons, stąd wzdłuż brzegów rzeki Aisne do Compiegne. W tem mieście leży piękny zamek z parkami cudnymi, należący do korony francuskiej; miejsce ulubione polowania królów francuskich.

W Compiegne i w okolicy zatrzymaliśmy się kilka dni, oczekując dalszych wiadomości z teatru wojny. Stąd udałem

się do Senlis, o 5 poczt tylko od Paryża, nareszcie pierwszych dni lutego odebrałem od jenerała Dąbrowskiego pozwolenie towarzyszenia mu do stolicy, i tu stanąłem w hotelu, na ulicy Rue neuve des petits champs, niedaleko placu Vendôme. Zakłady poszły wprost do miasta Pontoise w kierunku Normandyi.

Pierwsze kroki wieczorem mego przyjazdu obróciłem do Palais Royal, i przyznać muszę, że uderzony zostałem uroczym blaskiem tego zakładu. Tego samego wieczora znajdowałem się z Prądzyńskim na reprezentacyi w teatrze Opera Comique. Następnych dni zacząłem z nim obchodzić miasto, pomniki, pałace, muzea, biblioteki, teatry i t. d. Nie należy do mego zamiaru opisywać Paryż r. 1814. Przewodnik podróżnych (Guide du Voyageur) wydany w tym roku, lepiej oświeci czytelnika, aniżeli niedokładne opowiadanie cudów, które mi się wtedy wydawały. To tylko dla nauki dzieci moich powiedzieć muszę na moją pochwałę, iż z umiarkowaniem tylko używałem wszelkich przyjemności, jakie miasto to cudzoziemcowi ofiaruje. W czasie tego pierwszego pobytu w stolicy Francyi nie byłem wprawdzie na tyle przy pieniądzach, jak w czasie drugiego i trzeciego pobytu, na początku kwietnia i w maju 1814 r., wszelako nie znalazłem się i tu bez pomocy. Pan Hieronim Jaraczewski, jeden z wiecznych Polaków paryskich, od czasów konwencyi i dyrektoryatu bawiący w Paryżu zawsze na wyjeździe, a ulubionych miejsc opuścić nie mogący, 50-letni kawaler, stary przyjaciel mojego ojca, wspólnik gry i zabaw, dowiedziawszy się o mojem przybyciu i szczupłych funduszach, ofiarował mi swą pomoc jak najuprzejmiej. Nie nadużyłem jego grzeczności; przyznałem, że nie jestem bardzo zamożny, i w tej chwili 10 Napoleonów w złocie przyjąłem. Te w czasie drugiego pobytu w Paryżu oddałem mu z wdzięcznością, po sprzedaży dwóch koni wierzchowych moich do Wersalskiego zakładu. Pan Jaraczewski odbierając te pieniądze, z zadziwieniem przyznał, że pierwszy raz mu się zdarzyło, aby młody człowiek w Paryżu bawiący,

poczuł się do obowiązku oddania zaciągniętego długu, i wszędzie mnie z tego względu zalecał.

Zabawiwszy dwa tygodnie w Paryżu, udałem się na St. Denis do Pontoise, gdzie zakład nasz zastałem. Przepędziwszy tu parę tygodni jak najsmutniej, w mieście tem bowiem żadnego towarzystwa ani biblioteki nie znalazłem, udałem się do Versailles, na St. Germain, dla sprzedaży dwóch koni wierzchowych moich, za które około 1.100 franków wyliczono mi. Interes ten zabrał mi dni kilka, które przepędziłem jak najprzyjemniej w domu p. Jontaines, dozorcy sztucznych wód ogrodu Wersalskiego. Ten zacny obywatel przewodnikiem był moim w zamku, w ogrodach, ręku Le Notre zasadzonych, w Marly, w małem i wielkim Trianon, w St. Cloud, Sérres i w całej okolicy. Dom jego, kabryolet, wszystko było na moje usługi; gdy chciałem jechać do Paryża, ofiarował powóz i konie, towarzystwo spraszał dla mojej zabawy i t. d. Jego uprzejmość nadzwyczajna, obok wdzięków córki 16-letniej, pojednała mnie cokolwiek z towarzystwem francuskiem, którego zimne dla nas cudzoziemców i wyrachowane przyjęcie uderzało nas wszędzie jak najdotkliwiej.

W połowie marca wróciłem do Paryża, poleciwszy panu Fontaines odebranie z kasy zakładu wersalskiego pieniędzy za dwa moje i dwa Prądzyńskiego konie, i zabawiłem tam aż do dnia 30 marca, dnia bitwy przed murami stolicy. Z rana odebrałem polecenie od jenerała Dąbrowskiego udania się jaknajspieszniej do Pontoise dla sprowadzenia wszystkich oficerów naszego zakładu do Paryża. Zamiarem rządu bowiem było postawić ich na czele legionów gwardyi narodowej paryskiej, której brakło doświadczonych oficerów. Lecz ten rozkaz zapóźno wydany, nie dał się wykonać. Pospieszyłem do Wersalu, huk dział dalekich od strony Romainville i Montmartre towarzyszył mojej podróży. Pozdrowiwszy familią Fontaines i zmieniwszy konia, opatrzony dobrym przewodnikiem, udałem się lasami do Pontoise. Przybywszy tam o godzinie 5. z rana, wręczyłem dowódzcy zakładu moje rozkazy i sam

wypocząwszy parę godzin, powróciłem do Versailles, dnia 31. marca. Lecz dojechawszy do St.-Germain w Saye, zastałem tam pierwszą wiadomość o kapitulacyi stolicy. Smutna ta nowina nie zatrzymała mnie jednak; puściłem się na koniu jenerała Dąbrowskiego do Versailles; dochodząc do bramy parku, uprzedzony zostałem przez posterunek gwardyi narodowej, że oddziały garnizonu paryzkiego zrana przeciągnęły przez miasto, i nieprzyjaciel co chwila jest spodziewany. — Nie było czego się dłużej namyślać, powróciłem zatem do St.- Germain, stamtąd do Pontoise; nazajutrz dnia 1. kwietnia, wyruszyłem z całym zakładem Polskim do Neutan, następnego dnia do Nantes, i tu przebywszy Schwanę, zwróciłem się ku Evreux, miastu drewnianemu w departamencie de l'Eure.

Spotkał mnie tu przykry przypadek. Na drodze kamiennej pstrokata klacz jenerała Dąbrowskiego potknęła się podemną, spadłem z niej na głowę, ostroga została w strzemieniu i wleczony byłem pareset kroków po twardej szosie tak długo, dopóki ostroga nie oderwała się. Podniesiono mnie nawpół żywego i zawieziono do Evreux; tu dopiero w domu poczciwego księdza opatrzony byłem i po 2-ch dniach wypoczynku mogłem w dalszą puścić się drogę. Z Evreux na Verneuil, Mertaigne, Mamers udałem się do Mans i tam około 10. kwietnia połączyłem się z jenerałem Dąbrowskim i z kolegami. Klimat tego miasta znacznie się różnił od okolic Paryża. Tu wszystko już było w kwiecie i w zieloności. Wielkanocne święta się zbliżały. Dostałem kwaterę u 60-letniej hrabiny, francuskiej dewotki, ściśle posty obserwującej, która mnie cały tydzień ostatni 7 razy odgrzewanym karpiem karmiła, w nadziei pulardy, którą mi na moją przekorę codzień pokazywała. Nie zapomnę nigdy bostona, w którego grać musiałem co wieczór z tą damą, z drugą jej przyjaciółką 65-letnią i starym abbatem, przewodnikiem ich sumienia. Nudny to był tydzień. Dopiero w Niedzielę Wielkanocną znaleźliśmy się wszyscy u jenerała Dąbrowskiego na święconem staropolskiem zebrani, którego honory sa-

ma pani jenerałowa szczerą uprzejmością nam robiła. Miasto Le Mans pamiętne jest w wojnie Wendejskiej z klęski okropnej, zadanej przez wojsko republikańskie królewskiemu wojsku. Ślady tej klęski jeszcze nie były zatarte.

Po dwóch tygodniach pobytu w tem ładnem mieście, jenerał Dąbrowski wezwanie odebrał do Paryża.

Cesarz Napoleon dnia 11. kwietnia podpisał akt abdykacyi w Fontainebleau. Artykuł 19 konwencyi w Fontainebleau obejmuje następne dla wojska polskiego zarządzenie: »Polskie wojska wszelkiej broni, stojące w służbie francuskiej, mają wolność powrócenia z bronią i bagażami do ojczyzny. Na dowód ich chwalebnej służby oficerowie, podoficerowie i żołnierze zachowają dekoracye udzielone im i pensye, do tychże dekoracyi przywiązane«. Tym aktem uwolnieni byliśmy od obowiązków względem Napoleona. Do naszych dowódzców należało zapewnić nam los dalszy i los ojczyzny naszej. Korpus polski, zostający w Fontainebleau, wysłał natychmiast deputacyę do cesarza Aleksandra, na czele której znajdowali się jenerałowie: Sokolnicki, Krupiński i inni. Oświadczenia odebrane od cesarza, zaspokoiły wszystkich. Obok wyrazów pełnych szacunku dla nas, przyrzekł nam wolny zbrojny powrót do ojczyzny; o jej przyszłych losach nie dał wprawdzie żadnego zaręczenia, lecz zostawił nas pełnych nadziei. Audyencya ta, pierwsza a wspaniałomyślna, zjednała cesarzowi serca wszystkich przytomnych. Jedno tylko słowo z jego strony, w mniemaniu jego pochlebne, nie zdołało większej radości wzbudzić w deputacyi wojska polskiego, była to obietnica oddania nas pod komendę Wielkiego Księcia Konstantego.

Około 15. kwietnia opuściłem Le Mans i udałem się pocztą z Prądzyńskim do Versailles przez La Ferté, Nogent, Chartres, Rambouillet.

W tem mieście ostatniem cesarzowa Marya Louisa zatrzymała się z synem i oddała się w ręce sprzymierzonych. Pułk szwoleżerów gwardyi rosyjskich stał około zamku i służbę

pełnił przy jej osobie. W czasie naszego przejazdu spotkaliśmy cesarza Franciszka i króla pruskiego, udających się do niej. Dnia 16 kwietnia w Versailles wysiadłem u p. Fontaines, który nas z otwartemi rękami przyjął i nazajutrz całą u niego złożoną sumę w złocie wypłacił. Mieliśmy każdy około 1.200 franków na pierwsze wydatki w Paryżu. Jenerał Dąbrowski stanął w hotelu de l'Europe przy Palais Royal. Prądzyński, ja i Valentin d'Hauterive wybraliśmy sobie tańsze pomieszkanie przy rue du Colombier, na lewym brzegu Sekwany.

Przepędziłem w Paryżu blisko 6 tygodni. Czas ten nie zszedł mi napróżno. — Podzieliłem go w ten sposób; z rana zwiedzałem galerye obrazów, biblioteki, fabryki gobelinów, gmachy, kościoły, okolice Paryża, zamki cesarskie; wieczór poświęcony był zabawie w teatrach stolicy: Operze Wielkiej, Feydeau, Téatre Français, gdzie wówczas królowali Talma, panny: Mars, Duchesney, Geerge, panowie: Fleury, La Fond i inni. Zwiedzałem też Odeon czyli Włoską operę, Varietés, Vaudeville. Około godziny 1. spacer w ogrodzie Tiuleryj, albo Luxemburga. Jadaliśmy obiad w różnych restauracyach, od najtańszych do najdroższych; od table d'Hote po 2 franki do 12 franków u Nery, au Caveau, Fréreu. Śniadanie w Caffé Corazzi, aux Mille Colonnel i t. d.

Inni koledzy mniej korzystnie czas swój zabijali, przepędzając dnie i noce w domach gry w Palais royal, gdzie przy Rouge i Noir przegrywali znaczne sumy. Mnie nigdy chęć nie wzięła stawienia 5 franków na stolik zielony; nawet przykład marszałka Blüchera, w czarnym wytartym fraku z 50 krzyżami na szyi, namiętnie stawiającego, nie mógł mnie do gry nakłonić. Michał Mycielski, Tadeusz Ostrowski i inni mniej wstrzemięźliwymi odemnie się okazali. Nie pamiętam którego dnia była uroczystość dziękczynienia Bogu za odniesione zwycięstwo przez sprzymierzonych, w przytomności cesarza Aleksandra, cesarza Franciszka i króla pruskiego. W tym dniu wszystkie gwardye rosyjskie, pruskie i wybór austryackiego wojska, około 60.000, uformowały wielki czworogran

na placu Concorde. Na środku stał ołtarz, przy którym księża 3-ch wyznań: greckiego, katolickiego i ewangelickiego odbywali swoje modły i przy odgłosie dział zaśpiewali *Te Deum laudamus* wobec ludności paryskiej, cieszącej się z tego widowiska. Jakże podłym zdawał się ten naród, który przed kilku dniami wołał: *Vive l'Empereur*, a dziś gdy potęga jego skruszona, obrazy jego deptał, posąg jego na kolumnie Vendoma policzkował i zrzucić z podstawy usiłował, z okrzykiem *à bas Nicolas, à bas l'Usurpateur, à bas le Corse!* Postawa wojsk była piękna, lecz wymuszona. Obok sążnistych grenadyerów pułku Siemianowskiego i Preobrażeńskiego, widziano młodych 18-letnich oficerków rosyjskich, policzkujących tych starych weteranów za każde uchybienie. Dziwny ten i barbarzyński sposób obchodzenia się z podwładnymi, wzbudzał śmiech w paryżanach i do wielu karykatur na zwycięzców dawał im powód. Ten tylko jedynie dowód niechęci dla cudzoziemców spostrzegłem w paryżanach; zresztą jak najobojętniej przyjmowali tak nagłą zmianę, i owszem cieszyli się z ogromnych zysków, jakie pobyt zwycięskich wojsk sprzymierzonych przynosił ich kramom.

Paryż roku 1814 inny był wcale od Paryża rok 1850. Wszystkie pomniki sztuki, za dyrektoryatu i konsulatu zagrabione z Włoch i Niemiec, znajdowały się w jego murach. Galerya Louvru przepełniona nimi była. Przeobrażenie Rafaela, śmierć S. Hieronima przez Dominikina, Venus Medyceyska, Appolon Belwederski, posąg Laokona, gladyator umierający i inne przedmioty sztuki wystawione były na widok publiczny i tą razą uszanowane zostały przez zwycięzców. Rok później, za powtórnem wkroczeniem sprzymierzonych, wywiezione na zawsze i właścicielom oddane zostały.

Zasłużony odwet! Przed hotelem Inwalidów stało na postumencie sławne quadrygium, zabrane z placu St. Marka w Wenecyi. Tych nawet zwycięsca nie ważył się tą razą ruszyć.

Wjazd Ludwika XVIII.

Dnia 4. maja nastąpił wjazd uroczysty króla Ludwika XVIII. Siedział w powozie staroświeckim

z księżną Angouleme, z książętami Angouleme, Bourbon, Condé, w ubiorach wieku 18., otoczony gwardyą honorową z samych młodych rojalistów, i gronem jenerałów i oficerów cudzoziemskich. Przed powozem szła stara gwardya Napoleona w ponurem milczeniu, z wzrokiem pogardliwym, wyrzucającym lekkomyślnym paryżanom nagłą zmianę ich uczuć. W całej postawie tych starych weteranów poznać można było zwycięzców Europy i pamięć na starego wodza. Nie tak łatwo dali się oni ugłaskać. W nich jednych jeszcze powaga całego narodu spoczywała.

Kilka dni później szczątki polskiego wojska, pod rozkazami jenerała dywizyi Wincentego Krasińskiego, na polu pod St. Denis odbyły przegląd przed cesarzem Aleksandrem, w przytomności wielkiego księcia Konstantego i luźnego grona oficerów wojsk sprzymierzonych; wielki książę Konstanty, objąwszy zrana dowództwo nad nami, przedstawiał cesarzowi rozmaite oddziały wojska, jenerałów i oficerów pojedyńczych, i raport mu wręczył. Cesarz z ujmującą łaskawością przemówił do wojska w pochlebnych wyrazach, powtórzył obietnice, dane wysłanej do niego deputacyi jenerałów; rozmawiał z jenerałami i oficerami sztabowymi; nareszcie nas najuprzejmiej pożegnał, dodawszy »do zobaczenia w Warszawie«. Zebrany tu korpus składał się z różnych pułków, ogółem 4.740 ludzi.

Z jenerałów polskich przytomni byli: Dąbrowski, Sokolnicki, Wincenty Krasiński, Pac, Kurnatowski, Aksamitowski, Krukowiecki, Falkowski i wielu innych.

Oddział 100 koni pod pułkownikiem Jerzmanowskim, wskutku układów towarzyszył Napoleonowi na wyspę Elbę.

Wizyta u Kościuszki.

Wspomnieć mi tu jeszcze wypada o interesującej wizycie naszej naczelnikowi Kościuszce w Paryżu, w towarzystwie jenerała Dąbrowskiego i wielu innych oficerów. Widok zasłużonego i wiekiem już schylonego starca, wzbudził w nas wszystkich wielkie rozrzewnienie. Pamięć już osłabiona nie poznawała dawnych podkomendnych, przypominających się jemu. Był to tylko cień dawnego naczelnika, zwycięzcy pod

Dubienką, Racławicami, Warszawą. Ze smutkiem pożegnaliśmy szanownego starca. Kilka dni przed naszą bytnością, cesarz Aleksander z całym swoim sztabem oddał hołd cnocie zacnego obrońcy naszych wolności i tym wspaniałomyślnym krokiem powiększył sympatyę naszą dla jego osoby.

W czasie luźnych moich spacerów spotkałem oficerów pruskich, dobrze mi znajomych z czasów szkolnych. Byli to pp.: Scheffer, porucznik od brunatnych huzarów, pełniący służbę przy jenerale Barklay de Tolly; hrabia Goltz i hrabia Karol Schaffgotsch, oficerowie Landwery. Przywitanie było uprzejme. Ostatnich dwóch zaprosiłem nazajutrz do Werego i kilka chwil przyjemnych z nimi przepędziłem.

Pierwszą wiadomość od rodziców, po 17 miesiącach upłynionych od czasu wyjazdu z domu, odebrałem przez pana Kameneckiego, byłego adjutanta księcia Poniatowskiego, w liście kuzynki mojej panny Joanny Grudzińskiej. Wiadomość ta niespodziewana i tak upragniona przyspieszyła mój powrót do kraju.

Wyjazd z Paryża.

Dnia 30. maja podpisany został pokój paryzki. Monarchowie sprzymierzeni opuścili Paryż. Korpus nasz odebrał rozkaz powrotu do ojczyzny. Jen. Dąbrowski, obwarowawszy u rządu francuskiego zaległy nasz żołd, wynagrodzenie za stratę koni i koszta podróży dla oficerów sztabowych. w końcu maja wezwał mnie do towarzyszenia mu w podróży do Poznania. Po odebraniu zaległości, sprzedaży 2 koni i wynagrodzeniu straty jednego konia pod Lipskiem, znalazłem się panem kilku tysięcy franków w złocie. Część tych pieniędzy przeznaczyłem wspólnie z Prądzyńskim na zakupienie karetki o 2 kołach, opatrzonej w podróżne kufry, i na kosztowne upominki dla rodziców i sióstr. Nareszcie pożegnaliśmy Paryż, którego więcej nie miałem oglądać i puścili się pocztą za jenerałem Dąbrowskim, na Moguncyę przez Chalons, Verdun, Metz; w Frankfurcie nad Menem zatrzymawszy się dzień jeden, przez Fuldę, Gotha jadąc, stanęliśmy w Lipsku pierwszych dni czerwca, a po krótkim odpoczynku skróciwszy drogę

przez Torgau, Suchau, Züllechau, z radością niewypowiedzianą powitaliśmy ziemię ojczystą. W Wolsztynie, pierwszem mieście polskiem, pan Adam Gajewski właściciel tegoż miasta, zaszedł nam drogę na poczcie i zaprosił do swego domu. Zastaliśmy tam szanowną żonę p. Gajewskiego, dwie córki i panią Brezową, żonę ministra sekretarza stanu z córką panną Julią, później panią Wołowiczową. Przyjęcie tak było uprzejme, ciekawość dam tak wielka, iż nie mogliśmy wystarczyć na różne zapytania. Po dobrym polskim obiedzie, puściliśmy się w dalszą drogę do Poznania, niecierpliwi oglądać rodziców. Stanąłem nad ranem w Poznaniu, i pospieszyłem w objęcia rodziców i siostry młodszej Anieli. Któż zdoła opisać radość całego domu na widok ukochanego syna, ozdobionego krzyżami, obeznanego z światem paryskim.

Rodziców zastałem w nierównie lepszym stanie majątkowym aniżeli przed rokiem. Matka po śmierci dwóch wujów Krzyckich, odebrawszy znaczny spadek, przeszło 300.000 złotych polskich wynoszący, część tych sum przyniosła w ofierze ojcu i tym sposobem przez niejaki czas zdołała zepsuty kredyt na nowo podnieść. Ojciec z nową energią chwycił się gospodarstwa i wielką część długów popłacił. Rodzice mieszkali na Topolowej, teraz Wilhelmowskiej ulicy, i dom skromny prowadzili.

Jenerał Dąbrowski w wilią naszego przyjazdu stanął także w Poznaniu. Jenerałowie ks. Sułkowski, Umiński przybyli wkrótce na jego powitanie. Zaczęto zapraszać nas na obiady, wieczory, bale. Ozdobą tych wieczorów były panny Grudzińskie, panna Julia Breza, Eufemia Engeström i wiele innych młodych dam.

Lecz widok wrogów i zwycięzców naszych miał nas i tu boleśnie prześladować. Komendantem Poznania był jenerał Weliaminów; garnizon składał się z wojsk szaro ubranych, podobniejszych do zwierząt aniżeli do ludzkich postaci. Na placach publicznych musztrowano rekrutów, odgłos kijów i rózg rozlegał się po mieście. Taki widok mógł cokolwiek

TADEUSZ KOŚCIUSZKO W PODESZŁYM WIEKU.

(Współczesny portret Riekera w Solothurn).

(Wzmianka na str. 117).

radość naszą przytłumić i zastanowić nad przyszłą nadzieją połączenia się pod jednem berłem z tymi ludźmi. Wszelako i tu rozsądek nakazywał nam cierpieć i milczeć.

Tymczasem korpus polski pod dowództwem jenerała Krasińskiego zaczął się zbliżać do naszych granic. W końcu czerwca pierwsze oddziały stanęły w Poznaniu. Marsz korpusu szedł na Nancy, Strasburg, Lipsk, Kottbus.

W Nancy ludność i władza, pamiętne na błogie rządy króla Stanisława Leszczyńskiego, przyjęły ziomków jego z nadzwyczajną uprzejmością. Jenerał Sokolnicki z oficerami korpusu urządził nabożeństwo żałobne na cześć i pamiątkę filozofa ukoronowanego. Dowód ten uszanowania wielkie wrażenie sprawił na mieszkańcach Lotaryngii.

W Lipsku wydobyte z grobu zwłoki wodza naszego, księcia Poniatowskiego i na katafalku umieszczone, pod eskortą oddziału wojska i oficerów sztabowych zawieziono do Warszawy, gdzie uczczone wspaniałym pogrzebem w kościele św. Krzyża, później przeniesione zostały do grobu królów naszych w Krakowie, obok grobu Sobieskiego. Jenerał Krasiński przybywszy do Kottbus rozłożył oddziały swoje w okolicznych wsiach; sam z kompanią woltyżerską i sztabem swoim kwaterę zajął w mieście.

W czasie marszu przez Niemcy widok zbrojnej kolumny naszej, co niedawno walczyła przeciwko nim w szeregach Napoleona, wzbudzała wszędzie nienawiść mieszkańców i pomimo karności i umiarkowania oficerów i żołnierzy, w wielu miejscach przyszło do starcia. Dowódzcy nasi potrafili jednakże zapobiedz wszędzie wybuchowi przeciwnych sobie namiętności przez łagodne mowy i spokojną swoją postawę.

W Kottbus, miasteczku Saskiem, nie tak szczęśliwie im się powiodło. W dniu przybycia naszych nakazana była uroczystość z powodu zwycięstw sprzymierzonych. Mieszkańcy i landwery pruskie, widokiem naszym tknięci, napojami rozognieni, zaczęli szukać okazyi z żołnierzami naszymi. Nadarzyła się im sposobność przy odbieraniu żywności i furażu

przez naszych. Od słów przyszło do gróźb, od gróźb do razów; nareszcie zaczęli się zbierać w tłumy zbrojne i napadać na pojedynczych żołnierzy, rozkwaterowanych po mieście; widząc słabsze naszych siły, zuchwałość coraz dalej zaczęli posuwać; w końcu w masie kilkuset ludzi rzucili się na kwaterę jenerała Krasińskiego. Jenerał wyszedł naprzeciwko nich ze spokojnem czołem i zaczął w wyrazach najprzyzwoitszych pytać o ich żądania. Lecz przygłuszony krzykiem rozbestwionej zgrai, musiał się cofnąć do swego pokoju. Lecz i tu za nim wpadli, zabiwszy syldwacha od woltyżerów rozbili drzwi do pokoju, jeden z nich nareszcie jenerała pałaszem ciął w głowę. W tej chwili oficerowie i władze miejskie przybiegły i jenerała wyratowały z rąk wściekłego ludu. Lecz wiadomość o tem, co się dzieje w mieście, dochodzi do oddziałów naszych, rozkwaterowanych po wsiach okolicznych. Zatrąbiono na alarm, jazda wsiada na koń, piechota rzuca się do broni i całe wojsko z armatami nabitemi staje u bram miasta, gotowe do ich wyłamania i wycięcia w pień żołnierzy pruskich. Na ten widok przestraszeni mieszkańcy rzucają się do nóg jenerałowi Krasińskiemu i żebrzą przebaczenia. Opatrzywszy ranę swoją, wyszedł naprzeciwko kolumn polskich i opowiedziawszy cały wypadek, wystawił wszystkim położenie nasze, niepodobieństwo pomszczenia krzywdy orężem w ręku i skutki, jakie ze starcia się z wojskiem pruskiem wyniknąć dla nas by mogły. Złagodziwszy umysły naszych, obrócił się do dowódzców pruskich, kazał im zebrać żołnierzy i wyjść za miasto. Uczynili to w milczeniu i noc przepędzili na polu. Kolumny nasze obsadziły natomiast Kottbus. Nazajutrz jenerał Krasiński opuścił z wojskiem niegościnne miasto.

Napaść w Kottbus ze strony niemieckiego ludu.

Raport o tym haniebnym napadzie przesłany został cesarzowi Aleksandrowi, który się dyplomatyczną drogą upomniał za naszą krzywdę u sprzymierzeńca.

W kilka dni po tym wypadku, który nie mało się przyczynił do podniesienia ducha nienawiści żołnierzy naszych

przeciwko Niemcom, czoło kolumny naszej przybyło do Poznania. Jenerałowie Dąbrowski, Kosiński, Umiński, książe Sułkowski wyjechali naprzeciw i pod łukami tryumfalnymi przy okrzykach ludności i odgłosie dzwonów wszystkich wprowadzili do miasta.

Wspaniała uczta czekała oficerów i żołnierzy. Po uczcie rozpoczęły się tańce na placu teatralnym, wieczorem iluminacya i bal w teatrze.

Trwały zabawy w ten sposób przez dni kilka. Proszony na te zabawy komendant Welliaminoff wraz z cywilnym naczelnikiem (obłaźnym) przypatrywał się tym demonstracyom patryotycznego uczucia z jaknajwiększą spokojnością. Surowymi rozkazami zapobiegł wszelkim sporom i starciom, a nawet przez szpary patrzał, gdy który z Rosyan szturchańca oberwał. Wiedział dobrze, iż odwet niedaleki. Prócz tych dwóch osób, nikt więcej z Rosyan nie był na wieczory i bale proszony. Uczuli to do żywego ich oficerowie, i tem tylko dali nam poznać swoją drażliwość, iż w czasie tańców naszych dam z żołnierzami na placu teatralnym, jeden z kadetów rosyjskich, wyprostowany jak świeca i wyperfumowany elegant, podał rękę jednej damie polskiej, zapraszając do poloneza. Tyle rozsądku miała, iż nie odmówiła. Prawdę mówiąc, ci panowie oficerowie rosyjscy byli dość podobni do niedźwiedzi w tym czasie; później się znacznie ucywilizowali i w polorze zewnętrznym przeszli wnet naszych. Lecz oni byli zwycięzcami, my zwyciężonymi. O jakże to boli słuchać niższych umysłowo od siebie!

Po wyjściu naszych oddziałów z Poznania udałem się na wieś do rodziców; kilkanaście dni przyjpmnych przepędziłem w Sielcu z siostrami ciotecznemi, pannami Grudzińskiemi, odwiedziłem panią Engestrom, bliską krewnę mojego ojca w Jankowicach i t. d.

Na początku jesieni r. 1814 odebrałem rozkaz od jenerała Dąbrowskiego, aby się udać do Torunia, w towarzystwie szefa batalionu Prądzyńskiego i porucznika od inżenierów

Wilsona. Twierdza ta miała garnizon rosyjski pod komendą jenerała Poltarackiego. Polecono nam zameldować się jemu i zająć się zdejmowaniem planu. Cel jenerała Dąbrowskiego był jednakże inny. Nie będąc pewnym czy Toruń Prusom odstąpiony nie będzie, lub przy rządzie spodziewanym polski pozostanie, chciał mieć kilku oficerów w twierdzy, jako rodzaj objęcia w posiadanie. Jenerał Dąbrowski jednakże w tym względzie zupełnie się omylił. Los bowiem Torunia na kongresie wiedeńskim dopiero się rozstrzygnął.

Toruń w roku 1814 składał się 1) z obwodu bastyonowego o 5 frontach i linii nieforemnej, przytykającej do lewego końca szyi; część ta wałów była darniowana i głębokim rowem, wodą oblanym, opasana; przed rowem był stok z drogą krytą a na środku każdego frontu luneta; 2) z muru wysokiego o wielu wieżach, oblanego także dokoła wodą, stanowiącego drugą linię obronną; 3) z szyi murowanej z basztami starożytnemi, zamykającej miasto od Wisły; 4) z szańcu przedmostowego na prawym brzegu Wisły w stanowisku panującem nad mostem palowym na Wiśle. Dzieło to z wielkiem staraniem wystawione przez inżynierów rosyjskich, było pięknie odziane, palisadowane w rowach i w szyi; 5) z szańcu odwodowego na wyspie, przedzielającej dwa mosty na Wiśle, opatrzonego blockhauzem. Toruń w roku 1814.

Budynki wojskowe nie wystarczały na umieszczenie załogi chorych, zapasów żywności, składów inżynierskich lub artyleryjnych.

Twierdza Toruń prócz niedogodności, wynikającej z bliskości gór, panujących nad lewem skrzydłem (prawa strona bowiem także panująca, zajęta była lunetą dla odległości od twierdzy do obrony trudną) nie była w czasie zimy, gdy rowy zamarzają, od szturmu pewną. W stanie dzisiejszym, gdzie profil, narys i dzieła zewnętrzne tyle przekształceń doznały, nie zapobieżono tej niepewności innym sposobem, jak tylko przez mocniejsze urządzenie drugiego murowanego obwodu.

W późnej jesieni zaczęły przechodzić przez Toruń kolumny wojska rosyjskiego, powracające z Francyi; nie poznałem ich, tak się zmieniła powierzchowność, cera żołnierza i ułożenie oficerów przez czas krótkiego pobytu we Francyi. Duch żołnierzy był także inny. Skosztowali wina i chleba białego, widzieli stan rolnika, usłyszeli słowa wolności. To wszystko pewne wrażenie na ich umyśle zrobiło. Lecz skoro granicę ojczyzny swojej przestąpili, kij, władca niezaprzeczony, wszystkich wziął w karby i wybił myśli wolności z głowy. W oficerach jednakże zaród dłużej pozostał.

IV.

Królestwo Kongresowe.

Część zimy z r. 1814 na 1815 przepędziłem w Toruniu, czynnie się zajmując zdejmowaniem i niwelowaniem twierdzy. W pierwszych dniach roku 1815 prosiłem o urlop do Warszawy, powodowany do tej podróży listem pułkownika Malleta, zapytującym mnie w uprzejmych wyrazach, czyliby na przypadek postąpienia jego na jenerała, komendanta korpusu inżenierów, nie chciał przyjąć przy jego boku miejsca adjutanta. Propozycya ta z jego strony, jakkolwiek pochlebna, nie odpowiadała moim życzeniom. Znając bowiem egoizm charakteru Malleta mogłem się spodziewać, iż dla własnych widoków raczej by tamował, aniżeli przyspieszał mój przyszły awans. Nie czułem także żadnego usposobienia do przenoszenia wiecznie na papier myśli niedorzecznych pułkownika Malleta w wydziale inżynierskim i budowniczym. Wreszcie straciłem zupełnie serce do niego od czasu kampanii 1812 r., gdzie w chwili nagłej potrzeby i największego niedostatku, nielitościwie odmówił mi swojej pomocy. Grzecznie więc odmówiwszy, postanowiłem starać się o umieszczenie w sztabie kwatermistrza Gluye, który się tworzył pod przewodnictwem jenerała Hanke. W tym więc celu pojechałem do Warszawy.

Zastałem tam wszystkich zajętych przygotowaniem organizacyi przyszłego wojska polskiego; w tym celu pod na-

ЕГО ИМПЕРАТОРСКОЕ ВЫСОЧЕСТВО ЦЕСАРЕВИЧЪ И ВЕЛИКІЙ КНЯЗЬ

КОНСТАНТИНЪ ПАВЛОВИЧЪ.

Москва 1827 Года.

WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY PAWŁOWICZ.

(Malował L. Łobinow, sztychował O. Kisielew).

czelnictwem wielkiego księcia Konstantego utworzony został komitet wojskowy. Jenerałowie z czasów 1791 i 1792 r. przywołani do niego także zostali a mianowicie: jenerał Wielhorski, jenerał Wawrzecki, naczelnik po Kościuszce, i jenerał Sierakowski. Pierwszy służył w legionach włoskich i dystyngował się przy obronie Mantuy, lecz był już starcem i kaleką zupełnym na nogi. Drugi na ustroniu przepędził czasy od 1794 roku do 1814, t. j. dwadzieścia lat zupełnie nieczynnie, ale jeszcze jakaś żołnierska jędrność w nim przebijała. Trzeci nareszcie przez ten czas zatrudniał się na Podolu częścią wychowaniem bogatej młodzieży, częścią komisarstwem dóbr wielkich magnata polskiego. I ten niczego się nie nauczył, i niczego nie zapomniał. Otyłość jego nadzwyczajna wszelką mu czynność utrudniać musiała i poszła w przysłowie. Była to nieforemna masa, z krwi i tłuszczu złożona, do myślenia zdaje się zupełnie niezdatna, a przecież człowiek ten, którego z trudnością z miejsca byś poruszył, zatrudniał się ciągle matematyką i lubił rozprawy w tym przedmiocie rozpoczynać. Prawda, że dalej nigdy nie zaszedł jak do algebry Śniadeckiego i jeometryi L' Hulliera. Prócz tych jenerałów starego autoramentu, wezwani byli do komitetu jenerałowie: Dąbrowski, Zajączek, nie pomnę czy i Kniaziewicz. Szanowne to było grono weteranów polskich, którego ojczyzna nigdy pewnie już nie zobaczy. Brakło tylko jednego Kościuszki.

Wielki książę Konstanty, w ciągłym związku z komitetem zostając, zajął się wielką czynnością organizacyi wojska polskiego. Niebrakło ani żołnierzy ani oficerów do zapełnienia kadrów 30.000-cznego zamierzonego wojska. Z Francyi powróciło do 5.000 żołnierzy. Garnizon Zamojski, rozpuszczony po poddaniu, wynosił do 2.000; garnizon Gdański składając broń, również do domów został puszczony. Siłę jego podaje kapitan D'Artois w dziele swoim Obrona Gdańska na 3.500 ludzi; o garnizonie modlińskim nie wspominano, ponieważ Litwinów, z których się składał, puszczono do domów a później do wojsk rosyjskich wcielono. Dodajmy do tych

10.000 ludzi, 4.000 niewolników z pod Lipska, 3.000 zbiegów od Lipska do granic francuskich, nareszcie niewolników wszystkich polskich z kampanii 1812 r., zapędzonych na kaukazką linię i do służby przeciwko góralom zmuszonych, a teraz na drodze do kraju będących, w liczbie od 7 do 8.000, a otrzymamy ogół 25.000 starego żołnierza. Po rozpuszczeniu mniej zdatnych do służby, jako to rannych i chorych, zostało się przeszło 20.000 ludzi, mogących wejść w kadry nowej organizacyi. Lecz Wielki książę, któremu więcej chodziło o zabawkę, a którego cesarz Aleksander dlatego pewnie postawił na czele wojska polskiego, ażeby mu dać zatrudnienie i odwrócić jego żywy umysł od innych spraw ważniejszych w państwie, zamiast korzystania z tak pewnej i pięknej podstawy, pogardził starymi zabytkami legionów i pułków napoleońskich, i znaczną część żołnierzy kazał do domów rozpuścić, nie zapewniając wielu z nich nawet przyszłego utrzymania. Miałże uszanować starych wojowników ten sam książę, który zwykł mówić: »nie lubię wojny, ona psuje ludzi, wala mundury i nadwereża karność!« Musiał więc z wycieńczonego kraju wybierać rekrutów dla dopełnienia kadrów. Przyjęto nareszcie organizacyę tęż samą na 2 dywizye piechoty o 6 pułkach, 1 pułk grenadyerów gwardyi, i 2 dywizye jazdy o 4 pułkach i pułk strzelców konnych gwardyi, o której w rocznikach wojskowych, od r. 1816 do 1830 wydawanych, zaczerpnąć czytelnik może najdokładniejszą wiadomość.

Na czele korpusu artyleryi i inżynierów stanął jenerał Sierakowski, pod nim dowodził artyleryą jenerał Redel, inżynierami jenerał Mallet. Kwatermistrzostwo jeneralne objął jenerał Maurycy Hanke, obrońca Zamościa.

Udałem się do tego ostatniego jenerała z wynurzeniem życzeń moich służenia pod jego rozkazami.

Lecz gdy o to zapytany jenerał Mallet, oświadczył, iż pierw odebrał odemnie zapewnienie pozostania w dawnej broni, co było zupełnem kłamstwem; nie mogąc z powodów

służbowych zadać mu wręcz kłamu, lubo bardzo niechętnie, pozostałem w korpusie inżynierów.

Odraza, jaką miałem do służenia w tym korpusie, zasadzała się szczególnie na znajomości dokładnej indywiduów, z których się składał korpus oficerów. Po przeniesieniu Prądzyńskiego do kwatermistrzostwa, nikogo nie miałem pomiędzy oficerami, z którymibym mógł po przyjacielsku obcować. Wielu z nich nosiło nazwiska niemieckie i było Niemcami w duszy: mianowicie podpułkownik Minter, kapitanowie: Miller, Heriot, Rossmann, Engelricht, Linsenbarth; porucznicy: Thomas, Titz, Baumann, Horn i t. d. Wszyscy wprawdzie znali praktycznie swoje rzemiosło, lecz żadnych teorycznych wiadomości nie posiadali, żadnego wykształcenia naukowego nie mieli, do tego byli to bez wyjątku ludzie źle wychowani, z którymi żadnej styczności prócz służbowej nie było mieć można; byli to poprostu mularze i cieśle, wyjąwszy Mintera. Z Polaków zaś ani jednego nie było, w którym bym mógł położyć zaufanie; wszyscy prawie, wyjąwszy podpułkownika Męciszewskiego, który w stopniu kapitana inżynierów służył w armii austryackiej i przeciwko nam stał w r. 1809, nie mieli ani nauki ani praktyki, i wcale chęci nie pokazywali postąpienia dalej w sztuce inżynierskiej; do tego zarozumiali, jak bywa z ludźmi ciemnymi, pełni przywar i śmieszności. Jeden tylko porucznik Wilson mógł pociąg niejakiś wywierać na mnie, lecz był namiętnym graczem, a przez to samo od niego stroniłem.

Niewiele także miałem szacunku dla dowódzców. Mallet, lubo w służbie inżynierskiej francuskiej wykształcony, zbyt mało posiadał wiadomości, aby cośkolwiek można było od niego się nauczyć, do tego był zazdrosny o każdy talent, skryty w udzielaniu owoców doświadczenia, w obietnicach fałszywy jak Włoch, nadskakujący starszym, egoista w najwyższym stopniu, tę tylko posiadał zaletę, iż na pieniądze nie chciwy. Ten był u niego dobrym oficerem, który cały dzień wypracowywał jego niedorzeczne plany i kadził jego miłości

własnej. Jakaż różnica pomiędzy nim a innymi oficerami tej broni w wojsku francuskiem! Ileż oni wyższymi pod każdym względem zdawali się mnie: naprzykład pułkownik Prevot Vernois, jenerał Crau, komendant inżynierów Modlina w roku 1813 i inni.

Teoretyczne wiadomości Malleta były bardzo małe, nie przechodził bowiem przez szkołę politechniczną, ani przez aplikacyjną w Metz, lecz miał praktykę, nabytą w czasie wojen włoskich w oblężeniach i przy robotach w Breście, Peschiera, Julich i Moguncyi, i z tego względu mógł się stać użytecznym. Dwuznaczność i obłuda jego charakteru, godne były jego ojczyzny Prowancyi. Gotów był z rewolucyonistami zaśpiewać: *ça ira*, a z monarchicznymi: *God save the king* tego samego wieczora. *Il faut hurler avec les loups, mon cher*, było jego przysłowiem. Zresztą był dość łatwym w pożyciu, łagodnym, grzecznym dla podwładnych, uprzejmy w przyjęciu domowem i panem siebie w najdrażliwszych momentach. Pułkownik Mallet, który powątpiewał o przyszłym losie swoim, a do Francyi nie miał ochoty wracać w stopniu kapitana inżynierów, udał się do podeszłych wdzięków pani Szydłowskiej, 60-letniej wdowy, która rozczulona jego miłością tak szczerą, i westchnieniami nieinteresowanemi, oddała mu w listopadzie 1814 r. majątek z ręką. Zastałem te młode i czułe małżeństwo w wiośnie szczęśliwości.

Takiego dowódzcę zupełnie nienawidzieć nie było można, lecz i kochać było mi trudno.

Pod nim prowadził rachunkowość podpułkownik Sałacki oficer inżynierów z czasów Konstytucyi 3. maja i wojen roku 1792 i 1794. Wykształcenie jego naukowe niebyło wielkie, posiadał jednakże pierwsze zasady sztuki swojej. Powierzchowność i całe ułożenie najlepiej malowały dworaka, wypolerowanego w atmosferze dworu Stanisława Augusta, oczekującego wszystkiego od wpływów i intryg podziemnych. Po rozbiorze kraju udał się do Puław pod protekcyę księcia Adama Czartoryskiego, byłego komendanta korpusu kadetów, i część

dóbr puławieckich pod zarząd swój dostał. W tem położeniu dorobił się miernego majątku. W r. 1809 zastałem go w Puławach, a po zakończonej wojnie wszedł napowrót w służbę w stopniu kapitana i odtąd tylko rachunkowością i administracyą funduszów się trudnił. Wiadomy jest jego niezasłużony a okropny koniec w nocy 15. sierpnia 1831 roku. W opisie tej wojny zamiarem jest moim wykazać niewinność Sałackiego, czego nikt dotąd jeszcze nie uczynił.

Podpułkownik Leonard Jodko dowodził inżynierami w Zamościu. Początek jego służby w korpusie inżynierów litewskich; wykształcenie naukowe nie wiele było wyższe od Sałackiego, więcej miał wprawdzie praktycznych wiadomości, lecz zato mniej poloru. Był to sobie prosty, dobroduszny Litwin, dobry kolega, zawsze wesoły, zwłaszcza przy ćwiku i kieliszku, i dobry żołnierz. Miło mi jest zachować pamięć tego poczciwego człowieka.

Podpułkownik Gutkowski, komendant drugi korpusu kadetów w Warszawie, po rozwiązaniu tegoż korpusu wysłany został jako komendant inżynierów *in partibus* do Lublina, gdzie *sine cura* spokojnie prowadził życie. Oficer ten, który nigdy nieprzyjaciela nie widział, miał powierzchowność tak śmieszną, tak niewojskową, iż w całym wojsku w przysłowie przeszła. Posiadał, jak na naszą niemądrą Polskę, dosyć wiadomości powierzchownych: pisał, tłomaczył wiele, za wiele nawet, zapełniał roczniki i dzienniki uczone swoimi artykułami, nigdy jednak z płytkości wybrnąć nie potrafił. Gutkowski był członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, do czynnej służby nie mógł być jednak użyty.

Podpułkownik Ronget, francuskiego pochodzenia, do roku 1812 drugi komendant szkoły aplikacyjnej, co do talentów wojskowych nie wiele stał wyżej od Gutkowskiego, jednakże ładniej rysował i z tego powodu miał powierzoną sobie dyrekcyę biura topograficznego. Do służby czynnej dla tępego słuchu zupełnie był niezdatnym. Był to człowiek uczciwy i dobry. Czwartym sztabsoficerem był podpułkownik

Minter Wilhelm, ten sam zacny mąż, który mnie tak starannie pielęgnował w czasie febry nerwowej we własnym pokoju w roku 1811. Powierzono mu dyrekcyą budowli wojskowych Warszawy. Minter rodem był z Berlina i tam się budownictwa uczył pod Gillym i Gitelweinem. Po zajęciu Warszawy przez Prusaków wszedł w obowiązki prywatne nadwornego budowniczego u księcia Poniatowskiego. W roku 1810 wstąpił do korpusu w stopniu kapitana. Był to człowiek pełen nauki i doświadczenia w sztuce budowniczej. Jemu winna Warszawa projekta i wykonanie licznych koszar, którym żadna inna stolica prócz Petersburga nie wyrówna. Koszary aleksandryjskie, koszary saperskie, koszary jazdy, arsenał budowniczy, urządzenie wewnętrzne i odnowienie wszystkich budowli wojskowych, są jego dziełem. Brakło mu do tylu zalet talentu i znajomości inżyniera wojskowego, tych nie posiadał. Pod nim wielu młodych oficerów w budownictwie cywilnem wykształciło się.

Podpułkownik Męciszewski Filip z służby austryackiej, wychowany w znakomitej akademii inżynierskiej w Wiedniu, jeden z pomiędzy wyżej wymienionych wyższych oficerów, posiadał wiadomości inżyniera wojskowego. Nietylko że w wyższej matematyce był bardzo biegły, lecz i w praktycznej szkole austryackiej nabrał tego wzorowego porządku w wojskowej służbie i w administracyi, którymi się ta szkoła odznacza.

Kampanię roku 1809 odbył przeciwko nam i użyty został tak w obronie jak i w ataku Sandomierza. W roku 1810 stawił się do naszych szeregów, otrzymawszy chlubną dymisyą i wstąpił do korpusu inżynierów w stopniu kapitana. Odtąd używany był do robót fortyfikacyjnych Zamościa; w roku 1813 należał do obrony Modlina, a po kapitulacyi powrócił do rodzinnego miasta Krakowa i tam w akademii jagiellońskiej publicznie wykładał matematykę wyższą.

Na początku 1815 roku przywołany napowrót, w stopniu najprzód kapitana a później podpułkownika, wybrany

był przez jenerała Sierakowskiego, dowódzcę broni, na szefa sztabu. W tych obowiązkach zastała go rewolucya 1830 roku, której padł ofiarą z rąk podchorążych w nocy 29. listopada. Męciszewski nie miał przyjaciół w korpusie, był bowiem w służbie ostry, cierpki, równie sam pilny jak pilności i akuratności od swoich podkomendnych wymagający. I ten był główny powód jego śmierci.

Taki był wówczas skład naszego sztabu.

Po krótkim pobycie w Warszawie, przekonawszy się, iż przeniesienie się do kwatermistrzostwa na ten raz zbyt wielkim ulegnie trudnościom, powróciłem do Torunia w towarzystwie Michała Mycielskiego.

Spotkał mnie tu niespodzianie przypadek, który w krótkości opowiem.

Oficerowie, do garnizonu rosyjskiego należący, zazdrośni uprzejmych względów i szczególniejszej dystynkcyi, jakich doznawaliśmy w domu gubernatora Pułtaraskiego, którego córki wyłącznie nas do tańca wybierały, szukali z nami zaczepki. Po obiedzie zwykliśmy wstępować do pierwszej kawiarni Torunia, i stamtąd po odegraniu kilku partyj bilardowych rozchodziliśmy się do naszych kwater. Jednego dnia byliśmy sami z Prądzyńskim zatrudnieni grą, mając furażerki na głowach; wtem wchodzi kilku oficerów rosyjskich z majorem od piechoty Lefebure, z odkrytemi głowami. My nie uważając na nich zachowaliśmy furażerki i dokończali partyą. Jeden z oficerów uważał to za ubliżenie ich majorowi, przystąpił do mnie i żądał abym odkrył głowę, a gdym tego nie uczynił, zaczął z innymi odgrażać się i nieprzyzwoitych wyrazów używać. Kiwnąłem na Prądzyńskiego i natychmiast wyszedłem. Powróciwszy do kwatery prosiłem Prądzyńskiego, aby przybrawszy Michała Mycielskiego i Wilsona, poszedł majora Lefebure wyzwać i gubernatorowi o tym wypadku doniósł. Wyzwanie po wielkich dyskusyach, w których przebijała się niewielka ochota zadośćuczynienia żądaniu mojemu, nareszcie przyjęte zostało. Gubernator, do ktorego się oficerowie całego batalionu po radę

POWRÓT NAPOLEONA Z

(Wedle obr

Pułkownik de La Bédoyère przyprowadza 7. pu

SPY ELBY. (Do str. 141).

eubena).

echoty, który przechodzi na stronę Napoleona.

udali, oświadczył im, iż pomiędzy ludźmi honorowymi nie masz innego środka zatarcia obrazy, iż będąc przez nich obrażonym mam prawo żądać satysfakcyi i że major Lefebure stanąć mi musi. Dowiedzieliśmy się tego wieczora, iż oficerowie całego batalionu towarzyszyć chcą swemu majorowi w tej rozprawie, i obawiając się jakiejś napaści z prawidłami honoru, jak się zdawało, nieobeznanych ludzi, poprosiłem Prądzyńskiego, Mycielskiego, porucznika inżynierów Heilmeyera i Wilsona, ażeby uzbrojeni każden w parę nabitych pistoletów, przytomni byli pojedynkowi. Nazajutrz wyszliśmy na stoki, i bez żadnej przeszkody ze strony gubernatora stanęliśmy naprzeciw siebie, z jednej strony major L. z 10. oficerami, z drugiej nas pięciu oficerów polskich. Zmierzono dystans; Prądzyński wręczył mi pistolet i wyznaczył stanowisko. Gdy podał drugi pistolet majorowi, ten żadną miarą nie chciał go przyjąć, wymawiając się najprzód stopniem, potem wiekiem, nareszcie żoną i dziećmi, w końcu naglony przez Prądzyńskiego okazał się gotowym do przeproszenia mnie. Wyrazy, które podyktowałem, głośno powtórzył i na tem pojedynek się skończył. Żegnając nas spostrzegli oficerowie rosyjscy, że miałem konia osiodłanego, gotowego, zapytali się Wilsona, coby to znaczyć miało? Na odpowiedź, iż gdybym przypadkowo zastrzelił ich majora, wsiadłbym na konia i nie powrócił więcej do Torunia, zaczęli się okropnie dziwić i zżymać, nareszcie od nas odstąpili.

Dziś oficerowie rosyjscy prawa honoru tak samo rozumieją, jak oficerowie innych narodów, i nie byliby mi zbrojnej satysfakcyi pewnie odmówili.

W połowie marca opuściwszy na zawsze Toruń, powróciłem do Warszawy i stanąłem kwaterą w domu ks. kanonika Kuszla, dawnego przyjaciela rodziców moich, na Kanonicznej ulicy.

Zameldowawszy się dowódzcy korpusu, jenerałowi Sierakowskiemu, i dyrektorowi inżynierów pułkownikowi Mallettowi, rozpocząłem prace moje w biurze inżynierskiem w domu Pi-

jarów, przy Długiej ulicy. Wolne od służby chwile poświęciłem prywatnej pracy, czytaniu dzieł wojskowych i muzyce, w której pod kierunkiem metra przybranego, pana Stolpe, znaczne postępy zrobiłem. Słynął wówczas w świecie muzykalnym anglik Field, mieszkający w Petersburgu, którego koncerta mocno mnie zajęły. Nabrałem wkrótce więcej technicznej wprawy i gustu. Poznałem także w domu Bronców młodego Skibickiego, rodem z Wołynia, który dzieła Fielda z wielkim grał talentem i gustem, i za wzór najlepszy w tym względzie mógł mi posłużyć. Wieczory moje po większej części najprzyjemniej spędzałem w domu Bronców. Już niebyłem takim odludkiem jak w roku 1810, i udział żywy brałem we wszystkich zabawach. Czułem jednakże jeszcze pewną niezręczność w tańcu, którą, nie chcąc się wystawić na śmieszność w towarzystwie, wypadało mi usunąć. Umówiwszy się więc z Prądzyńskim i z Domżalskim, urzędnikiem rządowym, 30-letnim elegantem warszawskim, braliśmy wieczorami prywatne lekcye tańca u pana Schmidta na Marienwilu. Ile chwil wesołych z tego zatrudnienia wynikło; ile pustych żartów z ciężkich podskoków Domżalskiego! Szczęśliwa młodości! Poznałem tej zimy w domu Sałackich familią Jasińskich, z Sandomierskiego przybyłą do Warszawy. Matka, z domu Slubowska, wdowa, słabowitego zdrowia, szukała pomocy u doktorów warszawskich. Jej córki Zofia i Żaneta, każda w swym rodzaju piękna, mocno mnie i Prądzyńskiego zajęły. Prądzyński skłaniał się do starszej Zofii, pięknej brunetki, mnie serce wiodło ku młodszej blondynie; nie wątpię nawet abyśmy śladu w ich sercach także nie zostawili, lecz wkrótce wypadło nam opuścić Warszawę. Pani Ślubowska o stalszych i poważniejszych mężów dla córek postarała się. Zofia w parę lat później poszła w rubieszowskim powiecie za pana Rulikowskiego, Żaneta za pana Karskiego w sandomierskim, bogatych obywateli.

W domu Sałackich poznałem także poważnego starca, jenerała Haumana, byłego pułkownika pułku Działyńskich,

którego współudział w czasie powstania 1794 r. zapewnił ludowi warszawskiemu zwycięstwo nad Rosyanami. Pomimo wieku podeszłego, miał bowiem blisko 70 lat, postawa wojskowa, żywość w poruszeniach i przytomność zupełna, poznać dawały, jak dzielnym być musiał w tej pamiętnej dziejów narodu epoce.

Jenerał Haumann był ojczymem Antoniego i Konstantego Malczewskich. Pierwszy w literaturze ojczystej nieśmiertelne zjednał sobie imię uroczym poematem »Marya«, dziś na wszystkie europejskie języki przełożonym. Miał wówczas lat 26. Poznałem obydwóch braci i często z nimi obcowałem. Antoni odznaczał się od brata młodszego wyrazem melancholii, którą powszechnie przypisywano nieszczęśliwej miłości i pojedynkowi z przyjacielem Błendowskim, któremu na początku roku 1812 niebezpieczną zadał był ranę.

Dom Brońców środkiem był towarzystwa rosyjskiego, z powodu stanowiska, jakie pan Broniec, jako marszałek pałacu, zajmował. Bywali w nim: pan Mohrenheim, sekretarz przyboczny Wielkiego księcia, adjutanci jego cesarskiej wysokości panowie: Fenchow, Tymierazów, książę Aleksander Galliczyn, Szachmatiew i W. Iliński, pełniący służbę przy gubernatorze księstwa warszawskiego, hrabia Łanskoj i wielu innych.

Hrabia Iliński był młodszym synem senatora, hrabiego Ilińskiego, za panowania Pawła I w wielkiej łasce zostającego u tego nieszczęśliwego monarchy i z tego względu cesarzowi Aleksandrowi także miłego.

Mąż ten, znany na Wołyniu z nadzwyczajnej dumy i z niesłychanych dziwactw, miał jednak najlepsze swoje strony. On to wpływem swoim natchnął cesarza Pawła, złagodził jego umysł dla Polaków, i więcej jak ktokolwiek inny przyczynił się do uwolnienia Kościuszki, Mostowskiego, Niemcewicza i wielu innych więźniów politycznych, zawiezionych do Petersburga po nieszczęśliwej rewolucyi 1794 roku. Dlatego też pomimo śmieszności i dumy szanowany był powsze-

chnie. Syn jego Aleksander, lubo bardzo utalentowany, przechodził ojca mimo śmieszności swojej.

Wacław Gutakowski, syn ś. p. prezesa senatu za Księstwa warszawskiego, w tym czasie bywał także w domu Brońców i zdawał się wrażenie czynić na obydwóch siostrach, Joannie i Józi Grudzińskich. Serce jego się ważyło pomiędzy siostrami, równie znakomitemi. Nareszcie po długiem wahaniu, które długo niezagojony ślad zostawiło w umyśle Joanny, równiej zaczął swą skłonność okazywać Józi Grudzińskiej.

Wylądowanie Napoleona.

W pierwszych dniach marca, wiadomość o powrocie Napoleona z wyspy Elby, nowe nadzieje wzbudziła w umysłach młodzieży wojskowej, niecierpliwie znoszącej ciężkie, na nią nałożone jarzmo. Pochody wojsk rosyjskich do ojczyzny zatrzymane zostały. Czoła kolumn zwróciły się na nowo ku granicom francuskim. Kongres wiedeński od 1. listopada 1814 roku zebrany, zatrudniał się rozwikłaniem nowych stosunków Europy, w głównych zasadach wstrząśniętych pokojem paryskim.. Po długich naradach, monarchowie w połowie stycznia jeszcze nie byli zupełnie zgodni w główniejszych punktach, a mianowicie w tych, co się tyczyły przyszłego losu Saksonii i Polski.

Rosya w ostatnim przedmiocie sama chcąc stanowić prawa, żądała w nagrodę usług swoich przywłaszczenia wszystkich prowincyi polskich w jej mocy będących, nie dopuszczając do żadnego udziału współsprzymierzeńców swoich.

Żądaniu temu sprzeciwiły się: Austrya, Francya, a osobliwie Anglia. Zaczęto nawet myśleć o zbrojnem odporze pretensyi Rosyi. Koalicya pomiędzy temi mocarstwami bliską była zawiązania, gdy wiadomość o wylądowaniu wspólnego nieprzyjaciela, jakby grom z spokojnego nieba rzucony, wszystkich, na kongresie reprezentujących mocarstwa umysły, do jedności skierowała. Stanęła w krótkim czasie ugoda względem podziału Księstwa warszawskiego pomiędzy Rosyą i Prusy, w której zawarowaną została narodowość dla mieszkańców polskich i liberalne urządzenie stosunków krajowych. Król

saski uwolnił nas zarazem od przysięgi, którąśmy jemu złożyli. Niebyło więc już żadnej przeszkody ani w organizacyi kraju, który przybrał pod berłem cesarza Aleksandra I tytuł Królestwa Polskiego, ani w organizacyi wojska. Pamiętny był w tym czasie list, napisany przez cesarza Aleksandra do prezesa senatu Ostrowskiego, w którym oświadcza chęć nadania Polakom konstytucyi, opartej na najliberalniejszych zasadach, obiecuje tarczą swą zakryć też instytucye i Polaków wzywa do obrony nowych swobód, na przypadek gdyby nieprzyjaciel zewnętrzny chciał takowe naruszyć. List ten wydany był w chwili, gdy doznawał oporu od trzech mocarstw wyżej wymienionych, w urządzeniu stosunków polskich.

Ustały zabawy w Wiedniu, zaprzestano tańców, o których książę de Ligne dowcipnie mówił: *le congres danse mais ne marche plus.* Cesarz Aleksander zapomniał o przebieraniu się na wyścigi z księżną Windischgraetz. Natomiast szczęk oręża, wymierzonego przeciwko burzycielowi spokojności europejskiej, wszędzie się rozlegał. Osobę jego za nieprzyjaciela Europy wywołano. Cenę na jego głowę naznaczono. Milion żołnierzy zaczęło się zbierać nad granicami Francyi.

Tymczasem żadne gwałtowne poruszenie nie dawało się spostrzegać w Polsce; bądź to że prawie wszyscy długiemi wojnami znękani wzdychali do spoczynku, bądź to, że jaśniej przezierający horyzont polityczny uważali przedsięwzięcie Napoleona za rozpaczliwe i smutny mu koniec przepowiadali. Tylko pomiędzy wojskową młodzieżą i oficerami dawnej cesarskiej gwardyi spostrzedz się dawała pewna drażliwość i oczekiwanie gorączkowe wypadków walki. Że jednak organizacya nowej armii polskiej jeszcze uzupełnioną nie była, rząd tymczasowy Księstwa warszawskiego nie widział powodu powściągania tych drobnych oznak opinii w wojsku. Wojska rosyjskie, jak wyżej już mówiłem, zwróciły się ku Francyi, my jednak żadnego udziału w wojennych poruszeniach nie mieliśmy.

W położeniu mojem żadna nie zaszła zmiana. Ciągle bawiłem w Warszawie, zajęty rysowaniem planów w biurze pułkownika inżynierów Malletta. Wiele chwil pozostało mi wolnych. Nareszcie długo oczekiwane wiadomości z teatru wojny przychodzić zaczynały; najprzód odgłos bitwy wygranej pod Ligny d. 16. czerwca, nad armią jenerał-majora Blüchera, ożywił nadzwyczajne nadzieje całej młodzieży wojskowej, do której i ja należałem; z niecierpliwością febryczną czekaliśmy potwierdzenia tego pierwszego zwycięstwa i nowych wiadomości o dalszych tryumfach. Już przestrzeń między Renem a Wisłą za małą się zdawała dla skrzydeł naszych nadziei. Lecz jakiż nas ogarnął smutek, gdy niewątpliwy raport z pobojowiska pod Waterloo, czyli Belle Alliance, niesłychany pogrom wojska francuskiego malujący, w dniu 18 czerwca doszedł do Warszawy. Odtąd wszystkie nasze marzenia ustąpić musiały rzeczywistości. Los nasz odtąd zależał zupełnie od cesarza Aleksandra. Wielki książę Konstanty towarzyszył mu do Paryża. Większa część wojsk rosyjskich szła do Francyi i stamtąd wracała traktem toruńskim i płockim: 167.000 ludzi wkroczyło do Francyi, nad którymi cesarz Aleksander na równinie pod Vertus odbył przegląd; 30.000 pod hrabią Woroncowem pozostało we Francyi po powrocie króla Ludwika XVIII z Gaud; reszta zimą w okropnych mrozach długi pochód do ojczyzny odbyła.

Na początku listopada 1815 roku odebrałem od dowódzcy mego rozkaz pojechania do Kalisza z porucznikiem Blizińskim, dla zdania raportu o wszelkich budowlach wojskowych województwa kaliskiego. Instrukcya nakazywała wyszukać wszystkie budynki, klasztory, zamki w całej tej okolicy, postarać się o plany wszystkich; oznaczyć do jakiej gałęzi służby zdaćby się mogły: czy na koszary, szpitale, magazyny, stajnie, odwachy lub inne; ułożyć kosztorysy przebudowania lub napraw. Zadanie było obszerne i wymagało usilnej pracy.

CESARZ ALEKSANDER I.

(Wedle portretu Kjugelchena, rytował Tardie).

Naprzód zająłem się samym Kaliszem, gdzie koszary korpusu kadetów szczególną moją uwagę zabrały; następnie zwiedziłem miasta: Sieradz, Szadek, Koło, Konin, Wieluń, Piotrków, Częstochowę i inne pomniejsze, i zebrawszy wszelkie potrzebne materyały, powróciłem na resztę zimy do Kalisza. W mieście tem doznałem wiele uprzejmości ze strony podprefekta radomskiego, którego żona, Zajączek z domu, wychowana była w instytucie pani Campans i do osób najdystyngowańszych, jakie kiedykolwiek poznałem, bez wątpienia należała. Posiadała śliczny talent rysowania, do tego ujmującą była w rozmowie. Siostra jej, później zaślubiona Łubińskiemu, synowi prezesa sądu kaliskiego, posiadała także bardzo piękny talent gry na harfie i fortepianie. Obiedwie te damy pobyt mój w Kaliszu starały się uprzyjemnić; po lepszem poznaniu się wzajemnem wszystkie niemal wieczory u nich przepędzałem, i wyznać muszę, że w ich towarzystwie wiele zyskałem. Poznałem także w ich domu panią Kamińską, żonę pułkownika Henryka Kamińskiego, Kochanowską z domu, osobę nadzwyczaj interesującą, wykształconą, muzykalną. Nic cudniejszego, jak sposób, jakim śpiewała arye włoskie, romanse francuskie i hiszpańskie. Nie była jeszcze wtedy tem, czem później została, jasnowidzącą; lecz stan jej nerwów okazywał się już bardzo osłabiony i nie rokował długiego życia.

Komendantem kadetów był pułkownik Regulski, dawny legionista włoski, znany także w legii nadwiślańskiej z waleczności swojej; człowiek wykształcony, lecz niesłychanie zarozumiały i dumny. Dla mnie okazał się uprzejmym i grzecznym. Żona jego, młoda i ładna, Bibianna, ciągłym przedmiotem była jego zazdrości, nie spuszczał jej z oka ani na chwilę, i odgrywał niechcący przedemną bardzo pocieszne rolę Barthola z Rozyną. Choć w najniewinniejszej myśli, starałem się utrzymywać go w roli raz obranej. Dziękował Bogu kiedym wyjechał.

Komendantem polskim Kalisza był major Rogowski, znajomy rodziców. Pułkiem kozaków nadgranicznych dowodził pułkownik rosyjski Katazanów.

Rok 1816. Wykończywszy plany i kosztorysy, tyczące się budowli wojskowych województwa kaliskiego, na początku marca 1816 roku, całą tę pracę, w której mi porucznik inżynieryi Bliziński szczerze dopomógł, przesłałem dyrektorowi inżynieryi, jenerałowi Mallet'owi, od którego pod dniem 12. marca 1816 odpowiedź z podziękowaniem za moje prace odebrałem.

W końcu marca powróciłem do Warszawy i połączyłem się z nieodstępnym przyjacielem mojej młodości, Prądzyńskim. Mieszkaliśmy przez niejaki czas na Nowem Mieście w domu pani Wrzesińskiej, która pensyą panien kierowała: później w kamienicy na rynku Starego Miasta.

Dnia 27. marca wysłany byłem do Modlina dla zdjęcia planu okolic Pomiechówka, gdzie założyć zamierzano prochownię. Wkrótce wypełniwszy polecenie, powróciłem napowrót do Warszawy i resztę wiosny przepędziłem w stolicy.

W tej to epoce trzech nas młodych ludzi: Ignacy Prądzyński, Gustaw Małachowski i ja, z których najmłodszy Gustaw Małachowski miał lat 20, zaczęliśmy komunikować sobie nasze myśli o potrzebie węzła, łączącego wszystkich prawych Polaków ku obronie swobód i narodowości zagrożonych, jak się nam już wtedy zdawało, duchem zepsutym rosyjskiego samowładztwa. Myśl ta, powstająca w młodych gorących głowach, zaczęła nas jak najmocniej zajmować. Związawszy się sami, jak niegdyś sprzymierzeni Szwajcarowie na górze Rütli, wzajemną przysięgą, postanowiliśmy założyć towarzystwo tajne dla rozkrzewienia naszych zamiarów. Ułożyliśmy w krótkości ustawy, które na tem się zasadzały, że za przedstawieniem i zaręczeniem jednego członka przypuszczona do związku osoba przyjmowana była przez 3 tylko członków w tak tajemny sposób, iżby przyjmujących poznać nie mogła; powtóre aby innego zaręczenia nie dawała, tylko słowo honoru, iż narodowość Polską, cnotę staropolską i język, wszelkimi środkami bronić i rozkrzewiać będzie; po trzecie, iż podobnym sposobem jak sama była przyjmowaną, przyjmować także bę-

dzie innych przyjaciół i znajomych, godnych miana Polaków. Postanowiono żadnych statutów nie kłaść na papier, ażeby pierwszy ten związek żadnego po sobie śladu nie zostawił. Owszem myślą naszą było wzbudzić mniemanie w osobach przyjmowanych, iż towarzystwo oddawna istnieje, i że wyższym jego stopniom wiadome są tylko cele i środki. Związkowi temu nadaliśmy nazwisko »Przyjaciół polskich«, a sami na znak łączącego nas węzła kazaliśmy porobić srebrne pierścionki z obwódką emaliową amarantową, a pod emalią literami P. P. opatrzoną. Tak niewinna forma początek dała stowarzyszeniom późniejszym, które w przeciągu trzech lat siecią potajemną związały całą młodzież polską, litewską, wołyńską, podolską i ukraińską i aż do bram Kijowa sięgnęły. W kilku tygodniach przyjęliśmy z wyżej opisanemi formami kapitana sztabu kwatermistrzostwa Kosza, podpułkownika kwatermistrza Bojanowicza, majora Płonczyńskiego, pp. Sobańskiego, Domżalskiego, Męcińskiego z Żarek i kilku innych.

W tych przyjmowaniach przebijała czasem pustota młodzieńcza. I tak np. używano ślepej latarni, którą nagle oświecano oblicze adepty; świadkowie okryci płaszczami, w dziwacznych postaciach, w milczeniu otaczali go; pamiętam nawet, że Męcińskiego wtłoczono do starej lektyki pani Waubanowej w mieszkaniu Kosza pod Blachą i w takiem położeniu miano do niego mowę, która go do łez poruszyła, i t. d.

W miarę postępu organizacyi wojska polskiego Wielki książę Konstanty coraz większą surowość i dzikość obyczajów, wrodzoną sobie rozwijał. Niepamiętny, że ma przed sobą weteranów z legionów włoskich i hiszpańskich, którzy na głos Ojczyzny sami dobrowolnie pospieszyli do szeregów, zaczął z oficerami i żołnierzami obchodzić się jak z niewolnikami i rekrutami. Od ludzi bliznami okrytych, w stu bitwach zaprawionych, wymagał tej ślepej akuratności w powierzchownym ubiorze i w poruszeniach, które tylko pałkami żołnierzowi rosyjskiemu wpojone być mogą. Każde uchybienie w tym względzie do okropnych wybuchów gniewu dawało

powód. Nie było parady ani mustry, na których by słowami pogardliwemi nie zelżył którego oficera w szeregach, nie obraził narodowości naszej. Zaczął się posuwać do okładania pałkami starych żołnierzy, degradowania zasłużonych podoficerów, posyłania oficerów, a nawet sztabs-oficerów, za najmniejsze uchybienie na odwach. Nieukontentowanie i rozpacz ogarnęły wszystkich. Oficerowie, nie mogąc dłużej znieść tak wielkiej hańby, zaczęli podawać się do dymisyi, niektórzy z nich nawet, nie widząc znikąd ratunku, w samobójstwie szukali końca swych cierpień. Tak skończył Wilczek, kapitan z gwardyi cesarskiej; Biesiekierski, porucznik z kwatermistrzostwa; Królikiewicz, kapitan inżynierów, bardzo dystyngowany oficer. Na placu Saskim widziano oficera piechoty, który odebrawszy ostrą naganę od Wielkiego księcia, posłany był na odwach, jak oparłszy szpadę o baryerę, przebił się na wylot w przytomności Wielkiego księcia i całej parady. Podoficerowie nawet i żołnierze albo się strzelali sami, albo się z mostu w nurty Wisły rzucali. Tyle przypadków okropnych nie potrafiło zmienić umysłu Wielkiego księcia. Niemógł się jeszcze wtedy pohamować ani przekonać, że ma do czynienia z ludźmi przywykłymi do honorowego postępowania, gotowymi życie dla honoru poświęcić. Chciał on nas przerobić w machiny bez czucia żadnego, podobne do tych automatów rosyjskich, dla których car Bogiem, a kij główną sprężyną wszystkich obowiązków. Zamiarem jego było zaprowadzić u nas w całej rozciągłości system karny rosyjski, t. j. pałki i rózgi, lecz w tem doznał oporu ze strony samego cesarza, który postanowił zatrzymać dla nas kodeks wojskowy Napoleona, surowszy wprawdzie od rosyjskiego, poświęcający częściej życie żołnierza za uchybienie starszym, lecz szanujący honor wojskowy, droższy żołnierzowi nad życie.

Opór, który doznał od brata w tej mierze, i upominania, aby się lepiej z nami obchodził, rozdrażniły Wielkiego księcia jeszcze bardziej i do scen coraz gorszych pobudzały. Któż nie pamięta tej twarzy kałmuckiej, ożywionej wyrazem zwie-

rzęcym, tych oczów przymrużonych i osłoniętych konopnemi brwiami, tej wiecznej burzy na twarzy, tego chrapliwego głosu, tej mowy kapralskiej, która mu się zdawała być cechą nieodzowną dobrego żołdata; tych przycinków, tych obelg dla naszej narodowości, tych żartów ze starych weteranów naszych wobec ponuro milczących naszych jenerałów, wobec szydzących oficerów rosyjskich.

Jeżeliśmy to wszystko znosili cierpliwie lub woleli życie sami sobie odbierać, aniżeli w krwi tego dzikiego tyrana zmazać krzywdy nasze; nie jest to dowodem naszej odrętwiałości lub stępienia uczuć honorowych! Niejednego ręka drgnęła w ujęciu szpady na widok wściekłego wroga, lecz pamięć na losy Ojczyzny, zaufanie, które wówczas jeszcze pokładano w charakterze liberalnym cesarza Aleksandra, obiecującego nam więcej aniżeli mógł lub chciał później dotrzymać, nareszcie zaklinania synów Ojczyzny zatrzymały naszą mściwą rękę. Czas odwetu nastąpić miał w 15 lat po tych zdarzeniach. Przydać tu muszę dla wyświecenia charakteru Wielkiego księcia, iż wówczas żył publicznie z osobą najgorszych obyczajów i najpodlejszego pochodzenia, panią Friederichs, rodem Francuską, żoną jakiegoś czynownika 14. klasy w Petersburgu; jedną z tych wyrzuconych z łona towarzystwa kreatur, które za teatr swoich zalotów zwykły brać galerye Palais Royal. Miał z niej syna, młodego Pawła, któremu później cesarz Aleksander dał tytuł hrabiego Aleksandrów. Węzłem tak ścisłym związany z tą bezwstydną osobą, ten tyran naszego wojska, sam pod jarzmem kobiety kapryśnej i popędliwej zostawał. Ton, jaki za sobą wprowadziła do pałacu Brülowskiego, a potem do Belwederu, był tonem kordegardowym, którego człowiek dobrze wychowany długo znieść nie mógł. Pomimo tego miała i ona swój dwór i swoich pochlebców. Cisnęli się do jej salonu prawie wszyscy Francuzi, bawiący w Warszawie, przyboczni oficerowie Wielkiego księcia, i z wstydem wyznać muszę, niektórzy nawet jenerałowie nasi. Zdarzało się, iż Wielki książę w przytomności tego to-

warzystwa od sprośnej niewiasty słowami, wziętemi z dykcyonarza *des dames de la Halle* zelżony, cierpliwie znosił jej przycinki: czasem z doboru wyrazów pierwszy się śmiał do rozpuku. Zdarzało się także, że nieprzystojnymi żarty rozdrażniona kobieta, w przytomności wszystkich rękę swą ciężką dała uczuć książęcemu miłośnikowi. Lecz były i inne momenta, w których Wielki książę do niecierpliwości pobudzony, nie znał już granic w swoich zapędach; wtedy jak wściekły wypadał z pomieszkania swego, a biada oficerom i żołnierzom na paradzie, mustrze lub na odwachu, jeżeli mógł tylko coś u nich przewidzieć.

Twierdzą niektórzy, iż Wielki książę, znękany domowem pożyciem z tą furyą, szukał już wtedy ochłody swych namiętności w towarzystwach lepszych. Zaczął bywać w Zamku w domu marszałka Brońca, i w towarzystwie panien Grudzińskich, przy stoliku herbaty, innym się wcale człowiekiem wydawał. Był pełen delikatności i grzeczności dla dam, na balach usługi kawalerskie oddawał, tanecznicom swoim szale podawał i t. d. Spostrzegano już wtedy pewien pociąg z jego strony do starszej z Grudzińskich, Joanny, która z wielką godnością przyjmowała te grzeczności.

Zdaje się więc, iż pierwszy początek miłości, której W. książę dał później tyle dowodów, do tej epoki odnosić się powinien.

Pod takim wodzem cierpieliśmy lat piętnaście! Widok tych scen codziennych, rozdrażniający coraz bardziej mój młody umysł, usunięty został z oczów moich na niejaki czas rozkazem z dnia 23 czerwca 1816 roku, przeznaczającym mnie na szefa robót przy demarkacyi granic Rzeczypospolitej krakowskiej, pod naczelnem dowództwem jenerała-lejtenanta D'Oeuvray, komisarza cesarskiego dla demarkacyi Królestwa polskiego.

Skład demarkacyi był następujący:

Przy jenerale D'Oeuvray, komisarzu cesarskim, podpułkownik Józef Hauke, jako sekretarz jeneralny.

Od strony granic pruskich: specyalny komisarz, podpułkownik Ignacy Prądzyński; kapitan kwatermistrzowstwa jeneralnego, Chrzanowski Wojciech; porucznik kwatermistrz hrabia Stanisław Plater; kapitan inżynierów, szef robót Bakałowicz Dominik.

Od strony Rzeczpospolitej krakowskiej i Austryi:

Specyalni komisarze: podpułkownik Adam Bojanowicz; hrabia Józef Wodzicki. Szef robót: kapitan inżynierów Klemens Kołaczkowski; kapitan kwatermistrzowstwa jeneralnego Franciszek Koss; porucznik Marcin Klemensowski; porucznik kwatermistrzowstwa jeneralnego Jerzy Arnold; konduktorowie: Nikodem Butrym i Józef Breza.

Zaopatrzywszy się w narzędzia miernicze, jako to bussole, stoliki, teodolidy z fabryki petersburskiej, które dla złego gatunku kruszcu i wcale niedostatecznych podziałek okazały się nieużytecznymi w praktyce, w połowie Sierpnia wyjechałem do Krakowa, w towarzystwie poruczników: Arnolda i Klemensowskiego. W Końskich, majętności państwa Stanisł. Małachowskich, zatrzymałem się przez dzień jeden. Zastałem tu siostry cioteczne, Joannę i Antoninę Grudzińskie, pierwszą w stanie drażliwym nerwów, którego sobie wówczas wytłómaczyć nie mogłem, a którego przyczynę później dopiero poznałem.

Przyjęty byłem jak najuprzejmiej i zaopatrzywszy się w list rekomendacyjny Pani Małachowskiej do siostry jenerałowej Męcińskiej, bawiącej w Krakowie, stanąłem nareszcie w staroświeckim grodzie, dziś stolicy Rzeczpospolitej krakowskiej.

Zastaliśmy już tam komissarzów trzech dworów do organizacyi rządu Rzeczpospolitej: pp. hrabiego Schwertz-Sperk, dyplomatę austryackiego ze szkoły Kaunitza, barona Reybnitza ze strony pruskiej i p. Miączyńskiego ze strony polskiej, czyli raczej rosyjskiej.

Komisarzami specyalnymi do demarkacyi byli ze strony Austryi: major jeneralnego sztabu, Blagoewich, kawaler orderu

Maryi Terezyi; myślenicki starosta baron Lipowski; pod nimi kapitanowie ze sztabu jeneralnego Hanekart, kapitan od piechoty baron Rothkirch; kapitan kwatermistrz baron Kempen; kapitan sztabu jeneralnego Ulrichsthal, kapitan od dragonów Hebert i porucznik Marin od piechoty.

Ze strony pruskiej specyalnymi komisarzami: oberhauptmann Bosshamp (brat byłego ambasadora ze strony rządu polskiego do Konstantynopola za czasów Stanisława Augusta, którego lud warszawski za namową Kapostasa, sekretarza Kołłątaja, w r. 1791 na szubienicy powiesił) i hrabia Mettich, właściciel dóbr zbankrutowany, z górnego Śląska, z dwoma konduktorami.

Najlepiej reprezentowane co do sprawy demarkacyjnej były rządy: austryacki i polski. Najgorzej rząd pruski; osobistości takie, jak Boshamp i Mettich i dwaj konduktorowie, śpiewający nam codziennie *Wir sind Preusse* albo *Heil dir im Siegeskrantze*, do wielu żarcików i karykatur dawały nam powód.

Oddawszy list mój wierzytelny pani Męcińskiej, z domu Stadnickiej, która mnie w towarzystwa krakowskie sama wprowadzała, i odbywszy urzędowe prezentacye, wizyty komisarzom trzech dworów, prezesowi Rzeczpospolitej krakowskiej i senatorom, zabraliśmy się do naszych czynności.

Rozdzieliłem robotę wymiarową na trzy części: 1° wymiar suchej granicy od punktu, gdzie przytykała do Wisły, aż do rzeki Przemszy pod Niwką przyjąłem na siebie, przybrawszy do pomocy porucznika Klemensowskiego i konduktora Józefa Brezę. 2° od Niwki, wzdłuż Czarnej Przemszy do Wisły i 3° bieg Wisły od ujścia Przemszy do punktu, gdzie sucha granica się poczyna, oddałem porucznikowi Arnoldowi z konduktorem Butrynem.

Narzędzia nasze pokazały się pełne błędów; w braku dogodniejszych i pewniejszych musiałem się udać do astronoma Łęskiego, dyrektora obserwatoryum krakowskiego o kwadrant Ramsdena. Tem narzędziem uskuteczniłem tryangulacyę pasma

granicznego na suchej granicy, zwykłym sposobem. Ta praca i rozmiar szczegółowy całej okolicy, o ćwierć mili od linii demarkacyjnej traktatem wiedeńskim wytkniętej, zabrały nam całą jesień. Oficerowie austryaccy w lepsze narzędzia zaopatrzeni i od nas wprawniejsi, używali stolików wiedeńskich, tak w tryangulacyi jak i w szczegółowych wymiarach. Konduktorowie pruscy, nie mogąc bussolą i łańcuchem podołać w okolicy górzystej, przyłączyli się do oficerów austryackich i przypatrywali się nieczynnie ich rozmiarom. Dukt graniczny prowadził przez kraj leśny i skalisty, gdzie wszelkich wygód wyrzec się potrzeba było. W dwóch domach tylko wypocząć mogliśmy: w Kościelnikach, majętności hr. Józefa Wodzickiego i u szanownej wdowy, pani Jakóbowej Wodzickiej. Na innych punktach przestawać często musieliśmy na chlebie razowym, z owsa sporządzonym, a inne potrzeby zaspakajaliśmy z Krakowa.

Praca nasza w polu trwała do późnej jesieni; pierwszych dni Listopada czas tak przykry nastał, iż wypadło pomyśleć o powrocie do Krakowa. Stanąłem w kamienicy pod Krzysztoforami. W tym samym domu mieszkali: podpułkownik Bojanowicz z biórem topograficznem, komisarz do organizacyi Miączyński i pani Męcińska.

Czas mój rozdzielony był między układanie i rysowanie kart topograficznych linii demarkacyjnej, własną prywatną pracę, muzykę, malarstwo i towarzystwo nader przyjemne krakowskie. Pensya moja kapitańska wynosiła miesięcznie 485 zł. czyli 80 talarów 25 sgr. Prócz tego jako szefowi robót wypłacano mi 3 talary dziennych dyet, czyli 90 tal. miesięcznie, miałem więc do prowadzenia wygodnego etatu w Krakowie 170 tal. miesięcznie. Ten fundusz nietylko był dostateczny do utrzymania mojego, lecz w końcu demarkacyi 350 talarów w złocie miałem zebranych, z których 200 talarów ojcu w chwili nagłej potrzeby oddałem do dyspozycyi, szczęśliwy z tej sposobności okazania mu mojej wdzięczności za tyle starań i kosztów mego wychowania.

Społeczeństwo krakowskie.

Towarzystwo krakowskie składało się w tym roku z osób wykształconych; szczególnie damy w tym względzie przed mężczyznami korzystnie odznaczały się. Wyliczę tu familje, w których domu bywałem i których względy dla mnie z wdzięcznością i przyjemnością do dziś dnia wspominam. W pierwszym rzędzie kładę familję prezesa Senatu, Stanisława Wodzickiego. On sam osobistością swoją wzbudzał uszanowanie. Był to człowiek wszechstronnie wykształcony, a w botanice uczony; w majętności swojej Niedźwiedziu, posiadał ogród botaniczny, który własną ręką pielęgnował. Brat jego przyjacielem był Kościuszki i jako jenerał dowodzący brygadą zginął pod Szczekocinami. Polskie uczucia Stanisława Wodzickiego nietajne były nikomu i jednały mu ogólny szacunek współobywateli. Jego ludzkość, uczciwość, zamiłowanie prawdy, uprzejmość w domu, zniewalały mu wszystkich serca. Pobyt mój i moich kolegów w jego domu do najprzyjemniejszych chwil życia mojego policzyć mogę. Familja Stanisława Wodzickiego była bardzo liczna. Żona jeszcze wtedy piękna i poważna, z godnością honory domu czyniła; dwóch synów i pięć córek pięknych, grono familijne stanowiących, otaczało matkę. Pomijając młodszych synów, wspomnę tylko o córkach: Katarzyna najstarsza, za Konarskim z Galicyi, wzorem była wszystkich cnót kobiecych; słodycz i dobroć rozlana na jej pięknej twarzy ujęły mnie od razu. Starałem się o jej zaufanie i przyjaźń, a później, gdy mi stosunki sposobność dały poznać pannę Antoninę Michałowską, najbliższą ich przyjaciółkę, ona była pośredniczką naszych wzajemnych uczuć, niejedną radę przyjacielską mi dawała i niejedną boleść serca złagodziła.

Druga siostra Aniela, w kilka lat potem za Działyńskim, różniła się zupełnie od starszej siostry, tak co do powierzchowności, jak i charakteru. Na pozór lekkomyślna, kokietka, zajęta tylko światem i jego zabawami, pełna dowcipu i wdzięków, miała jednak najlepsze swoje strony. Brak dobrej rady ze strony matki, oślepienie jakieś niewytłómaczone rodziców względem

niej jednej, wolność nadzwyczajna w wyborze książek, które raczej do przewrócenia, aniżeli do oświecenia tej pustej główki posłużyły, wtrąciły niedojrzałą w odmęt światowy bez rady, bez przewodnictwa. Zabolało mnie serce na widok tej młodej

STANISŁAW WODZICKI,
Prezes Senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej.

osoby, nad przepaścią stojącej. Zbliżyłem się do niej i korzystając z wolnych chwil, w tajnych i w poufnych rozmowach starałem się pozyskać jej zaufanie, wytykałem z wszelką delikatnością jej błędy, a nareszcie gdy mi przyznała prawo przyjaciela, z wszelką otwartością wynurzyłem jej moje zdanie. Zastanowiła się mocno; odtąd sprostrzegłem wielką w niej zmianę, w ubiorze i w całej powierzchowności większą skrom-

ność, powagę względem mężczyzn, powściągliwość w mowie. Rodzice, domownicy, przyjaciele, siostry — nie wiedzieli jakiej przyczynie przypisywać mieli tak wielką zmianę: było to dzieło młodego kapitana, 20-letniego, nie mającego innego zamiaru, jak tylko uratowanie młodej osoby z sideł, zastawionych na nią przez pochlebców i fałszywych przyjaciół. Jakichże cudów dokazać byłaby mogła dopiero rozsądna miłość na tym ślicznym charakterze! Lecz moje serce w inną stronę było wówczas zwrócone.

W dwa lata po moim wyjeździe z Krakowa, Aniela Wodzicka została panią Działyńską; i w tym nowym stanie okazała się najlepszą żoną i najlepszą matką. Życie jej było zbyt krótkie. W 3 lata po ślubie zakończyła swój młody zawód na tej ziemi. Czyli kiedy wspomniała imię młodego moralisty, który bez żadnego powołania odważył się zwrócić jej umysł na lepszą drogę?

Trzecia jej siostra zwała się Julia, później pani Bielska: niewiele o niej powiedzieć potrafię — tylko że niewiedzieć z jakiego powodu liczyła mnie w poczet swoich adoratorów; uważałem za powinność wyprowadzić ją z błędu.

Czwarta Helena w nadzwyczajnej piękności równała się matce; lecz natura nie obdarzyła ją tymi przymiotami, które serce zniewolić potrafią — była zimna, dumna i zbyt pewna wrażenia, jakie na wszystkich czyniła. Syn bogatego lorda szkockiego, pan Hay, w roku 1818 przejeżdżając przez Kraków, uderzony jej blaskiem, pokochał się w niej namiętnie i prosił o jej rękę. Lecz rodzina wzgląd mając na różnicę religii i oddalenie córki na zawsze, nie zezwoliła na jego żądanie; co tem rozsądniej było z jej strony, że zimne jak głaz serce panny Heleny ani na chwilę poruszonem nie zostało na widok miłości pięknego Anglika, który z rozpaczą w sercu porzucił Kraków. W kilka lat później Helena Wodzicka zaślubioną została panu Niemojewskiemu.

Drugi, dla mnie otwarty dom, był hrabiego Józefa Wodzickiego, komisarza demarkacyjnego.

On sam, około 40 lat wówczas mający, podróżował wiele, odwiedzał Francyę w ekwipażu krakowskim, oszczędnością swoją zadziwiał nawet dość skąpych Francuzów — zresztą uprzejmy w domu, i pomimo znanej oszczędności czyli raczej skąpstwa, lubiany był przez Krakowianów, a szczególniej przez lud. W każdej bowiem potrzebie był najpierwszy w udzielaniu rady i pomocy, przy ogniu sam z narażeniem życia ratował, zgoła był bardzo popularny w Krakowie. Przy wszystkich okazyach, gdzie mógł za ludem przemówić lub słabszych zasłonić, z pewnością można było na niego liczyć. Już w późnym nawet wieku, w roku 1846 i 1848 nie stracił zaufanie Krakowianów, i wiele się przyczynił do złagodzenia środków zbyt ostrych, ze strony austryackiego rządu przedsięwziętych dla utrzymania spokojności miasta.

Żona jego, z domu książąt Jabłonowskich, o której z największem uszanowaniem wspominać powinienem, matką była ubogich Krakowa. Któż zdoła policzyć te wszystkie dobrodziejstwa, które na biednych z jej ręki spływały?

Familia Józefów Wodzickich składała się z trzech synów: Henryka, Aleksandra i Kaźmierza i z dwóch córek: Karoliny i Emilii. Henryk Wodzicki, zaślubiony z księżniczką Teresą Sułkowską, mieszka dziś na wsi w Ks. Poznańskiem i do najwykształceńszych ludzi tej prowincyi należy. Kaźmierz posiada dobra po stryju, Piotrze Wodzickim, na Podolu galicyjskiem; ożenił się także w Ks. Poznańskiem z panną Laurą Platerówną, córką hr. Stanisława i Antoniny Gajewskiej. Aleksander odbywał dalekie podróże we Włoszech i w Grecyi i po wielu ciężkich doświadczeniach osiadł w Tyczynie (pod Rzeszowem), majątku zapisanym mu przez stryja. Odbył kampaniję roku 1831 i dostał krzyż Virtuti militari. Ożenił się z Jędrzejowiczówną. Umarł w roku 1852 [1]).

---

[1]) Jego synem był Ludwik Wodzicki, marszałek krajowy, zmarły 1894. (Przypisek redakcyi.)

Karolina Wodzicka w czasie pobytu mego w Krakowie miała lat 16; była bardzo powabną i piękną, a nawet cokolwiek kokieteryi niewinnej zarzucić jej było można, którą oko czuwającej matki powciągnąć jednakże potrafiło. Wyznać muszę, że mnie niejakiś czas żywo zajęła; lecz zastanowiwszy się lepiej nad położeniem mojem własnem, zwłaszcza nad stanem majątkowym rodziców moich, potrafiłem stłumić wzrastającą skłonność i w domu rodziców bywałem nie jako pretendent do jej ręki, lecz jako przyjaciel tylko. W roku 1818 wprowadziłem w dom jej rodziców p. Józefa Mycielskiego, kuzyna jej blizkiego, majętnego wielkopolskiego obywatela, który się wkrótce o jej rękę oświadczył i słowo rodziców uzyskał. Odtąd mieszkali w Chocieszewicach, później w Rokosowie. Pani Karolina Mycielska jest matką księżny Sułkowskiej. Roku 1849 nagle umarła na cholerę w Warszawie, żałowana przez liczną familię i niemniej licznych zwolenników i przyjaciół. Autorką była moralnego romansu pod tytułem *Wczoraj*. Młodsza jej siostra Emilia, za Prosperem Zborowskim, chorowała od dzieciństwa, i w 18 roku życie zakończyła. Do grona familijnego Wodzickich należały też dwie siostry hrabiego Józefa Wodzickiego: pani Potulicka i pani Małachowska, obie wdowy i w podeszłym wieku matrony.

Trzeci z gościnności w Krakowie znany i dla mnie bardzo przychylny, lubo niemiłe na mnie wrażenie robiący, był dom państwa Grodzickich.

Pan Grodzicki, senator w Krakowie, był to człowiek zgrzybiały, schorzały, na pół złamany paraliżem, lecz jeszcze żywy na umyśle, i ślady eleganta z czasów Stanisława Augusta w ubiorze zachowujący; pani Grodzicka, młodsza od męża, żywa, lubiąca zaloty i zabawy nad wiek. — Córka Julia równie żywa jak matka, wesoła i ładny talent do śpiewu posiadająca, długo czekała na partyę stosowną; nareszcie w 35 roku poszła za kuzyna i imiennika pana Grodzickiego[1]).

[1]) W powtórnem małżeństwie Rzewuska. (Przypisek redakcyi.)

Bywałem wprawdzie w domu Grodzickich dla stosunków jego z Michałowskimi, lecz nierównie więcej upodobania znajdowałem w towarzystwie pani Wąsowiczowej, z domu Odonell, jednej z najdystyngowańszych dam, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem. Pani Wąsowiczowa, w Wiedniu wychowana w towarzystwie najlepszem lecz żadnego nie posiadająca majątku, poszła pewnie nie z miłości za obywatela w Sandomierskiem, bogatego wprawdzie, lecz najgorzej wychowanego, surowego w obejściu się codziennem, człowieka złej konduity i gorszych jeszcze obyczajów. Stosunek ich wkrótce się zachwiał i rozłączenie nastąpiło. Pani Wąsowiczowa zamieszkała z córką w Krakowie, on zaś odebrawszy synów, w dobrach swoich najrozwiązlejsze prowadził życie, oddany pijaństwu. Pani Wąsowiczowa trudniła się wychowaniem córki Emilii, bardzo przyjemnej osoby, która w czasie mego pobytu w Krakowie zaślubiła Władysława Sołtyka, synowca sławnego z dziejów naszych Biskupa krakowskiego, Sołtyka, księcia na Siewierzu. Słynęła wtedy w Krakowie z wykształcenia, wdzięków i elegancyi pani Janowa Wielopolska z domu Potulicka, siostrzenica hr. Józefa Wodzickiego, osoba wtedy licząca przeszło lat 30, bardzo dystyngowana i ślady zgasłej piękności jeszcze nosząca. Niewiele dam krakowskich wyrównało pani Wielopolskiej w dowcipie, w gracyi, z którą honory domu swego robiła, w znajomości literatur obcych, a zwłaszcza polskiej. Jej poezye pamięta do dziś dnia towarzystwo krakowskie. Lecz tyle pięknych zalet, w które ją natura tak hojnie uposażyła, przyciemniały duch intrygi i niepohamowana żądza podobania się, która powodem stała się wielu błędów z jej strony i reputacyę jej mocno podkopała. Pani Wielopolska miała wielbicieli wielu, lecz mało przyjaciół.

W podeszłym wieku pani Wielopolska opuściła świat nie dość wcześnie może, i zawarłszy się w Suchej, zamku mężowskim, leżącym o stóp prawie Tatr, została żarliwą dewotką. Rozstała się z życiem roku 1848, zostawiwszy po sobie

córkę, która jest żoną księcia Stanisława Jabłonowskiego i dziedziczką wielkiego majątku.

Jan Wielopolski był to człowiek bardzo zacny i powszechnie ceniony, lecz słabego zbyt charakteru. Okazywał mi w czasie, gdym się starał o rękę panny Michałowskiej, wiele współczucia i przychylności.

Z pomiędzy wszystkich krakowskich domów najwięcej doznawałem przyjaźni i względów w domu pani Męcińskiej, z domu Stadnickiej, której szczególnie byłem polecony przez panią Małachowską z Końskich. Mieszkając w jednym domu pod Krzysztoforami, przepędzałem u niej swobodnie wieczory, nie poświęcone wielkiemu światu, na rozmowie, zawsze zajmującej i muzyce. Pani Męcińska długo podróżowała we Włoszech, była zwolenniczką sztuk pięknych, miała serce żywe, przystępne dla przyjaźni, wiele dowcipu i wykształcenia; lecz natura darów swoich mniej szczodrze jej udzieliła, była bowiem bardzo niskiego wzrostu, w stosunku odwrotnym z objętością; miała sześcioro dzieci. Mąż jej, były jenerał wojska polskiego, do Ormianina lub Włocha był podobniejszy, niż do Polaka. Wywożąc co lato żonę do Dukli, majętności swej w Karpatach, przerywał pasmo przyjemnych wieczorów i rozmowie naszej z toru rozsądnej przyjaźni zejść nie dozwolił.

Prócz tych dam jaśniały wówczas na horyzoncie krakowskim: pani Laryszowa, z domu Grabowska [1]), rozwiedziona z Wielopolskim, pani Wincentowa Wielopolska, właścicielka zamku Pieskowa Skała, pani Sołtykowa [2]) z Kurozwęk, pani Morsztynowa z domu Ostrowska, pani Skorupkowa, z domu Przerębska i wiele innych.

Grono mężczyzn, wchodzących do towarzystwa, ani tak liczne, ani tak dobrane nie było. Zastaliśmy w Krakowie tylko dwóch braci Mieroszewskich, Jana i Ignacego; pierwszy był poetą, drugi malarzem amatorem; obadwaj ciężar nabytej

---

[1]) Matka Eugenii z Laryszów Januszkiewiczowej. (Przypisek red.)
[2]) Matka Emilii Pawłowej Popielowej. (Przypisek redakcyi.)

reputacyi z wielką zarozumiałością dźwigali; zjawienie się nasze strąciło ich z wysokości ciężko dopiętego Parnasu.

Duchowieństwo w tem towarzystwie nierównie lepiej było reprezentowane. Dość nazwać Biskupa ks. Woronicza, autora Sybilli; ks. kanonika Sierakowskiego, lubownika starożytności i pięknego budownictwa ks. kanonika Skórkowskiego, później Biskupa, prześladowanego przez rząd za zdanie polityczne i opozycyę swoją; ks. Łańcuckiego, sławnego kaznodzieję kościoła Panny Maryi w Krakowie.

Z uczonych uniwersytetu krakowskiego wspomnę tu Samuela Bandtkego, bibliotekarza, autora wielu dzieł historycznych, a mianowicie historyi polskiej; Hubego, profesora matematyki wyższej; Münicha, profesora języków starożytnych; Markiewicza, profesora fizyki i chemii; Sołtykiewicza, profesora prawa; Sopulskiego, byłego kapitana artyleryi, profesora geometryi wykreślnej; Radwańskiego, byłego oficera artyleryi, profesora architektury, i wreszcie Łęskiego, astronoma i dyrektora krakowskiego obserwatoryum.

Do liczby osób, wchodzących do grona towarzystwa, dodać tu jeszcze powinienem trzech konsulów opiekuńczych mocarstw, pomiędzy nimi: Zarzyckiego, konsula rossyjskiego, senatorów i urzędników Rzeczpospolitej krakowskiej i pułkownika Gordona, komendanta siły zbrojnej krakowskiej.

Tej zimy wprowadzony zostałem do domu senatora Michałowskiego, dawnego urzędnika austryackiego: był to człowiek około 50 lat mający, surowych obyczajów, zachowujący troskliwie w domu swoim tradycye posłuszeństwa i karności staropolskiej; wszyscy przed nim drżeli: żona, dzieci, domownicy; lecz przytem miał formy grzeczne, jeśli nie cokolwiek niemieckie dla obcych, i lubił towarzystwo. Posiadał o dwie mile od Krakowa majątek Krzysztoforzyce, którym sam administrował: prócz tego miał dom w Krakowie i senatorskiej pensyi używał. Nie mogąc pod względem majątkowym równać się z Wodzickimi, żył bardzo skromnie, może i skąpo, lecz niczego nie żałował na wychowanie dzieci, z których każde

w swoim zawodzie dystyngowanem nazwać było można. Pani Michałowska, z domu Morsztynówna, niegdyś bardzo piękna, była aniołem dobroci w całem znaczeniu tego wyrazu; uległa, cnotliwa, przykładna żona, matka rozsądna, bogobojna, miła; do tego w domu rządna, w towarzystwie przyjemna, powszechnie była lubiona i szanowana w Krakowie. Żaden cień, żaden zarzut w tem, z obyczajów dość wolnem, mieście nie dotknął jej reputacyi; ta była bez skazy najmniejszej. Osobistość pani Michałowskiej, własną matkę tyle mi przypominająca, wywarła niezmierny pociąg na mnie. Uszanowanie synowskie dla tej zacnej osoby poprzedziła skłonność, która się wkrótce w mem sercu odezwała dla jej córki Antoniny. Miałem sposobność poznać ją w domu państwa Męcińskich, w jesieni po moim powrocie od robót demarkacyjnych. Panna Antonina Michałowska była wzrostu średniego, i ani się szczupłą urodą, ani piękną ręką, ani małą nogą nie odznaczała; twarz także, choć regularna, nie uderzała pięknością, ni żywem wyrazem; oczy jej blado niebieskie, nie różniły się od wielu innych; miała włosy popielate blond, twarz podługowatą, lecz pełną, rysy niedelikatne, przypominające raczej egipskie, aniżeli greckie posągi. Co urok jej dla mnie stanowiło, był to wyraz słodyczy i czystości dziewiczej, rozlany na jej twarzy, brak wszelkiej przesady i głos nadzwyczaj dźwięczny. Prócz znajomości obszerniejszej własnego języka posiadała z literatur obcych: niemiecką, francuską, angielską i włoską; ślicznie się wypisała i prócz wielu wiadomości, niepospolitych u kobiet, celowała w malarstwie i w muzyce. A jednak z tem wszystkiem nie wydawała się wcale, była bowiem nadzwyczajnie skromną, i obawiała się, aby jej za uczoną nie poczytywano. Wrażenie, które na mnie zrobiła, nie było jednochwilowe, lecz z każdym dniem wzrastało, im bliżej poznawałem przymioty ukryte jej duszy. Po trzech latach bywania w domu jej rodziców, postanowiłem dopiero starać się o jej rękę. Jaki skutek wzięły moje zamiary, później wam opowiem.

Brat starszy panny Michałowskiej miał imię Piotr. Rzadko natura tak hojnie kogoś obdarzyła. Rzadko też znaleśćby można młodzieńca, wyrównywającego mu w pamięci, w usilnej pracy, w energii i w pokonywaniu wszelkich trudności. Piotr Michałowski kształcił się najprzód w Krakowie pod okiem rodziców; tu się rozwijać zaczęła jego nadzwyczajna zdolność do filologicznych i przyrodniczych nauk; tu także pierwsza iskra talentu znakomitego do malarstwa i do muzyki w nim się zapaliła. Profesor Münich w językach starożytnych, Markiewicz w fizyce, chemii i mineralogii, Lampi w malarstwie, Gorączkiewicz w muzyce, byli jego przewodnikami; później wyjechał do Goetyngi i na tamtejszym uniwersytecie odznaczał się postępem nadzwyczajnym i pilnością najusilniejszą. Mógłbym tylko jednego współczesnego młodzieńca z nim porównać, Stanisława Rzewuskiego; lecz ten w sztukach wyzwolonych nie mógł iść z Michałowskim w zawody, kiedy ten ostatni w sztuce malowania bitew, a osobliwie koni, europejską zjednał sobie sławę i długo w Paryżu z tego talentu utrzymywał się.

Piotr Michałowski, powróciwszy z uniwersytetu, umieszczony został w górnictwie krajowem pod ks. Lubeckim i później został dyrektorem hut i fabryk Suchedniowskich i Samsonowskich. Emigrował w roku 1831 z hrabią Antonim Ostrowskim, mężem jego siostry, którego córkę Julię zaślubił przedtem, i długi czas zabawiwszy w Paryżu, oddany naukowym pracom i malarstwu, wrócił nareszcie do Krakowa i osiadł na wsi. Stąd powołany zaufaniem współobywateli, przyjął urząd w Krakowie i dziś stoi na czele administracyi w obwodzie krakowskim.

Brat młodszy Władysław ożenił się w Galicyi[1]) i w r. 1831 był adjutantem hr. Weissenhoffa. Siostra młodsza Lucya, zdaje mi się, że za Ostrowskiego poszła, należy także do wykształceńszych osób Krakowa.

---

[1]) 1° voto z Lubieniecką, 2° voto z Justyną Uniatycką; ojciec Józefa i Romana Michałowskich. (Przypisek redakcyi.)

Ukończywszy, jak wyżej już mówiłem, tryangulacyą duktu granicznego i rozmiary szczegółowe od Igołomii aż do ujścia Białej Przemszy w Czarną Przemszę, powróciłem do Krakowa z oficerami drugiego oddziału porucznika Arnolda, dla ułożenia na czysto oryginału karty demarkacyjnej w kilkunastu sekcyach i kopii tejże, przeznaczonej dla bióra cesarskiego, czyli raczej dla archiwów państwa.

Oddawna spostrzegałem już niechęć podpułkownika Bojanowicza do mnie, który jako komisarz demarkacyjny i starszy oficer, był dowódzcą naszym. W rozkazie, przeznaczającym mnie do tej czynności, wyraźnie powiedziane było, iż wypełniać mam obowiązki szefa robót demarkacyjnych. Do mnie więc powinny były należeć: ogólny zarząd robót, kierunek tryangulacyi, dozór nad szczegółowymi rozmiarami, rozmiar duktu, stawianie słupów itp. Podpułkownik Bojanowicz nie mając wyobrażenia o tem wszystkiem, sam bowiem nigdy nie miał narzędzia mierniczego w ręku, za namową kapitana Kossa, sekretarza demarkacyjnego, człowieka niskiego charakteru, intryganta i złego kolegi, przedsięwziął przywłaszczyć sobie ogólny kierunek robót jednej części. Stąd powstały na samym początku nieporozumienia między nami, które do tego stopnia w codziennych stosunkach służbowych się wzmogły, iż myśleć począłem o odwołaniu mojem. Przyczyniała się tego zazdrość korpusowa, byłem bowiem sam jeden z korpusu inżynierów, pomiędzy sześcioma oficerami kwatermistrzostwa; cokolwiek także i zazdrość powodzeń salonowych.

Rady rodziców i przyjaciół, mianowicie Prądzyńskiego, Sałackiego i innych, wstrzymały mnie od mego zamiaru, ze względu na skutki. Później różnice te nieco się zatarły; lecz w dwa lata później w Sandomierzu kilka miesięcy przed moim awansem na podpułkownika na nowo różnice żywiej wybuchły.

Pogrzeb zwłok Kościuszki.

W końcu tej jesieni, z woli cesarza Aleksandra sprowadzono do Krakowa zwłoki Kościuszki, zmarłego r. 1817 w Szwajcaryi. Ludność miasta całego

z duchowieństwem i władzami w uroczystej processyi wprowadziła ciało nieszczęśliwego wodza naszego, do katedralnego kościoła w zamku. Złożono drogie zwłoki na katafalku, który pięknie ozdobiony został staraniem oficerów naszych. Nazajutrz po nabożeństwie żałobnem, w czasie którego ks. Łańcucki i prezes senatu Wodzicki mowami pogrzebowemi uczcili pamięć zmarłego bohatera, zwłoki te wniesione zostały do grobowego sklepienia, gdzie spoczywają obok zwłok Jana Sobieskiego i księcia Józefa Poniatowskiego.

Zima z r. 1816 na 1817 przeszła nam spokojnie, na pracach w biurze naszem i na zabawach wieczornych w towarzystwie krakowskiem. Bytność w Krakowie malarza Lampi z Wiednia, dobrego peizażysty, podała mi sposobność do wprawy w olejnem malowaniu. Wkrótce widoczne postępy wynagrodziły moją usilność. Nie zaniedbywałem także muzyki i z pomocą Gorączkiewicza, organisty kościoła katedralnego, urządzałem wieczorki muzyczne, uczęszczane przez miłośników sztuki. Rok 1817.

Nadejście wiosny powołało nas nad granicę, dla oznaczenia ostatecznego wątpliwej dotąd linij demarkacyjnej, przecinającej niektóre majętności na dwoje. Konferencye komisarzy dworów opiekuńczych, odwoływanie się do tychże dworów, zatwierdzanie z ich strony, zabierały bardzo wiele czasu. Nareszcie stanęła ugoda i w skutku tejże wyznaczono miejsce, gdzie słupy graniczne stać miały, i linię duktu geometrycznie i topograficznie opisano. Resztę lata przepędziliśmy na rysowaniu, kopiowaniu sekcyi i układaniu opisu granicznego dla naszego dworu.

Na początku r. 1817 ojciec nasz wysłał brata Adama do Berlina dla ukończenie nauk na uniwersytecie tamtejszym. Tegoż roku także Józef Krzyżanowski z Pakosławia zaczął w domu rodziców bywać w zamiarze zyskania ręki siostry mojej młodszej, Anieli, liczącej wtedy lat 17. Aniela była bardzo ładną i powabną, lecz humoru cokolwiek drażli-

wego, którym mogła była odstręczyć i mniej rozkochanego niżeli nim był młody Krzyżanowski. Poświęcał jej całe swe chwile i w końcu roku tego mógł się cieszyć nadzieją otrzymania zezwolenia z jej strony. Wychowanie Krzyżanowskiego było zupełnie francuskie, po polsku źle, śmiesznie nawet mówił, przeplatając francuszczyzną każde wyrażenie polskie; w postawie i w głosie miał coś niemęzkiego; a jednak był i bardzo odważnym i drażliwym w obronie własnego honoru. Wspaniałość i poświęcenie bez granic dla przyjaciół były piękną jego stroną, lecz posunięte za daleko względem osób, korzyść ciągnących z tego usposobienia, początkiem były zadłużenia pięknego majątku, oddziedziczonego po rodzicach. Krzyżanowski posiadał wówczas dobra Pakosław pod Rawiczem z pięknym pałacem, borami wielkimi nad granicą Śląska, łąkami nad Orlą, dobra Ruchocin w Babimosteckim powiecie i Szurkowo, w Krobskim; lecz te wszystkie dobra albo wypuszczone były w dzierżawę, albo jak najgorzej zagospodarowane, mało co przynosiły. On sam nie miał wyobrażenia o rolniczem gospodarstwie i obowiązkach ciężących na rolniku. Lubił wystawność i przepych i będąc młodym niezmiernie trwonił majątek na dziecinne wydatki, jako to: na konie, powozy, murzynów, grę itd. Gdy się o siostrę moją starał, musiał mieć przeszło 50.000 talarów kieszonkowych długów, prócz hipetecznych po rodzicach. Nie była to więc tak korzystna partya, jak się wtedy zdawało. Lecz rodzice nie znali tego stanu dokładnie, sami byli w trudnych interesach; zjawienie się więc Krzyżanowskiego uważać musieli za dar Opatrzności dla siebie i córki, protegowali widocznie jego zamiary i 28 maja 1817 otrzymał nareszcie także słowo siostry Anieli.

Na św. Jan, roku tego samego, rodzice moi zawarli układ z wujem moim, p. Grudzińskim, o część czwartą własności Osieka i o prawa różne z Sielca; z tych dwóch przedmiotów przychodziło matce naszej 166.000 zł., z tych 90.000 użyte zostały za zezwoleniem matki na spłacenie posesorów Żydowa i Roztworowa (z przypożyczonemi sumami pod nieustąpieniem

z dóbr w nizkiej cenie zadzierżawionych), którzy pretensye ogromne z wojennych czasów podali. Cały dług dzierżawców wynosił u Schmidta 23.000 zł., u Czachurskiego 82.530 zł., razem 105.530 zł. i nabyty został przez matkę za 90.000 zł. Resztującą sumę 76.000 zł. przekazał wuj matce do pana Białobłockiego. Z hypotek Wojnowa, Żydowa i Roztworowa pokazuje się, iż matka prócz tych 90.000 zł., któremi zaspokoiła dzierżawców, jeszcze 75.000 zł. poświęciła na zapłacenie dłużników ojca. Te wszystkie sumy, zahypotekowane najmniej na dobrach, przy subhastacyi tychże niepowrotnie utraciła. Została jej się tylko posagowa suma 100.000 zł. wyżej zahypotekowana i około 44.000 zł. z układów o Sielce i Osiek, tak, że na każde z nas czworo wypadało z czasem po 36.000 zł. tylko, prócz pretensyi z Opalenicy, o którą rzecz do dziś dnia jeszcze się toczy.

W śród tego lata jenerał Dąbrowski w przejeździe do siostry ciotecznej, pani Kempińskiej, mieszkającej w Pierzchowicach, o 3 mile od Krakowa, w Galicyi niedaleko Wieliczki, zabawił parę dni w Krakowie [1]). Oficerowie demarkacyi naszej przedstawiali się mu. Powitał mnie jenerał jak najuprzejmiej, przypomniał kampanię rosyjską i powrót wspólny do kraju, pobyt w Paryżu i wiele innych okoliczności. Nazajutrz raczył mnie sam odwiedzić w mojem mieszkaniu pod Krzysztoforami i zaprosił z sobą do siostry, pani Dembickiej, u której przepędziliśmy wesoło dzień cały. Chcąc jenerałowi zrobić przyjemność zdjąłem szkic jego wsi rodzinnej, Pierzchowice, i zabrałem się do wymalowania olejnokrajobrazu, przedstawiającego w odległem tle szczyty Karpat.

Tego samego roku cesarz Franciszek I. z małżonką swoją, księżniczką bawarską, i niezliczonym orszakiem objeżdżał Galicyą. Oficerowie demarkacyjni polscy przedstawieni mu zostali w Wieliczce i w jego świcie obchodzili sławne kopalnie soli, leżące w ogromnych pokładach pod tem mia-

---

[1]) Jenerał Dąbrowski urodził się 1755 roku, 29 sierpnia w Pierzchowicach koło Wieliczki, w Galicyi.

steczkiem. Nic piękniejszego wystawić sobie nie można jak oświecenie ganków ulic podziemnych. Cesarza uderzyły szczególnie w kopalni stajnie podziemne, jezioro słone, nad którem wznosi się sklepienie z kryształów solnych, na 80 sążni wysokie, sale ogromne itd. Z promu na jeziorze słonem wypuszczono piękny fajerwerk, który szczytu sklepienia nawet nie dosięgał. Cesarz w czasie audyencyi nam udzielonej, był nakształt chińskiego posągu, mało mówiący; palcami kręcąc, odgrywał sobie pewien ulubiony marsz; o konstytucyę krakowską się spytał austryackim dyalektem: *Ist der Freistoot schon konschtituirt?* (Czy się wolne miasto już ukształtowało?) Przeciwnie cesarzowa, do dobrej gospodyni niemieckiej podobniejsza, niżeli do monarchini, wdała się z nami, młodymi oficerami w rozmowę i z ciekawością wypytywała się o towarzystwo krakowskie.

W jesieni roku 1817 przybył do nas jenerał-leitnant d'Oeuvray, naczelny komisarz demarkacyjny ze strony Rosyi dla przejrzenia naszych robót i kart. Prace nasze pozyskały jego pochwały; dla mnie okazał się bardzo uprzejmym i grzecznym. D'Oeuvray przed rokiem 1794 był oficerem inżynierów w sztabie polskim i miał wielu kolegów dawnych w naszej armii, mianowicie jenerała Hanke'go, Sałackiego, Walentyna d'Hauterive i innych. Po zajęciu Warszawy przez Rosyan, wszedł w służbę rosyjską; w r. 1812 był szefem sztabu jenerała Wittgensteina. Jenerał d'Oeuvray lubił towarzystwo, celował w niem dowcipem i niewyczerpanym zbiorem anekdot, i był dla podkomendnych swoich nader przystępnym i liberalnym.

Rok 1818. Zimę tego roku przepędziłem w Krakowie, oddany tym samym zabawom i pracom, co i przeszłego. W lutym uzyskałem urlop do rodziców i przepędziwszy kilka tygodni pomiędzy Woynowem i Popowem, w końcu tegoż miesiąca powróciłem do Krakowa na Wrocław. W Popowie poznałem bliżej Józefa Krzyżanowskiego, zaręczonego mojej siostrze i szlachetnym stronom jego charakteru należytą oddałem sprawiedliwość. Ślub ich nastąpił 24 marca w Wojnowie.

Breza i Butryna, konduktorowie kwatermistrzowstwa, awansowali tej wiosny na oficerów i powrócili do Warszawy. Pierwszy był moim wiernym pomocnikiem w czasie robót i mieszkał całą tę zimę ze mną pod Krzysztoforami, zgadzaliśmy się jak najlepiej; lubiany był powszechnie w towarzystwie krakowskiem dla oryginalności i dowcipu. Żałowaliśmy go wszyscy. W miejsce ich przybyli Zabłocki i Zandrowicz. Odebraliśmy w połowie czerwca wiadomość o śmierci jenerała Dąbrowskiego, który 6 czerwca nagle umarł w Winnej górze; opiekunami dzieci swoich Bogusławy i Bronisława naznaczył dawnych adjutantów swoich: Prądzyńskiego i Ludwika Szczanieckiego. Niespodziewana ta strata mocno mnie bardzo dotknęła.

W roku 1818, po ukończeniu demarkacyi Krakowa i ratyfikacyi całej czynności, otrzymałem order Św. Włodzimierza IV klasy, ze strony Senatu wolnego miasta Krakowa prawo obywatelskie, a ze strony króla pruskiego pierścień z kosztownych kamieni. Dalsze roboty demarkacyjne przeniosły się tego roku z okolic Krakowa nad Wisłę. Zeszłej jesieni porucznik Arnold przygotował tryangulacyę od Krakowa do Sandomierza, używszy do tej czynności dokładnego wiedeńskiego stolika z perspektywą. Wypadało teraz szczegółową kartę Wisły ułożyć od granicy Wolnego miasta Krakowa ku Sandomierzowi; w tym celu zabrawszy z sobą porucznika Klemensowskiego i konduktora Zandrowicza przeniosłem kwaterę moją do Czarkowy, majętności ks. Michała Radziwiłła nad Nidą, o milę od Wisły, i stamtąd ekskursye moje nad Wisłę odbywałem; później wyjechałem do Sandomierza. Czarkowy leżą w pięknem położeniu niedaleko Wiślicy i Nowego miasta Korczyna. Ogród obszerny z pałacem w środku, skąd brzegi Nidy, krętem korytem płynącej rozpoznać można, dodaje wiele piękności krajobrazowi. Przepędziłem tu miesiąc cały.

Ukończywszy czynność rozmiarową i oznaczywszy dokładnie linię nurtu *(Thalweg)* Wisły, stanowiącą rzeczywistą linię demarkacyjną pomiędzy Austryą i Królestwem Polskiem, powróciłem na zimę do Krakowa.

Zima ta dla mnie pamiętna była z powodu,
Rok 1819. że teraz miał się rozstrzygnąć dawniej dojrzały w sercu mojem projekt oświadczenia się rodzicom panny Antoniny Michałowskiej o rękę ich córki. Nie chciałem żadnego kroku uczynić, nie uprzedziwszy rodziców o moich zamiarach. Nie znalazłem ich zupełnie przeciwnych, wieść bowiem o mojej skłonności i o przymiotach panny Michałowskiej pierw już do nich doszła, lecz ich przedstawienia gruntowały się najprzód na młodym wieku moim, skończyłem bowiem dopiero 24 lat; powtóre na niemożliwości opuszczenia w tak młodym wieku służby wojskowej, w której mi się najpiękniejsze widoki właśnie teraz otwierały; po trzecie na trudności zapewnienia mi niezawisłej pozycyi przez oddanie której wioski w zarząd, albo przez wyznaczenie dochodu, wystarczającego na utrzymanie moje i przyszłej żony.

Przedstawienia ich uznaję dziś za zupełnie słuszne i odpowiadające rzeczywistemu położeniu mojemu. Byłbym rozsądniej uczynił, gdybym się był wstrzymał od nieroztropnego kroku i wiele zmartwienia byłbym przezto sobie oszczędził.

Skłonność, która, mniemałem, że była podzielaną, jednakże przemogła, i pomimo najsłuszniejszych uwag najlepszego ojca, prosiłem najprzód panią Michałowską, do której miałem zaufanie synowskie, o rozmowę, w której z wielką nieśmiałością wyjawiłem jej moje uczucie dla córki. Nie zdawała się zadziwioną tem oświadczeniem, zdaje się nawet, że się tego kroku spodziewała po mnie, lecz o wzajemności córki nie zostawiwszy mnie w wątpliwości, odwołała się zupełnie do woli Michałowskiego; dała mi uczuć, że trudność największą stanowiłby stan mój wojskowy i położenie majątkowe rodziców, które jej z rozmów moich nie było tajne. Radziła mi użyć za pośrednika pana Jana Wielopolskiego, do którego mąż jej miał wszelkie zaufanie.

Zwierzyłem się przeto Wielopolskiemu i prosiłem go, ażeby wyrozumiał Michałowskiego.

Warunki z jego strony położone były następujące: opuszczenie służby wojskowej i okazanie w gotowiźnie majątku czystego 6000 czer. złotych, czyli 200.000 zł., celem zakupienia za tę sumę dóbr w Krakowskiem, lub w innej części Polski; sam z swojej strony ofiarował 100.000 zł. posagu w gotowiźnie. O mojej osobie w najchlubniejszych wyraził się słowach.

Warunki te zakomunikowałem ojcu p. d. 31 Lipca wraz z odpowiedzią kategoryczną pana Michałowskiego, udzieloną Janowi Wielopolskiemu.

W marcu roku 1819 uzyskałem urlop do Warszawy i tu przedstawiony zostałem osobiście Wielkiemu Księciu w domu Brońców, na prywatnym wieczorze. Skłonność jego do mojej ciotecznej siostry, Joanny Grudzińskiej, nietajną była już nikomu. Nikt jednak wtedy nie pomyślał, aby tak świetne miała mieć rozwiązanie.

Z początkiem wiosny 1819 pożegnawszy w Krakowie towarzystwo, wyjechałem z oficerami demarkacyjnymi: porucznikiem Klemensowskim, konduktorem Zandrowiczem do Sandomierza i zająłem się tryangulacyą linii granicznej od Zawichostu, na Radomyśl, Krzyżów, Tarnogród, Tomaszów, do Bugu pod Sitowierzem.

Praca ta zabrała mi miesiące: pół kwietnia, maj, czerwiec, lipiec, sierpień i część września.

Niejaki czas zatrzymałem się w Sandomierzu, kilka dni w Tarnogrodzie, kilka w Tomaszowie i w Zamościu, gdzie znalazłem dowódzcę korpusu, jenerała Matteskiego i przezeń, niemniej jak przez komendanta twierdzy, jenerała Wasilewskiego, najuprzejmiej przyjęty zostałem. W Nowosielcach, majętności państwa Rastawieckich, zabawiłem kilka dni także i doświadczyłem w tym domu największej gościnności. Znany byłem samej pani Rastawieckiej przez siostrę p. Nakwaską, w której towarzystwie przepędziłem przyjemne godziny w Warszawie. Korespondencya z ojcem toczyła się przez ten czas względem warunków, przedstawionych mi przez Jana Wielopolskiego.

Pod dniem 9 sierpnia 1819 r. odebrałem odpowiedź na mój list z d. 31 lipca, następującej treści:

Ojciec nie mogąc zapewnić mi nic w gotowiznie z powodu wielkiego zadłużenia swego majątku, następujące czynił z mojej strony propozycye:

Żydowo z Krzyszkowem ofiarował mi w 420.000 zł. z obowiązkiem oczyszczenia 200.000 zł., baronowi Reck należących, lub Roztworowo w szacunku 250.000 zł. z obowiązkiem oczyszczenia 120.000 zł.

Propozycya ta ze strony ojca ani mnie ani Michałowskiego zaspokoić nie była w stanie. Najprzód, że dobra te, od wielu lat w ręku dzierżawców będące, w najsmutniejszym znajdowały się stanie; powtóre, że o wiele nad wartość były taksowane i nareszcie, że Żydowo i Wojnowo jedno folium hipoteczne, Rostworowo drugie stanowiły; długi zaś zahypotekowane na tych majątkach solidarnie ciężyły na obydwóch majątkach i wynosiły z wnioskami matki 949.560 zł. czyli 158.260 talarów; od tych potrąciwszy wnioski matki 404.280 zł., z których 100.000 zł. tylko na pierwszej hipotece umieszczonych, reszta bardzo nizko stała i przy dóbr sprzedaży i nizkich tychże cenach z pewnością straconą była, pojąć można, jakie wrażenie propozycye takowe na mnie i na Michałowskim sprawiły.

Do tego zważyć potrzeba, że cena kupna dóbr Wojnowa, Żydowa i Roztworowa w r. 1796 wynosiła 128.333½ talarów; cena na ówczas bardzo wysoka, a dziś o wiele przesadzona z powodu zniżenia niezmiernego ceny dóbr.

Przekonałem się więc, że sposób, w jaki się ojciec zapatrywał na swoje położenie majątkowe, na urojeniu spoczywało i przewidywałem odrazu smutne rozwiązanie całego projektu. Nie chcąc jednakże zasłużyć sobie na jakikolwiek zarzut nielojalności lub nieszczerości ze strony pana Michałowskiego, cały stan majątkowy ojca, lubo wyjawienie to bardzo dla mnie było boleśne, przedłożyłem J. Wielopolskiemu. Odpowiedź niedługo dała na siebie czekać, i była oczywiście odmowną w tej chwili. Zostawiono mi jednakże czas do wy-

jaśnienia lepszego interesów ojca i pretensye z 200.000 zł. na 150.000 zł. zredukowano, lecz te, żądano, abym wykazał w gotowiźnie.

Chcąc jednak koniec położyć dręczącej mnie niepewności i wyjść z położenia, nieznośnego już dla mnie, postanowiłem na początku zimy r. 1820 udać się na urlop do rodziców i z niemi samemi wszelkie usunąć wątpliwości majątkowe. Tu przejrzawszy hypoteki dokładnie, przekonałem się o niemożności zadośćuczynienia warunkom p. Michałowskiego, oświadczyłem więc rodzicom, że od mojego projektu odstąpić widzę się przymuszony i że przyszłego szczęścia i spokojności żony na urojeniach nie mogę zakładać. Toż samo J. Wielopolskiemu oświadczyłem i prosiłem go, aby o postanowieniu mojem rodziców panny Michałowskiej zawiadomił. Dnia 8 stycznia 1820 odebrałem list od Michałowskiej, pełen czułych i macierzyńskich dla mnie wyrazów, z pożegnaniem ostatniem. Z tego listu poznać najlepiej można, jakie były jej dla mnie uczucia; sięgały bowiem przyszłego szczęścia nie na tej ziemi, lecz szczęścia wiecznego. Rok 1820.

Z tym listem stosunki moje z tą familją nie zakończyły się jednak. Brat panny Michałowskiej Piotr i Jan Wielopolski nie przestali ze mną korespondować i cieszyli się jeszcze nadzieją załatwienia wszelkich trudności z mej strony przez cały rok 1820.

Lecz ja sam, straciwszy wszelką wiarę w polepszenie się interesów rodzicielskich, nie łudziłem siebie więcej ani przyjaciół i z męską stałością przyjąłem ostateczny cios, który mnie miał spotkać.

W lutym r. 1821, Antoni Ostrowski, wdowiec i ojciec sześćciorga dzieci, 40 lat mający, człowiek bogaty i bardzo przyjemnej jeszcze powierzchowności, poznawszy pannę Antoninę u siostry Maryi Morsztynowej, oświadczył się o jej rękę i zezwolenie rodziców zyskał. Panna Antonina jako posłuszna córka nie była przeciwną wprawdzie; to wiem tylko, że walka z uczuciami dla mnie, o mocną chorobę ją przyprawiła. Czy

była tyle szczęśliwą, ile zasługiwała wysokimi przymiotami swej duszy, o tem wyrzec nie jestem w stanie.

Wyjechałem na zawsze z Krakowa w miesiącu lutym r. 1820 i założyłem kwaterę moją w Sandomierzu. Wkrótce przybyli za mną Bojanowicz z Kossem i wspólnie rozpoczęliśmy rysowanie naszych kart biegu Wisły od Krakowa do Sandomierza i suchej granicy od Zawichostu aż do Bugu.

Awans na podpułkownika d. 23 kwietnia, r. 1820.

Śmierć jenerała Sierakowskiego, komendanta korpusu, wielką zmianę rokowała w położeniu przyszłem mojem. Komendę naczelną korpusu artyleryi i inżynierów objął po nim jenerał Maurycy Hanke, przyjaciel rodziców i od dawnego czasu przychylny dla mnie. Nadzieja awansu blizkiego tem żywiej mi się przedstawiała, że byłem najstarszym kapitanem korpusu.

Jakoż istotnie awans ten nie dał długo na siebie czekać. Dnia 23 (11) kwietnia r. 1820 otrzymałem nominacyę na podpułkownika w korpusie inżynierów. Postąpienie to zmieniało zupełnie położenie moje.

Ślub Joanny Grudzińskiej z Wielkim Księciem Konstantym dnia 24 kwietnia roku 1820.

Druga, mniej jeszcze spodziewana wiadomość, doszła mnie dnia 27 maja z Warszawy przez pułkownika Sałackiego.

Jeanetta Grudzińska, dnia 24 maja, r. 1820, zaślubioną została Wielkiemu Księciu Konstantemu!

Dziwne zrządzenie Opatrzności! Książę, następca tronu rosyjskiego, zrzeka się tego tronu i przekłada szczęście domowe z nadobną Polką nad blask i potęgę korony potężnego państwa.

Przypomniały nam się czasy Dymitrego i Maryi Mniszchówny! Zagadką jest dotąd dla wielu współczesnych, jakim sposobem Jeanetta Grudzińska potrafiała skłonić ku sobie serce, dotąd nieprzystępne łagodniejszym uczuciom. Że godność wrodzoną zachować musiała, o tem świadczy najmocniej miłość stateczna, uszanowanie i poświęcenie, których tyle dał jej dowodów W. książę w czasie 10-letniego, szczęśliwego pożycia. Prawda, że w pierwszych chwilach doświadczyła ciężkich

prób, na które może nie była przygotowaną; lecz te przebywszy, szczęśliwie używała później domowego spokoju. Jakie ofiary uczynić musiał W. książę dla uzyskania pozwolenia cesarskiego brata i matki cesarzowej, o tem dopiero dowiedziała się publiczność po śmierci cesarza Aleksandra, gdy publikowane zostało zrzeczenie się korony na korzyść młodszego brata. Małżonka Wielkiego księcia w kilka tygodni po ślubie, który się odbył dwojako: w kaplicy łacińskiej i w greckiej, z zachowaniem wszelkich formalności, nakazanych kodeksem prawnym, przybrała tytuł księżny Łowickiej. Dobra obszerne, przywiązane do tego tytułu, cesarz jej samej darował.

Prace demarkacyjne postępowały tymczasem, a wykończenie na czysto specyalnej karty linii granicznej zbliżało się.

Pod dniem 25 sierpnia r. 1820 odebrałem odezwę od jenerała dywizyi Hanke'go z zapytaniem, czylibym się podjął czynności profesora fortyfikacyi i zdejmowania planów topograficznych w organizującej się szkole aplikacyjnej.

Zastanowiwszy się nad obowiązkami, przywiązanymi do tego, dla mnie zupełnie nowego zawodu, i wzgląd mając na coraz trudniejsze i drażliwsze położenie moje wobec Bożanowicza i Kossa, które mogło sprowadzić dla mnie tylko najprzykrzejsze skutki, przyjąłem propozycye jenerała Hanke'go i udałem się w miesiącu Wrześniu do Warszawy.

Cesarz Aleksander znajdował się w tym czasie w stolicy. Odbywszy wizyty pierwsze urzędowe u moich dowódzców, prezentowałem się na pokojach pałacu Brühlowskiego, najprzód Wielkiemu księciu, a następnie cesarzowi w zamku królewskim. Wychodząc z zamku wstąpiłem do państwa Brońców, chcąc ich samych i Antonią Grudzińską powitać. Zastałem wszystkich mocno pomięszanych. Zabawiłem krótką chwilę, gdy zameldowano ks. Łowicką. Spodziewałem się zastać ją napojoną urokiem pierwszego szczęścia. Jakżem się omylił. Weszła blada, z okiem zgasłem, zmieniona zupełnie; ona, którą przed rokiem jeszcze tak swobodną, tak zdrową opuściłem! Szła wsparta na ręku Brońca, poznała mnie; później zatrzymała się i po ciężkiem

westchnieniu te słowa do mnie wyrzekła: »Klemensie, przypominam sobie dobrze, coś mi przed rokiem powiedział: byłabym dziś szczęśliwszą, gdybym twoich słów była usłuchała.« Ledwie słów tych dokończyła, które z przerażeniem uchwyciłem, gdy Wielki książę z największym niespokojem na twarzy do niej się zbliża i wyprowadza do sali. Zebrałem myśli moje i przypomniałem sobie znaczenie tej mowy; była to niespodziewana odpowiedź na skargi, z któremi przed nią, rok temu wynurzyłem się z powodu postępowania barbarzyńskiego Wielkiego księcia z oficerami i żołnierzami polskimi, w skutku którego tylu porzucić służbę musiało lub ratując obrażony honor, w śmierci końca swych cierpień szukało. Nie wiedziałem wtedy, jak bliską była zmiana losu Jeanetty Grudzińskiej i dotknąć ją musiałem do żywego mojemi skargami. W stanie egzaltacyi nerwowej, w której się znajdowała teraz, a z jakiego powodu poniżej opowiem, widok mój przypomniał jej naszą rozmowę i ranę bolesną, na którą teraz cierpiała, odnowić musiał.

Dziwna ta scena była jednak zagadką dla mnie, który z daleka marzyłem o jej szczęściu. Dopiero później z rozmów z siostrą Antonią i z kilka osobami, mającemi przystęp do Belwederskiego dworu, dowiedziałem się o powodach tej nadzwyczajnej zmiany.

Pierwszych dni po ślubie widziano Wielkiego księcia z małżonką swoją często razem oddających wizyty lub spacerujących. Oblicze obojga jaśniały szczęściem. On sam dla żony pełen uszanowania i miłości, zdawało się, jakby chciał każdy pyłek zebrać przed jej stopami. Lecz wkrótce spostrzeżono różnicę. Ks. Łowicka bladła widocznie, smutek rozlewał się na jej obliczu; pewne nerwowe usposobienie, które dawniej już u niej spostrzegałem, zaczęło się przebijać; pomimo wszelkiej usilności z jej strony ukrycia wewnętrznych cierpień, humor jej zmienny otaczających dotykał. Na twarzy Wielkiego księcia, wypogodzonej pierwszych dni, burza złowroga zaległa na nowo. Zmarszczone brwi jak dawniej, po-

rywczość taż sama, gniewy też same na paradach, na musztrach, zdradzały wzburzony stan umysłowy. Pytał się jeden drugiego w Warszawie, skąd tak nagła zmiana? Wkrótce dowiedziano się powodów. Cesarz zezwolenie swoje dając bratu, a znając lepiej, niż kto inny jego charakter, żądał, aby zaraz od siebie oddalił p. Fryderykę, z którą dotąd żył publicznie i która Belweder zamieszkiwała, zapewniwszy jej los na przyszłość.

Znalazł się człowiek podły, adjutant Wielkiego księcia, pułkownik Weiss, który się nie zarumienił prosić o jej rękę. Ślub ich nastąpił kilka tygodni przed ślubem Wielkiego księcia. Pani Weiss wyjechała z Belwederu, lecz pozostała w Warszawie.

Kilka dni po ślubie z Jeanettą Grudzińską Wielki książę znalazł za rzecz bardzo naturalną i przyzwoitą przedstawić swojej małżonce dawną metresę swoją. Ks. Łowicka, ukrywszy w sercu, ile znajomość ta dla niej być może przykrą, uległa żądaniu męża i przyjęła wizytę pani Weiss, spodziewając się, że na tem stosunek ten się skończy. Lecz Wielki książę na tem nie przestał; nie zważając, ile godność małżonki na tem zetknięciu wycierpieć mogła, żądał, aby nawzajem odwiedziła panią Weiss. Żadne przedstawienia z jej strony nie pomogły, żadna uwaga na niemoralność takiego kroku; Wielki książę żądał tej nowej ofiary po żonie. Uczyniła to nareszcie, lubo mocno przerażona nowością dla niej takiego zapatrywania się na stosunki małżeńskie, a to zawsze w nadziei, że to ustępstwo z jej strony będzie ostatniem. Lecz pani Weiss, ośmielona tą uległością, zaczęła częściej odwiedzać Belweder i natrętnem towarzystwem swojem niepokoić księżnę. Błagała Wielkiego księcia, aby nie sromocił ich domu bytnością ohydnej kobiety, lecz Wielki książę znalazł, iż nic niema naturalniejszego jak to, aby dawna przyjaciółka z żoną pod jednym niemal dachem zgodnie z sobą żyły, i albo sam nie przestał zajeżdżać do pani Weiss, albo ją prosił do Belwederu pod pozorem odwiedzenia ich syna Pawła. Ks. Łowicka nie mogła znieść takiego poniżenia i wszelkiemi siłami opierała się niemoralnemu sto-

sunkowi, zagrażającemu całej jej przyszłości. Póki sił starczyło, walczyła z ufnością w słuszną swoją sprawę; lecz nareszcie zapadła na zdrowiu, drażliwość jej nerwów nie zniosła tej twardej próby, wszystkie siły duszy pękły, zaczęła odpłacać Wielkiemu księciu bronią kobiecą: łzami, spazmami, przycinkami cierpkimi. Urojone niebo zamieniło się w piekło. I nie zawsze Wielki książę zwycięsko z tej walki wychodził! Wszystko szło jak najgorzej. Nikt kroku nie trzymał, żaden mundur nie był dość opięty, żadna broń dość czysta. Już słowo separacyi między nimi było wymówione, gdy nadjechał cesarz! Wkrótce uwiadomiony o całym stanie rzeczy, przerażony widokiem smutnym ks. Łowickiej, postanowił powód do dalszych różnic na zawsze usunąć. Rozkazał pani Weiss w trzech dniach wyjechać z Warszawy, a na przedstawienia Wielkiego księcia, wzywającego konstytucyę Królestwa na pomoc, okazał się zupełnie głuchym. Pani Weiss wyjechać musiała; ustała przyczyna, ustała i choroba. Wielki książę uznał swój błąd i stał się napowrót najczulszym małżonkiem, jakim go widzieliśmy przez ciąg 10 lat, od 1820 do 1830 roku.

KONIEC KSIĘGI II.

Stanford University Libraries
3 6105 014 993 344
DM 148
417 1

DATE DUE			

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305